

MARTA KŁADŹ-KOCOT

NOG KOTA
DZIEŃ SOWY



Marta Kładź-Kocot
Noc kota, dzień sowy
Tom pierwszy: Zamek Cieni

SPIS TREŚCI

CZAS MIASTA 6

CZAS TEGO, CO BYŁO 36

CZAS SPLATANIA WIĘZÓW 118

CZAS LUSTER 210

CZAS PODRÓŻY 275

*Mojemu Najbliższemu Mirkowi
i Tośce, Najwspanialszej Siostrze na Świecie
– dwóm Najbardziej Kocim Osobowościom*

Czas miasta

Port śmierdział potężnie, nie sposób było się pomylić. Wiatr niósł zapach zepsutych ryb, przeżartych morską solą desek i nadgniłych wodorostów. Ponad zapadającymi się dachami domów portowej dzielnicy widać było kołujące w górze mewy, niekiedy z głośnym skwirem nurkujące w dół. Podróżny, dość jeszcze młody i odziany w niczym niewyróżniający się bury płaszcz, poprawił popręgi muła i spojrzął ze wzgórza na rysujące się w dole, widoczne spoza murów miasto, po czym z westchnieniem dołączył do zmierzającego w stronę miejskiej bramy tłumu spieszącego na targowisko. Popatrzył przelotnie na kupców jadących na załadowanych wszelkim dobrem wozach i rolników dźwigających wielkie kosze warzyw, jaj i serów, wiodących skrzypiące wózki pełne rozwrzeszczanego ptactwa.

Podróżny zmrużył oczy, spoglądając pod słońce w kierunku odległego portu, z którego wychodziła właśnie piękna karawela. Dachy portowej dzielnicy opadały stromym zboczem w dół, a ich poszarpana linia kończyła się na nabrzeżu, zgrabnie przechodząc w drewnianą keję. Na końcu lśniło lustro morza i jeżyły się maszty stłoczonych przy pirsie łodzi.

Port, podróżny powtórzył w myśli zasłyszane informacje. Nie chodź tam po zmroku, jeśli nie chcesz skończyć z nożem między łopatkami. Nie zadawaj się z mewkami, bo zostaniesz nie tylko bez pieniędzy, ale nawet bez spodni. Nie wchodź do tawern przy nabrzeżu, jeśli nie chcesz, żeby cię stamtąd wynieśli nogami do przodu. Na wszelki wypadek nie pytaj, czyja łódź stoi przy kei i dlaczego rzekomy rybak ma tatuaże na całym ciele.

Nowo przybyły odwrócił wzrok od dalekich masztów, które z tej odległości wydawały się maleńkie jak igły. Na chwilę wbił spojrzenie w plecy idącego przed nim kupca, a potem popatrzył w drugą stronę, na tonące w zieleni białe mury i ceglaste dachy eleganckiej dzielnicy, położone na zboczu niewysokiego wzgórza. Na jego szczycie królowała ponura, strzelista budowla z szarego kamienia, której liczne wieże zdawały się obserwować miasto mnóstwem ciemnych otworów strzelniczych i małych, zakratowanych okien. Na ten widok nieznamy wzdrygnął się instynktownie. Spróbował przypomnieć sobie wszystko, czego się dowiedział. Miasto miało trzy punkty, wokół których koncentrowały się całkowicie odmienne rodzaje życia: port, targowisko i Zamek Cieni, ponure miejsce zbudowane ponoć przed wiekami przez jakiegoś szalonego rycerza. O pierwszym już wszystko wiedział, a raczej wiedział, dlaczego nie powinien się dowiadywać. Drugie było strefą względnie bezpieczną –

przynajmniej jak na standardy tego miasta, dostępną dla wszystkich, znacznie bardziej niż port zatłoczoną i prawie tak samo śmierdzącą. Punkt trzeci był zaś przyczyną jego przybycia i na myśl o tym młodzieniec poczuł spływającą po plecach stróżkę potu.

Schodząc ze wzgórza w tłumie rozgadanych kupców, trajkoczących wieśniaczek i rozkrzyczanego ptactwa, stracił w końcu z oczu panoramę miasta. Przed jego oczami wyrosły wysokie mury z szarego kamienia, wznoszące się ponad pstrokato odzianymi postaciami, końskimi zadami i białymi czepkami kobiet. Nareszcie zobaczył wysoką, kutą w lilie, szeroko rozwartą miejską bramę, przy której kłębił się tłum. Wreszcie nadeszła jego kolej – był dzień targowy, więc wartownicy spieszyli się. Nieznajomy przełykał ślinę i w ostatniej chwili gorączkowo się zastanawiał, czy mimo wszystko nie lepiej było przebrać się za kupca. Nieważne, teraz już i tak było na to za późno.

– Skąd? – zapytał strażnik, nie zadając sobie nawet trudu wyartykułowania pełnego zdania.

– Z Blenvingardu – wychrypiął przybysz przez ściśnięte gardło. Do tej pory nie uważał się za tchórza, ale teraz był skłonny zmienić zdanie. W każdym razie stróżka potu na plecach przybrała już szerokość strumyka, a do tego zwilgotniały mu dłonie.

– Z czym?

Pokazał list, starając się nie zostawić na nim lepkich odcisków palców. Strażnik chyba słabo czytał, bo zmarszczył brwi i sylabizował w milczeniu. Na to przecież liczyli członkowie Bractwa, wymyślając takie, a nie inne incognito. Dawało ono młodzieńcowi prawo do poruszania się po mieście, nie będąc zbyt indagowanym przez nikogo, bez zbędnego kramu, który musiałby taszczyć, gdyby przebrał się za kupca.

Do zmagającego się ze słowem pisanym strażnika dołączył kolega, który przepuścił właśnie wiejską kobietę niosącą na targ kosze jajek i warzyw. Kilku innych lustrowało wzrokiem zmierzających do miasta kupców, rewidowało niektórych, konfiskowało to i owo. W cieniu sklepienia bramy stały oparte o mur kusze, tarcze i włócznie wraz z drewnianym zydlem na krzywych nogach i asortymentem świadczącym o tym, że ktoś przed chwilą brał się do czyszczenia tej dość wiekowej broni.

– Virbio Allenma... Allenmargh z Blenvingardu. – Strażnik odczytał nazwisko, przerywając podróznemu kontemplowanie braków w wyposażeniu kordegardy. – Agent banku Forti... narich, wizyty... wizytujący...

– ...na polecenie zwierzchników filię w Castelburgu. – Drugi strażnik najwyraźniej nie miał aż tak podstawowych braków w edukacji.

Młodzieniec skinął głową.

– Skoro tak, nie trzeba nam panom bankierom w interesach mieszać. – Pierwszy oddał młodzieńcowi list.

Virbio, prawie nie wierząc własnemu szczęściu, ujął uzdę muła i przekroczył bramę, zostawiając za sobą strażników. Strużka potu zaczęła powoli wysychać. Kopyta zwierzęcia miękko stukwały po bruku. Porwany przez ludzką rzekę, poddał się jej prądowi i zanurzył pomiędzy szereg kamienic, tracąc z oczu górujący nad miastem zamek. Wędrował przed siebie, początkowo zagubiony i spłoszony, bo nie podróżował do tej pory poza rodzinne miasto. Tutaj domy ponuro szczyrzyły okiennice, a uliczki układały się w plątaninę dość przewrotnych ścieżek, które nagle się urwały, otwierając przestrzeń wypełnioną lasem kolorowych płóciennych straganów, w większości pamiętających czasy, gdy miastem władała Rada Pięćdziesięciu. Virbio przystanął na chwilę, po czym z westchnieniem zanurzył się w ten gąszcz. I na początek skutecznie zabłądził.

Dopiero po południu udało mu się znaleźć zajazd Pod Złotą Podkową, neutralny i w miarę bezpieczny, bo zatrzymywali się w nim zamożni kupcy handlujący pachnidłami i zamorskimi przyprawami, złotnicy i sprzedawcy kosztownych tkanin, którzy zazwyczaj utrzymywali własną, choć niewielką eskortę. Tę tawernę polecili mu członkowie Bractwa, choć to nie tu miał czekać na znak. Skrzyńka kontaktowa znajdowała się w małej winiarni tuż obok banku Fortinarich, który dla porządku musiał odwiedzić. Ale na pewno nie był na tyle głupi, żeby pognać tam od razu. Miał czas.

Przez kilka kolejnych dni włóczył się po mieście, odwiedzał targowisko, wdawał się w niewinne pogaduszki z kramarzami i przekupkami. Układał sobie w głowie topografię Castelburga. Czekał. Instynktownie omijał okolice Zamku i drżał, ilekroć widział jego posępny cień, kładący się czarną plamą na dachach domów. Bardzo chciał podjąć jakieś działanie. Jakiegokolwiek. Ale bał się zrobić coś głupiego, a drobnych głupstw zrobił mnóstwo. Na przykład wyciągnął sztylet, żeby obronić się przed zbyt natrętnym żebrakiem, a potem długo biegł wąskimi uliczkami, bojąc się, że dopadnie go straż. Uciekł też przed natarczywą uliczną dziewczką, zostawiając jej w ręku własną skórkową rękawiczkę. Długo ścigał go jej śmiech.

Był w winiarni, ale nie dowiedział się niczego ciekawego. Agent Bractwa na razie nie pojawił się. Virbio nie wiedział, co to znaczy.

Aż w końcu ów agent odnalazł go. Wyglądało to na przypadek, choć z pewnością nim nie było. Virbio jak zwykle włóczył się uliczkami, przeciskał przez tłum na targowisku. Zagapił się na piękność w jedwabnym czepcu i wtedy ktoś silnie potrącił go w ramię, a następnie głośno ofuknął za gapiostwo. I błysnął mu przed oczami pierścieniem z herbem Castiglianich. Młodzieniec spojrzał zdziwiony, bo agent okazał się mocno otyłym człowiekiem w średnich latach,

który, zwymyślawszy go głośno za ślepotę, mruknął pod nosem: „Idź za tamtym mężczyzną. A potem do winiarni”. I rozplątał się w różnobarwnym tłumie.

Wskazany człowiek krążył pomiędzy straganami pozornie bez celu, zamiatając uliczny pył długim szarym płaszczem. Zarzucony niedbale na głowę kaptur zsuwał się odrobinę, ukazując wyrazistą twarz i szare włosy do ramion. Na ramieniu siedziała mu, mrużąc oczy w świetle dnia, nieduża sowa płomykówka. Trudno było określić jego wiek. Wydawał się nie mieć więcej niż czterdzieści lat, a może nawet mniej, a jednocześnie coś w jego postawie sugerowało człowieka doświadczonego, uczonego albo medyka. Kiedy nieznajomy minął Virbia, prawie potrącając go ramieniem, ten poczuł ciarki na plecach. Dotknęło go coś jakby uderzenie powietrza, drgnienia światła, iskry mocy. Nagle zrozumiał. Nieznajomy był magiem.

Chłopak przełknął ślinę i zanurkował w tłum w ślad za znikającym szarym płaszczem. Bał się zgubić trop, a jednocześnie zaczął się obawiać, że sam jest śledzony. Kilka razy obejrzał się za siebie, czując wbite w swoje plecy spojrzenia. Zauważył kątem oka postać, która oderwała się od straganu płatnerza i ruszyła przed siebie pozornie bez celu, parę kroków za nim. Virbio nie potrafił powstrzymać nerwowego zerkania do tyłu, aż w końcu prawie rozbił dzbany ustawione obok kramu garncarza. Gdy zobaczył przechadzających się niespiesznie pomiędzy straganami miejskich strażników, ostatecznie zrezygnował z pościgu za czarodziejem, który już niemal zniknął mu w tłumie. Uznał, że powinien przede wszystkim zgubić ogon. Wkroczył do pierwszego lepszego szynku i zamówił dzban wina. A potem następny. Nie zamierzał już tego wieczoru nigdzie się ruszać. Wyjawszy winiarnię, w której miał spotkać się z agentem. Czuł się w tym wielkim, portowym mieście mały i zagubiony.

Jeszcze bardziej mały i zagubiony poczuł się, gdy wieczorem wreszcie spotkał agenta Bractwa twarzą w twarz. A ten obsobaczył go w soczystych słowach za niewykonanie prostego zadania, dał krótkie, acz precyzyjne instrukcje i wysłał do wieży maga. „Zwerbuj go”, powiedział tylko, dorzucając do tego polecenia garść użytecznych informacji i obietnic, mających skłonić czarodzieja do współpracy.

*

Przemykając nocą przez prawie puste ulice, Virbio przeklinał w duchu własną głupotę. Dłoń na rękojeści sztyletu spotniała nieprzyjemnie. Wieża leżała w pobliżu portowej dzielnicy. Agent Bractwa wytłumaczył mu dość dokładnie, jak do niej trafić, a droga, choć prosta, nie należała do najbezpieczniejszych. Na sąsiednich ulicach pomimo nocnej pory było całkiem gwarno, a gdzieś wędrowali całą szerokością drogi pijani żeglarze, wyśpiewujący głośno i ochryple pieśni na chwałę jakiegoś statku lub dziewczyny. Od tawern rozlegały

się odgłosy kłótni i mordobicia, czasem jakiś pojedynczy, kończący się nagle wrzask.

W końcu Virbio dostrzegł w świetle księżyca piętrzącą się wyniośle i nieco posepnie budowlę z szarego kamienia, wyrastającą wprost z nadkruszonego muru. Pochylała się do przodu, strasząc ukośnym cieniem, jakby groziła, że lada chwila się zawali. W spojeniach, spomiędzy nadwątlonej zaprawy, wyrastały długie brody mchów, traw i paproci. W małym ostrołukowym okienku na piętrze pełgało światło. Oprócz tego śmierdziało wilgotną piwnicą i kocimi szczynami.

W zaułek weszła hałaśliwa grupa żeglarzy, wymachujących dzbanami wina i wywrzaskujących wulgarne pijackie przyśpiewki. Virbio jak szary cień przywarł do wielkich, okutych żelazem drzwi wieży. Wilgotną dłonią ujął kołatkę i delikatnie zastukał. Potem drugi raz. Potem mocniej. W końcu zamarł i przywarował w wykuszu. Przez dłuższą chwilę nie działo się nic, a rozbawiona, usposobiona do bitki hałastrza zbliżała się coraz bardziej. Nagle w drzwiach ze zgrzytem uchyliło się małe okienko.

– Kto to? – zapytał cichy, ku jego zdziwieniu kobiecy głos.

– Do mistrza Jardala. Potrzebujący – wykrztusił Virbio.

Jęknęła podnoszona sztaba, drzwi zaskrzypiały i uchyliła się w nich mała szpara. Virbio pospiesznie wsunął się do środka, do ciemnej, wąskiej sieni, z której wznosiły się na piętro kręte schody.

Stała przed nim młoda kobieta, całkowicie mokra. Z jej zlepionych w strąki włosów kapała woda, biała koszula kleiła się do ciała, a na schodach za nią widać było wilgotne ślady. Najwyraźniej dopiero wyszła z kąpeli i narzuciła na siebie tylko tę koszulę, a plecy okryła zielonym płaszczem, który zsuwał jej się z ramion. Drżała z zimna. Mokre płótno stanowczo zbyt szczelnie przylegało do piersi, oblepiając sutki, i chłopak poczuł się dziwnie w tych rejonach ciała, w których wcale nie chciał się tak czuć. Kobieta trzymała w dłoni świecę osadzoną w srebrnym lichtarzu. Minęła Virbia i zamknęła drzwi, zasuwając sztabę, a potem bez słowa poprowadziła go na piętro.

Weszli do niewielkiej komnaty, oświetlonej jedynie kilkoma świecami i ogniem płonącym na kominku. Wzdłuż ściany piętrzyły się półki pełne ciężkich, opasłych ksiąg, niknąc w głębi i prowadząc dalej, aż poza otwarte drzwi, do następnej komnaty. Okucia i złocone napisy na grzbietach woluminów migotały w blasku ognia, co sprawiało, że książki wydawały się prężyć grzbiety i szczerzyć zęby niczym rojowisko żywych, głodnych i niebezpiecznych istot. Na dużym drewnianym stole leżały w nieładzie pióra, kałamarze, nożyki do ostrzenia i stosy zapisanych kart pergaminu. Na podłodze, porzucone niedbale obok wielkiej księgi, rozwartej na ilustracji przedstawiającej jakiegoś rogatego potwora, stało pięknie wykonane astrolabium. Ogień pełgał w witrażu okna,

zatrzymując się na retortach, alembikach, tyglach, kamiennych moździerzach i słojach z dziwną zawartością, zgromadzonych na podłużnej ławie pod jedną ze ścian. Pod sufitem, z którego zwieszała się kulista mapa sfer niebieskich, suszyły się pęki ziół. Za parawanem stała balia, a wokół niej lśniły na kamiennej posadzce kałuże rozchlapanej wody. Pachniało mydłem, tatarakiem, kurzem i starym pergaminem. Między kominkiem a oknem stały zwrócone do siebie dwa okryte skórą krzesła. Nieznajoma odwróciła się do Virbia i wskazała mu jedno z nich. Usiadł. Dopiero wtedy mógł się jej przyjrzeć.

Zobaczył, że w jej mokrych włosach odblask ognia odbija miedziane refleksy. I że jest drobna, a dłonie ma białe, bardzo szczupłe. Trudno było określić jej wiek. Wydawała się młoda, ale nie sprawiała wrażenia nieśmiałej. Poruszała się z pewnością siebie kobiety dojrzałej, lecz bez zalotności, bez zachęty. Patrzyła twardo, ostro. Oczy miała szarozłote i bezlitosne, choć w jej spojrzeniu nie było kpiny.

Przysunęła drugie krzesło do ognia, usiadła bokiem do gościa, zbliżyła zziębnięte stopy do paleniska. Uniosła dłonie na wysokość głowy. Virbio prawie krzyknął, kiedy jej włosy uniosły się w górę, poruszone wydobywającym się spomiędzy palców strumieniem ciepłego powietrza. Spokojnie rozdzielała pasma, susząc je. Po chwili wokół jej twarzy opadły miękkie loki w kolorze miedzi, świeże i lśniące.

– Teraz możemy porozmawiać. – Czarodziejka oparła się wygodnie, szczelnie owijając zielonym płaszczem i ignorując fakt, że ma pod spodem mokrą koszulę.

– Jak cię zwą i z czym przychodzisz?

Virbio przełknął ślinę, odchrząknął, przedstawił się.

– Ale... chciałem rozmawiać z mistrzem Jardalem, pani – dodał. – Do niego mam sprawę. To znaczy... do niego mnie posłano – dokończył. Widząc ostre jak sztylet spojrzenie kobiety, zrozumiał, że palnął głupstwo.

Nagle aż cofnął się na krzesło, bo na kolana czarodziejki wskoczył imponująco wielki, bury kocur. Przeciągnął się leniwie, zasyczał wyginając grzbiet, a potem ułożył się wygodnie i zaczął spokojnie czyścić futro. Było w nim coś, co sprawiało, że przybyszowi ciarki przebiegły po karku. Miał wrażenie, że nigdy wcześniej nie widział kota nie tyle tak dużego, co w tak zdumiewający sposób pełnego osobowości. Szarozielone, przymrużone ślepia świeciły dziwnym blaskiem, z futra sypały się iskry, trzeszczało elektrycznością.

– Cóż... – powiedziała czarodziejka. – Jeśli chcesz spotkać mistrza Jardala, musisz przyjść za dnia. Nie mamy więc powodu, aby dłużej ze sobą rozmawiać. Żegnam. – Wstała, biorąc jednocześnie na ręce kota, unosząc go z trudem i sadzając na krzesło.

– Nie mogę! – wykrzyknął. – To znaczy, mogę. – Zmieszał się i odwrócił w bok zakłopotane spojrzenie. Zaczerwienione policzki zaczęły przypiekać jak ogniem. Czuł coraz większą złość na samego siebie. – Ale już raz zaryzykowałem, przychodząc tu. Jestem śledzony. Nie każ mi czekać, pani.

Parsknęła krótkim śmiechem.

– Wszyscy, którzy przyjeżdżają do Castelburga, są lub przynajmniej czują się śledzeni. Naprawdę nie ma się czym przejmować. Ale skoro tak bardzo ci zależy... – wyciągnęła rękę, by pogłaskać kota – nie masz wyjścia i swoją sprawę musisz przedstawić mnie. A ja powtórzę ją mistrzowi tak wiernie, że nie straci ani jednego słowa. Jakby sam przy tym był.

Kot wygiął grzbiet w kabłąk, zeskoczył z oparcia fotela i otarł się o jej kolana, wpatrując się w jednocześnie w Virbia świdrującym spojrzeniem. Młody człowiek poczuł nagle nawrót wszystkich zabobonnych myśli, jakie kiedykolwiek w życiu go nawiedzały i odczuł niejasną potrzebę posiadania amuletu przeciwko złym czarom. Nieznajoma czekała cierpliwie, nie odzywając się.

– Żądasz zaufania, pani, a nawet nie usłyszałem jeszcze twojego imienia – powiedział ostrożnie, usilnie starając się nie zwracać uwagi na kota.

– Proszę bardzo. Nazywam się Mear de Witten. I przypuszczam, że nic ci to nie mówi.

Virbio zastanowił się głęboko, ale istotnie, nic mu to nie mówiło. Nie wiedział nawet, dlaczego miałoby. Poczuł, że utknął. Nie miał pojęcia, co powinien teraz powiedzieć i jak postąpić. Instrukcje otrzymane od agenta nie przewidywały rozmów z nieznanymi czarodziejkami, które właśnie wyszły z kąpieli i za pomocą magii wysuszyły sobie włosy.

Kobieta, która przedstawiła się jako Mear, wcale nie ułatwiała mu sprawy – bo zresztą dlaczego miałaby. Przyparty do muru pomiędzy dezorientacją, chęcią wykazania się i obawą przed kolejną porażką, Virbio postanowił spróbować Dyplomacji. Z pełną świadomością, że jego kwalifikacje w tej dziedzinie, oparte jedynie na kilku lekcjach polityki, udzielonych dawno temu przez domowego nauczyciela, są co najmniej wątpliwe.

– Nie przychodzę we własnym imieniu – zaczął ostrożnie. – Przysłała mnie potężny, wpływowy dostojnik. A właściwie grupa dostojników. Mają oni nie tyle prośbę, co ofertę. Pewien czarodziej popadł bowiem w konflikt z Kapitułą i musiał osiedlić się... dość daleko od swoich konfratrów. – Mear podniosła głowę i zacisnęła usta. Virbio uznał, że zmierza we właściwym kierunku, więc ciągnął: – Te dostojne osoby chcą osiągnąć pewien cel i mają po temu wszelkie środki – broń, pieniądze, ludzi. Jednak na przeszkodzie stoi nie tylko taki sam zasób środków u przeciwnika, ale również magia. Dlatego potrzebują

czarodzieja... I jeśli czarodziej zgodzi się udzielić pomocy, moi mocodawcy obiecują wyjednać mu u Kapituły przebaczenie win.

Zamilkł, czekając na odpowiedź. Nieznajoma odwróciła twarz w stronę kominka i zapatrzyła się w ogień, a Virbio z napięciem obserwował jej jasny profil w obwódce rudych, ożywionych blaskiem płomieni włosów.

– Przebaczenie... win – powiedziała. Głosem stalowym, głuchym, obojętnym. – Ale, panie Virbio Allenmargh z Blenvingardu, nie było żadnej winy. I nikt tu nie pragnie przebaczenia. A twoja oferta to puste słowa i zwodnicze obietnice. Oszukano cię. A teraz już naprawdę żegnaj.

Wzięła ze stołu świecę i poprowadziła go na dół, do wyjścia, po stromych, kamiennych schodach. Rozpływał się w powietrzu zapach mydła, tataraku, kurzu i starego pergaminu. A także jakaś inna, nieuchwytna woń. Sandałowca i róży. Zza uchylonych drzwi buchnął smród portowej dzielnicy. Virbio, zawiedziony i zły, odwrócił się w progu i powiedział z rozpaczą:

– Pani, daj mi jeszcze jedną szansę. Jeśli mistrz Jardal jest gotów nas wysłuchać, niech przyjdzie jutro w południe do winiarni Pod Przewróconym Dzbanem. Tuż koło banku Fortinarich.

– Dobrze. Powtórzę mu – odpowiedziała. – Tyle mogę ci obiecać.

Skrzypnęły rozwierane szerzej drzwi. Z oddali dobiegały odgłosy burdy w pobliskiej tawernie.

– Chwileczkę – usłyszał i wyczuł, że kobieta zwana Mear uśmiecha się przewrotnie w ciemnościach. – Muszę jeszcze wypuścić kota.

*

Virbio schował głowę w ramiona. Wydawało mu się przez chwilę, że lecący na niego grad obelg przybierze materialną formę. W panice rozglądał się wokół, po drewnianych ścianach obwieszonych pękami suszonych ziół i przydymionym od światek suficie jednego z pomieszczeń winiarni Pod Przewróconym Dzbanem. Zastanawiał się, kiedy grzmiący głos jego sąsiada przy stole ściągnie jakieś niepożądane uszy, w najgorszym zaś przypadku zamkową gwardię. Jednak jego rozmówca wydawał się tym zupełnie nie przejmować, wołając do karczmarza o wino i smażone ryby, gotowane kraby, małże, sery i inne smakowitości, a w przerwach systematycznie mieszając go z błotem. A człowiekiem tym był nikt inny, jak jego jedyny tutejszy kontakt, agent Bractwa, Dionisius Grandini. Virbio słyszał o nim co nieco jeszcze w Blenvingardzie, ale rzeczywistość zdołała już przygnieść go do ziemi. Słynny Grandini okazał się średniego wzrostu, niezwykle otyłym człowiekiem po pięćdziesiątce, obnoszącym swoją łysiejącą głowę, rzadką brodę i ogromny brzuch z godnością co najmniej kupca handlującego diamentami. Ubrany był w zapinany na złote guziki, rozpaczliwie

trzeszczący w pasie czerwony kaftan, a na prawie każdym palcu nosił złoty pierścień z ogromnym kamieniem. Do tego, odkąd tylko usiedli w winiarni, bez przerwy jadł i pił. I gadał. Virbio dziwił się głęboko, jakim cudem temu człowiekowi udało się pozostać w Castelburgu po zmianie władzy, i dlaczego u licha uchodzi on za tak wybitnego agenta, skoro sprawia wrażenie, jakby był w stanie wypaplać wszystkie posiadane tajemnice przy jednej kolacji. A do tego nie krępuje się nawet na tyle, żeby zniżyć głos. Sposób wysławiania się Grandiniego, malowniczy i beztrosko mieszający wszystkie możliwe style, od słów używanych przez wykształconych synów szlacheckich rodów do mowy pospółstwa, również budził podziw i zdumienie Virbia. Chodziły słuchy, że agent za młodu był piratem, a jego sława sięgała ponoć tak daleko, że zapewniała mu bezpieczne poruszanie się po portowej dzielnicy. Patrząc na Grandiniego, młodzieniec sam już nie wiedział, w co powinien wierzyć.

– Gospodarzu, wyborny był ten wędzony łosoś... Może by tak jeszcze trochę? – wykrzyknął agent w kierunku otwartych drzwi. Siedzieli w niedużej, tylnej sali i nikogo oprócz nich w niej nie było. Virbio został tam skierowany zaraz po przyjeździe, gdy tylko podał karczmarzowi hasło, a teraz ponownie spotkał się tu ze starszym agentem. I dostał twardą szkołę życia.

– Ty ciężki idioto – kontynuował Grandini, w przerwach pomiędzy wysysaniem szczypców kraba – więc jakim imieniem, powiadasz, się przedstawiła?

– Mear – wydusił z siebie Virbio. – De cośtam.

– A tobie to nic, gołowąsie pstrokaty, nie mówi?

Młody człowiek zaprzeczył bezgłośnie.

– Niech mnie ślimaki i piranie zeżrą! Panowie z Blenvingardu przysłali mi tu młodzika, którego należałoby do szkół, a nie do Castelburga wysłać. I jak ja mam z tobą coś zdziałać, gdy ty ledwie do wieży poleźć potrafisz, a wracasz z niczym. Dziękuję, przyjacielu – powiedział do karczmarza, który dostarczył rzeczonygo łososa, przynosząc jeszcze na wszelki wypadek dzban wina. Virbio wzdrygnął się, zerkając na wciąż półotwarte drzwi, za którymi zniknął gospodarz, ale Grandini zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

– Czarodziej tu przyjdzie – ośmielił się zauważyć chłopak.

– Przyjdzie albo i nie, jak mu tam będzie ochota – skomentował agent. – Zakładam tak, że faktycznie przyjdzie. Czarodzieje to ciekawskie plemię. Będzie chciał się dowiedzieć, jaką to sprawę do niego mamy. I jeśli mam rację co do owej Mear, głupku zatracony, to będzie nasz.

Virbio przełknął ślinę i nie powiedział nic.

– Wiedz tedy, baranie niestrzyżony – perorował dalej Grandini, w przerwach między słowami pakując do ust wcale niemałe kawałki wędzonego łososa – że

choć na tego maga Kapituła klątwę nałożyła, na banicję go skazując, nie on jeden zniknął wtedy z Emain Avallach. Długo szukali potem również czarodziejki, Mitrią zwanej. Ulubienicy i uczniowie samej pani Evelyn von Stein. Nie znaleźli. Ale owa nie zawsze to imię nosiła. Przed wieloma laty przybyła do Emain jako młodziutka adeptka. Nie wiesz zapewne, skąd?

Chłopak zaprzeczył nerwowym ruchem głowy.

– Otóż – ciągnął agent, wycierając zatłuszczone palce w serwetę – losy ją przyniosły prosto z dworu królewskiego w Cantalenie. Zaginiona czarodziejka Mitria to ni mniej, ni więcej, tylko księżniczka Mear de Witten, uboga krewna króla Alfreda i jego córki, księżniczki Julii. Na cantaleńskim dworze nie za bardzo wiedzieli, co z nią zrobić. Król się szybko zorientował, że coś z kuzynką nie tak. Wszystkie księgi w bibliotece wyczytała i zamiast nad haftem siedzieć, toczyła uczone dysputy z astrologami, lekarzami, kronikarzami i innymi darmożjadami, których rację istnienia pocziwe królisko ledwie umiał pojąć. Nic nie miała prócz tytułu, bo jej świętej pamięci rodzic swoje księstwo w karty przed śmiercią przegrał. Za mąż wydać jej się nie udało, bo ledwie mówić zaczęła, przyszły małżonek uciekał jak przed jaką zarazą. Przy czym Alfred na posag skąpił, więc przyszło mu na myśl, że skoro taka uczona, pod opieką pani Evelyn będzie jej najlepiej. Zaopatrzył więc krewniaczkę w stosowne pismo i wysłał po cichu do Emain Avallach. Przykazał zapewne, by się nie chwaliła, kim jest, więc zmieniła imię.

– I owa zaginiona Mear czy też Mitria siedzi sobie teraz z mistrzem Jardalem w wieży? – zapytał Virbio. Nie był pewny, czy wszystko do końca zrozumiał. Grandini popatrzył na niego jak na zdechłego śledzia.

– Skoroś na własne oczy widział, geniuszu niedowarzony – stwierdził, zabierając się za następną porcję kraba – to pewnie siedzi.

– I jaka nam niby przyjdzie z tego korzyść? – zbuntował się wreszcie wysłannik Bractwa. Otyły szpieg jednak tym razem nie zdenerwował się, a jedynie rozciągnął szerokie wargi w tajemniczym uśmiechu.

– A taka – rzekł – że dla mistrza nie tylko marchewkę, ale i kijek mamy. Nikt dokładnie nie wie, za co właściwie wyklęła Jardala Kapituła magów. Ale ponieważ zniknęła czarodziejka... a czy ona też była wyklęta, nie wie nikt... powstało podejrzenie, że on z miłości do niej zwierchnikom się naraził. Banicja miała przywrócić obojgu rozsądek. Bo widzisz, młodzieńcze, im, czarodziejom, nie wolno wiązać się ze sobą nawzajem. Wielcy magowie z Emain Avallach żyją w celibacie – zarechotał.

– Bzdura, znałem przecież niejednego czarodzieja, który miał kochanki, albo nawet kobietę i dzieci – zaprotestował Virbio.

– A czyż to się sprzeciwia zdrowemu celibatowi? – Grandini wybuchnął rubasznym śmiechem. – To się nie liczy, poza murami Emain Avallach każdy może żyć tak, jak chce i nikomu nic do tego. Do dobrego tonu wśród czarodziejów należy nierozmawianie o, hmm... życiu osobistym. A o czym się nie mówi, tego nie ma. Ale związek dwojga magów to w ich świecie wręcz zbrodnia. Nie pytaj, dlaczego, bo nie wiem. Kto ich tam wyrozumie, tych czarodziejów. Myślę – spoważniał i zniżył głos – że oni się po prostu boją tworzenia w swoim świecie więzi innych niż te oparte na strukturze władzy. Taktowne przymykanie oczu na kochanki i dzieci to element tego strachu. Zbudowali wokół siebie aurę mocy, autorytetu i wyjątkowości, podbudowaną realną siłą, jaką reprezentuje Kapituła i jej Mistrzynie. Nie mogą tego stracić, więc każdy z nich musi być sam, posłuszny tylko jednej sile – magii Emain Avallach.

– Skąd tyle wiesz o magach? – spytał Virbio, zdumiony szybkością, z jaką szpieg potrafił przejść od malowniczych złorzeczeń i opowieści wygłaszanych językiem pospolitego ludu do chłodnego, niemal naukowego wywodu.

– Słyszało się to i owo. – Grandini jakby powrócił do rzeczywistości, to znaczy do kolejnej porcji wędzonego łososa.

W tej chwili w półotwartych drzwiach stanął karczmarz i dla formalności w nie zastukał.

– Przepraszam, panowie, gość do was... Dopytuje o pana Virbio Allenmargha. Młodzieniec i agent wymienili spojrzenia.

– Prosić – rzekł krótko Grandini.

Jardal wkroczył do sali, stukając podkutymi obcasami butów, okryty szarym płaszczem z naciągniętym głęboko na oczy kapturem. I z nieodłączną sową na ramieniu.

– Witajcie, mistrzu – pozdrowił go agent.

– Panie Grandini... panie Allenmargh. – Skinął im głową. Przysiadł się do stołu, Virbio bez słowa zrobił mu miejsce na ławie. Obserwował maga z zapartym tchem. Czarodziej odrzucił kaptur z głowy, ostrożnie posadził sowę na oparciu pobliskiego krzesła. Ptak otworzył na moment szarozłote oczy, jakoś dziwnie inne od czarnych paciorków, jakie zwykle mają płomykówki, a potem przymknął je sennie. Chłopak miał wrażenie, że powietrze wokół czarodzieja lekko zawibrowało. Odczuwał mrowienie na karku i w czubkach palców. Mistrz Jardal utkwiał w nim na chwilę szarozielone oczy i Virbio znów poczuł uderzenie powietrza. Pomyślał, że gdyby czarodziej po prostu przeszedł obok, nie byłby w stanie zapamiętać jego twarzy. Pod powiekami nie pozostałby konkretny obraz, a jedynie rozmazany powidok, odczucie szarości. A jednak wrażenie obecności maga było tak silne, jakby ten zaginał wokół siebie przestrzeń. Gdyby namalować jego portret – pomyślał chłopak – nie byłoby nic bardziej złudnego.

Zostałby kształt, który nic nie mówi, martwa powłoka, kokon. Nawet Grandini na chwilę się zamknął.

– Jak już zapewne wiecie, mistrzu, mamy dla was ofertę. – Milczenie grubego agenta najwyraźniej nigdy nie mogło trwać długo.

Jardal nie odezwał się. Znał trochę Grandiniego, przynajmniej z widzenia i słyszenia (a po prawdzie znało go całe miasto). Nie zdziwił się wcale, ujrawszy go tutaj, razem z młodym nieznajomym. Dionisius Grandini był człowiekiem, który potrafił wkręcić się wszędzie, dużo gadał, jadł za trzech, miał niesamowite znajomości i umiał załatwić prawie wszystko. A do tego stanowił kopalnię wiedzy o mieście i – co rzadsze – także o tym, co się działo w porcie. I z tym wszystkim jakoś jeszcze nie trafił do lochów pod Zamkiem. Najwyraźniej, choć paplał bez przerwy, mówił tylko to, co chciał, z powodzeniem udawał głupszego, niż jest, a wszyscy mieli u niego jakieś długi wdzięczności – co w dużej mierze gwarantowało mu bezpieczeństwo i powodzenie w różnych przedsięwzięciach. Jardal nie należał do ludzi, którzy dają się nabrać na pozory. Instynktownie wyczuwał w Grandinim inteligentnego przeciwnika, przed którym należy się mieć na baczności.

– Wstyd, że zaniedbujemy gościa – stwierdził agent, zagadując w ten sposób przedłużające się milczenie maga. – Gospodarzu, przynieście no jeszcze trochę wina... i tych tam waszych przekąsek. Najlepszych. Byle szybko. Ja płacę.

Jardal uprzejmie skłonił głowę.

– Słucham – powiedział, gdy tylko karczmarz uwinął się z zabraniami pustych naczyń i dostarczeniem w pośpiechu pełnych. Grandini natychmiast wpakował sobie do ust kiść winogron i zaczął obgryzać owoce.

– Oferujemy wam, mistrzu, udział w pewnym szacownym dziele – rozpoczął. – I to, rzecz jasna, nie za darmo. Jak wam doniósł mój niedowarzony wspólnik, mamy moc pojednać was z Kapitułą i sprawić, by cofnięto wydany na was wyrok banicji.

Jardal lekko zmrużył oczy i uśmiechnął się drapieźnie, po kociemu. Mogłoby się wydawać, że wszedł do gry.

– Musimy zatem ustalić dwie kwestie – stwierdził. – A jeśli się upierać przy precyzji, to nawet trzy. Po pierwsze, z kim mam przyjemność? Chciałbym poznać tożsamość waszego mocodawcy, zanim zastanowię się nad jego ofertą. Nie wątpię, panie Grandini, że nie działacie we własnym imieniu. Po wtóre: czego ode mnie chcecie? Prościej już tego pytania zadać nie można, mam więc nadzieję, że i odpowiedź nie będzie pokrętna. Następnie zaś – skąd pewność, że ja w ogóle chcę wracać z wygnania?

Virbio wstrzymał oddech, ale Grandini nie dał się zbić z pantafyku.

– No cóż, chcecie czy nie chcecie – wasza sprawa. Ale przyjemniej jest mieć wybór, czy się chce, czy nie, prawda? – rzucił niedbale. – Niemniej rację macie, mistrzu, że trzeba was wprowadzić w istotę rzeczy, a wtedy, jak mniemam, zbędziecie ostatnich wątpliwości i sami przyłączycie się do naszego dzieła. Ten tu osobnik – wskazał na wiercącego się na ławie Virbia – przybył tutaj z ważnymi nowinami. Ale zacznijmy od początku. Myślę, że nie muszę was uczyć historii tego miasta, choć mieszkacie w nim od niedawna.

– Czemu nie? Historia bywa pouczająca – odparł równie swobodnie czarodziej. – Zaś najbardziej w niej interesujące jest to, że ma dziwną właściwość zmieniania się w zależności od tego, kto ją opowiada. Chętnie więc posłucham kolejnej wersji, choć oczywiście, wybierając Castelburg na miejsce mojego odosobnienia, doskonale wiedziałem, co tu zaszło. Kto wie, może właśnie dlatego go wybrałem. Prawdziwą samotność można znaleźć tylko w cieniu tyranii.

Grandini zignorował tę paradoksalną sentencję i odparł swobodnie:

– Cieszy mnie wasze zainteresowanie historią. Zatem posłuchajcie. Pięć lat temu panowała tu jeszcze taka sobie oligarchiczna demokracja. Cechy miały monopole, rzemiosło i kupiectwo kwitło, a każdy stan wiedział, co do niego należy. A potem stopniowo mieszczaństwo wzrosło w siłę i ubzdurało sobie, że do szczęścia brakuje mu tylko przywilejów należnych szlachcie. Za mało im było miejsc w Radzie Pięćdziesięciu. Chcieli prawa do noszenia herbowych kolorów, zniesienia ustaw o ograniczeniu zbytku i takie tam. Szlachta, rzecz jasna, zupełnie te śmieszne postulaty zignorowała. Ile było mieszczańskich partii i partyjek i o co się między sobą żarły, sam diabeł się nie wyzna. Szlachcie natomiast przewodził możny ród Malatestów, zawierając i zrywając sojusze wedle własnego uznania. I zawarli, niestety, sojusz dość niefortunny. Porozumieli się z seneszalem Kayerlem z Tradivy, stojącym na czele stronnictwa białych, a on obiecał im pomoc przeciwko castelburskim mieszczanom, jeśli oni najpierw dadzą mu zbrojne wsparcie w walce z tradivskimi brunatnymi. Więc wystawione przez Malatestów najemne wojska pomaszerowały do Tradivy. I już nie wróciły. Zostały rozbite w puch, głównie przez kondotierów w służbie brunatnych pod wodzą niejakiego Jastrzębia.

Jardal skinął głową. To działo się na długo przed jego przybyciem do miasta, ale słyszał co nieco, znał nazwisko Malatesta, dotarła do niego krwawa legenda Jastrzębia. Jednak rozgrywki pomiędzy szlacheckimi i mieszczańskimi stronnictwami były charakterystyczne dla większości spośród Wolnych Miast i maga nie ciekawiły szczegóły. Wynajmowanie kondotierów do walk o dominia nie wydawało się niczym niezwykłym.

– Ród Malatestów przestał istnieć – ciągnął Grandini. – Piero poległ, jego synowie również, inne szlacheckie rody zaczęły walczyć o schedę, ale nikt nie miał takiego autorytetu, żeby zgromadzić wszystkich wokół siebie. Castelburscy mieszczenie, korzystając z zamieszania, zaczęli wprowadzać własne porządki. Niejaki Soderini zdobył poparcie kilku mieszczańskich stronnictw, ustanowił się naczelnikiem, rozwiązał Radę Pięćdziesięciu, ściął parę głów, kilka znaczących rodów wygnał z miasta. Chaos trwał przez jakiś czas, ale potem wszystko się mniej więcej unormowało. Aż do czasu, kiedy trzy lata temu przybył tu niejaki Machiavello Niccoli, wcześniej prawa ręka Piera Malatesty. Wrócił, ale nie sam. Z nowym panem. Tym, którego twarzy nikt nigdy nie widział i którego nazwiska nikt nie zna. Nazywają go po prostu Księciem, a na sam dźwięk tego nazwania nasz obecny tu przyjaciel gotów ze strachu zepsuć nam powietrze. Ale nie martw się, chłopcze – zwrócił się do Virbia – bo tak samo reaguje połowa Castelburga.

– Agent podrapał się po nosie, westchnął i wrócił do przerwanej opowieści: – Wcześniej Książę odniósł zwycięstwo nad najemnikami Jastrzębia w jakiejś kolejnej fazie walk o Tradivę. A potem nagle najechał Castelburg. To był przemyślany atak. Pewnego dnia po prostu wkroczył do miasta na czele kondotierów. Żołnierze błyskawicznie opanowali Zamek Cieni, bramy, prochownię, koszary i wszystkie strażnice. Gdy Książę przybył, głowa Soderiniego spadła z karku, a reszta tak jakoś z dobrej woli i czystego szczęścia na wszystko się zgodziła. Zaś ci spośród szlachty, którzy wcześniej wrócili spod Tradivy i jakoś dogadali się z naczelnikiem... i tu dochodzimy do sedna naszej opowieści... uznali w pośpiechu, że wolą zmienić klimat. Przynajmniej ci, którzy mieli głowę na karku. Jeszcze. Czy ta wersja historii zadowala cię, panie?

– Na razie tak. – Czarodziej skinął głową. – Wspomniałeś coś jednak, panie Grandini, o dochodzeniu do sedna.

– Już pośpieszam. Ani myślę na szwank wystawiać waszej cierpliwości. Otóż szlachta na wygnaniu rozpierzchnęła się częściowo, ale jej przywódcy nie zamierzali zakładać rąk ani tracić czasu. A byli tacy, którzy mieli za sobą kilka kadencji w Radzie Pięćdziesięciu i znali tajemnice Zamku Cieni. Tego samego castelburskiego zamku, który teraz zamieszkuje Książę. I oni właśnie założyli Bractwo Wolnych Miast. Nie będę obrażał twojej inteligencji posądzeniem, że nie domyśliłeś się, iż to właśnie ono jest naszym tajemniczym mocodawcą. Jego cele są jak na razie może zbyt dalekosiężne. Ale na początek członkowie Bractwa chcą wrócić do domu, to znaczy odzyskać Castelburg. A ty nam w tym pomożesz. Mówiąc po prostu, trzeba zabić Księcia.

W komnacie jakby na chwilę pociemniało. Virbiowi ścierpła skóra.

– A tak konkretnie chcemy, żebyś ty go zabił – dodał beztrąsko Grandini.

Jardal odchylił się na ławie i demonstracyjnie ziewnął.

– Pomyliliście się, panowie – powiedział. – Jestem czarodziejem, nie płatnym skrytobójcą.

– I właśnie dlatego potrzebujemy ciebie – odparował agent. – Skrytobójca to tam nawet nie przejdzie przez drzwi. Księcia chroni magia.

– Może jakiś słaby amulet.

– Nie, zapewniam cię. Prawdziwa magia.

– Niemożliwe. – Jardal spoważniał. – Za tym musiałby stać czarodziej z Emain Avallach, a żaden mag nie będzie służył władcy. Zaprzysiężonych czarodziejów Kapituła zobowiązuje, by nie mieszała się do polityki.

– I tu dochodzimy do kolejnego sedna. Nasza sprawa jest najwyraźniej jak cebula, można ją obłuskiwać, a i tak zawsze jakieś głębsze sedno się znajdzie. – Grandini wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Wyżsi rangą członkowie Bractwa mają dobre kontakty z niektórymi ważnymi osobistościami z Kapituły. Te osobistości pozaciągały, nazwijmy to, długi. Czasem w przysługach, czasem w złocie. Na szczegóły przyjdzie czas, ale mogę cię zapewnić, że jeśli pomożesz Bractwu, sprawi ono, że wdzięczność Kapituły nie będzie miała granic.

– Och, jej granice są ciaśniejsze, niż ktokolwiek może przypuszczać – zakpił mistrz, ale tym razem już mniej pewnym tonem. – Poza tym wasze założenia są błędne.

– Skąd możesz wiedzieć...

– Po prostu wiem. – Uciał ostro. – A jakie to osobistości z Kapituły mają długi u członków Bractwa, jeśli wolno wiedzieć?

– Nie wolno. – Grandini uśmiechnął się szeroko. – To jest tak tajne, że nawet ja tego nie wiem. Jeśli nie wierzysz we wdzięczność swoich konfratrów, zapewniam, że mamy również inne argumenty. – Podniósł puchar wina i przepił do czarodzieja, który na to nie zareagował. – Gdy już przystąpisz do nas, zrobimy wszystko, by uśmierzyć twoją nieufność.

– Wbrew temu, co twierdzisz, niewiele wiesz o magach, Grandini. Czarodziej nie zwykł do niczego przystępować. Nadto, jak powiedziałem, nie jestem płatnym skrytobójcą – odparł Jardal opryskliwym tonem.

– A któż tu mówi o zabójstwie – oburzył się teatralnie agent. – Przybyłeś tu już po burzy, mistrzu, więc może opowiem ci parę pouczających historyjek. – Wziął ze stołu nóż, zaczął odkrawać małe kawałeczki sera i na czubku ostrza podawać je sobie do ust. – Złotnicy i sprzedawcy pachnideł byli przeciwni prześladowaniu szlachty, bo straciliby połowę klienteli. Ośmielili się iść z petycją do Księcia. Rodzinom odniesiono ich głowy, ładnie udekorowane drogimi kamieniami. Władca wszak nie jest skąpy.

Virbio, siedzący na ławie obok czarodzieja, skurczył się w sobie. Nie słyszał wcześniej tych opowieści i właśnie zaczynał dostrzegać luki w swoim

wyszkoleniu. Zabrano go z rodzinnego domu, gdzie i tak, jako młodszy syn, nie był szczególnie potrzebny, i uczono walki. Nikt jednak nie uczył go, jak zdobywać wiedzę i szersze spojrzenie na sytuację, w jakiej się znalazł. Castelburg, o którym słyszał wyłącznie ponure legendy, przerażał go. Chłopak obserwował teraz nieruchomy profil maga, który słuchał opowieści szpiega bez drgnienia powieki. Siedząca na oparciu krzesła sowa mrużyła niepokojące, szarozłote oczy.

– Kilka cechów, których członkowie byli zwolennikami tyranii Soderiniego – mówił dalej Grandini – wystąpiło przeciwko Księżciu. Postawili barykady i bronili się w portowej dzielnicy. Otoczono ich i po krótkiej walce zmuszono do poddania się. Księżę powiedział, że zachowają życie, pozbawi ich tylko przyszłości. Po czym z każdej rodziny zabrano mężów i żony, zakneblowano ich i przywiązano do pali na nabrzeżu. Musieli patrzeć na to, jak ich dzieci – wszystkie poniżej siedemnastu lat – po kolei spychano z trapu do morza. A kiedy żołnierze Księcia już skończyli, rozwiązali wszystkie kobiety i zgwałcili je na oczach mężów. Dziewczęta powyżej siedemnastu lat, które uniknęły utopienia, też zgwałcili. Taki los spotyka przeciwników nowej władzy. – Swoimi małymi oczkami wpatrzył się przenikliwie w maga. – Zapewniam cię, mistrzu, że to tylko niektóre przykłady – powiedział. – Taktownie wybrane, aby nie urazić twych wrażliwych uszu.

Jardal nie skomentował.

– Do tego – ciągnął Grandini, nadal bawiąc się nożem, choć już zabrakło sera – to nie są, jak mógłbyś mniemać, przepychanki pomiędzy stronnictwami. Do czegoś takiego to i mnie nie chciałoby się przykładąć ręki. Tu chodzi o dobro miasta. Monopole cechów nie znaczą już nic. Nie ma prawa, nie ma sprawiedliwych sądów czy w ogóle jakichkolwiek sądów, jest tylko wola obecnego władcy. Każdy, kto przekracza bramę, może bez zapowiedzi i bez wyroku wylądować w lochach pod Zamkiem Cieni. Strażnicy i gwardziści rewidują, kogo chcą i konfiskują, co tylko chcą. Bogaci kupcy i bankierzy muszą płacić olbrzymie haracze. Mam mówić dalej?

Czarodziej zaprzeczył ruchem głowy. Uśmiech już dawno zniknął mu z twarzy.

– Zatem?... – zapytał agent. – Powiedzmy, że nie będziemy obrażać cię posądzeniem, jakobyś mógł zniżyć się do zabójstwa. Chcemy zaoferować ci udział w wielkim dziele. W obaleniu tyrana i przywróceniu miastu prawowitej władzy. Nie zabójstwo, a udział w zamachu. Zbadanie sprawy. Ochrona przed magią, złamanie barier.

Jardal odchylił się na ławie.

– No cóż, panowie... Nie mówię tak, nie mówię nie. Zastanowię się.

– Tylko nie namyślaj się zbyt długo. Bo możemy stracić do ciebie zaufanie i zacząć pracować nad tobą... z mniejszą dozą delikatności.

Mag roześmiał się głośno.

– Groźby, panie Grandini? Swoją drogą ciekawym, co takiego moglibyście mi zrobić.

Grandini wzruszył ramionami z miną mówiącą, że nie zamierza zniżyć się do pogrózek, bo to uwłacza zarówno jemu, jak i rozmówcy.

– Muszę stwierdzić, że odważni jesteście, panowie – zauważył Jardal. – Rozmawiać o zabójstwie Księcia w biały dzień, w winiarni, przy otwartych drzwiach...

Virbio wzdrygnął się i z lękiem popatrzył w okno, ale starszy agent tylko pochylił się do przodu i rzekł konfidencyjnym szeptem, uśmiechając się chytrze:

– Tak się składa, mistrzu, że wasze przenikliwe oczy nie wszystko mogą od razu zobaczyć. Ściany tej izby wyglądają na drewniane, ale deski to tylko jedna warstwa. Dzielą ją od prawdziwej ściany jakieś dwa cale przestrzeni, wypełnionej wełnianym puchem. Nie ma niczego, co by lepiej zagłuszało dźwięki. Klienci to w większości ludzie znani karczmarzowi i mnie. Nowi rzadko zagląдают do tej winiarni, a jeśli nawet przez pomyłkę ktoś tu trafi, zwykle spotyka go jakaś niemiła przygoda, na przykład utrata sakiewki. Lepsze to, przyznasz, od podejrzenia gardła w ciemnym zaułku. Karczmarz Arno to mój stary druh z czasów, gdy pływaliśmy na jednej galerze. Służył pod moim ojcem. A ten tu młody głupiec, który przywiózł mi nowiny i rozkazy, to autentyczny szlachcic z Blenvingardu, który nigdy wcześniej nie był w Castelburgu i nie można go podejrzewać o żadne powiązania, bo naprawdę ich nie ma.

Virbio wpatrzył się w Grandiniego, zafascynowany faktem, że plotki o jego korsarskiej przeszłości miały najwyraźniej jakieś podstawy. Czarodziej zaś wstał, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

– Niepotrzebny nadmiar informacji zachowajcie dla siebie – powiedział, narzucając na głowę kaptur i z powrotem ostrożnie sadzając sobie na ramieniu sowę. – Jako się rzekło, zastanowię się.

– Ależ informacje godzi się wymieniać – powiedział Grandini. – My też posiadamy niektóre... znacznej zapewne wagi, choć trudno to jeszcze w tej chwili ocenić. Wiemy na przykład, że czarodziejka Mitria jest księżniczką Mear. I do tego zdaje się wiemy, gdzie ona obecnie przebywa.

Jardal, który już zmierzał do wyjścia, obrócił się w drzwiach.

– Wiedza może być niebezpieczna. Pamiętajcie o tym, panie Grandini – powiedział i wyszedł.

– Połknął haczyk – stwierdził agent, zabierając się za masakrowanie nożem resztki łososia.

*

Witrażowe okna powoli osnuwał zmierzch. Ostatnie promienie zachodzącego słońca wydobywały ostre obrysy przedmiotów, kładąc za nimi długie cienie. Dwa fotele stojące przed wygasłym kominkiem powoli ogarniał mrok. Na jednym z nich siedział mężczyzna w szarym płaszczu, na drugim oddychała szybko i płytko mała sowa płomykówka. Po chwili miejsce, na którym siedziała, wciągnął w siebie powietrzny wir, zamazując kontury, barwy, kształty, wciskając oddech do gardła. I oto naprzeciwko siedziała już drobna rudowłosa kobieta, skulona i drżąca.

Chciał coś powiedzieć. Chciał przygarnąć ją do siebie. Zamknąć w ramionach.

– Nie dotykaj. – Odsunęła jego dłoń.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, skurczonej grymasem. Potem dłonie czarodziejki rozprostowały się i ułożyły na poręczach fotela. Z westchnieniem ulgi opadła na oparcie.

Przygryzł wargi i zapatrzył się w okno, w gasnące nad miastem światło dnia.

– Mamy dla siebie tylko dwie godziny na dobę – powiedział cicho. – Dwie Godziny Zmieszania Świateł. A poza tym mówimy do siebie, czujemy swoją obecność, a i tak...

Nie dokończył. Znalazła się przy nim. Blisko.

Obraz pod powiekami. Ta koszula. Mokra, oblepiająca piersi, zakończone małymi, spiczastymi sutkami. Zwalczył pokusę, żeby zanurzyć się w zapomnieniu. Zbyt wiele mieli do omówienia.

– Co sądzisz... – zapytał i roześmiał się, bo ona w tej samej chwili zadała identyczne pytanie.

– Grandini wiedział, że tu jesteś – powiedział, poważniejąc.

– Bo nie jest głupi. Sama podałam temu młodemu swoje imię. Połączył fakty.

– Myślisz, że mogą mieć jakiś rzeczywisty wpływ na Kapitułę? Teoretycznie to niemożliwe. Wszyscy składamy Przysięgę.

– I różnie ją interpretujemy. – Mitria odgarnęła z czoła rude włosy. – Myślę, że Grandini kłamie albo w najlepszym razie przecenia możliwości swoich mocodawców.

– A nawet gdyby mówił prawdę... – zaczął Jardal.

– ...to wpływ na niektórych członków Kapituły nie oznacza jeszcze wpływu na Evelyn von Stein. A Mistrzynie Glinianej Pieczęci nie ustąpi. Nasza droga Evelyn ma osobowość tarana bojowego.

Czarodziej parsknął krótkim śmiechem, ale zaraz potem jego oczy zwęziły się nienawistnie. Nie potrzebowali mówić o tym więcej. Pozwolili sobie na krótką chwilę pełnych znaczenia przemilczeń.

– Problem z propozycją Grandiniego polega na tym, że on sam nie wie, o co właściwie prosi – przerwał ciszę Jardal. – Żąda ode mnie zabicia Księcia albo przynajmniej pomocy w unieszkodliwieniu chroniącej go magii. I najwyraźniej nasz szpieg nie wie o tym, że dla nas jego oferta ma wielce dwuznaczny sens. Kusi powrotem do łask Kapituły, wymagając naruszenia jej praw.

Mitira potarła czoło.

– *Zaiste, nikt nie wie, co zapisane jest w Głębinach Czasu i jaki obrót przybrać ma...*

– *...Koło Dziejów. I nie w naszej zaiste mocy popychać naprzód jego bieg* – dokończył za nią formułę Przysięgi magów. – Właśnie. Grandini nie wie, że nie wolno nam, czarodziejom, robić czegokolwiek, co zmieniłoby bieg historii politycznej. A udział w zamachu na Księcia byłby właśnie czymś takim. Nawet jeśli złamaliśmy jeden zakaz, nie oznacza to przecież, że lekceważymy wszystkie.

– Ale z drugiej strony, jeśli ktoś w Zamku używa magii, to...

– ...łamię w ten sposób Przysięgę i należałoby to zbadać. Tak. Paradoks.

Zamyślili się na chwilę, zasłuchani w swoje odrębne wewnętrzne monologi, aż w końcu Jardal odezwał się ostrożnie:

– Wiem, że ty też pamiętasz Torego Harberga.

– Wierz mi, próbowałam zapomnieć. Nie dało się. – Twarz Mitrii ściągnęła się, a oczy poszukały horyzontu za oknem, jakby próbując odegnać niechciany widok.

– Również dlatego?... – zapytał.

– Tak, dlatego. Nigdy więcej wyroków śmierci.

Wsparała głowę na jego ramieniu. Jej bosa stopy nie dotykały podłogi i siedząc tak, zwinięta w kłębek przy jego boku, drobna, sprawiała wrażenie prawie dziecka. Dłoń Jardala wplątała się w jej włosy, pachnące tatarakiem, a może wspomnieniem mokrych sowych piór. Patrzyli w okno. W promieniach zachodzącego słońca wirowały drobiny kurzu. Światło padało na stół, na którym piętrzyły się książki, pióra i karty pergaminu. Mitria uśmiechnęła się blado, patrząc na dwa miejsca do pracy, wykopane w tym stosie po obu stronach stołu. Po jednej stronie piętrzył się stos ksiąg i całkiem spory zapisanych kart – to był już prawie ukończony traktat Jardala. Pióro, już niemal zupełnie stępione, leżało rzucone w poprzek zapisanej zamaszystym pismem stronicy. Naprzeciwko widać było jej miejsce pracy, na którym również panował bałagan, choć stos zgromadzonych książek był trochę niższy. Swoje zapisane pergaminy wolała

zwijać w rulony, których pełno walało się teraz na stole. Piór było więcej – gromadziła je prawie obsesyjnie i równie natrętnie ostrzyła. Nożyk do przycinania leżał tuż obok karty. W srebrnym lichtarzu tkwiła świeca. Jardal nie potrzebował dodatkowego światła. Pracował w dzień.

Mitria popatrzyła za okno, po czym zwróciła wzrok na czarodzieja.

– Mamy mało czasu – powiedziała cicho. – Co postanowimy? Chcesz podjąć współpracę z Bractwem?

– Na naszych warunkach. – Podniósł głowę. – Zamachem niech się zajmą sami, choć to, co Grandini opowiedział o początkach rządów Księcia, sprawia, że patrzę na ich poczynania bez obrzydzenia.

Czarodziejka skinęła głową. Zsunęła się z fotela i jednym ruchem szczupłej dłoni wygładziła sukienkę. Stąpając bosymi stopami po drewnianej podłodze, podeszła do stojącej w rogu szafy, wyjęła z niej gąsiorek wina i dwa pucharki. Nalała. Obserwował ją ze swojego miejsca. Myślał o tym, że kiedy zamknie oczy, będzie trwała pod jego powiekami. Krucha i silna.

Podowała mu puchar i sama upiła głęboki łyk.

– To nie jest czysta sprawa – powiedziała, potrząsając głową. – Nie ma żadnej gwarancji, że tamci będą lepsi. Że nie będą mścić się krwawo na zwyciężonych, dokonywać egzekucji tych, którzy kiedyś przyczynili się do ich wygnania. Zasada Kapituły o niepopychaniu naprzód Koła Dziejów nie jest w gruncie rzeczy taka głupia.

– Zapewne – odpowiedział. – Ale tym ludziom odebrano wszystko. Czy zawsze mądrze jest stać z boku i bać się decyzji, bo każda obciążona jest ryzykiem? A poza tym – chwycił jej dłoń – jestem gotów na wiele. Dla nas. Pluję na Kapitułę, ale niech ktoś wreszcie, do wszystkich demonów, zdejmie tę pieprzoną klątwę. Bo jak długo można tak żyć.

– Prawie trzy lata – powiedziała rzeczowym tonem. – Chyba można, bo żyjemy. Blisko rok tułania się po pustkowiach, nocowania w wieśniaczych chatkach, w ruinach zamków i po gospodach rojących się od pcheł. A potem dwa lata w Castelburgu. Bo wymyśliliśmy sobie, że w dużym mieście, w którym od niedawna rządzi paskudny tyran, nikt nie będzie nas szukał. Nie musimy z nikim rozmawiać i nikt nie musi rozmawiać z nami, a księgi możemy sprowadzać przez zaufanych kupców.

– I do tej pory pomysł się sprawdził. Wyjąwszy małą niedogodność. Nie mogę cię dotykać, jakbym chciał. Ani z tobą porozmawiać.

Wyjęła z jego dłoni pucharek i odstawiła na podłogę.

Trwało milczenie, pełne ich dwojga. Puste od niewypowiedzianych klątw.

Okna zaciągnęły się zmierzchem.

Przestrzenią zawładnął powietrzny wir. Mitria spojrzała wprost w szarzielone oczy ogromnego burego kota. Zamknęła powieki, żeby odpędzić szturmujące świadomość obrazy tego, co było. Co zdarzyło się zwyczajnie, bez planu, bez należytego namysłu, jakby ich dwoje nie miało żadnego wpływu na swoje małe, prywatne Koło Dziejów.

Czas tego, co było

Mewy kołowały ze skwirem nad wzniesionymi z szarego kamienia wieżami i murami Emain Avallach. Słońce lśniło w załamaniach morskich fal, wydobywało fakturę skały, rzeźbiąc ją ostrymi kontrastami. Emain zwano też Wyspą, choć tak naprawdę nią nie było – warownia tkwiła na najbardziej wysuniętym w morze, rozszerzonym końcu wąskiego półwyspu, a część łącząca siedzibę magów ze stałym lądem była tak wąska, że sprawiała wrażenie sztucznie usypanej grobli. Podróżowały po niej wyładowane wozy, wożące żywność i inne towary z położonych na lądzie wiosek, pełniących wobec zamku magów rolę czegoś w rodzaju podgrodzia, choć stosunek czarodziejów z Emain i mieszkańców nadbrzeżnych osad opierał się na handlu, nie lennej zależności.

Jardal wjechał konno na ogromny, wyłożony kamieniem dziedziniec. Minął otwarte skrzydła bramy. Rozejrzał się. Wszędzie było pusto i cicho, upał najwyraźniej wygnał wszystkich w bardziej zacienione miejsca. Tylko pod jedną ścianą zauważył kuchennych pacholków, wytaczających z piwnicy jakieś beczki. Z drugiej strony, pod arkadami zwieszającego się nisko krużganka, wysypał się nagle z drzwi mały tłumek rozchichotanych adeptek i szybko zniknął w innym wejściu. Zachodnie skrzydło zamku wraz z wieżą rzucało na kamienie dziedzińca ostry cień. Z pootwieranych okien dobiegały odległe głosy. Czarodziej zeskoczył z konia i odprowadził go do stajni. Do dźwięku podków na kamieniach dziedzińca dołączył stukot jego podkutych butów. Nie mając pewności, czy chłopiec stajenny, który powinien zająć się wierzchowcem, zjawi się w jakimś rozsądnym czasie, sam zdjął siodło i uprząż, nasypał obroku do worka i nalał z cebra wody do poidła.

Dopełniwszy obowiązku względem konia, przemierzył dziedziniec i podążył w górę krętymi schodami. Przeszedł przez kilka korytarzy, kierując się do pomieszczeń zwanych *disciplinae*, w których adepci słuchali wykładów mistrzów i odbywali dysputy. Skierował się do ostatniej, niewielkiej sali, położonej tuż obok wieży, która rzucała swój masywny cień na okna, pogrążając całą komnatę w mroku i chłodzie.

Drzwi były otwarte. Zatrzymał się w progu. Stała tyłem do niego. Rude włosy spływały jej po plecach, a ich barwa odcinała się od koloru płaszcza – już nie białego, jak u adeptki, lecz brunatnego, barwy torfowej ziemi. Był to kolor przynależny pełnoprawnej czarodziejce, w który oblekła się kilka lat wcześniej, podczas ceremonii Zaprzysiężenia. Sam Jardal nosił szary płaszcz mistrza Kapituły, będący codzienną wersją używanego podczas rytuałów i uroczystości

srebrnego. Przysługiwał on nielicznym, podczas gdy wszyscy zaprzysiężeni magowie, członkowie Kręgu, podczas ceremonii nosili błękitne, na co dzień zastępując je brunatnymi, brązowymi bądź czarnymi, z nielicznymi wyjątkami innych kolorystycznych ekstrawagancji, które zdarzały się coraz częściej również u statecznych członków Kapituły.

Zatrzymał się w progu. Przez chwilę po prostu stał i obserwował ją. Nie zareagowała na dźwięk jego kroków, pewnie tak skupiła się na tym, co robiła, że odgłosy z zewnątrz przestały do niej docierać. Początkowo chciał odezwać się, zastukać, chrząknąć znacząco czy w jakikolwiek sposób ujawnić swoją obecność, jednak widok zafascynował go, więc tkwił nieruchomo, przypatrując się. Mitria z pasją upychała książki na półkach, wprawiając je za pomocą prostego zaklęcia w wirowy ruch, po czym wyciągała inne i wkładała z powrotem, z trudem operując w powietrzu kilkunastoma opasłymi woluminami naraz. Najwyraźniej szukała czegoś konkretnego, bo od czasu do czasu robiła w powietrzu notatkę złożoną z kilku świetlistych run. Po jakimś czasie jej zapiski, połączone płataniną linii i strzałek, ułożyły się w przestrzenną mapę pojęciową, możliwą do odczytania tylko dla twórczyni. Przy każdym słowie widniały nabazgrane niedbale tytuły ksiąg, tworzące trójwymiarowy zapis bibliograficzny. Czarodziejka lekkimi ruchami nadgarstka dorzucała kolejne tytuły do ogólnej puli erudycyjnego chaosu. Od czasu do czasu wielkie foliały, niedostatecznie podtrzymane ręką bądź zaklęciem, poddawały się prawu grawitacji i spadały na podłogę bądź na głowę czarodziejki, która podrywała je z powrotem w górę, wygłaszając przy tym malownicze przekleństwa w kilku starożytnych językach. Stojący w drzwiach Jardal zachichotał. Nawet nie wiedział, że zna takie słowa. Mitria zawadziła o stół, który poczęstowała za to solidnym kopniakiem. Czarodziej uznał, że pora ujawnić swoją obecność. Odchrząknął.

– Można? – zapytał, wchodząc. Odwróciła się gwałtownie, odgarnęła dłonią opadające na twarz włosy. Zmieszała się. Zawieszona w powietrzu foliały chygotały przez moment na miejscu, po czym z wdziękiem cegłówek i głośnym hukiem zwały się na podłogę. Mitria jednym ruchem nadgarstka zwinęła przestrzenną notatkę i przeniosła ją na wielki arkusz, który w jednej chwili pokryły czarne znaki. Zrolowała go ciasno.

– Nie ma obaw, bez tłumacza i tak nic z tego nie zrozumieć – mruknął czarodziej.

– To nie... – zaczęła, a potem spojrzała na niego i machnęła ręką. – Przyjechałeś! – powiedziała.

– Przyjechałem. – Uśmiechnął się kącikami ust. Zobaczył, jak na moment rozpromieniła się, a potem przygasła, nakładając na radość maskę powściągliwości.

Ruszyła w jego stronę i zatrzymała się po dwóch krokach. Zrobiło się jakoś niezręcznie. Gdyby to był stary Aurelianus z Xanty, po prostu by go uściskała. W stosunku do Jardala jakoś nie miała na to odwagi. A raczej coś jej mówiło, że nie powinna tego robić.

– Zdaje się, że moje nadejście spowodowało pewien niewielki bałagan – powiedział, przerywając ciszę. Rozejrzał się po podłodze, zaścielonej leżącymi w nieładzie księgami. – Czy mogę pomóc?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Były poukładane działami. Najwyżej magia naturalna, potem kosmologia i filozofia przyrody, a na samym dole rytualistyka i mitoznawstwo porównawcze.

Razem wyciągnęli dłonie. Jardal wymruczał cichą inkantację, zastanawiając się w duchu, czemu ta metoda porządkowania ksiązek nie przyszła mu jak dotąd do głowy. Woluminy uniosły się, kłapiąc w powietrzu okładkami jak duże, ciężkie ptaki. Nie obeszło się bez zderzeń, pomyłek, poszukiwania wolnych przestrzeni na półkach i chichotów z powodu kolizji opasłych dzieł, upartych w podążaniu na swoje miejsca. Żadne nie chciało ustąpić drugiemu. W końcu jednak cały podręczny księgozbiór zasiadł na półkach, tworząc jaki taki ład.

– Szukałaś czegoś konkretnego? – zapytał Jardal, odgarniając włosy z czoła i ocierając pot.

– To duży projekt. – Uśmiechnęła się, zaciskając usta. – Jeszcze nie czas, żeby o nim mówić.

– Skoro tak, nie będę pytał. Widziałem po drodze adeptki – zauważył, zmieniając temat. – Prowadziłaś dziś dysputę? Jak je oceniasz?

Wzruszyła ramionami i wykonała dłonią dwuznaczny gest.

– Jedna czy dwie mają prawdziwy talent i żywą inteligencję. Pozostałym wciąż magia myli się z robieniem tego, na co mają ochotę. Trudno im zrozumieć, że opanowanie umiejętności sterowania przepływem energii i informacji w świecie składającym się z atomów wymaga wiedzy i długiej praktyki.

Skończywszy porządkowanie ksiąg, zeszli po schodach na dziedziniec, rozmawiając o teorii skończoności świata Aurelianus z Xanty i po trochu narzekając na adeptów oraz pogarszający się z każdym rokiem poziom nauczania magii. Mitria mimochodem opowiedziała Jardalowi o pewnych szczegółach projektu, nad którym pracowała. Udowodnienie teorii Aurelianus z Xanty i obalenie twierdzeń Petrosa z Fundamentalis wymagało nie tylko spędzania długich godzin w słynnej ogromnej Bibliotece Emain, ale i zimnych nocy na szczycie wieży, z teleskopem i mapami gwiazd.

– Też planuję popracować nad czymś dużym – stwierdził. – Jakiś czas temu odwiedziłem słynną bibliotekę w Efessie. Jakoś udało mi się nakłonić tamtejszych bibliotekarzy, żeby wpuścili mnie do środka i zezwolili na swobodny

dostęp do wszystkich księgozbiorów. Przekopując się przez sterty zetlałych, zakurzonych i nadgryzionych przez myszy papirusowych zwojów, natknąłem się na starożytny manuskrypt zawierający opis rytuałów, przez które przechodzili wtajemniczeni podczas misterii w Evannes. Jeśli to nie jest tylko poetyckie zmyślenie, a ja się nie mylę, to... znajdują się tam wskazówki, jak odnaleźć wejście do groty Arkh.

Mitria zatrzymała się na samym środku pustego, pulsującego od gorąca dziedzińca.

– Mówisz poważnie? – zapytała.

Potwierdził.

– To miejsce według legend było punktem zetknięcia się światów! Jeśli rzeczywiście istnieje, jest to odkrycie na miarę...

Zamilkła. Jardal spuścił głowę, żeby ukryć uśmiech satysfakcji. Z nikim nie rozmawiało mu się tak, jak z Mitrią. Z nikim innym tak dobrze się nie milczało i nie zawierało całej długiej rozmowy w dwóch krótkich zdaniach.

Znów szli ramię w ramię przez pusty, rozprażony dziedziniec. Powietrze wibrowało lekko, tworząc niewidzialne tęcze ponad szarymi kamiennymi płytami.

– Dlaczego przyjechałeś? – zapytała.

– Evelyn mnie wezwała. Ponoć Kapituła ma jakąś ważną sprawę do rozpatrzenia. Dziś wieczorem ma się odbyć Wielka Rada.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nic nam jeszcze nie mówiono. Jeśli mają się stawić nie tylko członkowie Kapituły, ale cały Krąg, trochę to dziwne...

– Nieważne. – Ziewnął. – W słusznym czasie się dowiemy. Pomysły Evelyn zaczynają mnie nużyć. A poza tym trochę tu gorąco. Co byś powiedziała na odwiedzinach u Torego Harberga w Bibliotece? Rzadko teraz bywam w Emain, więc chciałbym wykorzystać okazję i poszukać paru książek.

Skierowali się na przeciwległy kraniec dziedzińca.

– Podróżowałaś ostatnio? – zapytała Mitria. – Długo cię nie było.

– Bo mi się nie chciało tu przyjeżdżać i oglądać nadętych min wielkich magów z Kapituły – odpowiedział. – Tak naprawdę mieszkam całkiem niedaleko stąd, w małej wiosce Itar, trochę oddalonej od wybrzeża. Z dziewczyną.

Nie wiedział, dlaczego właściwie to powiedział. I czemu nie dodał, że ta dziewczyna nie znaczy dla niego wiele. Że jej krzątania i świeże, młode ciało tworzy tylko małą, maleńką namiastkę domu. Wypełnia pustkę, jaką odczuwa każdy wędrowiec pozbawiony korzeni i celu podróży.

Mitrię coś jakby lekko ogłuszyło. Jardal przełamał tabu. Czego nie wolno mieć, o tym się nie mówi. Nie wiedziała, czemu nagle zrobiło jej się dziwnie, choć wewnątrz bardzo próbowała przekonać samą siebie, że się cieszy. A do tego autentycznie ucieszyła ją jego szczerość, więc wrażenie było dość poplątane. I nie miała pojęcia, co właściwie powinna powiedzieć. Magiczny protokół dyplomatyczny nie przewidywał takich sytuacji.

– Dobrze ci? – zapytała w końcu.

– Tak. Tak myślę. Chyba.

I to było wszystko. Wspólne układanie rozsypanych książek, rozmowa, szczerość. Ale później Mitria wielokrotnie zastanawiała się, jak wyglądałaby najbliższa noc, gdyby nie było tamtej porannej rozmowy. Czy i wówczas zdarzyłby się cud. I jak oboje zdołaliby przetrwać wieczór, gdyby nie trwał w nich jeszcze, niczym zapach słońca na skórze, niczym iskry magii w opuszkach palców, poranek.

Po upale panującym na dziedzińcu z przyjemnością zagłębili się w chłód kamiennych murów i wspięli po wysokich, krętych schodach. Mitria szła przodem, a ponieważ zdjęła płaszcz i została tylko w prostej sukience bez rękawów, pod którą rysowały się jej szczupłe plecy i linia bioder, idący za nią Jardal wbił wzrok w wyślizgane stopnie i starał się usilnie myśleć o czymś innym. Sukienka miała barwę pochmurnego nieba odbitego na powierzchni strumienia. Czarodziej uświadomił sobie, że Mitria nigdy nie nosiła biżuterii, tarrenckich jedwabii, obfitych rękawów i koronek z południowych Wolnych Miast. Jej suknie były zawsze ascetycznie proste, przylegające do bioder, z dekoltami w karo bądź w kształcie poprzecznego rozcięcia. Jeśli miały rękawy, to wyłącznie bardzo wąskie i długie, zakrywające dłonie niemal do połowy. Ciekawe dlaczego. Inne czarodziejki lubowały się w obszernych sukniach z bufiastymi rękawami, zgodnie z modą panującą na Południu. Mitria w swoich ascetycznych ubiorach musiała rzucać się w oczy. Mimo to sprawiała wrażenie, że ta kwestia jest jej całkowicie obojętna.

Minęli otwarte skryptorium, gdzie dwaj starsi czarodzieje notowali coś z mozołem, i dotarli do ciężkich drzwi Biblioteki, obitych metalem kutym w zawile nordyjskie wzory. Wrota uchylły się pod dotknięciem, skrzypiąc. Wewnątrz panował miły chłód, a w powietrzu unosił się zapach pergaminu i skóry, fascynująca woń starych książek.

Jardal westchnął, widząc ogrom wypełnionej księgami przestrzeni. Odwiedzał Bibliotekę wielokrotnie, ale za każdym razem jej przytłaczający majestat zapierał mu dech w piersiach. Wysoko sklepiony sufit zdobiły poblądłe i przydymione freski, przedstawiające poszczególne sceny z Opowieści o Wyłonieniu Świata, otoczone wyobrażeniami przełomowych momentów w dziejach królów, magów

i herosów. Boczne żagielki sufitu wypełniały postacie mitycznych bestii. Ze strzelistych okien padały ukośne, ostre promienie światła, w którym wirowały drobinki kurzu.

Ogromną główną salę zajmowało kilkanaście rzędów ciężkich, wysokich, rzeźbionych regałów z ciemnego drewna, wypełnionych księgami do ostatniego miejsca. Gdzieś opierały się o nie wysokie drabiny, sięgające aż do sufitu.

Tuż przy drzwiach był mały stolik, zastawiony introligatorskimi przyborami. Właściwie był to stół normalnej wielkości, lecz stojąc u wejścia do Biblioteki i mając za sobą cały jej wstrząsający ogrom, wydawał się maleńki. Pod prasą leżała świeżo oprawiona książka, a wokół walały się skrawki pergaminu i skóry, nożyki, słoiczki z klejem, buteleczki z ochrą, cynobrem i karminem, płatki złota, rysiki, pędzelki i pozostałe utensylia iluminatora. Jarzał i Mitria stali przez chwilę, wchłaniając w siebie atmosferę Biblioteki, powietrze pełne kurzu, zapachu pergaminu, kleju, starej skóry. Po chwili z prawej strony, spomiędzy regałów dobiegł ich cichutki chrobot, jakby myszy czy innego małego stworzonka.

– Tore?... – zawołał czarodziej. Dźwięk zmienił się w szuranie drewnianych chodaków po kamiennej podłodze i zza regału wyłoniła się, mrugając opuchniętymi powiekami, niewysoka postać w wytartym brunatnym płaszczu. Na ich widok przywołała na usta szeroki uśmiech.

Tore Harberg nie był bibliotekarzem, on był Biblioteką. Słynny księgozbiór magów z Emain Avallach nie ograniczał się do tej jednej, ogromnej sali, ale sięgał kilka pięter wzwyż, a niektórzy wręcz żartowali, że nie kończy się wcale, a jedynie płynnie przechodzi do innych wymiarów rzeczywistości. Po drabinach można było wspinać się na kolejne poziomy, otwierając niewidoczne z podłogi kłapy w suficie, umiejętnie zamaskowane freskami i zaklęciami. Chodziły słuchy, że wewnętrzna przestrzeń Biblioteki została kiedyś magicznie rozszerzona i sale są większe niż widoczna, ograniczająca je rama budynku. Nikt jednak nie wiedział, czy to prawda, czy tylko pogłoska rozsiewana przez kolejnych Bibliotekarzy.

Każdy mag miał prawo samodzielnie poruszać się po Bibliotece, ale wygodniej – i bezpieczniej – było poprosić o pomoc Torego. Ten wiecznie przygarbiony człowieczek o zaczerwienionych, nieustannie łzawiących oczach i przestraszonym wyrazie twarzy recytował z pamięci tytuły, autorów, daty, działy tematyczne, często również całe stronice. Był żywym katalogiem, traktowanym przez konfratrów jako część Biblioteki, której niemal nie opuszczał, zrosnięty z nią niewytłumaczalną pępownią obłądnego przywiązania. Służył pomocą na każde zawołanie. Jeśli któryś z magów poszukiwał ksiąg na określony temat, odpowiedzi na jakieś pytanie bądź rozwiązania jakiegoś problemu, szedł

do Torego. Bibliotekarz mrugał zaczerwienionymi oczami, po czym prowadził interesanta w głąb długiego labiryntu regałów, a czasem wzwyż, na następne poziomy. Potem zostawiał go na godzinę lub dłużej samego przed wybranym działem. Trzeba było mocnych nerwów, żeby to wytrzymać. Tore przy swojej fenomenalnej pamięci sprawiał bowiem wrażenie roztargnionego i nie było czytelnika, któremu nie przyszłoby do głowy, że stary mag zapomni o nim i że po upływie wyznaczonego czasu przyjdzie mu zmierzyć się sam na sam z groźnym uniwersum Biblioteki, a może nie odnaleźć drogi powrotnej i błąkać się długie godziny, samotnie i w przerażeniu. Okna na wyższych poziomach były mniejsze i dostarczały niewiele światła, a w głębi, pomiędzy regałami, zalegał mrok, straszny dla tych, którym wypaliła się świeca i nie starczyło sił na oświetlające zakłęcie. Przerazająca była perspektywa pozostania na zawsze w mrocznych głębiach, wśród ksiąg wypełnionych znakami tajemnych zaklęć i wymarłych, zapomnianych języków. Dla tego świata nie istniała mapa.

Mitria i Jardal wiele razy odwiedzali Bibliotekę. Między nimi a Torem Harbergiem nawiązało się coś w rodzaju przyjaźni, a przynajmniej paktu o nieagresji. Był dla nich nie tylko milczącym przewodnikiem, ale również wyszukiwał trudno dostępne książki i z uśmiechem uszczęśliwionego dziecka przynosił je do skryptorium. Oni w zamian czasem dotrzymywali mu towarzystwa w Bibliotece, gawędząc i wysłuchując jego niekończących się opowieści. Tore był zapalonym historykiem, zafascynowanym przede wszystkim heroicznym okresem dziejów. W jego przepastnej pamięci istniały całe imperia, powstawały i upadały cywilizacje, a pośrodku tego pozornego chaosu świecili jak pojedyncze światła ludzie wybitni, którym Bibliotekarz przyznawał najbardziej znaczącą rolę w kształtowaniu form kultury, od rolnictwa poprzez architekturę, medycynę, astronomię i różnorakie technologie, aż do nowoczesnych modeli sprawowania władzy. Kto tylko zechciał słuchać Bibliotekarza, mógł bez żadnego wysiłku poznać całą historię powszechną, i to zaczynając od Opowieści o Wyłonieniu Świata. Tore naiwnie wierzył w rolę wybitnych jednostek, uwielbiał bohaterów i nie znosił wędzideł nakładanych cywilizacji przez jakiegokolwiek hamujące jej rozwój idee. Nie cierpiał kultów religijnych, które tworzyły zorganizowane grupy wiernych, uwielbiał natomiast religie misteryjne, dostępne wyłącznie dla wtajemniczonych. Wspominał z sentymentem czasy sprzed ustanowienia Kapituły i zapisania formuły Przysięgi, kiedy to – jak wieść głosiła – magowie bywali władcami, a władcy mędrkami.

Poza snuciem opowieści o dziejach Tore rzadko się odzywał, tak jakby nie lubił marnować słów. Za przyjaciół uznawał tylko tych, którzy akceptowali jego język gestów, uśmiechów, wzruszeń ramionami i znaczących spojrzeń. Potrzeby miał niewielkie, chodził w staroświeckiej, znoszonej, poplamionej inkaustem

i postrzępionej na rękawach szacie i wielokrotnie reperowanych chodakach. Wszystkie posiadane środki przeznaczał na zakup pergaminów, farb do malowania miniatur i innych piśmienniczych przyborów.

Na widok Jardala i Mitrii rozłożył ramiona i rozpromienił się w bezzębnym uśmiechu. Zmarszczki w kącikach jego wiecznie załamanych oczu zbiegły się w pajęczynki.

– Witaj, Tore. – Mag pozdrowił Bibliotekarza skinieniem głowy. – Potrzebuję czegoś na temat misterii w Evannes i groty Arkh.

Bibliotekarz uśmiechnął się szeroko, podniósł w górę palec i wskazał wzrokiem na sufit. Oznaczało to, że czarodzieja czeka żmudna wędrówka w górę, na wyższe piętro, w stronę rzadziej odwiedzanych działów, a być może jeszcze wyżej – w rejony tajemnicze, zapomniane bądź zakazane.

– A ja pójdę tam, gdzie byłam ostatnio – powiedziała Mitria. – Potrzebuję czegoś na temat nordyjskich wierzeń kosmogonicznych.

Tore wzruszył ramionami z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Sugerujesz, że wyżej znajdę coś bardziej interesującego? – zapytała czarodziejka.

Kolejne wzruszenie ramion i nieokreślony uśmiech.

– No dobrze – westchnęła. – Zaryzykuję. Pójdę tam, gdzie mnie zaprowadzisz. Choć do wieczora nie zostało nam tak wiele czasu...

Gdyby później pamiętała, że wypowiedziała te słowa, zyskałaby świadomość ich podwójności. „Niewiele czasu do wieczora” okazało się wiecznością, zamrożoną chwilą, ostatnim momentem mijającej epoki. Ale tego Mitria jeszcze wówczas nie wiedziała. Patrzyła z rozbawieniem na małą minę i radosne, bezzębne uśmiechy Torego, na pokraczny taniec jego przykurzonego, niezgrabnego ciała, który był jak taniec pszczoły przy wejściu do ogromnego ula Biblioteki – każdy jego gest, każdy ruch miał znaczenie.

I weszli w głąb, żeby badać, zbierać i gromadzić. Nie wiedząc, że po raz ostatni.

*

Prawie się spóźniła. Zasiadła się w Bibliotece, przy jednym z małych pulpitów wciśniętych pomiędzy regały. Całkowicie pochłonęło ją robienie notatek ze sfatygowanego egzemplarza *Wieszczby Wólwy*, który Tore wygrzebał dla niej z jakiegoś zasnutego pajęczynami zakątka. Ocknęła się dopiero na dźwięk dzwonów, wzywających do stawienia się w Kręgu. Na pergamin padła ukośna smuga światła i do Mitrii dotarło, że słońce jest już bardzo nisko nad horyzontem.

Zdążyła tylko pobiec do swojej komnaty, obmyć szybko twarz i ręce, narzucić na ramiona ceremonialny błękitny płaszcz. Szła przez dziedziniec, podbiegając co chwilę, żeby dogonić ostatnich, którzy zmierzali w stronę Wieży Wschodniej i Zachodniej Gwiazdy, gdzie mieściła się sala Kapituły. Zdawała sobie sprawę, że takie zachowanie nie licuje z powagą członkini Kręgu. Miała tylko nadzieję, że nie śledzą jej z okien oczy rozchichotanych adeptek.

Zdążyła. Wspinając się po schodach, chwyciła strzępki rozmów. Magowie nie schodzili się w powadze i milczeniu. Słysząc było szepty, śmiechy, wymieniane półgłosem ploteczki.

– ...tym razem pewnie nic wielkiego się nie stało – stwierdził pewnym siebie tonem wysoki mag ze szmaragdową zapinką w kształcie węża, symbolem zawodu lekarza.

– To czemu nas wzywają? – zapytała zmartwionym tonem Lavinia Tiddeo, starsza czarodziejka opiekująca się ziołowym ogrodem. – Wiesz przecież, że Kapituła nieczęsto interweniuje czy wydaje wyroki, a w błahe spory nie ma zwyczaju wdawać się w ogóle.

– Och, to pewnie jakaś nowa uchwała czy inne nudziarstwo. – Lekarz ziewnął. – Evelyn za bardzo bierze sobie do serca kwestię zarządzania Emain. Tak jakby nie pamiętała, że jest tylko pierwszą pośród równych...

– ...w ogóle cały ten ceremoniał...

– ...moglibyśmy sobie podarować – mruknął ktoś za plecami Mitrii.

Ktoś inny syknął.

– Cicho, bo jeszcze usłyszysz Odo Trevelius – zachichotał jakiś młodszy mag. – I oberwie nam się za „liberalne tendencje”.

– Och, to nie do końca tak, tradycje są potrzebne... – Ten z zapinką w kształcie węża przybrał uczony ton i zamierzał rozwinąć wywód, ale Mitria już nie słuchała. Przepchnęła się do przodu i weszła do sali. Ceremoniał, zazwyczaj nie do zniesienia nudny, dziś – nie wiedzieć czemu – szczególnie ją uwierał. Czuła się, jakby w środku eleganckiego przyjęcia właśnie odkryła, że ma kamień w bucie i nie pozostaje jej nic, jak tylko stąpać ostrożnie, uśmiechać się sztucznie i maskować grymasy bólu.

Odkąd – jeszcze pod imieniem Mear – przestąpiła bramy Emain Avallach, zaczęła uczyć się reguł tego zupełnie nieznanego jej świata. Oficjalne zasady szybko jej wyłożono, a te nieoficjalne poznała z rozmów z bardziej doświadczonymi adeptkami, prowadzonych we wspólnym dormitorium. Dowiedziała się, że każdy, kto opanował magię i przeszedł rytuał Zaprzysiężenia, stawał się tym samym członkiem Kręgu, co nadawało mu pewien status, ale również prawo do ograniczonej jedynie Przysięgą wolności i samodzielności. Tak naprawdę tylko nieliczni zamieszkiwali w Emain Avallach, większość magów

wędrowała po świecie lub osiadała we własnych posiadłościach, oddając się sobie tylko wiadomym badaniom. Niektórzy stawali się uzdrowicielami, astronomami, podróżnikami opisującymi nieznaną ląd, badaczami zaginionych kultur bądź konstruktorami przeróżnych urządzeń. Rola Kręgu nie była do końca określona, tym bardziej, że we wszystkich ważniejszych sprawach musiał się on bezwzględnie podporządkowywać decyzjom Kapituły, która ferowała wyroki i stanowiła prawa, trwając od niepamiętnych czasów i rzadko wybierając nowych członków. W niej zaś decydujący głos posiadał Mistrz – lub w tym wypadku Mistrzynie – Glinianej Pieczęci, starożytnego artefaktu, za pomocą którego zatwierdzano najbardziej wiążące magiczne kontrakty. Nikt nie pamiętał już, kiedy ani przez kogo Kapituła została ustanowiona. Źródło jej autorytetu ginęło w pomroce dziejów, ale nigdy go nie kwestionowano. Wydawał się trwały i odwieczny jak masywne mury Emain Avallach.

Przypomniawszy sobie trudny i radosny jednocześnie moment własnego Zaprzysiężenia, czarodziejka rozejrzała się dookoła. Atmosfera wydawała się sztuczna do obrzydliwości. Już prawie wszyscy zeszli się do okrągłej, białej marmurowej sali, otoczonej rzędem czarnych kolumn zwieńczonych kapitelami rzeźbionymi w ślimacznice. Wznosząc wzrok w górę, można było podziwiać konstrukcję złotej kopuły. Kontrast surowej czerni i bieli marmurów narzucał się myślom, sugerując czytelne podziały i odgórnie strzeżony porządek. Pokrywająca posadzkę mozaika z drobnych czarnych i białych kamieni wyobrażała wzburzone morskie fale. Kiedyś Leta Therrus, wiekowa i ciesząca się autorytetem czarodziejka, wyjaśniła Mitrii symbolikę tego układu. Z chaosu pierwotnych wód wyłania się ład strzeżony przez odwieczne prawa Emain Avallach. Jeśli nie będziemy ich przestrzegać, osuniemy się z powrotem w odmętę chaosu. Sala sugerowała jednak również hierarchię. Po przeciwnej stronie prowadzących do niej złożonych drzwi znajdowało się półkoliste podwyższenie, na którym stali – bądź zasiadali – członkowie Kapituły.

Echo szeptów odbijało się od marmurowych ścian. Stukały liczne kroki, krzyżowały się spojrzenia. Mitria wypatrywała znajomych. Uśmiechnęła się do Adalii z Bergen, niewysokiej, pulchnej, piegowatej i nieuleczalnie pogodnej, która była fanatyczką ziołolecznictwa i hodowała niezliczone odmiany roślin, zawsze gotowa wygłaszać długie monologi o ich właściwościach. Obok niej stała piękna, czarnowłosa Verena Haage, trochę starsza od Mitrii, pewna siebie i nieco próżna, ale przy tym niepozbawiona talentu. Dalej zbici w gromadkę szeptali magowie rzadziej bywający w Emain. Czarodziejka rozpoznała jednak Rica Benettiego, Heregadra z Osten, Theresię z Blenvingardu, Annellę de Sorrento i starszego wiekiem Arnona Forese. Trochę dalej stał samotnie Justin Fern, o którym plotka głosiła, że wywodził się z tarrenckiej arystokracji. Wystrojona

jak zwykle Flora van Tiven szepnęła coś do Carmilli Vito, która zmierzyła Mitrię szybkim spojrzeniem i wybuchnęła cichym, perlistym śmiechem. Mitria odwróciła od nich wzrok i pomiędzy nieznanymi sobie postaciami w błękitnych płaszczach dostrzegła jasne, niemal białe włosy Haakona Svearsona, który w zamyśleniu bawił się wisiorkiem w kształcie młota. Nigdzie nie było jednak widać Lety Therrus, srebrnowłosej, cudownie szczerzej Lety, w której kruchym ciele staruszki zamknięta była pełna wigoru osobowość, zdolna przewyższyć energią niejedną młódkę.

Za plecami Mitrii ktoś znacząco chrząknął. Odwróciła się i z trudem powstrzymała okrzyk zaskoczenia i radości. Miała przed sobą siwowłosego, skurczonego wiekiem Aurelianusa z Xanty, odzianego w srebrzysty płaszcz. Przywitał ją rozpromienionym uśmiechem i iskierkami w błękitnych oczach. Nie bacząc na zgorszone miny otoczenia, uściskała go i pocałowała w pomarszczony policzek. Pytania o to, kiedy przyjechał i od jak dawna jest w Emain zawisły w powietrzu, niewypowiedziane. Zimny, wyniosły Odo Trevelius minął ich, udając, że nie zauważa. Czarnowłosey, przystojny Adelard z Tradivy podszedł, z drapieżnym uśmiechem przeprosił Mitrię i ujął Aurelianusa pod łokieć, prowadząc go jak zgrzybiałego starca w kierunku podwyższenia, na którym zgromadzić się mieli członkowie Kapituły. Czarodziejka posłała mu iskrzące gniewem spojrzenie, ale po chwili ją samą pociągnęły jakieś dłonie i zmusiły do zajęcia miejsca w okręgu, utworzonym przez magów w błękitnych płaszczach.

Mitria podniosła wzrok na podium Kapituły i w szeregu stojących tam czarodziejów dostrzegła wreszcie Jardala. W tej chwili postaci w srebrnych płaszczach rozsunęły się, tworząc szpaler, przez który wolno, dostojnym krokiem przeszła wysoka, chuda kobieta, trzymająca w dłoni rzeźbioną laskę. Mistrzynie Glinianej Pieczęci, Evelyn von Stein. Miała wąskie, surowo zaciśnięte usta, siwe, ściągnięte w ciasny kok włosy i przenikliwe orle oczy pod czarnymi brwiami. Pod srebrnym płaszczem nosiła czarną aksamitną suknię z wysokim, białym kołnierzem. Na jej piersi, na srebrnym łańcuchu, który ponoć poczerniał od stałego przepływu mocy, kołysała się Pieczęć. Niewinnie wyglądający odcisk w glinie, wielkości przekroju dużego jabłka, ozdobiony nieczytelnymi nawet dla uczonych runami. Mówiono jednak, że to moc Glinianej Pieczęci podtrzymywała fundamenty Emain. Że przysięga na nią złożona nie może zostać złamana pod groźbą śmierci. Tore Harberg sugerował kiedyś, że każde następne pokolenie magów toczyło podjazdową wojnę o Pieczęć, że sam jej dotyk powodował przemożną żądzę posiadania, której nikt nie mógł się oprzeć. Dlatego dzierżyć ją musiał mag silny i doświadczony, taki, który stanie zawsze na straży praw Emain Avallach. Mitria, znając skłonność Bibliotekarza do fantazjowania, uznała to

wszystko za legendy, którymi każda społeczność musi wspierać kształtowanie swojej tożsamości i ciągłość tradycji.

Evelyn podniosła laskę i powoli, z namaszczeniem, dwa razy nią stuknęła. Zapadła martwa cisza.

– Niech będą pozdrowieni wszyscy, którzy łączą swoje wzniosłe myśli i ręce pełne uczynków mądrości w Szlachetnym Kręgu Magów! – wyrecytowała powitalną formułę. – Niech rozpocznie się Wielka Rada, a jej sprawiedliwe i niemylnie sądy niech nagrodzą wiernych, pokrzepią cierpliwych, pouczą szukających i ukarzą niegodnych! Niech się stanie wola ze Szlachetnego Kręgu wybranej Wysokiej Kapituły, niech będzie przypieczętowana Glinianą Pieczęcią!

Głos Evelyn von Stein odbijał się jak głuchy dzwon od ścian marmurowej sali. Podała rzeźbioną laskę stojącemu obok niej Hargonowi z Emmendath, udzielając mu w ten sposób głosu i przekazując rolę Mistrza Ceremonii.

– Jaką sprawę rozważyć dziś będzie Wielka Rada? – zapytał, szukając potwierdzenia w oczach Evelyn. Jej głos znów zawibrował w powietrzu, gdy odparła:

– Sprawę zdrady.

Po sali przeszedł szmer.

– Kto jest oskarżony? Kto oskarża? Jakie padło oskarżenie? – pytał znów Hargon, radząc sobie bezbłędnie z protokołem, choć jednocześnie kuląc się pod wzrokiem Mistrzynie, który mógłby chyba w tej chwili palić kamienie. Mitria posłała Jardalowi pytające spojrzenie, ale zdawał się jej nie widzieć. Patrzył w przestrzeń.

– Kapituła oskarża – powiedziała Evelyn, znów wygłaszając ceremonialną formułę, która nie padła w tej sali już od bardzo wielu lat. Prawie słyhać było wstrzymywane oddechy magów Kręgu. – Jest wśród nas czarodziej, który sprzeniewierzył się swojemu powołaniu. Mamy na to dowody. Oto one. – Sięgnęła pod swój srebrny płaszcz i wyciągnęła spod niego plik złożonych kart.

– To listy do królów Tradivy, Medii i Enneady, zawierające wiele cennych wskazówek i rad dotyczących zawiązania sojuszu, dzięki któremu można by utworzyć imperium, zdominować pozostałe Wolne Miasta, a nawet skutecznie konkurować z potęgą Tarrentu. Oto, szlachetni członkowie Kręgu, próba sterowania Kołem Dziejów, naruszenia odwiecznej, z Głębin Czasu pochodzącej równowagi. Opisy magicznych przyrządów mających ułatwić prowadzenie wojny. Przemyślnie rady na temat taktyki. Zarys dalekosiężnej politycznej strategii. Oto wszystkie składniki trucizny, mającej usunąć z tego świata potencjalnych konkurentów. I nade wszystko – uniżona propozycja, aby królowie wymienionych państw raczyli rozporządzać niżej podpisaną

skromną osobą, która jest w stanie wprowadzić w czyn nakreślone tu plany. Kapituła oskarża.

Zapadło milczenie.

– Kogo oskarża? – zapytał po chwili, skrzypiącym głosem z wyschniętego gardła, Hargon z Emmendath.

– Torego Harberga – zabrzmiała dźwięczna, wznosząca się pod samo sklepienie odpowiedź Evelyn von Stein.

W tej chwili Jardal spojrział wreszcie na Mitrię. Na ich twarzach odbiło się to samo uczucie – niedowierzenie i strach.

– Niech oskarżony wejdzie. – Hargon powtórzył kolejną formułę. Ścisłe trzymanie się ceremoniału w zestawieniu z faktem, że przed sądem Kapituły miał za chwilę stanąć Bibliotekarz z Emain Avallach, tworzyło poczucie męczącego absurdu. Wszystkie twarze wyrażały niedowierzenie i szok. Adalia wbiła wzrok w swoje stopy. Piękna, czarnowłosa Verena Haage rozglądała się nerwowo. Odo Trevelius patrzył w przestrzeń, sprawiając wrażenie, że nic do niego nie dociera. Ktoś tuż obok Mitrii zaciskał dłoń. Szeleściły płaszcze, buty szurały na kamiennej posadzce. Cisza dzwoniła w uszach, potężniejsza niczym dźwięk podwodnych dzwonów, napięta jak cięciwa łuku, niezrozumiała. Słyszać było oddechy. Nie było szeptów. Nie było protestów, okrzyków ani pytań.

Wszedł Tore, eskortowany przez dwóch odzianych na biało adeptów. Doprowadzili go na środek sali, a potem skłonili się i zniknęli w wyjściu. Na przegubach rąk Bibliotekarz miał ciężkie kajdany z meteorytowego żelaza. Mitria wzdrygnęła się – i nie dlatego, że toporne obręcze obtarły Toremu nadgarstki. Taki metal wiązał magię, nie pozwalając jej działać poza ciałem tego, który nią władał. Uczono ją, że ograniczanie wolności i mocy innego maga jest surowo zakazane. Zrobienie czegoś takiego innemu czarodziejowi równało się pozbawieniu go praw w wyniku oskarżenia o najstraszniejsze zbrodnie.

Tore rozglądał się strachliwie dookoła, mrugając nerwowo zaczerwienionymi powiekami. Zawsze ten sam, w wytartym burym płaszczu, przygarbiony, onieśmielony, z wiecznie załzawionymi oczami. Wyglądał, jakby nie potrafił znaleźć własnych butów, choć ci, którzy go znali, wiedzieli, z jaką wprawą porusza się po Bibliotece i jak fenomenalną pamięcią dysponuje, mieli więc świadomość, jak bardzo to wrażenie jest mylne. Kiedy się wyprostował, ciągnąc w górę ciężkie kajdany, Mitria zauważyła, że wcale nie jest taki niski, jak jej się zawsze wydawało.

Stuknęła laska mistrza ceremonii. Echo uderzenia odbiło się od ścian.

Tore ze świstem wciągnął powietrze.

Ciszę można było kroić nożem.

– Tore Harbergu, czarodzieju Kręgu, Bibliotekarzu z Emain Avallach, czy przyznajesz, że jesteś autorem tych listów? – zapytała Evelyn von Stein. Jej głos popłynął ponad głowami zgromadzonych.

Bibliotekarz milczał. Stał wyprostowany, z uniesionym podbródkiem. Urósł. Nie mrugał już powiekami, tylko patrzył prosto w zwięzione, pełne napięcia oczy Mistrzynie.

Trwało to dłuższą chwilę, aż w końcu Evelyn powtórzyła pytanie. Tore opuścił głowę, skurczył się, zmałał.

– Ci głupcy mogli osiągnąć wielkość. Ja tylko chciałem pomóc... stworzyć imperium – wychrypiał.

– Więc przyznajesz, że ty to napisałeś?

Skinął głową. A może nią pokręcił. Gest zadumy nad marnym światem.

Głos Evelyn zabrzmiał ponad głowami zgromadzonych jak pęknięty dzwon.

– Tore Harbergu, winien jesteś zdrady i powinienes ponieść przewidzianą za to karę. Śmierć.

Na moment sala zaszemrała, a potem znów zapadła głęboka, paralizująca cisza. Bibliotekarz skurczył się jeszcze bardziej. Zaczął rozglądać się wokół siebie, jakby niedowierzając. Przestraszonym wzrokiem szukał wsparcia w kolejnych twarzach, które odwracały się w bok.

– Chwileczkę, Evelyn – zabrzmiał w tym momencie nieco drżący, ale czysty głos wiekowego Aureliana z Xanty. – Kto oprócz ciebie czytał te listy? Kto jeszcze zna sprawę? Czy zostały kiedykolwiek wysłane, czy też Tore w swojej samotni bawił się tylko w budowanie potęgi imperiów? Wszyscy znamy Bibliotekarza i wiemy, że potrafi fantazjować bez końca o królestwach i podbojach. Więc może tym razem po prostu marzył sobie... zbyt realistycznie?

– A poza tym nie możemy skazać Torego, bo się pogubimy w Bibliotece – rzucił ktoś z Kręgu.

Rozległy się pojedyncze śmiechy, ale szybko umilkły, zgaszone płomiennym spojrzeniem Mistrzynie, która zwróciła się do Aureliana i powiedziała:

– Z całym szacunkiem dla twego wieku i doświadczenia... nie sądzisz chyba, że rzucam oskarżenia na wiatr ani że trudzę magów szlachetnego Kręgu, wzywając ich w sprawie, która nie została zbadana i potwierdzona? Tych listów nie znaleziono przy Torem ani w jego skrytorium. Dostarczyli je do naszych rąk szpiedzy jednego z Wolnych Miast, wyrażając nadzieję, że sami zrobimy porządek z naszym niesubordynowanym konfratrem. I to zanim oni będą musieli nieco zmienić tradycję dotyczącą nietykalności i neutralności Emain Avallach.

– Więc zrobiliśmy porządek – rzekł Aurelianus. – Nie ma już listów, a to tak, jakby nigdy nie było tej sprawy. Tore zostanie pod nadzorem w Bibliotece, gdzie jego miejsce. Tam zapewnimy mu bezpieczeństwo, a świat nie będzie się musiał

lękać jego knowań. Niepokoi mnie natomiast to, że ktoś wysuwa groźby pod adresem Emain...

– Zamilcz – syknęła Mistrzynie. – Wszyscy zamilczcie. Nie tak ma wyglądać ceremoniał Wielkiej Rady.

Postąpiła do przodu, stając na skraju podwyższenia, wzniosła w górę ręce i trwała tak przez chwilę, a potem dała znak Hargonowi z Emmendath, który stuknął dwa razy laską, wznawiając przerwany tok uroczystości.

To było nierzeczywiste. Podobnie jak fakt, że Evelyn zignorowała niepodważalny autorytet Aurelianusa z Xanty. Tore nadal stał pośrodku, spokojny i bezradny, mrużąc zażawione oczy i rozglądając się dookoła.

– Na wszystkich bogów, Evelyn – nie wytrzymał Jardal. – Tu chodzi o ludzkie życie, a ciebie obchodzi ceremoniał?!

– Ceremoniał... – wyszczała Evelyn po chwili długiej jak wieczność. – Czy śmiesz go podważać, Jardalu, czarodzieju znikąd? Czy ktokolwiek z was chce go podważyć? – zwróciła się do Kręgu. – Może od razu rozwiążmy Kapitułę i rozejdźmy się, by służyć małym władcom na ich małych dworach, a Emain zostawmy w spadku pasterzom świń? To, co między sobą ustanowiliśmy jako prawo, decyduje o naszej sile. Spróbujmy to podważyć, a nie zauważymy nawet, jak staniemy się słabi i chwiejni, a potem po prostu znikniemy.

– Jest różnica pomiędzy ceremoniałem a prawem – zauważył cicho Aurelianus z Xanty.

– Nie będziemy więcej o tym dyskutować – odpowiedziała pogodnie Evelyn. Prawie się uśmiechnęła. Podniosła dłoń, a Hargon dwukrotnie stuknął laską.

– Kapituła oskarża – powtórzyła, a dźwięk odbił się od kolumnady. – Przedstawcie dowody.

Wystąpiło kilku czarodziejów, członków Kapituły, między innymi Adelard z Tradivy. Odczytali przyniesione przez Evelyn listy i opowiedzieli, w jaki sposób weszli w ich posiadanie. Nieznany Mitrii wysoki, łysawy mężczyzna z orlim nosem zdał relację ze spotkania, którego był świadkiem – w tawernie jednego z pobliskich portów Tore przekazywał komuś wyniesioną z Biblioteki księgę, zawierającą opis śmiałych strategii bitewnych i najlepszych (zdaniem starożytnego autora) modeli sprawowania władzy. Pomiedzy karty księgi zostały włożone pisma adresowane do królów Medii i Enneady.

Odczytano głośno kilka listów. Wszystkie napisane były tym samym, charakterystycznym stylem, pełnym wyrafinowanych zwrotów i długich, zawitych zdań. Wyłaniała się z nich osobowość świadoma, przebiegła, z namysłem i złą uciechą knująca mistrzowską i skomplikowaną intrygę, pełną skrytobójczych mordów i śmiałych zamachów stanu.

Dowody okazały się przytłaczające. Mitria czuła szum w głowie, ucisk w piersi, suchość w ustach.

Piasek pod powiekami.

– To się mogło udać – zakończył Adelard z Tradivy. – Miało wszelkie szanse powodzenia. I udałoby się, gdyby nie to, że przedstawiciel wywiadu Enneady, który otrzymał list Torego, był zarazem podwójnym agentem pracującym dla jednego z państw-miast znajdujących się na liście tych, które zamierzano podbić...

Potem ktoś jeszcze przemawiał. Czytano protokoły i prawa. Cytowano słowa.

Evelyn coś mówiła. Patos nieznośnie ranił uszy.

Ciężar, ogromny ciężar, jakby oddychało się kamieniami. Myśli rozproszone, szeleszczące jak miliony karaluszych odnóży na piasku. Niepodobna ich pochwycić. Pustka. Nic.

Na szybach ogromnych, wysoko umieszczonych okien położył się blask zachodu, potem zmrok. Salę pocięły długie cienie marmurowych kolumn.

I stało się nieodwołalne. Mitria zacisnęła pięści, paznokcie kaleczyły skórę. Niech ktoś coś powie. Niech ktoś coś zrobi. Przecież to się nie dzieje.

– Tore Harbergu, czarodzieju Kręgu, czy przyznajesz się do winy?

Pytanie zawisło w powietrzu razem z ciężkim oparem absurdu. Patrzono pod stopy, na mozaikowy chaos. Ktoś powinien coś zrobić. Przemówić. Przerwać to.

Nie podniosła się żadna dłoń. Aurelianus z Xanty w milczeniu kręcił głową. Jaral był blady, miał krople potu na czole, drżała mu lekko zaciśnięta do bólu szczęka. Evelyn powoli zdjęła z szyi łańcuch ze stopu czarnego metalu, na którego końcu kołysała się Gliniana Pieczęć – wielka, rzeźbiona w runy i dziwne starożytne znaki, poszczerbiona zębem czasu – i uniosła ją w górę, ponad głowę. Srebrny płaszcz Mistrzynie zamigotał odbitym światłem, gdy Pieczęć rozjarzyła się błękitno. Całą salę zalał powoli upiorny blask.

– Ogłaszam wyrok. – Głos Evelyn przybrał jeszcze na sile, zwielokrotnił się, odbijany pomiędzy czarnymi marmurowymi kolumnami. – Kapituła skazuje.

Blask rozjarzył się na moment do białości, a potem przygasł. Mistrzynie opuściła dłonie. Słowa potoczyły się jak kamienie.

– Jest tylko jeden rodzaj śmierci, jaki nasze Prawo przewiduje za zdradę. Garota.

Postąpiła kilka kroków do przodu i zatrzymała się na stopniach podwyższenia, wyciągając przed siebie trzymaną w dłoniach Pieczęć.

Z artefaktu wydobyła się płomienna nić, pomknęła w kierunku Torego i owinęła się wokół jego szyi. Bibliotekarz zawył. Evelyn na moment zwolniła uścisk, pozwalając mu zaczerpnąć oddechu.

– Wszyscy jesteście narzędziem sprawiedliwości. Jesteście mieczem Emain – powiedziała, a jej głos zaświszczał jak uderzenie biczem.

Aurelianus z Xanty powoli, utykając, zszedł z podwyższenia i skierował się do wyjścia, mijając Krąg i nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem. Dźwięk jego kroków ucichł za drzwiami sali.

– Jak rozumiem, wszyscy pozostali zgadzają się z wyrokiem – zabrzmiał pełen satysfakcji, nieomalże triumfu głos Mistrzyni.

Słowo „nie” nie opuściło gardła. Pozostało bezgłośnym ruchem ust.

Evelyn podniosła w górę Glinianą Pieczęć. Tore, do tej pory wiercący się niespokojnie z szyją owiniętą promienną obręczą, nagle wydał z siebie dziki wrzask, który natychmiast przeszedł w stłumiony charkot. Ciało zadygotało konwulsyjnie i przez dłuższą drgało tak, nie padając tylko dlatego, że w pionowej pozycji utrzymywała je zaciskająca się garota świetlistych promieni. Przekrwione oczy wyróciły się białkami do góry, nabrzmiały język wypadł z ust. Wokół nóg rozlała się kałuża fekaliów. Smród przyprawił stojących najbliżej o dreszcze obrzydzenia. Dygot powoli ustawał, rżenie cichło, aż w końcu umilkło zupełnie. W końcu trup Bibliotekarza padł na marmurową posadzkę bezwładnie jak worek szmat.

Adalia z Bergen zemdląca, jakiś posiniały na twarzy starszy czarodziej trzymał się za serce, ktoś inny w pośpiechu, trzęsącymi się rękami udzielał mu pomocy, szepcząc uzdrawiające zaklęcia. Ktoś wymiotował. Verena Haage darła się histerycznie.

Mitria nie pamiętała, jakim sposobem znalazła się na korytarzu. Szła po omacku, słaniając się i czepiając ścian. Uciekała przed szelestem błękitnych i srebrzystych płaszczy, które w pośpiechu i ciężkim milczeniu podążały do wyjścia. Ukryła się w wykuszu, czekając, aż ostatni przechodzący minie ją i zniknie w otwartych wrotach. Potem wyszła na marmurowy taras, w ciemną, rozświetloną gwiazdami noc. Zawisła bezwładnie na barierce. Targały nią suche torsje i bezgłośny szloch. Od strony zamkowego ogrodu wiał delikatny, ciepły wiatr, przynosząc zapachy letniej nocy, woń kwiatów i ziół, głośnie granie świerszczy. Czarodziejka osunęła się na posadzkę, objęła ramionami kolana i ukryła w nich głowę. Siedziała tak w odrętwieniu, nieświadoma, czy minęło kilka godzin, czy zaledwie minut. Drgnęła, gdy poczuła miękki dotyk. Ogromny bury kocur otarł jej się o stopy. Nastroszone futro iskrzyło magią. Popatrzyła w jego rozświetlone, szarzielone oczy, ociężale podniosła się i poszła za nim w mrok.

*

Ciemność nie stanowiła przeszkody dla kociego wzroku. Komnata Mitrii była niedużym, ascetycznym pomieszczeniem. Tymczasowym i tylko częściowo zamieszkanym. Pokojem osoby, która wie, że musi gdzieś nocować, ale gotowa jest do podróży. Żadnych kobierców ani zasłon. Kamienna posadzka, na środku wysokie łożo z wyblakłym baldachimem wspartym na rzeźbionych kolumnkach. Pod ścianą krzywy, rozchybotany regał pełen książek. Jedyny fotel wypełniały rzucone niedbale sukienki, szale, koszule i płaszcze, które najwyraźniej nie dołączyły do tych wystających z niedomykającej się szafy. Na małym pulpicie do pisania wały się rulony pergaminu, kilka piór, nożyk do ostrzenia. Tuż obok szafy stała toaletka z lustrem, na niej flakoniki o nieokreślonej zawartości. Szczotka do włosów. Pantofle. I przenikający wszystko zapach. Charakterystyczna woń starych mebli, papieru, skóry, kosmetyków i perfum. Sandałowiec i róża.

Przez otwarte okno zaglądał do wnętrza cienki sierp księżyca. Czarodziejka obiema rękami odgarnęła włosy z twarzy, potarła czoło. Potem zsunęła z ramion błękitny płaszcz i rzuciła go w kąt. Zdjęła sukienkę, zostając tylko w cienkiej batystowej koszulce. Nalała do miski wody i obmyła twarz. Kot zdecydował, że czas zmienić postać.

– Mitrio – powiedział niskim, gardłowym szeptem. Odwróciła się gwałtownie. Przyciągnął ją do siebie, w pierwszym odruchu chciał zakryć dłonią usta, bo wystraszył się, że krzyknie. Ale nie. Nie krzyknęła. Objęła go ramionami. Ostrożnie.

I wtedy stał się cud, choć stawał się powoli. Najpierw było drżenie ramion, a potem koszmar tego wieczoru powoli rozpuszczał się w ciepłej ciemności, kryjącej bliską, do bólu i desperacji bliską obecność. Usiedli razem na krawędzi jej wysokiego, miękkiego łoża. Przestraszeni, niepewni. Pełni zachwytu i grozy. W ciemności, która otoczyła ich jak milczenie.

– Nie powinno cię tu być – powiedziała w końcu szeptem. – Nie powinno, bo... bo kocham cię, Jardalu. Nie możesz zrobić nic, żeby powstrzymać moją miłość. Uciekaj! Wsiądź na konia i pędź przed siebie, aż stukot kopyt zagłuszy ból. Wiesz, to chyba jest jakieś szaleństwo albo choroba. Czuję, że gdybyś mnie zawołał, biegłabym do ciebie, bez tchu, przez czas i przestrzeń... A przecież nam nie wolno. – Zakryła twarz dłonią. – Odejdź, Jardalu, bo nie przeżyłabym, gdybym to ciebie zobaczyła w Kręgu.

W ciemności słyszeli nawzajem swoje oddechy.

– Nie. – Pochylił się do niej. – Nie odejdę. Nawet jeśli stoimy w oku cyklonu. Rozsądek mówi mi, że powinienem teraz wyjść, ale nie potrafię. Jeśli to szaleństwo, to chcę być szalony.

Pierwszy pocałunek był nieśmiały, z drzeniem przestraszonych ust. A potem przyszło wzruszenie, trzepocące jak schwytyany ptak w opuszkach palców, na koniuszkach piersi, w przymknięciu rzęs. Zapomnienie, które ogarnęło ją. Olśnienie, które ogarnęło jego. Przycisnęła usta do jego ramienia, żeby powstrzymać wzbierający krzyk, jakieś takie wołanie do nieskończoności. A potem delikatnie starła mu z policzka łzę.

Gwiazda bogini Antarie, duża i jasna, wisiała naprzeciwko ostrych rogów księżyca.

*

Świat zadrżał, czując, że tworzy się Opowieść. W głębinach uniwersum obudziły się Prządki Rzeczywistości.

*

- Coś się zaczyna – powiedziała Pierwsza Prządka.
- To niebezpieczne – powiedziała Druga.
- Ale zaczyna się i będzie się toczyć. A my nie mamy mocy, żeby to powstrzymać, bo Tak Się Staje – powiedziała Trzecia.
- Jest w nich nadzieja – oznajmiła Pierwsza.
- I strach – dodała Druga.
- Ale Staje Się i już wpisało się w obroty Koła Dziejów – stwierdziła Trzecia.
- Łamię zasady – powiedziała oskarżycielsko Druga Prządka.
- Zasady magów to tylko tkanka nałożona na powierzchnię rzeczywistości – powiedziała Pierwsza. – Nie sięgają w głąb. Nie są w stanie poruszyć nawet jednej łuski na grzbiecie Węża Oceanu Świata.
- Zatem zrobmy Eksperyment – powiedziała Trzecia.
- Możemy tylko Obserwować – stwierdziła Pierwsza.
- I na tym właśnie będzie on polegał – odpowiedziała Trzecia. – Jesteśmy Odwiecznymi Obserwatorami. Obserwator już samą swoją obecnością zmienia naturę obserwowanego obiektu. To właśnie my.
- Zwolennik – powiedziała Pierwsza Prządka.
- Przeciwnik – powiedziała Druga.
- I Mediator – uzupełniła Trzecia.
- Przetrywają – powiedziała Pierwsza.
- Mogą przejść bariery między światami – stwierdziła Druga.
- Zobaczymy – podsumowała Trzecia.

*

– Wiesz, że to dziesięć lat? – szepnęła, przewracając się na plecy i odsuwając od głowy poduszkę. Leżeli pod baldachimem, wpatrzeni w ciemność.

– Wiem. Pamiętam.

– Co pamiętasz?

– Niewiele.

– Spróbuj.

– Nie wiem. Ja mam naprawdę dużo wspomnień, *Mear Mitriyah*. – Wymówił jej imiona nisko, gardłowo, przywołując ich sens w zapomnianych językach. Nazwał ją morzem i słońcem.

– Spróbuj.

– Dobrze. Wiem, że przejeżdżałem przez Cantalenę i zatrzymałem się na zamku. Ale prawie w ogóle nie przypominam sobie dworu twojego wuja.

– Nie ma potrzeby. Był okropny – skrzywiła się.

– I słowo daję, nie pamiętam, co ja tam właściwie robiłem.

– Chyba nic ważnego. Było ci po drodze. – Oparła się na łokciu i wpatrzyła w widoczny w ciemności zarys jego twarzy. Sierp księżyca rzucał blade światło. Jardal przymknął powieki.

– Pamiętam tylko własne zaskoczenie. Siedzieliśmy przy stole, dyskutowałem z magiem, który tam wtedy rezydował, nie pomnę imienia...

– Adalbert z Meer. Nieważne.

– Bredził coś o potrzebie powrotu do pierwotnego sensu Opowieści o Wyłonieniu Świata. A naprzeciwko siedziałaś ty. Obok twoja kuzynka, księżniczka Julia. Zapamiętałem. Ładna brunetka, miła i rozpaczliwie nudna. Uśmiechała się pogodnie, z całej rozmowy ewidentnie niezbyt wiele rozumiejąc.

– Yhm...

– W pewnym momencie moja dyskusja z Adalbertem utknęła w martwym punkcie. Nie miałem pojęcia, że się przysłuchujesz. A nagle odezwałaś się. Nie przypominam sobie zupełnie szczegółów, ale waszego maga dwoma zdaniem zmiotłaś z powierzchni ziemi, a i ja nieźle musiałem się bronić.

Mitria zachichotała.

– A potem – powiedziała, wyciągając ramiona nad głowę i przeciągając się – zmieniłeś na zawsze moje życie. Poradziłeś memu wujowi, aby napisał list polecający mnie Evelyn von Stein.

Zwinęła się w kłębek i oparła głowę na jego ramieniu.

– To mnie uratowało, Jardalu – szepnęła. – Ja tam byłam bliska zwariowania z desperacji i czarnej rozpacz. Marzyłam o ucieczce, a ty otworzyłeś mi drzwi.

– Nie wiem, czy pamiętasz – odpowiedział, przygarniając ją – ale trzy lata później to ty uratowałaś mnie. Przypomniałaś o mnie Evelyn, gdy daremnie poszukiwała kogoś chętnego do zbadania zagadki znikającego portalu w Górach

Błękitnych. Wiedziałaś, że się znam na czasoprzestrzennych odchyleniach. Mistrzynie ściągnęła mnie wtedy z końca świata, na który prewencyjnie się wyniosłem, żeby nie musieć jej oglądać. A potem, gdy misja się udała, w nagrodę zrobiła mnie członkiem Kapituły. Wątpliwy zaszczyt – parsknął pogardliwie – ale to, że znowu musiałem pojawić się w Emain, uświadomiło mi, jak bardzo zdziaczałem w samotności.

Czarodziejka odwróciła głowę, zapatrzyła się na moment w krąg księżycowego światła na podłodze.

– Wiesz, tak chciałam wtedy iść z tobą...

Zamknął oczy.

– Pewnie bym się nie zgodził. Ale teraz... patrzę wstecz i widzę, że zawsze byłaś obok. A ja byłem ślepy.

Księżyc powoli schodził z zenitu nieba. Jasna gwiazda bogini Antarie przesunęła się w stronę horyzontu.

*

– Boję się – wyszeptała Mitria. W ciemności odszukał jej dłoń i ucisnął ją.

– Zawsze cię odnajdę. Obiecuję.

– Ale...

Twarz Jardala, widoczna w bladym księżycowym świetle, zastygła w wyrazie desperackiego postanowienia.

– Co do mnie – rzekł – to od lat, a właściwie od zawsze, żyję ze świadomością, że tylko ściana cienka jak włos dzieli mnie od stanięcia w Kręgu. I uwierz, do takiej myśli można się przyzwyczaić. Powinnaś coś o mnie wiedzieć, Mitrio. Ja jestem... Wędrowcem Światów.

Czarodziejka obróciła się na bok i z bliska spojrzała mu w oczy. Pełne wyczekiwania. Trochę lęku.

– Myślałam, że oni nie istnieją!...

Jardal zamknął powieki.

– Więc już wiesz. Pozornie nie jestem wcale stary, ale mam w sobie pamięć wielu żywotów. Chyba nie zawsze żyłem w tym czasie i przestrzeni, nie zawsze też byłem mężczyzną. Przywiązałem się do tego ciała i w tej chwili niewiele już pamiętam. Jeśli gdzieś się przebywa zbyt długo, pamięć innych bytów się zaciera... Ale wiem, że w każdej chwili mógłbym powrócić do Międzyświata, a potem wybrać sobie jakąś inną rzeczywistość. Po prostu stąd zniknąć, jakby nigdy mnie nie było. Jednak istnieje ryzyko, że gdybym to zrobił, już bym tutaj nie wrócił. To bardzo trudne. Czasoprzestrzenie są płynne i zmienne.

Przytuliła się do niego. Mocno.

– Gdyby Evelyn się dowiedziała... – szepnęła.

– To bym już nie żył – potwierdził. – I tylko tyle? – zapytał cierpko. – Żadnej zgrozy, przerażenia, obrzydzenia? Przecież wielcy magowie boją się Wędrowców.

Odsunęła się od niego.

– Zawsze byłeś moim przyjacielem – powiedziała chłodno. – Mogłeś powierzyć mi swoją tajemnicę w każdej chwili minionych dziesięciu lat i byłaby u mnie zupełnie bezpieczna. Jeśli tego nie wiedziałeś, to naprawdę niezbyt wysoko mnie cenisz.

– Wybacz. Nie chciałem. Na dowód tego, że nie chciałem, podaruję ci jeszcze moje imię – odpowiedział. – W Międzyświecie brzmiało ono Xen. Nie wiem, czy do czegoś ci się przyda.

– Xen – powtórzyła. – *Xenos*, obcy...

– Obcy wszędzie, gdzie się zjawię – powtórzył. – Tak już jakoś jest.

Cienki sierp księżycy zniżył się do horyzontu. Pojedyncza gwiazda, która mu towarzyszyła, zbladła, a potem zgasła.

*

Świtało. Znad horyzontu wstawało już słońce. Powoli, dostojnie rozplynał się w nim rożek księżycy. Błada gwiazda bogini Antarie nie była już widoczna na wschodniej stronie nieba. Czarodziejka uchyliła okiennicę. Otuliła się wełnianą opończą, uciekając przed chłodem. Wielki bury kot z gracją zeskoczył po murze i cicho zniknął w ogrodzie. Mitria zamknęła okno, wróciła do łóżka i zwinęła się w kłębek wśród rozrzuconej pościeli. Oczy piekły ją z niewyspania, w głowie szumiało, plątały się myśli. Pod powiekami przelatywały iskry i obrazy. Rozpalony słońcem dziedziniec. Otchłanne głębie Biblioteki. Proces Torego. Śmierć. Mrok. Nowo narodzona tajemnica nocy.

Zasnęła w pierwszych promieniach świtu.

*

Nadszedł czas opowieści. Tych szeptanych w środku nocy, przy księżycu, w pościeli rozgrzanej ciepłem żywych ciał, i tych powtarzanych nad ranem, głosem schrypniętym z braku snu. A czasem opowiadanych w środku dnia, na brzegu morza, w zaroślach pod zamkowym murem, w promieniach słońca. Tyle mieli sobie do opowiedzenia.

Kiedy przychodzi czas na prawdę, przyjdzie również na tę najtrudniejszą.

– Co tak naprawdę tu robiłeś, zanim przybyłeś do Emain? – zapytała Mitria. Leżeli na mikroskopijnej polance w pobliżu murów, zasłonięci przed światem gęstymi krzewami. Głogi kwitły, siejąc białymi płatkami przy każdym powiewie wiatru. Byłoby to pewnie miejsce spokojne i piękne, gdyby nie przyprawiająca

o dreszcze woń zamkowej kanalizacji, której ujście znajdowało się w pobliżu. Cóż, nie przewidzieli tego wcześniej. Teraz trudno było wydostać się niezauważenie z gęstej płataniny jeżyn, głogów, tarniny i innych krzewów, obficie porastających ten skrawek ziemi pod murami. A już na pewno nie znaleźliby miejsca bezpieczniejszego i bardziej odludnego. Nie w tej chwili.

Ptaki krzyczały wysokimi głosami. Na niebie, ponad widocznym z oddali morzem, unosiły się mewy. Fale leniwie uderzały w klif.

– A może nie było żadnego wcześniej? – zapytała Mitria, marszcząc nos. Najchętniej rzuciłaby zakłęcie rozpraszające przykrą woń, ale obawiała się, że błysk energii może zostać dostrzeżony z murów.

– Było – odpowiedział. – Ale...

– Opowiedz. – Przekręciła się na bok i oparła głowę o jego ramię.

Jardal milczał przez chwilę. Tym razem nie było to milczenie wspólne, bardziej pełne treści niż wiele pustych, ale wypowiedzianych słów. To było jego indywidualne, zakłopotane milczenie.

– Zauważyłaś, że mam lekki niedowład prawej ręki? – zapytał w końcu.

Zauważyła. Choć myślała, że może tylko jej się zdaje. Odrobinę spowolnione ruchy. Trochę sztywniejsze palce.

– To się stało tutaj – powiedział. – W tym świecie. Takich drobiazgów jak cielesne ułomności nie przenosi się pomiędzy światami. – Uśmiechnął się cierpko. – Ale powinienem zacząć od początku. Moje wspomnienia to coś pewnie mało zrozumiałego dla kogoś, kto żyje tylko raz. Chaotyczna mieszanka różnych światów, jak wspomnienia ze snów. Zacierają się. Nie wszystkie są przyjemne, a wszystkie niewyraźne i mętne. Ale do rzeczy.

Nie pamiętam, jak tu przybyłem, ale jest prawdopodobne, że ktoś mnie ściągnął. Nie wiem dlaczego.

Był czarodziejem. Starym, paskudnym, zgryźliwym, skurczonym i karłowatym. Nazywał się Mime.

Najpierw mnie uwięził. Siedziałem kilka tygodni w ciasnej drewnianej szopie, o chlebie i wodzie, powiązany grubymi sznurami. Śmierdziało, bo stary odmówił wypuszczenia mnie, podobnie jak wynoszenia nieczystości. Teraz wiem, że to było gdzieś w lasach, w okolicy Gór Błękitnych, ale wtedy nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Czemu nie uciekłem do Międzyświata? Nie mogłem. Nałożył mi obrozę z gwiazdowego żelaza. Czy się bałem? Nie bardzo. Nie wiem dlaczego. Jakoś mi po prostu nie zależało.

Kiedyś przyszedł w nocy. Przewrócił mnie, przygniół do ziemi i próbował... no wiesz. Ale jakoś mu nie wyszło. Z wściekłości zbił mnie okutym kijem. Z jego przekleństw i mamrotów dowiedziałem się, dlaczego jest taki wściekły. Chciał kobiety. Liczył na to, że ściągnie czarodziejkę. Chłopców nie lubił.

Dopiero potem dowiedziałem się, dlaczego tak bardzo mu na tym zależało. Pragnął może cielesnego kontaktu, ale jeszcze bardziej intensyfikacji swojej mocy poprzez obcowanie z czarodziejką. No cóż, nie udało mu się.

Któregoś dnia w końcu mnie wypuścił. Pozwolił się umyć w drewnianej balii. Dał miskę jakiejś zupy, w której pływały kawałki twardego, żylastego mięsa. Bardzo chciałem wylać zupę i dać mu w pysk, ale byłem zbyt głodny. Siedziałem potem pod ścianą jego na wpół przegniłej chaty, mrużąc oczy w słońcu i czując obrzydzenie do samego siebie.

Mime miał ze sobą kilka książek. Starych, pożółkłych, cuchnących piwniczną pleśnią i nadjedzonych przez korniki. Był między nimi podręcznik szermierki. Zawierał piękne, choć pociemniałe od brudu ryciny.

Zacząłem się uczyć. A raczej on postanowił udzielać mi lekcji. Najpierw nie mieliśmy prawdziwych ostrzy, tylko patyki. Niezbyt dokładnie pamiętam, jak to się właściwie zaczęło. Chyba zauważył, że ćwiczę, parsknął widząc moje nieudolne wysiłki, a potem podniósł jakiś przypadkowy kijek i stanął w pozycji.

A wtedy jakby się przeobraził. Okazało się, że Mime jest mistrzem. Bura szata, brudna i postrzępiona, układała się na nim jak wytworny płaszcz, kiedy robił zwody i uniki albo wyprowadzał zgrabne pchnięcia. Twarz pokryta siecią zmarszczek i rzadkim, szczeciniastym zarostem, piękniała. Usta, w których tkwiło kilka pojedynczych zębów, rozchyłały się w uśmiechu, który wcale nie był szpetny, bo uśmiechały się również małe piwne oczy. Ćwiczyliśmy codziennie przez kilka godzin. Mime przestał mnie więzić, a ja – z niezrozumiałych dla siebie samego powodów – nie odszedłem. Zdobywanie nowej umiejętności pochłonęło mnie całkowicie.

Wybudowałem sobie szałas niedaleko chaty Mime'a. Co kilka dni polowałem i przynosiłem zdobycz, którą on uprawiał. Z części gotował swoje niejadalne polewki, do których dorzucał nieliczne ziarenka kaszy, a resztę wędził w specjalnym kominie. Nie było to zbyt wyszukane pożywienie, ale nie cierpieliśmy głodu. Starzec trzymał kilka kóz, więc od czasu do czasu piłem pożywne, ostro pachnące mleko.

Przyzwyczałem się do tego życia i stopniowo nawet polubiłem Mime'a, choć nigdy w pełni mu nie zaufałem. To, jak traktował mnie z początku i co próbował ze mną zrobić, starałem się wybaczyć, choć nie zapomniałem. Naprawdę nie wiem, dlaczego stamtąd nie odszedłem. Może takie proste życie było mi potrzebne, zanim mogłem zacząć badać możliwości tego nowego świata. Chyba byłem po prostu zmęczony ciągłymi zmianami, a ćwicząc szermierkę, budując szałas i wędrując po pięknych, jesiennie złocistych i czerwonych lasach pełnych buków, dębów i olszyn, odnajdowałem spokój. Mime prawie się nie odzywał,

komunikując się za pomocą pomruków i monosylab, i to tylko wtedy, gdy było to naprawdę niezbędne. Ja też nie potrzebowałem wiele mówić.

Po jakimś czasie zdjął mi obrożę. Jednak więźniem przestałem się czuć na długo przedtem.

Ćwiczyliśmy regularnie i stopniowo ja również zaczynałem czuć się mistrzem. Pamiętam uczucie tryumfu, kiedy pierwszy raz patyk wytracony przeze mnie z rąk nauczyciela poszybował, zatoczył łuk i wylądował na trawie. Prawie parsknąłem śmiechem, widząc zaskoczoną minę Mime'a. Moja radość była jednak zdecydowanie przedwczesna. Niedługo potem starzec wydobyl z ukrycia prawdziwe, owinięte naoliwionymi szmatami florety. Każdego następnego dnia ryzykowałem życiem. Gdyby tylko chciał, nadziałby mnie na ostrze jak na rożen. Co prawda byłem coraz lepszy, ale i tak nigdy mu nie dorównałem. Wydawał się niepokonany. Nie mam pojęcia, gdzie zdobył swoje umiejętności, jak ich używał i co sprawiło, że ostatecznie zamieszkał w rozpadającej się, na wpół przegniłej chacie w głębi lasów.

Przyszła zima, a ja uparcie nie chciałem przenieść się z mojego szałas do izby Mime'a. Codziennie rozpalałem ogień i kaszlałem, kiedy gryzący dym z trudem uchodził przez otwór, jaki zrobiłem w jego poszyciu zamiast dymnika. Okryłem mój szałas grubą warstwą gałęzi i liści, ale to nie wystarczyło. Straszliwie marzłem. Mime podarował mi kołdrę z kozlich skór, a i tak każdego ranka budziłem się przy wygasłym palenisku, zeszywniały i sparaliżowany mrozem ciągnącym od ziemi.

W końcu zachorowałem. Niewiele pamiętam z okresu, kiedy męczyła mnie gorączka. Nie wiem, jakim cudem Mime zdołał przyciągnąć mnie z szałas do swojej izby, ale obudziłem się w jego łóżku, na cuchnącym sienniku, grubo okryty skórą. Na kominku płonął ogień. Nie było bardzo ciepło, a pomimo to na przemian pociłem się i dygotałem. Mój gospodarz mamrotał coś pod nosem i poił mnie wywarami z gorzkich, aromatycznych ziół. Zabił kozę, ugotował wywar nad paleniskiem i karmił mnie co kilka godzin mocnym, esencjonalnym rosółem. A ja majaczyłem, gorączkowałem i co chwila zapadałem w sen. Nie wiem, jak długo to trwało. Może kilka dni, a może dwa tygodnie. Nie potrafię powiedzieć. Kiedy pewnego poranka obudziłem się, bardzo słaby, ale już bez gorączki, zobaczyłem, jak Mime śpi na klepisku obok kominka, zwinięty w kłębek i nakryty wyleniałą, zjedzoną przez mole skórą.

Kiedy wróciły mi siły, próbowałem się tam przenieść i oddać mu jego legowisko. Nie pozwolił.

Zima zdawała się ciągnąć bez końca, ale ostatecznie minęła nie wiedzieć kiedy. Byłem osłabiony. Dużo spałem. Mime wychodził czasem i wracał z kilkoma rybami złowionymi w przerębli. Raz czy dwa ustrzelił z łuku jelenia

i oprawiał go potem przed chatą. Przez jakiś czas jedliśmy świeże i solone mięso. Pamiętam krew na śniegu, jakby ktoś szlachtował świnie. Gdy nabrałem sił, wstawałem i trochę pomagałem mu przy gospodarstwie. Z nudów przeczytałem wszystkie jego księgi. To znaczy wszystkie pięć. A potem przeczytałem je jeszcze raz. Oprócz podręcznika szermierki był tam jeszcze drugi, dotyczący żeglugi i budowy łodzi, a poza tym leksykon mitycznych zwierząt. Dwie kolejne księgi traktowały o magii i te zaciękały mnie najbardziej, ale były stare i zmurszałe, niektóre stronicie ledwo dawało się odczytać. Wiedziałem już jednak, że w tym świecie istnieje magia i miałem ostrożne przeczucie, że potrafię nią władać. Na razie jednak nie próbowałem. Wciąż byłem zbyt słaby.

W końcu przyszła wiosna. Śniegi stopniały, w powietrzu czuć było świeżość. Mime zniknął pewnego dnia, a następnego wieczora wrócił z workiem kaszy. Domyśliłem się, że gdzieś w pobliżu musi być wioska. Czekałem. Nigdzie mi się nie spieszyło. Kiedy tylko zrobiło się wystarczająco ciepło, wznowiliśmy nasze szermiercze ćwiczenia. Zimą uszyłem sobie całkiem zgrabną kamizelkę z kozłej skóry, która nie krępowała ruchów, a dawała ochronę przed chłodem i przynajmniej częściowo zabezpieczała przed ciosami kija. Gdy odzyskałem formę, znów zmieniliśmy kije na florety.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się stało. Nie mogę sobie przypomnieć pory dnia ani pory roku, choć wydaje mi się, że była późna wiosna. Łąki oszałamiająco pachniały krokusami.

Było ich sześciu. Niedobitki jakiejś luźnej bandy, maruderzy, trudno powiedzieć. Jeden, przywódca w futrzanym kołpaku z orlim piórem, kazał tytułować siebie hrabią. Miał szeroką przerwę w uzębieniu. I na pewno nie był arystokratą.

Wypadli z lasu na koniach i znaleźli się przed chatą w momencie, kiedy właśnie przygotowywaliśmy się do naszych szermierczych ćwiczeń. Zwykli zbójce, byle jak ubrani i uzbrojeni w przypadkową broń i części zbroi. Jeden miał nawet pancerz ze skóry nabijanej szmelcowanymi na czarno płytkami. Inny nosił na grzbiecie zwykły chłopski kozuch. Trzeci, w czerwonej czapce przekrzywionej na bakier, wywijał morgensternem. Pozostałym nie zdążyłem się przyjrzeć. Zeskoczyli z koni, wpadli do chaty, przetrząsnęli ją i wybiegli na zewnątrz. W tym czasie jeden z nich chwycił Mime'a za kark i przyduślił go do ziemi, a drugi przystawił mi do gardła ostrze rohatyny.

– Nie mają tu kobiet, Skeleth – rzucił ten czerwony.

– Diabła tam. Nie wierzę. Gadaj, gdzie wasze baby! – Wielkolud w kozuchu potrząsnął głową Mime'a. – Bo spyżę i dobytek tak czy owak zabierzem.

I w tym momencie stało się coś niewiarygodnego. Chudzielec Mime wstał, odpychając rękę olbrzyma, jakby to była słomka. Na moment rozbłysło

oślepiające światło i rozległ się zapach przypominający swąd po uderzeniu pioruna, ostrą woń powietrza po elektrycznym wyładowaniu. Wtedy pierwszy raz widziałem działanie magii. Zbój w kozuchu zatoczył się do tyłu. Miał ogłupiałą minę, a z uszu ciekła mu krew. Mime wyprostował się i jakby urósł. Cień za jego plecami zогromniał. W dłoni błysnął mu floret.

I nagle mój nauczyciel zamigotał w błyskawicznym tańcu pełnym wypadów, pchnięć i uników. Dwóch przeciwników – nie licząc unieszkodliwionego olbrzyma – leżało już na ziemi, charcząc i konając, gdy opamiętałem się na tyle, żeby wziąć udział w walce. Nie było to trudne, bo Mime cieszył się w tamtej chwili niepodzielną uwagą napastników. Wyrwałem zbójowi rohatynę z garści i zszedłem go drzewcem w łeb, a potem podjąłem upuszczony wcześniej floret i również zawirowałem w szermierczym tańcu. Pierwszemu z przeciwników, temu ogłuszonemu, zadałem czyste pchnięcie prosto w serce i to zanim zdążył wydobyć całe ostrze z pochwy. Z drugim męczyłem się dłużej. Był wprawnym szermierzem, broń miał cięższą od mojej, był silniejszy. Ale w końcu, po kilku zwodach i paradach, udało mi się go dosięgnąć. Zrobiłem wariacki wypad i przebiłem mu gardło.

Staliśmy z Mimem naprzeciw siebie pośrodku podwórka pełnego trupów. A raczej konających, z których uchodziła krew. Dwóch jeszcze rzeźbiło cicho.

Patrzyliśmy na siebie. Dyszeliśmy. Nie wypuszczaliśmy broni z garści.

I nagle starzec rzucił się na mnie. Ledwie zdążyłem się zasłonić. Ostrza zwały się ze szczękiem. Walczyliśmy dziko, zaciekle, na śmierć. Dopadaliśmy do siebie i oddalaliśmy się. Widziałem przekrwione białka jego oczu i poczerniałe zęby, wyzierające zza drgającej dolnej wargi. Był ode mnie o wiele, wiele lepszy, ale wściekłość odbierała mu rozum i zaczynało brakować sił.

W końcu padliśmy obaj, wyczerpani, pośrodku zasłanego ciałami podwórka.

Przez kilka następnych dni nie odzywaliśmy się do siebie. Wykopaliśmy w lesie dół i pogrzebaliśmy trupy. Mime zabrał im prawie cały przyodziewek, broń i wszystkie wartościowe rzeczy. Nawet nie próbowałem się domyślić, gdzie to schował, ale zniknęło bez śladu.

Przeniosłem się z powrotem do mojego szałas. Zdjąłem z niego warstwę gnijących liści i nałożyłem świeżych gałęzi, napęczniałych od drzewnego soku.

Zabrałem jedną z książek Mime'a i w tajemnicy przed nim zacząłem uczyć się magii. Udało mi się sprawić, że gałązka leszczyny wypuściła liście, a potem zwiędła, szedniała jak po spaleniu ogniem i obróciła się w popiół. Po wielu próbach udało mi się również ten proces odwrócić.

Ćwiczyliśmy codziennie. Byłem coraz lepszy. Kilka razy przyparłem go do ściany chaty i zmusiłem do rozpaczliwej obrony. Zawsze udawało mu się wybrnąć i to ja z kolei musiałem się bronić, ale i tak miałem satysfakcję.

Kiedys przyszedł i bez słowa rzucił mi floret pod nogi. Nie chciało mi się ćwiczyć. Byłem zmęczony. Potwornie zmęczony. Po głowie zaczynała kołatać mi się myśl o odejściu z tego miejsca. Zieleń pojawiła się już wtedy na łąkach i drzewach, w ciągu dnia mocniej grzało słońce.

Stałem w pozycji, z jedną nogą wysuniętą do przodu. Ale byłem nieuważny i roztargniony. Za pierwszym razem Mime łatwo wytrącił mi broń z ręki. Za drugim zaczął sapać z irytacji, bo moje parady były leniwe i niedbałe. On był mistrzem, fanatycznie zakochanym w szermierce. Nie mógł bez tego żyć. Ja mogłem.

Natarł na mnie ostrzej i zmusił do obrony. Zacząłem parować szybciej, ale opóźniałem pracę nóg, broniłem się niezgrabnie, poniżej swoich możliwości. Nie chciałem z nim walczyć. Naprawdę nie chciałem.

Nie wiem, w którym momencie znów zobaczyłem ten dziki błysk w jego oczach. Trudno mi powiedzieć, co się wtedy właściwie stało. Nie byłem jeszcze zbyt wprawny we władaniu magią. Mime zrobił wypad, a ja uchyliłem się przed pchnięciem, przerzuciłem floret do lewej dłoni, a prawą posłałem przed siebie wiązkę magicznej energii. Rozbłysło. Odrzuciło starca do tyłu. Wylądował w błocie, na chudych pośladkach, z szatą zadartą do pasa. Trudno opisać wyraz jego twarzy.

Nie powinienem był tego lekceważyć. A ja rzuciłem floret, odwróciłem się z uśmiechem i pomaszerowałem przed siebie, prosto do mojego szałas. Zabrałem się za szycie torby ze skóry za pomocą rzemienia i kościanej igły, bo ostatecznie już postanowiłem stamtąd odejść.

Tej nocy obudził mnie potworny ból. Jakby ktoś ścisnął moje prawe ramię rozpalonymi szczypcami. Ocknąłem się i w blasku pochodni zobaczyłem oczy Mime'a, przekrwione i płonące jakąś emocją, która bardzo przypominała głód. Wokół mojej ręki owijał się niematerialny bicz barwy czarnego dymu i ognia. Wyłem. A on mamrotał. Magiczne formuły i zwykłe przekleństwa.

– Nie będzie... lepszy czarodziej... ani lepszy szermierz... – wydukał.

Szarpałem się, ale to tylko potęgowało ból. Wrzeszczałem i kląłem. Płakałem.

W końcu Mime mnie puścił. Wokół prawej ręki, od dłoni aż do ramienia, miałem pulsujące czerwone pręgi. Była jak nie moja. Z trudem nią poruszałem.

Starzec podniósł się bezszelestnie i wyszedł. Choć z bólu tańczyły mi przed oczami jaskrawe plamy, pognałem za nim w mrok. Księżyc wyszedł zza chmur i rozświetlił polanę przed chatą. Na jej środku majaczyła mi zgarbiona sylwetka Mime'a.

Rzuciłem się na niego z wrzaskiem. Odwrócił się ku mnie. Lewą ręką wyrwałem tkwiący w ziemi floret i wbiłem mu go z impetem prosto w serce. Patrzyłem, jak upada na kolana, z tym bezdennym zdziwieniem w oczach.

Chwilę trwał tak, zaciskając dłonie na sterczącym z piersi ostrzu, a potem powoli, ciężko się przewrócił.

Nie wiem, czemu florety w środku nocy tkwiły wbite w ziemię na placu. Zawsze starannie owijał je w naoliwione szmaty i chował do skrzyni. Czyżby ćwiczył? I może zastanawiał się przy tym, czy wykonać swój zamysł, odbierając mi zręczność i siłę? Nie mam pojęcia. W tamtej chwili pytanie o przyczyny przestało mieć znaczenie.

Usiadłem na progu chaty i siedziałem tak do świtu. Prawa ręka wciąż była bezwładna i bolała. Nie potrafiłem zdobyć się na wyrzuty sumienia ani litość wobec Mime'a, ani nawet na przerażenie własnym czynem. Czułem kompletną pustkę.

W końcu wzeszło słońce, oświetlając nieruchome ciało, w którym tkwiło ostrze floretu. Starzec wyglądał jak niezgrabny żuk, przebity olbrzymią szpilką. W pobliżu chaty wykopałem płytki dół i złożyłem w nim ciało Mime'a. W ręce włożyłem mu podręcznik szermierki, a u boku umieściłem oba florety, starannie zawinięte w natłuszczone płótno. W żaden sposób nie oznaczyłem grobu, bo nie miałem pojęcia, jak się za to zabrać.

Przesiedziałem potem resztę dnia w słońcu przed chatą, nie mając siły ani powodu, żeby się stamtąd ruszyć. Noc spędziłem otulony pledem, przy żarzącym się ognisku. Nie chciałem ani wracać do swojego szałas, ani nocować w chacie.

Dopiero następnego dnia wziąłem się za porządkowanie i pakowanie rzeczy na drogę. Wypuściłem kozy z zagrody. Być może zabłąkają się w pobliże jakichś zabudowań i znajdą nowych właścicieli. Miałem nadzieję, że nie zostaną pożarte przez wilki, ale nie widziałem sposobu, żeby temu zaradzić.

Przeszukałem chatę. Znalazłem trochę zeschłego sera, worek kaszy, polec niezbyt świeżej słoniny. Starannie owinąłem w płótno dwie księgi o magii i włożyłem je do podróżnej torby. Wyciąłem długą gałąź i wystrugałem sobie z niej solidny kostur. Zabrałem ciepły pled i kamizelę z kozich skór, hubkę, krzesiwo i mały kociołek. Z narzędzi po namyśle wybrałem tylko solidny nóż.

Nie wiem, jak to się stało, ale dopiero pod koniec moich poszukiwań wszedłem do odgradzonej skórzaną płachtą komórki, która wcześniej wydawała mi się spiżarnią czy czymś takim. Stał tam stół z różnymi medycznymi utensyliami. Zwieszały się nad nim pęki suszonych ziół. Nagle zakręciło mi się w głowie i musiałem usiąść na stojącym obok zydlu. Na stole leżały rozwinięte bandaże, a obok nich stał moździerz, w którym ktoś ucierał maść, złożoną z oliwy i przeróżnych mocno pachnących składników. Dzieło wyglądało na nieukończone.

Gapiałem się na to bezmyślnie. Mime co prawda okaleczył mnie, ale zamierzał opatrzyć moje rany. Nie mam pojęcia, co działo się w jego pokrytej brudnymi

kudłami głowie.

Nabrałem trochę maści na dłoń i rozsmarowałem po czerwonej pędrze, widocznej na przedramieniu. Zapiekło jak siedem nieszczęść, ale potem zaczerwienienie zaczęło stopniowo ustępować.

Następnego dnia wyruszyłem.

Jardal zamilkł na chwilę. Cisza przedłużyła się i zawisała między nimi. On czekał, ona milczała. Było zbyt prawdziwie, żeby mogły paść głupie, fałszywe słowa o wybaczeniu.

– Musisz z tym żyć – powiedziała w końcu. Odrobinę się przesunęła, natrafiając na uwierającą w plecy gałązkę. – A ja nie będę cię potępiać, jeśli o to chciałeś zapytać. Ani usprawiedliwiać.

Tym razem milczenie było dobre. I długie.

– Chodźmy stąd – powiedział w końcu Jardal. – Ta woń wychodka może zabić. Jeśli nie od razu, to przynajmniej stopniowo.

Mitria odpowiedziała krzywym uśmiechem.

Z gąszczu jeżyn, głogów i tarniny wyleciała nieduża sowa. Pod nadkruszonymi zębem czasu murami zamku przemknął wielki bury kot.

*

Caitlinn siedziała na drewnianych schodach wiodących na strych i płakała. Rozcierała łzy na twarzy, a że dłonie miała brudne, bo właśnie przerwała w połowie sprzątanie, efekt był niespecjalny. Blond włosy, zwijające się w naturalne loki, w nieładzie spadały jej na policzki, a błękitne oczy były teraz podpuchnięte i zaczerwienione. Obok leżała porzucona miotła, stało wiaderko brudnej wody i popielnik z piaskiem, którym szorowała sprzęty. Popatrzyła na to wszystko i ze złością kopnęła wiadro. Trochę wody rozchlapało się na drewnianą podłogę. Zagryzła zęby, wstała, otrzepała sukienkę i z powrotem wzięła się do sprzątania.

Zagryzła pulchne wargi, myśląc o tym, że on znowu nie wróci na noc. Albo, co gorsza, przyjdzie, ale nie będzie chciał jeść wieczerzy i po raz kolejny jej powie, żeby wracała do rodziców. A Caitlinn bardzo nie chciała wracać. Miała dopiero dziewiętnaście lat, ale była przekonana, że doskonale wie, czego chce. Inni w wiosce patrzyli na nią krzywo, bo choć starało się o nią kilku chłopców, synów całkiem zamożnych rybaków, wszystkim odmówiła. Woląла zamieszkać z czarodziejem. Jej rodzice nie należeli ani do bardzo biednych, ani do wyjątkowo bogatych, ale Caitlinn była śliczna i wiedziała o tym. Głowę nosiła wysoko. Wiedziała, że on nie będzie mógł jej poślubić – to, że czarodzieje się nie żenią, było faktem powszechnie znanym. Ale w wiosce opowiadali o jednym takim starym magu, który mieszkał kiedyś kilka mil od wioski, że żył z Enne,

zwaną Wiedźmą, do samej śmierci, jak mąż z żoną. A Enne pochodziła przecież stąd, z Itar. Nawet kilkoro dzieci mieli, choć te w wiosce nie zostały, w świat gdzieś poszły. Caitlinn czuła się za dobra na żonę dla rybaka, już lepiej było zostać kobietą czarodzieja. Cóż z tego, że złe języki szeptały? Otwarcie jej przyganić nikt się nie ośmielił.

Jardalowi było w gruncie rzeczy wygodnie. W dzień krzątała się po domu, zajmowała się gospodarstwem, gotowała ciepłą strawę. W nocy zaspokajała jego zmysły. A poza tym dawała mu spokój. Mógł zamknąć się w izbie i pracować bez obaw, że ktoś będzie go niepokoił. Gdy wracał zmęczony, w kominku płonął ciepły ogień, chata była wysprzątana, a posiłek gotowy. W zamian on zapewniał jej bezpieczeństwo i utrzymanie, pomagał rodzinie, gdy czasem zdarzały się sztormy czy gorsze połowy i zaczynali z trudem wiązać koniec z końcem. To wszystko. Taki układ odpowiadał obojgu.

Ale pewnego dnia Jardal wrócił nad ranem. Samo w sobie nie było to jeszcze niczym dziwnym – w końcu był magiem, miał swoje sprawy i nie zwykł z niczego się tłumaczyć. Zdarzało się, że znikał na kilka dni, a kiedyś nie było go nawet ponad miesiąc. Ale tym razem po prostu oznajmił Caitlinn, żeby się spakowała i wróciła do rodziców, dodając nawet, że jeśli będzie trzeba, da jej odpowiedni posag. Zabrała w węzeł kilka sukienek i wyszła, lekko pociągając nosem. Ale okazało się, że to nie koniec. Uparcie wracała. Na nic się zdawały łagodne perswazje Jardala, ponawiane codziennie prośby, a nawet gniew. Gdy tylko wychodził – a teraz znacznie częściej i dłużej bywał w Emain – pojawiała się w chacie. Sprzątała, gotowała posiłki, robiła pranie. Na noc szła do rodziców, ale czuła się upokorzona i wściekła. We wsi zaczęli się z niej podśmiewać, układać pioseneczki o dumnej ślicznotce, której się wydawało, że za dobra dla rybaka. Jeden z odrzuconych dawniej konkurentów przysłał nawet znowu swaty. Caitlinn ze złości rozbiła matce kamionkową misę i przepłakała cały wieczór.

Parę razy została w chacie do nocy i na próżno czekała, aż on wróci. Późnym wieczorem wślizgiwała się do zimnego łóżka i przesyiała całą noc. Rano zaczynała krzątać się po obejściu, mając nadzieję, że sąsiedzi ją zobaczą i uwierzą, że zdołała wkraść się znów w łaski maga. A z czasem może i on w to uwierzy. Ale okazało się, że nic z tego. Gdy wracał przed wieczorem, grzecznie, ale stanowczo odsyłał ją z powrotem do rodziców. Wydawał się coraz bardziej zniecierpliwiony.

Kilka razy zdarzyło się, że wstała wcześniej, zawiązała włosy chustą i poszła do niego o świcie. Widziała wtedy, jak z parapetu zrywa się do lotu jakiś ptak. Nieduża, rdzawa sowa płomykówka.

Tego dnia Caitlinn znów wstała przed świtem. Przygotowała chleb, ser i piwo dla ojca i brata, którzy wypływali na połów. A potem umyła się przy studni,

włożyła świeżą sukienkę i poszła do chaty czarodzieja. Słońce powoli wstawało znad pól, gdzieś w wiosce piały koguty. Doszła do drzwi i już miała wejść, kiedy wydało jej się, że słyszy jakiś głos. Tknięta nagłym podejrzeniem zrzuciła drewniane saboty i bosą podeszła pod okno. Zajrzała do środka.

Patrzyła zafascynowana, zraniona i wściekła. Nagle zrozumiała wszystko.

Odskoczyła i skuliła się przy ścianie, a obok niej stuknęła otwierana okiennica. Dłoń czarodzieja delikatnie posadziła na parapecie niedużą sowę płomykówkę. Caitlinn usłyszała niezrozumiałe, pełne gardłowych głosek słowa pożegnania.

Ptaka rozwinął skrzydła i bezgłośnie odleciał, wznosząc się ponad poranną mgłę.

*

Komnata przyjęć była pusta, jeśli nie liczyć spacerującej nerwowo Evelyn von Stein. Cztery kroki w jedną, obrót. Cztery kroki w drugą. Echo odbijało się od pustych ścian i stojących pod nimi rzeźbionych skrzyń. Pod środkowym, łukowato sklepionym oknem stał niewielki, ale kosztowny intarsjowany stół i dwa krzesła. Żadnych innych mebli nie było, jakby to połączenie przepychu z ascezą miało uświadomić przybywającym do Emain gościom ogrom wyrafinowania i doskonałości, który naruszyli swoimi niegodnymi odwiedzinami.

Mistrzynie czekała na Hargona z Emmendath. Niecierpliwiła się nie dlatego, że oczekiwała wieści w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie. Evelyn von Stein nienawidziła czekać. Przy całym lekceważeniu, jakie odczuwała dla cudzego czasu, własny wydawał się jej dobrem nie do przecenienia. Czekanie było czymś, co powinno przytrafiać się innym.

Uważała, że ma powody, by być z siebie zadowolona. Kryzys został zażegnany. Zdołała uspokoić wysłanników króla Enneady, a władcom tych wszystkich małych kraików, które można razem wzięte przejechać konno w dwa dni, zdołała wmówić, że Kapituła, z zasady apolityczna, nie ma nic wspólnego z listami dotyczącymi spisku. Zapewne były dziełem pojedynczego szaleńca, który przepadł gdzieś, potknąwszy się o własne knowania, ale na pewno nie czarodzieja. Evelyn osiągnęła własne cele w stopniu, o którym nawet bała się marzyć. Posłużyła się Glinianą Pieczęcią i zapanowała nad wszystkimi magami w Emain. Grała na ich umysłach. Mogła do woli wodzić ich za nosy. Dziwiło ją więc i irytowało, że czuje się niespokojna. Pomiedzy nią a innymi zawisło coś na kształt nieprzejrzystego woalu, złożonego z dystansu i braku zaufania, a niekiedy wręcz z trudem skrywanego obrzydzenia.

Biblioteka ziała pustką, bardziej niż kiedykolwiek tajemnicza i przerażająca, ale zdrowy instynkt podpowiadał Evelyn, żeby nie spieszyć się z następstwem na

stanowisku Bibliotekarza. Kusiło ją, by obarczyć tą funkcją kogokolwiek, pokazać, że Tore wcale nie był niezastąpiony. Powstawał tylko mały problem: Tore naprawdę był niezastąpiony. Magowie omijali jednak na razie Bibliotekę i nie wchodzili nawet za jej próg, nie mówiąc o samotnym zapuszczaniu się na wyższe poziomy.

Pozostawał jeszcze Adelard z Tradivy. To on wpadł na trop samotnych knońców Torego, przechwycił część listów, zapuścił się na dwory Medii i Enneaady, umiejętnie zamazał sprawę. Miał wrodzony talent dyplomatyczny i umiał czarująco kłamać. Zdobył jednak w ten sposób przewagę, która irytowała Evelyn. Zaczynał ją traktować protekcyjnie, nieledwie z pogardą. A Mistrzynie nie tolerowała żadnych prób nadszarpnięcia swojego autorytetu. Teraz widziała, jak czasem w jej obecności rozmowy milkną, a twarze odwracają się w bok. Aurelianus z Xanty wyjechał następnego dnia po Wielkiej Radzie, nawet nie zadając sobie trudu pożegnania się z nią. Inni również umykali z Emain, chyłkiem bądź otwarcie.

Podeszła do okna. Na dziedzińcu słychać było turkot wozów. Słudzy rozładowywali beczki z winem, solone ryby i gomółki sera. Wzrok Evelyn przykuło jakieś drobne zdarzenie przy zachodnim murze. Ktoś wyprowadził konia ze stajni. Niewysoka postać, okryta burą oponczką. Pucółowate policzki, kasztanowe włosy. Pochylona głowa, powieki zaciśnięte, jakby skrywały łzy. Adalia z Bergen. Obróciła się w siodle. Ktoś ją zawołał. Inna. Drobną, rudowłosa.

Adalia poczekała. Schyliła się i uścisnęła tamtą. Coś do siebie mówiły. A potem Adalia popędziła konia i wyjechała przez główną bramę Emain Avallach, znikając Mistrzynie z oczu.

Ktoś zastukał, a potem zaskrzypiały drzwi. Hargon wszedł i z wahaniem zatrzymał się tuż za progiem.

– Pani...

– Cóż znowu? – Dała mu odczuć swoje zniecierpliwienie. Schował głowę w ramionach. Evelyn wyczuła jednak poza tym gestem coś więcej niż zwykłą obawę przed jej gniewem i poczucie winy z powodu spóźnienia. Ze skulonej postawy, z rozbieganych oczu i obronnie założonych przed sobą dłoni Hargona wyzierał strach.

– Czy wykonałeś wszystkie polecenia? – zapytała niewinnie. – Co powiedział Odo Trevelius?

– Podporządkuje się rozkazom. – Hargon przełknął ślinę. – Adepti będą gotowi, by przejść wtajemniczenie.

Evelyn z zadowoleniem skinęła głową.

– A Adelard?

– On... również wykona wszystko, co teraz i w przyszłości będzie do niego należało. Jak sądzę. Jeśli otrzyma bezpośredni rozkaz. Ośmielę się zauważyć, pani, że właśnie takie rozkazy powinnaś do niego kierować. Jest krnąbrny.

– Istotnie, Hargonie – parsknęła. – Ośmielę się zauważyć, że to dostrzegam.

Zadrżał. Evelyn von Stein odnotowała to z satysfakcją. Skinęła ręką na znak, że Hargon może odejść, ale on wciąż tkwił przy drzwiach, nieruchomo i z półotwartymi ustami.

– Masz jeszcze jakąś sprawę? – spytała z irytacją.

Skinął głową. Grdyka skakała mu nerwowo. Evelyn nie mogła patrzeć na jego blade, wiecznie wytrzeszczone oczy, przypominające sadzone jajka. Przez chwilę martwo poruszał ustami, aż w końcu wyrzucił z siebie:

– Ta adeptka... A raczej dziewczyna, która chce zostać adeptką. Ciągłe czeka.

– Niechże ktoś się nią zajmie. – Mistrzynie westchnęła, demonstrując znudzenie. – Ma talent?

– Za grosz. Ale jest uparta. Tkwi tu od rana i błaga o posłuchanie. U ciebie, pani.

Evelyn skrzywiła usta. Hargon skulił się jeszcze bardziej.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Wprowadź ją.

Łagodność, pomyślała. Teraz czas na łagodność. Niech oni zobaczą, że jestem ludzka, przystępna... Że jeśli stosuję prawo z całą surowością, to dlatego, że taka jest konieczność.

Zdjęła na moment z palca jeden z pierścieni i wsunęła go z powrotem. Potem zacisnęła dłoń na łańcuszku z czarnego metalu. Gliniana Pieczęć zawibrowała delikatnie. Razem z mrowieniem w palcach przyszła niewyraźna pokusa.

– Pani...

Z miną winowajczynie wypuściła z rąk Pieczęć i poczuła, jak jej ciężar z powrotem układa się na piersi. Dziewczyna, którą wprowadził Hargon, była młodziutka i bardzo ładna, choć teraz miała w sobie również coś ze zmokłej kury. Piękne blond włosy lepiły się do czoła, rzęsy były jeszcze wilgotne, a oczy czerwone. Zwyczajem wiejskiej dziewczyny pociągała nosem. Szlachcianka miałaby przynajmniej chusteczkę – pomyślała krytycznie Evelyn.

– Czego sobie życzysz, dziecko? – zapytała, gdy przybyła ukłoniła się niezgrabnie i z zakłopotaniem.

– Chcę się uczyć na czarodziejkę, pani – usłyszała odpowiedź. Śmiała, bez drżenia głosu.

– Czy przeszłaś testy?

Brak odpowiedzi.

– Leta Therrus sprawdzała jej zdolności – pospieszył z wyjaśnieniem Hargon.

– Nie ma żadnych.

– Miewam sny – powiedziała z uporem dziewczyna. – Zdarzało mi się ludziom z naszej wioski przepowiadać przyszłość. Mogę być wieszczką.

Mistrzynie i czarodziej popatrzyli na siebie zakłopotani.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, panienko – Hargon przybrał ojcowski ton – ale my się tu nie zajmujemy wieszczaniem. Przyszłości nie da się przepowiedzieć. Wszechświat jest, jakby to rzec, trochę bardziej skomplikowany...

– Ale Enne Wiedźma... – zaczęła z rozpaczą Caitlinn.

– Nie wiem, kim była owa Enne, ale z pewnością dobrze zarabiała na życie – stwierdził czarodziej. – Pójdź, panienko, nie trzeba Mistrzynie głowy zawracać.

Wziął ją dobrotliwie za ramię, ale wyrwała się, rzuciła do nóg Evelyn i przywarła do nich rozpaczliwie.

– Nie odsyłaj, mnie, pani! Ja do wioski nie wrócę. Muszę być czarodziejką!

Mistrzynie spojrzała na klęczącą z zażenowaniem i niesmakiem.

– Nikt nie musi być czarodziejem ani czarodziejką – wycedziła. – To kwestia wolnego wyboru i pewnych wrodzonych predyspozycji, których, jak mnie właśnie zapewniono, nie posiadasz, zatem...

– Ale ja muszę! – Dziewczyna rozszlochała się histerycznie. – Bo inaczej on mnie kochał nie będzie. W wiosce się ze mnie śmieją. Ja tam wrócić nie mogę, aż on znowu mój będzie. On. Czarodziej.

W oczach Evelyn coś błysnęło. Przyjrzała się klęczącej z zainteresowaniem.

– Dziękuję ci, Hargonie, bądź uprzejmy nas zostawić. Chyba muszę sama wysłuchać opowieści o problemach tej młodej kobiety. – Uśmiechnęła się czarująco.

Czarodziej szybko opuścił komnatę. Na skojarzenie, że równie zalotnie mogłaby się uśmiechać trupia czaszka, miał zbyt mało wyobraźni.

Mistrzynie pochyliła się nad Caitlinn i wręczyła jej własną chusteczkę. Batystową, obrębianą koronką.

– Uspokój się, drogie dziecko. Chodź, usiądziemy sobie i porozmawiamy.

*

Promień słońca rozświetlił złotymi refleksami kryształowy kielich, pełen połyskującego rubinowo wina. Okno wychodziło na dziedziniec, rozgrzany całodziennym żarem. Jakiś wóz właśnie odjeżdżał z turkotem. Na bruku kładły się już długie, popołudniowe cienie zachodnich baszt. Dłonie Caitlinn skubały brzeg fartuszka.

Evelyn podniosła dzban i nalała. Dziewczyna, zachęcona po raz kolejny do picia tonem pełnym maskowanej dobrocią groźby, wzięła pucharek drżącą dłonią

i wypła głęboki łyk, krztusząc się przy tym i rozchlapując kilka kropel na stół. Mistrzynie natychmiast wytarła rozlane wino serwetą.

– Spróbujmy powtórzyć to sobie jeszcze raz – powiedziała. – Jesteś pewna?

Nerwowe skinienie głową. Dziewczyna po raz kolejny sięgnęła po kielich i wypła do dna, tym razem już dobrowolnie. Zaniosała się krótkim kaszlem i wierzchem dłoni otarła łzy. Evelyn przez chwilę obserwowała ją z niesmakiem, po czym znów przywołała na usta wymuszony uśmiech.

– Skąd wiesz, że to była czarodziejka? – zapytała.

Caitlinn nigdy wcześniej nie piła wina. Teraz mocno zacisnęła dłoń na krawędzi stołu, bo świat wokół zrobił się jakiś dziwnie niestabilny. Bezradnie rozejrzała się po komnacie. Krawędzie zdawały się pulsować i rozpływać. W rogu, tuż przy parapecie okna, pajak upłół całkiem sporą sieć. Tkwiły w niej pozostałości minionych posiłków, małe i wysuszone.

– Skąd wiesz? – Mistrzynie powtórzyła pytanie. – Nie widziałas przecież, co się stało.

– Głos słyszałam. Kobiety. – Caitlinn czknęła i zakryła dłonią usta. W głowie szumiało jej coraz bardziej. Komnata zaczynała wirować. – A nad ranem ona zawsze w sowę się odmienia i odlatuje.

– Ale nie zaobserwowałaś przemiany?

– Nie. – Dziewczyna skuliła się w sobie. – Bałam się, że mnie dostrzegą, jak w okno się wślipiam. Ale to zawsze tak – powtórzyła z uporem i popatrzyła na pucharek. Pociągnęła nosem.

Evelyn zauważyła jej spojrzenie i dołała wina.

– Żegnają się, a potem on okiennice rozwiera i sowę wypuszcza... A w chacie nie ma nijakiej kobiety.

Spora, zielonkawa mucha wleciała przez otwarte okno. Kręciła się przez chwilę po komnacie, brzęcząc natrętnie, aż w końcu uwięzła w pajęczej sieci. Spróbowała się uwolnić, ale gęsta, kleista siatka oblepiła jej tułów i skrzydła. Bzyczenie stało się irytujące.

– A jemu na imię... powtórz jeszcze raz. – Evelyn obserwowała, jak dziewczyna drżącą dłonią podnosi do ust pucharek.

– Jardal. Mistrz Jardal go wołają. I płaszcz nosi szary. Powiadają, że on w samej Kapitulie zasiada... I... pani...

– Tak, drogie dziecko?

– Ja widziałam, jak on na odwieczerz w kota burego się odmienia i wychodzi! Widziałam! – wyrzuciła z siebie.

Mistrzynie popatrzyła na nią uważnie, a potem odsunęła kielich z zasięgu jej dłoni.

– Ależ wierzę ci – powiedziała uspokajająco. Stół najwyraźniej znów wymagał przetarcia serwetą. – A jak długo on już mieszka w waszej wsi?

– Będzie rok z okładem. Dokładnie nie pomnę...

– Nie szkodzi.

Mucha brzęczała coraz rozpaczliwiej. Z kąta wypełził pająk i zaczął się do niej skradać, przemykając zygzakami po sieci.

– No cóż... sądzę, że na dzisiaj wystarczy – powiedziała Evelyn von Stein.

Caitlinn podniosła na nią rozmazany wzrok. I nagle się rozsłochała.

– Nie odsyłaj mnie, pani – chlipnęła. – Jeśli ja czarodziejką będę, to on wrócić do mnie musi...

Evelyn cofnęła się lekko i odsunęła swoją suknię z zasięgu błagalnie wyciągniętych rąk.

– Nie mogę ci nic obiecać – rzekła powściągliwie. – To, czy cię odeślę, czy przyjmę na adeptkę, będzie zależało od twojej gotowości do oddania nam pewnych usług. A co stanie się potem... któż to wie. Niezbadane są kaprysy losu. Czasem nawet wiejska dziewczyna może zostać wybitną czarodziejką. – Słowo „wybitną” wymówiła ze szczególnym naciskiem. Nie była pewna, czy wszystkie informacje, zawarte w tych krótkich zdaniach, prawidłowo zagnieżdżą się w głowie Caitlinn. Prawdę mówiąc, Caitlinn wyglądała, jakby niewiele do niej w tej chwili docierało.

– Dzięki ci, pani Mistrzynie... – wybełkotała, składając głowę i ramiona na stole. Evelyn zasznurowała usta.

Pająk zdołał dopaść muchy. Brzęczenie ucichło.

*

Aresztowali go nad ranem. Wyciągnięta dłoń trafiła w pustkę. Powoli rozwiewał się zapach sandałowca i róży. Ciepło uchodziło z pościeli. Na pograniczu jawy i snu coś powoli szturmowało jego świadomość.

Nagły ból. Kajdany z gwiazdnego żelaza spadły mu na nadgarstki.

Syknął. W pierwszej chwili nie zrozumiał. Zasłonił się skrzyżowanymi ramionami.

– Caitlinn tu nie ma... – wymruczał.

Szarpnęło, gdy ktoś pociągnął za łańcuch.

– Nie chodzi nam o Caitlinn. – Głos zabrzmiał dziwnie znajomo. Hargon z Emmendath. Jar dał rozkleił zaspane powieki i momentalnie oprzytomniał. Komitet powitalny składał się z totumfackiego Mistrzynie oraz kilku adeptów w białych płaszczach. No cóż, mogło być gorzej. Mógł to być Adelard z Tradivy, pomyślał mętnie. Próbował potrząść twarz i o mało nie rozbił sobie nosa o tkwiące na nadgarstkach metalowe obręcze. To go jeszcze bardziej otrzeźwiło.

– Spokojnie – skomentował zausznik Evelyn von Stein. – Nie zrób sobie krzywdy. Wbrew twoim ponurym insynuacjom Mistrzynie troszczy się o twoje bezpieczeństwo i chce cię zobaczyć w całości. Poza tym powinieneś bardziej martwić się o swojego oswojonego ptaka. Mam was oboje, że tak powiem, w klatce.

Jardal dopiero teraz dostrzegł trzymaną przez jednego z biało ubranych adeptów klatkę. Wewnątrz siedziała płomykówka, nastroszona, z połamanymi lotkami.

I było bardzo, bardzo źle.

*

Loch spełniał w najwyższym stopniu wszystkie możliwe oczekiwania. Wydawał się kwintesencją lochu, jego ideą i wzorcem, praprzodkiem wszystkich lochów, w jakich kiedykolwiek zamykano więźniów. Był dokładnie taki, jak trzeba – zimny, wilgotny i zatęchły. Na kamiennych ścianach pięły się wykwitły cuchnącego grzyba. Gdzieś po kątach piszczały szczury. Pod ścianą wisiała na porzewiałym łańcuchu drewniana prycza, zaścielona wilgotną słomą. W kącie stał ceber, od którego cuchnęło zastarzałymi fekaliami. Od korytarza celę oddzielała tylko masywna żelazna krata. Umieszczone wysoko w murze zakratowane okienko przynosiło trochę światła, odrobinę słonego morskiego wiatru i stłumiony dźwięk rozbijających się o skały fal. Czarodziejka z obrzydzeniem odsunęła stęchłą słomę i ostrożnie usiadła na pryczy. Naprzeciwko do muru przytwierdzony był przerdzewiały łańcuch, zakończony obręczą. Wyglądało na to, że kiedyś trzymano tu szaleńca. W kamieniu powyżej widniały wydrapane bezsensowne zbitki runicznych napisów. Mitria obejrzała je starannie. Próbowała odczytać treść, ale oprócz mglistych eschatologicznych przepowiedni, zapowiedzi straszliwych kataklizmów i ewidentnych bredni nie było tam nic, co układałoby się w jakikolwiek sens.

Czarodziejka podciągnęła kolana pod brodę i zamyśliła się głęboko. Oto odkryła nowe oblicze Emain. Przyszła jej do głowy gorzka myśl, że najwyraźniej każdy organizm musi mieć swoją kanalizację. Na górze jasny, świetlisty, ostry jak brzytwa umysł Biblioteki. Na dole kloaka szaleństwa i rozmaicie zaklasyfikowanych przestępstw. Tylko kto ten mechanizm nakręca? Czy magowie z Kapituły są świadomi istnienia lochów? Być może nie wszyscy. A może jeśli ktoś pozna to miejsce, nie ma szans opowiedzieć o tym innym, bo po prostu już się stąd nie wydostanie? Kto zatem?... I jaką rolę w przedstawianiu wyreżyserowanym przez Evelyn odgrywają milczący adepci w białych płaszczach, którzy znali drogę i przekręcali ciężkie klucze w zardzewiałych zamkach? Znają tajemnice niedostępne magom Kręgu. Mitria nie miała

słonności do wiary w tajne stowarzyszenia, zza kulis rządzące światem, ale ta myśl sprawiła, że ciarki przebiegły jej po karku.

Schwymano ich. Co będzie karą za miłość? Dożywotni pobyt w tym miłym miejscu? Publiczny sąd, połączony z dogłębnym upokorzeniem?

Mitria zapragnęła przemienić się. Uciec. Ze wszystkich rzeczy, które ją mogły czekać, najbardziej bała się spojrzeń. Nigdy do nich tak naprawdę nie przywykła. Odkąd pamiętała, ściagały ją na korytarzach i w krużgankach. Szepty, chichoty. Młoda uczona (profesja nieczęsto wybierana, nawet wśród magów), zbyt pochłonięta pracą, żeby porządnie się uczesać. Wykładowczyni w akademii Emain, dziwna samotnica w wąskich sukienkach, z palcami poplamionymi atramentem. A teraz również sowa, nastroszona o świcie, przemykająca po nocnym niebie, łowczyni nietoperzy, wybryk natury.

Kiedy nauczyła się Przemiany, zwanej podobno w dawnych księgach Transgresją Kształtu? Pewnego razu, w miłosnym uniesieniu, po prostu poczuła w sobie moc. Wystarczyło ją uwolnić i użyć posiadanej wiedzy do stworzenia Postaci. Jardal już dawno temu opanował tę sztukę. Najwyraźniej dla niego, jako Wędrowca Światów, zmiana kształtu była łatwiejsza. Kiedyś używał jej rzadko, teraz niemal codziennie. Kocim zwyczajem bezczelnie zakradał się do jej komnat, nierozpoznany przez nikogo wędrował po Emain i równie niezauważony uciekał przed świtem. A z czasem ona zaczęła przylatywać do jego chaty w Itar. Przemiana, wcale nie prosta, okazała się wspinałym doświadczeniem.

Czarodziejka ostrożnie próbowała poszukać umysłu Jardala. Bez rezultatu.

Czas w celi dłużył się, rozciągał, zamieniał w niewiarygodnie pustą wewnętrzną przestrzeń. Wyostrzał zmysły. Mitria czuła kłującą szorstkość słomy, na której leżała. Czuła piwniczną woń zgnilizny i matowy zapach mokrego kamienia, a czasem powiew świeżego powietrza z małego, wysoko położonego okienka. Słyszała szmer szurzących pazurków, drapiących kamienne posadzki, i dźwięk sączących się z sufitu kropli wody. Do jej uszu docierał każdy stukot odległych kroków i każde skrzypnięcie kraty. Ale nikt nie przychodził. Nic się nie działo. Po pierwszej nocy, spędzonej na nerwowym spacerowaniu od ściany do kraty, Mitria chwilami zapadała w sen albo w półsenne, nieprzytomne odrętwienie.

Przypłynęły wspomnienia. Wszystkie te, których nie zdążyła opowiedzieć.

*

Szorstki i ostry jak chłaśnięcie biczem głos ciotki Adeliny. Szara sukienka, mokra od deszczu, lepiąca się do pleców, ramion, pośladków i nóg. Dreszcze.

– Melindo, wyraźnie zabroniliśmy ci pójścia na ten pogrzeb. – Głos ciotki wibruje irytacją. Jej zmarszczony nos wyraża obrzydzenie, a uniesiony

podbródek pogardę. Patrzy z wysokości swojego krzesła na coś tak małego i nieważnego jak ta – poźalcie się bogowie – bratanica. Nigdy nie używa imienia Mear. Jeśli już musi, brzmi ono tak, jakby wypluwała z ust coś paskudnego. Zazwyczaj nazywa ją drugim imieniem, nadanym po babci Florelli Melindzie de Villanuova. Ona była prawdziwą arystokratką, a nie iryjską przybłądą, jak matka Mear, która miała przynajmniej tyle taktu, żeby wcześniej umrzeć.

– Musiałam być na pogrzebie własnego ojca. – Dziewczynka dumnie podnosi głowę i patrzy ciotce prosto w oczy. Choć to trudne, kiedy się dygocze z zimna, a przemoczone rude włosy kleją się do czoła.

– Nie musiałaś – cedzi zimno Adelina. – Co więcej, nie powinno cię tam być, ponieważ wyraźnie ci tego zabroniliśmy. Ja i twój wuj.

– Ale...

– Zamilcz. Twój ojciec był nieodpowiedzialnym hulaką. Sprowadził hańbę na ród de Wittenów. Naszym wspólnym obowiązkiem jest okrycie jego pamięci wiecznym zapomnieniem. Zrozumiałaś?

Mear wpatruje się w swoje stopy. Chciałaby zdobyć się na odwagę i powiedzieć ciotce coś naprawdę paskudnego. Ale nie potrafi. Początkowa pewność siebie jakoś się ulotniła, wraz ze ślepym gniewem, który wypalił się jak złamana zapalka. Dziewczynka chciałaby stać wyprostowana i dumna, ale trzęsie się coraz bardziej. Oddycha szybciej, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Nie może się rozplakać. Nie teraz i nie tutaj.

Czuje, jak zaczyna jej cieknąć z nosa. Próbuje dyskretnie obetrzeć go rękawem. Słyszy ciche, pełne dezaprobaty parsknięcie ciotki. Łzy same płyną z oczu i już nie można ich powstrzymać.

Wybiega. Ostry głos Adeliny Sorro, żony Alfreda de Wittena, ściga ją długo. Mear pędzi przed siebie, mija westybul, w którym zbiegają się dwa rzędy schodów, przebiega kilka korytarzy, a w końcu, zdyszana, dopada małych bocznych drzwi. Przemyka przez pokoje służby, potraça w biegu kilka osób, aż dopada do małych pokrzywionych schodków, prowadzących na strych. Tam może wreszcie zaszyć się w kącie pomiędzy starą, skrzypiącą szafą a stertą połamanych krzesel. Ukrywa się tu zawsze, gdy jest źle. Bardzo źle. Tak bardzo, że w piersi załęga się kamień. Wokół jest pełno puszystego kurzu i srebrzystych pajęczyn, a jedyne źródło światła stanowią małe, brudne okienka, umieszczone tuż pod dachem. Na strychu leży też stara, pogryziona przez mole kołdra i kilka spłowiałych ałasowych poduszek. W szafie wiszą znoszone, niezbyt czyste sukienki z oberwanymi falbankami. Mear lubi sobie wyobrażać, że kiedyś, dawno temu, chodziła w nich mama. Ale nie ma co do tego pewności. A w tej chwili nie ma nawet ochoty się nad tym zastanawiać. Przytula twarz do szafy

i wybucha płaczem. Wiszące obok sukienki są jak starzy przyjaciele, którzy przyjmą każdy ból w milczeniu i ze zrozumieniem.

*

Mitria przewraca się na drugi bok, czując piasek pod powiekami. Zapach lochu jest inny od woni starego strychu, bardziej wilgotny i ostrzejszy. Przytulanie policzka do pryczy nie daje pociechy.

*

Pilnowano, żeby nie poszła na pogrzeb. Nie dostała czarnej sukienki ani żałobnego welonu. Wypiła szklanekę mleka, którą przyniosła jej miła, starsza ochmistrzyni, i udała, że kładzie się wcześniej do łóżka. Ochmistrzyni w głębi poczciwej duszy żałowała tego chudego, zaniedbanego dziecka. Pogłaskała je po główce. Miała ochotę przytulić do szerokiej piersi, ale nie starczyło jej na to śmiałości. W końcu dziecko było księżące.

Mear odczekała, aż kroki ochmistrzyni ucichną w głębi korytarza, a potem wysunęła się spod kołdry i na paluszkach podeszła do skrzyni. Wyciągnęła szarą sukienkę, najciemniejszą, jaką miała. Welon zrobiła z odciętego dyskretnie nożem kawałka czarnego żałobnego tiulu, owiniętego wokół ramy portretu dziadka Adeliny Sorro. Strzepił się na brzegach i w ogóle wyglądał jak coś wyciągniętego ze schowka na miotły, ale przynajmniej był. Poczekala przez kilka uderzeń serca, nasłuchując, czy nikt nie idzie. A potem wdrapała się na szeroki parapet, wysunęła przez okno, chwyciła zdrewniałych pędów oplatającej mur winorośli i ostrożnie opuściła się na dół. Wędrówka przez dwa piętra obejmowała kilka gwałtownych osunięć, gdy Mear traciła oparcie dla nóg, oraz mnóstwo otarć, syknięć, zadrapań i momentów zamierania z przerażenia, że ktoś ją zobaczy. Jednak ta strona zamku wychodziła na poprzerastany krzewami porzeczek warzywny ogród i prawie nikt tędy nie chodził. Kiedy dziewczynka dotknęła wreszcie ziemi, była cała podrapana, brudna i pokryta zielonymi strzępkami liści. Szara sukienka z cienkiej wełny przedstawiała z przodu widok godny pożałowania. Żałobny welon, zrobiony z paska postrzępionego tiulu, który owinęła na razie wokół szyi, i tak nie mógł już wyglądać gorzej. Poza tym, jak uświadomiła sobie ze zgrozą, nie zabrała ze sobą chusteczki. A zaczynało zbierać się jej na płacz.

Dotarła na cmentarz na krótko przed czasem, przemykając przez zarośla. Grób wykopano na zachwaszczonym kawałku ziemi tuż pod murem, obok spróchniałego, pochylonego drzewa. Daleko od wielkiego, wspaniałego grobowca de Wittenów, który pysznił się bielą marmurów tuż obok kaplicy bóstw Środka Świata. Ale równie daleko od małego, bezimiennego grobu, w którym

wiele lat temu pochowano matkę Mear. Niebo zaciągnęło się szarymi chmurami i zaczął padać deszcz, odciskając wgłębienia wielkich kropli na świeżo rozkopanej, gliniastej ziemi. Dziewczynka w podartej sukience zadygotała. Otuliła się tiulowym szalem, który nie dawał nawet odrobiny ciepła. Od strony bramy rozległy się głosy.

Nie było się gdzie schronić. Pozostał pokruszony zębem czasu pobliski grobowiec, w którym złożono członków jakiegoś wymarłego arystokratycznego rodu. Ale zardzewiałe drzwiczki nie dawały się otworzyć. Mear przytuliła się do kamiennej bryły i, schowana za nią, obserwowała tych, którzy nadeszli.

Nie było wśród nich Alfreda de Wittena. Nie było również – dziewczynka odetchnęła z ulgą – Adeliny Sorro.

Nie było prawie nikogo. O mały włos zabrakłoby również samego zmarłego, tak nieważny i nic nieznaczący był to pogrzeb.

Czterech mężczyzn zsunęło z drewnianych noszy ciało owinięte w biały całun. Idący za nimi kapłan wymamrotał pod nosem jakiś hymn. Grabarze wzięli się za łopaty i rzucali na zwłoki ciężkie, gliniaste grudy ziemi, które upadały z mokrym pacnięciem. Szust, pac. Szust, pac.

Rudowłosa dziewczynka szlochała bezgłośnie, z otwartymi ustami, nie mając kiedy zaczerpnąć oddechu.

*

Mitria, która nie jest już Mear, przewraca się na kłującym posłaniu ze słomy.

*

Księżniczka. Podobno jest księżniczką. Szepty, chichoty, plotki. Spojrzenia. Na znoszoną sukienkę. Na poplamione atramentem dłonie. Nieuczesane włosy.

Szmer dziewczęcych głosów w korytarzach Emain, który zamierał na dźwięk jej kroków.

Nieprawda, jestem córką uczonego. Nazywam się Mitria z Cantaleny.

*

Najgorsze wspomnienie? Można je opowiedzieć. Najboleśniesz. Najbardziej rozziewające. Ale czy można opowiedzieć to najbardziej upokarzające?

Od kominka bije przyjemne ciepło. Mear siedzi tuż przy palenisku, otulona postrzępionym kocem, z książką w ręku. Opowieść jest ciekawa, tak ciekawa, że Mear nie słyszy skrzypnięcia drzwi. Obecność dziewcząt zauważyła dopiero wtedy, gdy podeszły i zajrzały jej przez ramię.

– Pozwalacie służącym wygrzewać się przy ogniu i do tego brać księgi z waszej biblioteki? – Ostry, świszczący głos przerywa ciszę tuż nad uchem

siedzącej.

– To nie służąca – mówi ktoś inny tonem pełnym szyderstwa. Mear poznaje Julię de Witten. – To moja kuzynka. Wybaczcie, jest zupełnie szalona. Pozwalamy jej robić, na co ma ochotę, bo inaczej płacze i wrzeszczy.

Na policzki Mear wypełza rumieniec. Próbuje patrzeć w książkę, ale litery tańczą jej przed oczami.

Chichoty.

– Twoja kuzynka? Więc czemu nie przyszła na bal? – pyta inny głos, dźwięcznie roześmiany, cieniutki i piskliwy.

Julia wydyma usta i wzrusza ramionami.

– Pewnie nie ma odpowiedniej sukienki – stwierdza tonem autorytetu inna dziewczyna, wysoka i czarnowłosa. W jej misternie zaplecionych włosach tkwią perły. – Wstydź się, Julio. Powinnaś była o nią zadbać.

– Ależ zadbałam – chichocze de Wittenówna, zasłaniając usta wachlarzem z piór. – Przysłałam jej odpowiednią suknię przez moją osobistą pokojówkę. A ona, wyobraźcie sobie, odmówiła włożenia jej.

Śmiechy i westchnienia pełne niedowierzania. Mear czuje, że jej policzki płoną. Przetyka ślinę i patrzy w przestrzeń, gdzieś pomiędzy krawędzią książki a paleniskiem kominka. Patrzy na siebie oczami tych dziewcząt. Pięknych, wystrojonych, pachnących. Widzi wychudzone, rozczochrane stworzenie w prostej zielonej sukience ze zgrzebnej wełny i wytartym kożuszku. Na nogach, opartych o drewniany podnózek, ma grube zimowe skarpety, a nie jedwabne pończoszki. To prawda, Julia przysłała jej suknię. Nieco za dużą, obszerną, wyglądającą tak, jakby na spienionej bezie białych koronek ktoś rozpiął krzykliwe różowy parasol i udekorował go mnóstwem czarnych kokardek. Białe koronki i kokardki otaczały również dekolt w kształcie łódki, tworząc wrażenie napuszonego łabędziego tyłka. Mear spojrzała na tę krawiecką pomyłkę i z pogardą rzuciła ją w kąt łóżka. Nawet nie wybierała się na zimowy bal z okazji Dnia Przesilenia. Zdołała wynieść z biblioteki kilka interesujących książek, a poczciwa ochmistrzyni obiecała, że przyniesie jej trochę smakołyków i grzanego wina z korzeniami. Miała świadomość, że jej nieobecność nie zmartwi ani wuja, ani Adeliny Sorro.

Nie przewidziała tylko, że Julia i jej przyjaciółki w przerwie pomiędzy obżarstwem a tańcami wybiorą się w te rejony zamku i zabłądzą aż do jej komnaty.

Rozległy się piski i śmiechy. Któraś z dziewcząt znalazła suknię.

– Ależ to godne bogiiniiii – zapiąła bladorzęsa blondynka w złotogłowi, który niezbyt pięknie kontrastował z jej czerwoną cerą. – Twoja kuzynka po prostu musi to założyć!

Ja tu jestem, pomyślała Mear. Przełknęła ślinę i zamrugła powiekami, żeby odegnać łzy. Jestem tu, czemu mówicie o mnie tak, jakby mnie nie było.

– Stanowczo się sprzeciwiam – odezwała się wysoka brunetka. – Ona nie ma odpowiedniej figury. Ta suknia została uszyta na osobę o obfitszym biuście i dłuższych nogach. Ale nic straconego. Zobaczmy, co ona ma w szafie.

Mear nagle uznała, że ignorowanie głupich i zepsutych arystokratek nie jest jednak najlepszą strategią. Zerwała się z krzesła i jednym skokiem dopadła drzwi szafy, zasłaniając je własnym ciałem.

– Zabawiłyście się już? – syknęła ze złym błyskiem w oku. – Jeśli tak, to wracajcie tam, gdzie wasze miejsce. Na targ.

Dziewczęta skupiły się w szeleszczącą jedwabiami grupkę, spojrzały po sobie, pokręciły główkami, zachichotały, zaszepotały.

– Proszę, proszę – powiedziała pulchna szatynka w gustownej białej sukni, zdobionej drobnymi perełkami. – Toto umie mówić.

Czerwona na twarzy blondynka parsknęła, zasłaniając usta dłonią.

– Tylko nie bardzo z sensem – odparła wysoka brunetka. – Na targ?

– A co wy robicie, oprócz wystawiania się na sprzedaż? – prychnęła Mear, przełykając ślinę. – Stroicie się jak malowane słupy i wypatrujecie odpowiednich mężów.

– Dość tego – krzyknęła Julia de Witten. – Nie będziesz obrażała moich gości.

– Nie. – Oczy Mear zabłyśły w półmroku. – To twoi goście nie będą obrażać mnie.

– Och, jakie toto jest przewrażliwione. – Kąciki ust wysokiej brunetki uniosły się w górę w nieładnym uśmiechu. – Trzeba dowartościować to stworzenie. Tym bardziej musimy przejrzeć zawartość jej szafy.

Ruszyły na nią. Sześć dziewcząt w pięknych, kosztownych sukniach. Ufryzowanych i obwieszonych klejnotami. Przewróciły ją na posadzkę, a potem zawlekły na łóżko, rzuciły twarzą w dół i przywiązały pasami tkaniny oddartymi z jej własnej sukienki. Wiła się i krzyczała, ale nie miała szans. Tłusta szatynka usiadła jej na plecach, z uśmiechem pełnym okrutnej uciechy szarpnęła za włosy i zatkała usta zwiniętą w kłębek chustką. Wcześniej zdarły z niej kożuszek i skarpety.

Julia, krztusząc się ze śmiechu, otworzyła szafę Mear i wraz z dwiema innymi dziewczynami zaczęła wyciągać z niej wszystkie rzeczy, każdą komentując. Niewiele tego było. Kilka skromnych, wypłowiałych i wytartych sukienek. Poszarzała i postrzępiona od wielokrotnego prania bielizna.

Młode arystokratki zataczały się ze śmiechu, udając, że przymierzają każdą z tych rzeczy. Potem odwiązały Mear i zdarły z niej resztki odzienia,

pozostawiając nagą i drżącą. Nie szczędząc szarpnięć, popchnięć i szturchańców, ubrały ją w różową suknię. Ciasno zesnurowały gorset, który wpił się boleśnie w ciało na wysokości żeber. Dekolt za to odstawał i sterczał groteskowo. Przekazując ją sobie z rąk do rąk jak lalkę, usadziły na stołku przed lustrem i zaczęły układać fryzurę, szarpiąc i wyrywając włosy, a jednocześnie bez przerwy zataczając się ze śmiechu. Brunetka, krzywiąc usta w dziwnym grymasie, wepchnęła szczotkę do włosów pomiędzy jej uda, rwąc paskudny różowy atlas i spienione białe koronki.

W końcu się znudziły. Któraś zauważyła, że pewnie już czas na tańce. Ręce, które mocno trzymały Mear, teraz pchnęły ją na podłogę. Szeleszcząc sukniami, dziewczęta wyszły z komnaty. Julia rzuciła jej tylko przez ramię zażenowane spojrzenie. Nie przewidziała, że przyjaciółki posuną się tak daleko.

Mear leżała na zimnej posadzce, zasmarkana, posiniaczona i drżąca. Z miejsca, gdzie ktoś wyszarpnął jej kępkę włosów, ciekła krew. Różowa suknia zwieszała się na niej w żałosnych strzępkach, bo ją również młode arystokratki poszarpały w ferworze zabawy.

Mitria przymknęła powieki. Nie ma już Mear. Nie ma tej, która podpełzła wtedy do wystygłego kominka i na nowo roznieciła ogień. A potem uwolniła się z ohydnej różowej sukni, podarła ją na szmaty i spaliła metodycznie, kawałek po kawałku. Dopiero potem zauważyła, że wciąż jest naga.

Dwa dni później udało jej się namówić starego, życzliwego ochmistrza, by oczyścił zardzewiały zamek w drzwiach jej komnaty i odnalazł klucz. Ten klucz nosiła potem zawsze przy pasku, w jedwabnej sakiewce.

Odnalazła w archiwach dokumenty poświadczające podział majątku de Wittenów. Poszła do wuja Alfreda i zażądała, by oddał jej pozostałość schedy po ojcu. Król początkowo protestował, ale potem ugiął się w obliczu niepodważalnych dowodów, noszących pieczęć jego własnej kancelarii. Ignorując protesty Adeliny Sorro, przekazał Mear niewielki kuferek złota – wszystko, co pozostało po zmarłym Erredzie de Wittenie. A Mear kupiła sobie kilka ascetycznych, ale eleganckich sukien i ciemny aksamitny płaszcz.

Nie odzywała się do Julii. Nie reagowała na próby pojednania, nieśmiało przeprosiny. Nie odzywała się do nikogo.

Całe dni spędzała w bibliotece i skryptorium. Nawiązała kontakty z cantaleńskim uniwersytetem i zaczęła uczęszczać jako wolny słuchacz na kursy astronomii i filozofii przyrody. Namówiła kilku profesorów, by prywatnie uczyli ją starożytnych i współczesnych języków.

A potem na cantaleński dwór przybył czarodziej, Adalbert z Meer. Nie był zbyt bystry, ale to on jako pierwszy odkrył, że Mear ma magiczny talent.

*

Komnata nie miała okien. Nie dano mu żadnego sprzętu oprócz maty do spania. Nie było też światła. Kilka razy ktoś otworzył drzwi, postawił obok nich dzban wody i położył owinięty szmatką kawał chleba. I zostawił świecę. Niedużą, prawie ogarek, ale nawet to było cenne w ciemnościach. W jej świetle Jardal mógł zobaczyć drewnianą podłogę i szare kamienne ściany. Nie było w zasadzie na co patrzeć, ale brak światła przygnębiał. Czas płynął nieskończenie wolno, ale on miał doskonały wewnętrzny zegar. Dwa dni. Tyle upłynęło, odkąd go tu zamknęli. Zarost na podbródku był już wyraźny.

Obraz sowy bijącej skrzydłami o pręty klatki pulsował mu pod powiekami. Bardzo chciał mieć nadzieję, że Evelyn nie pozwoli skrzywdzić swojej najlepszej uczennicy. Chwilami jednak nadzieja rozwiewała się wraz ze świadomością, że nawet to, co się w tej chwili z nim dzieje, jest wbrew prawu. Żadnemu czarodziejowi, nawet samej Mistrzynie, nie wolno pozbawiać drugiego wolności bez postawienia mu zarzutów, bez sądu przed Kapitułą. A jednak to się działo.

Usiadł pod ścianą, krzyżując nogi. Zwiesił ręce wzdłuż kolan i postarał się maksymalnie skoncentrować. Mimo usilnych prób nie wyczuł umysłu Mitrii, co, jak mu się wydawało, nie byłoby trudne, gdyby znajdowała się gdzieś w pobliżu, na przykład w sąsiednim pomieszczeniu. W ogóle wyczuwał niewiele życia, jeśli nie liczyć buszujących w ścianach myszy.

Siedząc beczynn timer, wyczuwał mury Emain, ich chwiejną, poszarpaną aurę. Odpryski rzucanych przez wieki czarów.

Spróbował zasięgania, ale zamek Emain odrzucił jego umysł, łatwo, wręcz lekceważąco. Jakby ktoś wypluwał pestkę.

Jardal był sam. Przerażliwie, niewyobrażalnie sam.

*

Przyszli po niego biało ubrani adepci. Wynurzył się na oświetlony pochodniami korytarz – blady, potargany, zarośnięty, mrużąc odzwyczajone od światła, zaczerwienione oczy. Poprowadzili go labiryntem korytarzy i krętymi schodami w dół. Mimowolnie, nie zastanawiając się, dlaczego i po co, zapamiętywał drogę. Dwa zakręty w lewo. Prosto. Następny w prawo. Małe drzwi. Spirala schodów. Lochy. Wąski korytarz. Rząd pustych, zakratowanych cel. Odsuwają jedną kratę, rozkuwają go i wpuszczają do środka. I nagle pewność: Mitria tu była. Rozwiewający się w powietrzu zapach jej włosów i skóry, woń sandałowca i róży, wyraźny, bardzo wyraźny ślad umysłu.

Przyszła po godzinie. W czarnej aksamitnej sukni, zmiatając podłogę srebrzystym płaszczem, z włosami gładko upiętymi w kok i nieco sztywnym uśmiechem. We wgłębieniu dekoltu, na łańcuszku z czarnego metalu, kołysała się

Gliniana Pieczęć. Jardal nawet z odległości wyczuł magnetyzm silnego magicznego artefaktu. Biało ubrani adepci otworzyli kratę i wstawili proste drewniane krzesło z oparciem, które nakryli błmem z kunich skór. Evelyn usiadła, sadowiąc się wygodnie i prostując kręgosłup do granic niemożliwości. Nie chcąc stać w jej obecności, czarodziej musiał usiąść na pryczy. Słomę ktoś już przed nim odgarnął w tył. Przesunął dłonią po desce. Zawibrowało. Coś ścisnęło go w gardle.

– Witaj, Jardalu – powiedziała spokojnie Mistrzynie.

Jakby nic się nie stało. Pomyślał, że właściwie czego innego można się było po niej spodziewać. Jednak konwencjonalność powitania przyprawiła go o grymas obrzydzenia.

– Witaj, Evelyn – powiedział sucho.

Nie spodziewał się, że będzie łatwo. Znał Mistrzynie. Przypuszczał, że będzie krążyła wokół tematu przez długie kwadransy, zmuszała go do uników i męczącego odgadywania jej myśli, zanim wreszcie sformułuje kluczowe pytanie i uderzy wprost.

– Jak długo to trwało?...

A jednak uderzyła.

– Nie twoja sprawa – odparował.

– Jednak chyba moja. – Uśmiechnęła się. Złowieszczo.

– Wiesz, jest takie niepisane prawo. – Jardal postanowił zagrać ostro. – Czarodzieje nie rozmawiają o prywatnym życiu.

– Ale prywatne życie dwojga czarodziejów przestaje być sprawą prywatną – odparła. – Jest takie prawo. Pisane.

Przeholowałem, pomyślał. A Evelyn zaczęła chyba postępować wbrew swoim zwyczajom, bo jej pytania zmierzały wprost do sedna.

– Jak zamierzasz się z tego wytłumaczyć?

Wzruszył ramionami.

– Ostrzegam cię, Jardalu, nie ignoruj mnie. Mogę cię wyciągnąć na powierzchnię lub utopić.

– Nie wątpię.

– Więc?

– Więc co?

Mistrzynie nabrała oddechu.

– Od jak dawna spotykasz się z Mitrią? – zapytała wprost.

Jardal udał, że sklepienie lochów stanowi wyzwanie dla wyobraźni i bardzo interesujący obiekt obserwacji.

– A wiesz, Evelyn, masz w tym swój udział – odparował. – Od pamiętnego ostatniego wieczoru Torego Harberga.

Uśmiechnęła się sztucznie, nerwowo. Wstała z krzesła i podeszła do kraty. Czarodziej obserwował jej ostry profil. Tył głowy oświetlały ukośne promienie słońca padającego z maleńkiego okienka pod sufitem. Zdawało mu się, że Evelyn powstrzymuje łzy. Ale chyba powstrzymała je naprawdę dobrze. Potem odwróciła się do niego i powiedziała:

– Chyba wyczułeś, kto tu przed tobą był?

Skrzywił się. Sugerowanie, że jestem idiotą, nie wychodzi ci najlepiej, pomyślał, ale i tym razem ugryzł się w język.

– Nie chcesz dla niej takiego losu, prawda? – kontynuowała z wymuszonym uśmiechem. – Obawiam się zatem, że musisz to sobie przemyśleć. Przede wszystkim – przyznanie się do winy. A potem przysięga, że już nigdy więcej się nie spotkacie. Inaczej Mitria może zostać tu na długo. Albo na zawsze. Ty nosisz srebrny płaszcz, więc osądzenie cię to trochę trudniejsza sprawa, ale uwierz mi, poradzimy sobie i z tym.

– Słuchaj Evelyn, daruj sobie ten jarmarczny występ, bo mi się niedobrze robi

– warknął. – Nie częstuj mnie teatralnymi efektami w postaci lochów, zardzewiałych łańcuchów i przegniłej słomy.

Evelyn syknęła i wlepiła w Jardala oczy jak sztylety. Zrobiła krok w kierunku wyjścia z celi. Niezrażony tym, ciągnął dalej:

– Wiesz, ile jestem wart dla ciebie i dla Kapituły. Zakładam, że Mitrii również nie chciałabyś stracić. Równie dobrze wiesz albo przynajmniej powinnaś wiedzieć, że reguła, którą złamaliśmy, jest łamana nagminnie i powszechnie. Gdybyś chciała osądzić wszystkich, Emain wyludniłoby się w stopniu, którego nawet sobie nie wyobrażasz. A ty ostatnio nagięłaś już cierpliwość Kręgu i Kapituły do granic możliwości. Więc, do cholery, zdobądź się na coś więcej niż enigmatyczne groźby i jeszcze bardziej enigmatyczne obietnice. O co ci chodzi? O spowiedź? Nie dostaniesz jej. O prawdę? Przecież już ją znasz. Teraz twój ruch.

Mistrzynie znów obróciła twarz w kierunku kraty.

– Słusznie – powiedziała głosem, od którego zamarzały kamienie w podłodze. – Teraz mój ruch.

Przywołała białych adeptów i bez słowa pożegnania wyszła z celi. Gdy jej kroki ucichły w korytarzu, Jardal osunął się na pryczę. Wiedział już, gdzie Mitria spędziła te nieskończenie długie kilka dni, które on przesiedział w ciemnym pokoju. Nie zamierzał okazać Evelyn strachu ani pokory, a teraz bał się, że przesadził. Chciało mu się gryźć kamienie.

*

To był Adelard z Tradivy. Jak zawsze dumny z własnej posępnej urody, pachnący, nienagannie ubrany i drapieźnie uśmiechnięty. Aksamitny, śliwkowofioletowy kaftan znakomicie komponował się z wąskimi białymi spodniami, wyczyszczonymi do połysku butami i srebrzystym płaszczem członka Kapituły. Mitria w swojej wymiętej sukience, w której tkwiły źdźbła słomy i z włosami nieczesanymi od kilku dni poczuła się jeszcze bardziej brudna i zaniedbana. Usposobiło ją to wojowniczo, więc gdy Adelard z czarującym, drapieżnym uśmiechem ujął ją pod ramię, żeby wyprowadzić z celi, wyrwała mu się i warknęła:

– Zostaw, bo jeszcze cię posądzą o kontakty z czarodziejką. Wtedy mógłbyś trafić tutaj, a w tym apartamencie nie ma zwierciadła.

W kąciку ust pojawiła mu się zmarszczka. Niewielka. Szybko ją wygładził i roześmiał się swobodnie.

– Masz niezrównane poczucie humoru – powiedział protekcyjnie. – Pożartowaliśmy sobie, a teraz pozwól za mną. – Adelard obdarzył czarodziejkę pobłażliwym uśmiechem, jakby była źle wychowanym dzieckiem, którego paplaniny nie należy w ogóle brać pod uwagę.

Mitria zmierzyła go spojrzeniem zarezerwowanym na ogół dla rozdeptanej i cokolwiek już zaśmierdłej ropuchy. Bardzo chciała wymyślić jakąś morderczą zniewagę, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Poczucie bezsilności wzmogło złość.

Poprowadził ją korytarzem. Mitria uparcie milczała. Za nimi postępowali dwaj adepci. Słychać było w korytarzu ich ciężkie kroki i brzęk zawieszonych na wielkim kółku przy pasku kluczy. Adelard zatrzymał się przed brzydkimi, obdartymi drewnianymi drzwiami. Zazgrzytał stary, dawno nieoliwiony zamek.

Komnata bądź cela okazała się nieduża i bardzo ponura. Kamienna posadzka i niepokryte zaprawą ściany z szarego kamienia były brudne, pokryte kurzem i plamami, które przywodziły na myśl grzyb lub zaschniętą, szerniałą krew. Nisko, łukowo sklepiony sufit wydawał się zatrzymywać tuż nad głową. Na środku stał stary stół na chybotliwych nogach, a po jego stronach dwa proste krzesła. Na stole ktoś pozostawił mosiężny kandelabr z czterema mocno kopącymi świecami i było to jedyne źródło światła w pomieszczeniu, które nie miało ani jednego okna. To miejsce wydawało się tak ponure i odpychające, że Mitria zatęskniła do swojego lochu ze szczurami.

Weszła Mistrzynie. Zaszleścił srebrny płaszcz i sztywno wykrochmalona, czarna suknia. Evelyn von Stein zajęła miejsce tyłem do drzwi i oszczędnym gestem wskazała krzesło po drugiej stronie stołu. Mitria posłusznie usiadła.

Mistrzynie uśmiechnęła się promiennie.

– Opanowanie zmiennokształtności to nie lada sztuka – odezwała się. – Wielu lepszym i zdolniejszym od ciebie to się nie udało. Ba, nawet nie przyszło im na myśl, żeby spróbować. Tak naprawdę należałby ci się za to srebrny płaszcz. Tyle że nikt ci go nie przyzna. Bo tak się składa, moja droga, że ci wszyscy mistrzowie, o których mówię, nie zdobywali swoich umiejętności na drodze nielegalnych praktyk. Nie muszę chyba pytać, jakich?

Czarodziejka skrzywiła się z niechęcią.

– Pytanie retoryczne – odrzekła. I wyjątkowo niesmaczne, dodała w myślach.

Evelyn obdarzyła ją poufałym uśmiechem. Pochyliła się lekko. Błysk w oku sugerował, że za chwilę zażąda zwierzeń. Mitria skuliła się wewnątrz, jakby oczekując na cios.

– Nie domagam się szczegółów – oznajmiła wspaniałomyślnie Evelyn. – Po prostu powiedz prawdę. Przecież znamy się od tak dawna... Nie chciałabym myśleć o tym, jak bardzo zawiodła mnie najzdolniejsza z moich uczennic. I, muszę dodać, do niedawna ulubiona. Sama wiesz, jak wiele ode mnie zależy. Mogę wam pomóc.

Mówiła z z troskaniem i współczuciem. W pierwszym odruchu Mitria chciała jej zaufać. Ale gdzieś w głębi zawył instynkt. Wiedziała, że odmowa wyrażona wprost również może okazać się niebezpieczna. Czarodziejka popatrzyła prosto w bezdenne, wymagające, ciemne oczy. Na granicy tęczy tańczyły odbite płomyki świateł.

Evelyn znudziło czekanie.

– Nie zapominaj, że to ja przyjąłem cię do Emain, kiedy byłaś jeszcze niepotrzebną nikomu ubogą krewną i do niczego się nie nadawałaś. Należy mi się chyba trochę lojalności.

Słowa Mistrzynie smagnęły jak biczem. Mitria przesunęła dłonią po stole i poczuła chropowatość drewna. W tym pokoju wszystko zdawało się chropowate, poplamione, nijakie i chore. Miała wrażenie, że jej myśli odbijają się od ścian jak od nierównej powierzchni, płaczą się, rozpraszają. A naprzeciwko błyszczwały w półmroku czujne, wyczekujące, orle oczy Evelyn von Stein. Wymagające prawdy, choć absolutnie nieobiecujące niczego w zamian.

Postanowiła odwrócić uwagę Mistrzynie.

– Jest taka stara opowieść – zaczęła – o tym, jak rycerz o imieniu Tristan i córka króla Eriu, Izold, poznali się i pokochali. Niektóre kroniki mówią, że wypili magiczny napój. Inne, że przyciągnęło ich do siebie przeznaczenie. A jeszcze inne, że tak się po prostu zdarzyło. Nie mogli żyć bez siebie, a żyć razem nie było im wolno.

– Nie opowiadaj mi starych legend – parsknęła Mistrzynie. – Przejdź do rzeczy.

– Oboje używali magicznych mocy – ciągnęła Mitria, ignorując tę uwagę. – Izold знаła się na leczniczych ziołach, z których sporządzała eliksiry. Tristan potrafił odmieniać postać. Znasz tę opowieść, pani Evelyn, więc wiesz, że skończyło się źle. Rozdzielono ich. Żyli długie lata bez nadziei choćby przelotnego ujżenia się. Ona musiała poślubić króla, a on z rozpaczy ożenił się z pierwszą lepszą kobietą, która choć trochę przypominała jego ukochaną.

– Co to ma wspólnego z... – parsknęła zirytowana Mistrzynie.

– Jardal i ja... – odpowiedziała czarodziejka – myśleliśmy, że to, co nas spotkało, to... taka opowieść.

Głośny, perlisty, odbijający się od ścian śmiech Evelyn von Stein odrzucił Mitrię w tył niczym uderzenie w twarz.

*

Sala Kapituły mieściła się w Wieży Wschodniej i Zachodniej Gwiazdy, najwyżej i najdalej na północ położonym punkcie Emain Avallach. Z jej szczytu najlepiej widać było ukazującą się o zmierzchu i o świcie gwiazdę bogini Antarie, a w bezksiężycowe noce skomplikowane figury odległych gwiazdozbiorów. W skruszałych kamiennych murach wieży gnieździły się ptaki.

Jardal wyostrzył magiczną percepcję. Czuł wibrowanie kamieni, słyszał, jak sowy rozpościerają skrzydła i bezszelestnie wyruszają na nocne łowy, jak jaskółki i jerzyki wiercą się niespokojnie w gniazdach, a w małych norach popiskują myszy. Wyczuwał też kilka szczelnie zamkniętych przed zasięgnięciem magicznych umysłów. Cofnął moc i jego percepcja ściągnęła się z powrotem do wnętrza murów. Silne ręce biało ubranych adeptów pokierowały go jeszcze jedną kondygnację w górę.

Sala Kapituły okazała się prawie pusta. Nie było w niej magów z Kręgu. Od marmurowych ścian i mozaikowej posadzki bił chłód, kroki odbijały się dźwięczącym echem. W ciemności, rozświetlonej nielicznymi pochodniami, widać było sylwetki członków Kapituły w srebrnych płaszczach. Na podwyższeniu stało tylko kilku, pozostali zbili się w grupki i rozmawiali przyciszonymi głosami. Gdy wprowadzono Jardala, magowie podnieśli głowy. Niektórzy rozejrzeli się trwożnie. Evelyn stała na podwyższeniu, a obok niej, jak zwykle, Hargon z Emmendath.

*

Piękna Verena Haage zmieniała pantofelki ze stukającymi obcasami na miękkie ciżmy, a potem cicho zamknęła za sobą drzwi komnaty. Pospiesznie przemierzyła kilka korytarzy, a na zakrętach trzepotał sucho jedwab jej szerokiej spódnicy. Wspinała się po schodach i przemykała przy załomach murów. W końcu,

pokonując kolejne kondygnacje zakurzonych stopni, dotarła do masywnych drewnianych drzwi i przywarła do nich, nasłuchując. Wodziła dłonią po splekanych ze starości deskach, aż w końcu odnalazła właściwe miejsce. Odrzuciła na plecy lśniące czarne włosy i dotknęła szczeliny w spojeniu. Jej wypielęgnowane paznokcie lekko poskrobały drewno. Wymruczała zaklęcie, aktywizując magiczny znak, którym wiele dni wcześniej zaznaczyła właściwe wejście.

Drzwi uchyliły się z lekkim skrzypieniem. Czarodziejka wstrzymała oddech, próbując powstrzymać kaszel, kiedy tumany wiekowego kurzu zaatakowały jej nozdrza. Zapaliła płomyk małej oliwnej latarni i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Na strychu walały się kufry nieużywanej porcelany, spoczywającej od dziesięcioleci w wiórach, zżarte przez mole pierzyny i kożuchy, krzesła z wyłamanymi nogami, niemal zupełnie zjedzone przez korniki komody i sterty zapomnianych rupieci. Verena zakłęta pod nosem, gdy potknęła się o zardzewiałą turniejową zbroję sprzed dwóch wieków, która zabrzęczała z hałasem zdolnym obudzić pijanego szewca.

Ostrożnie omijając cmentarzysko nieużywanych przedmiotów, dotarła do końca strychu. W manuskrypcie, który kilka miesięcy wcześniej odkryła w Bibliotece, znajdowały się plany północnego skrzydła zamku Emain. Verena miała swoje powody, żeby interesować się tajnymi przejściami. Ku swojemu rozczarowaniu nie odkryła żadnego ukrytego tunelu, prowadzącego do prywatnych komnat członków Kapituły. Jednak przekonała się, że istnieje parę zapomnianych architektonicznych absurdów, które mogą z powodzeniem posłużyć komuś, kto chce – na przykład – zdobyć zakazaną wiedzę. Jednym z nich było to właśnie zapomniane poddasze w zachodnim skrzydle zamku. Można było wspiąć się po rozchybotanej drabinie, uchylić klapę i znaleźć się na dachu, tuż przy wykuszu imponującego, zwieńczonego ostrołukiem okna wieży Wschodniej i Zachodniej Gwiazdy. A okno dawało znakomity widok na Salę Kapituły. Można było usiąść tam, schować się za masywną ramą i próbować zajrzeć do środka. Czarodziejka westchnęła z rezygnacją, zagarnęła jedwabną spódnicę, wdrapała się na okno i skuliła w wykuszu.

Była niewidzialna i niesłyszalna. Ale sama również niczego nie widziała ani nie słyszała. Dotknęła dłonią szyby i wymruczała zaklęcie wzmacniające dźwięk.

Natychmiast dotarł do niej szum stłumionych odgłosów ze środka. Z widocznością było znacznie gorzej. Ze swojego miejsca mogła dostrzec tylko fragment obszernej, wysoko sklepionej Sali Kapituły. Widok częściowo zasłaniały potężne marmurowe kolumny. Verena dostrzegła blask pochodni, kilka

pochylonych do siebie postaci w srebrnych płaszczach i ukośny promień mętnego księżycowego światła, padający z jednego z przeciwległych okien.

Drgnęła, kiedy ktoś (Hargon z Emmendath?) dwukrotnie stuknął laską. Rozległ się suchy głos Evelyn von Stein:

– Wprowadzić oskarżoną.

Gdzieś na drugim końcu sali skrzypnęły drzwi. Verena wstrzymała oddech, gdy usłyszała stukające echem po kamiennej posadzce kroki, a zaraz potem w polu jej widzenia ukazały się dwie sylwetki. Jedna z nich była ubrana w burą opanczone z kapturem nasuniętym na głowę. Prowadził ją wysoki mężczyzna, którego twarz ginęła w cieniu. Czarodziejka przysunęła twarz do szyby. Wymruczała inkantację wzmacniającą obraz. Mężczyzna zrobił krok i srebrne klamry jego butów zalśniły w świetle księżyca. Verena syknęła i jak oparzona odsunęła się od szyby. Przylgnęła do okiennego wykuszu, dopiero po chwili próbując racjonalnie wytłumaczyć samej sobie, że on przecież nie może jej zobaczyć. Nie w tych ciemnościach.

Odruchowo dotknęła dłonią miejsca na piersi, gdzie wsunięty za fiszbiny stanika spoczywał list. Nie musiała nawet go rozwijać, bo nakreślone na nim zamasztysem pismem trzy zdania znała na pamięć. Ich treść powodowała, że miała ochotę przypomnieć sobie cały repertuar dokowych przekleństw medyjskich marynarzy.

Nie – tylko nic nie mów.

Nie przychodź.

Nie wiem.

Tylko taką odpowiedź otrzymała na swoje pytania, napisane na odwrocie tej samej kartki, oderwanej z ostatniej, niezadrukowanej stronicy jakiejś mało interesującej księgi i wsuniętej ukradkiem w dłoń tego mężczyzny. Nienawidziła samej siebie za to, że to zrobiła. Nienawidziła się za to, że chwilowo nie mogła mu się oprzeć. Te trzy pytania paliły ją wstydem i upokorzeniem, ale teraz już nie można było cofnąć czasu. Zadała je.

Czy coś nam grozi?

Czy mam przyjść do Wieży?

Kiedy znów się spotkamy?

Zacisnęła dłoń ze złością, czując, jak paznokcie wbijają się jej w skórę. Oczywiście zaczęła od złamania jego zakazu. Zakradła się pod okno Wieży, żeby obserwować proces. I została aż nadto nagrodzona widokiem wypolerowanych butów ze srebrnymi klamrami. Jak daleko może sięgać tchórzostwo?

Odwróciła się znów w stronę okna i przysunęła twarz do szyby. Czar przybliżający miał swoje wady: widziała nieostro i tunelowo. Zintensyfikowała zakłęcie wzmacniające dźwięk i natychmiast tego pożałowała, bo jej uszy

wypełnił niezrozumiały szum. Dopiero po chwili zaczęła rozróżniać poszczególne głosy, dzielące się na pojedyncze, nerwowe naszeptywania.

Niższa z przybyłych postaci odrzuciła kaptur z głowy i postąpiła krok w stronę smugi księżycowego światła. Verena zobaczyła twarz o zaciśniętych ustach i ściągniętych brwiach, otoczoną pasmami potarganych rudych włosów.

Evelyn przemówiła. Głuchy głos odbił się od sklepienia sali i uderzył w uszy Vereny.

– Kapituła zebrała się, aby rozpatrzyć przypadek rażącego naruszenia naszego prawa. Oskarżeni stoją tu przed nami. To czarodziej Jardal, dotychczas członek Kapituły, i Mitria z Cantaleny, należąca do Kręgu. Lub inaczej, o czym nie wszyscy może wiedzą, Mear de Witten.

Wahanie, szepty, chwila ciszy. Widok pochylonych głów. Verena przycisnęła się do szyby, próbując coś dojrzeć. Tylko pochylone głowy w srebrnych kapturach, ciasno ściągnięte włosy Evelyn von Stein, nieco dalej zmęczona twarz Jardala. Znowu cisza. Głuchy, podwójny stuk laską. W ukośnych promieniach mętnego księżycowego światła tańczył kurz.

– Przykro mi to wyrzec – powiedziała Mistrzynie Glinianej Pieczęci, a ciasny kok odchylił się lekko w tył – ale muszę przedstawić wam fakty. Zaczniemy od opowieści o życiu naszego przyjaciela Jardala. – Słowo „przyjaciel” wymówiła z sykiem, który miał być ironią, ale zabrzmiał stanowczo za mało subtelnie. – Proszę wprowadzić świadka.

Kroki zadźwięczały pod sklepieniem. Podkute buty. Po raz kolejny skrzypnęły drzwi. Znowu te kroki i towarzyszący im drobny, bezładny tupot. W polu widzenia Vereny pojawiła się młoda, zapłakana blondynka z podpuchniętymi oczami. Ktoś prowadził ją za ramię. Buty ze srebrnymi klamrami, lśniące wyzywająco. Nonszalancka gracia. Fioletowy kaftan wyglądający spod srebrnego płaszcza.

Paznokcie Vereny zgrzytnęły po szybie. Przez chwilę walczyła z chęcią, by sięgnąć za stanik, wyciągnąć list, zgnieść go w kulkę albo podrzeć na strzępy i puścić swobodnym lotem w dół, w gęste krzewy ogrodu. Pohamowała się jednak, uznając to pragnienie za infantylne. Postanowiła skupić się na obserwowaniu przebiegu wydarzeń. Na wnioski zawsze przyjdzie czas. Podobnie jak na zemstę.

Wprowadzona na salę Caitlinn dostrzegła Jardala i posłała mu błagalne spojrzenie po dziecinnemu zapłakanych oczu. Popatrzył na nią z zaskoczeniem i współczuciem, a potem przeniósł na Evelyn wzrok pełen pogardy. Wśród członków Kapituły znowu przebiegł lekki szmer, aż w końcu Mistrzynie rozkazała:

– Opowiedz!

Caitlinn wyglądała jak małe zwierzątko w potrzasku. Zobaczyła Jardala stojącego przed całą Kapitułą bez srebrnego płaszcza, w asyście trzymających go

za ramiona strażników, i zrozumiała już, że go zdradziła. Zgromadzeni patrzyli na nią z litością, bo widać było, że dziewczyna nie chce mówić, ale jednocześnie zbyt się boi, żeby nie posłuchać rozkazu. Kilkakrotnie przynaglana, łamiącym się głosem powtórzyła wreszcie swoją opowieść o przemianach, o potajemnych spotkaniach w chacie.

– Odpraw to dziecko, Evelyn – odezwał się cicho Arno Forese. – Dosyć.

– A co z nim będzie? – wyrzuciła z siebie Caitlinn. Posłała Jardalowi spojrzenie pełne rozpacz.

Odpowiedziało jej milczenie. Adelard z Tradivy wziął Caitlinn za ramiona i łagodnie, ale stanowczo wyprowadził z sali.

– Cóż za wzruszający przykład oddania – rzucił ktoś sarkastycznie. Verena nie widziała zbyt wyraźnie twarzy. Patrzyła na kurz wirujący w pojedynczym promieniu księżycowego światła i odbłask pochodni, pełgający po ramieniu Mistrzynie i twarzy Jardala.

– Mamy zatem opowieść, Evelyn – odezwał się spokojnie Arno Forese. – Teraz od nas jedynie zależy, co z nią zrobimy. A z opowieścią można zrobić bardzo wiele różnych rzeczy. Możemy zawiesić niewiarę i po prostu znaleźć się wewnątrz, pozwalając się porwać sugerowanemu biegowi wydarzeń. Możemy jednak również zastanowić się nad osobą narratorki. Opowiedziała nam historię, wysnuwając wnioski z tego, co widziała. Jednak czy poprawnie zinterpretowała świadectwo swoich oczu? Poza tym – co naprawdę widziała, a co bardzo chciała zobaczyć? A czego nie chciała? Czy jeśli nocny ptak zrywa się do lotu, musi być czymś więcej niż tylko nocnym ptakiem? Czyż mag nie może oswoić dzikiej sowy?

– To nie była dzika sowa – odpowiedział suchy głos Evelyn von Stein.

– Daj mi jeszcze chwilę, Mistrzynie – cierpliwie powiedział Arno Forese. – Jeśli już zastanawiamy się nad osobą narratorki, warto również zastanowić się nad jej intencją. Opowieść zbudowana jest tak, aby nie mówić wprost, ale wyraźnie sugerować. A nasza narratorka domyśliła się już, że jej sugestia się w tym miejscu nie spodoba. Jaki to może spowodować skutek? Nasz gniew, naszą niełaskę, która oddali rzeczonoego Jardala ze strefy wpływów Kapituły. Odsunie go zatem ze świata czarodziejów, a jeśli już o czarodziejach mowa – to również czarodziejek. Nasza mała narratorka liczy na to, że jej opowieść będzie miała skutek, zmieniając rzeczywistość. Boi się, to jasne, ale jednocześnie bardzo chce mieć Jardala na własność i chyba ma nadzieję, że ten zachowa się jak rybak z wioski – to znaczy obije, a potem wybaczy i nadal będzie z nią żył.

Evelyn poruszyła się i jej srebrny płaszcz przesłonił Verenie widok na twarz Foresego, odsłaniając za to nieruchome sylwetki oskarżonych. Lśniące buty ze

srebrnymi kłamrami zadzwoniły po mozaikowej posadzce, pozostały jednak poza polem widzenia. Ale zakłęcie działało i głosy nadal słychać było wyraźnie.

– Twoje hipotezy są z pewnością bliskie prawdy, drogi Arno. – Suchy głos nagle zaczął ociekać słodyczą. – Ale tak się składa, że swoją wspaniałą mowę obrończą wygłosiłeś przedwcześnie. Mamy innych świadków, mogących potwierdzić prawdziwość opowieści naszej – jak ją łaskawie nazwałeś – narratorki. Hargonie...

Verena skrzywiła się z niesmakiem. Słodycz w głosie Mistrzynie przyprawiała ją o mdłości. A po chwili zatkała sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Z wyciągniętej przez Evelyn Pieczęci trysnęły zielone iskry, postać Mitrii skurczyła się dziwnie, a za chwilę na jej miejscu trzepotała niezdarnie w powietrzu płomykówka. Jardal podszedł i pośpiesznie wyciągnął ramię, żeby ptak miał gdzie wylądować. Nikt go nie zatrzymał.

– Mear de Witten potrafi przemieniać się w sowę – poinformował zebranych Hargon z Emmendath. – I korzysta z tego. W takiej postaci ujęliśmy ją cztery dni temu w chacie Jardala, na parapecie okna, z którego próbowała odlecieć.

– Brawo – rzucił Adelard z Tradivy, pojawiając się w polu widzenia Vereny. Zabrzmiało to dwuznacznie, pomyślała Verena. Brawo, że ją schwytaliście, czy brawo, że potrafi się przemieniać. – Myślę jednak, że powinniśmy działać bardzo rozważnie, Evelyn. – Ton głosu Tradivczyka był poważny i troskliwy. – Dobrze, że zwołałaś na dziś tylko członków Kapituły, zostawiając w spokoju Krąg. Jeszcze jeden publiczny sąd, a Emain by opustoszało, bo wszyscy rozjechaliby się na cztery wiatry. Trzeba to załatwić między nami. I to szybko.

– To pośpiech uczynił ostatnio wyrok tak okrutnym, Adelardzie – powiedział cicho jakiś starszy czarodziej, którego Verena nie rozpoznała. – Nam wszystkim zabrakło rozważli i czasu na zastanowienie się.

– Dowody były niepodważalne – skrzywił się czarnowłosy mag. – A tu mamy przecież do czynienia ze stanowczo nie tak poważną sprawą. W końcu to takie ludzkie, Evelyn – ciągnął, przyjmując swobodny ton. – Jesteśmy magami, ale również mężczyznami i kobietami. Na pewno każdy z nas, zanim złożył Przysięgę, zastanawiał się, czy wytrwa. Wszyscy uczyliśmy się o negatywnych konsekwencjach takich kontaktów. Wielu z nas miewa pokusy. – Adelard tym razem zrezygnował z drapieżnego uśmiechu. Przybrał obojętny wyraz twarzy, a ton jego głosu brzmiał sucho i rzeczowo. – I uwierz mi, nic by się nie stało. Czytałem o tym. Mistrzowie z Ameno dowodzą, że to nie działa na poziomie ciała. Dopiero kiedy następuje pełne dostrojenie umysłów, emocji i ciał, wyzwala się energia, nad którą nawet przy dużych umiejętnościach trudno zapanować. Prawdopodobnie następuje wyrwa w kontinuum czasoprzestrzennym i tworzą się tunelowe przejścia, takie jak te, z których podobno korzystają Wędrowcy

Światów. Niebezpieczne? Owszem, ale tak naprawdę bardzo rzadkie. Jeśli nie nastąpi moment transgresji, czysto fizyczne stosunki między czarodziejem a czarodziejką skutkują jedynie nieznaczną intensyfikacją mocy, taką jak ta, która pozwala młodej magiczce zmienić się w sówkę. Co jest może wzruszające, ale nic poza tym.

Verena Haage nie doczekała jego ostatnich słów. Zsunęła się z parapetu, uchyliła klapę w dachu, zeszła po drabinie na strych, przedarła się przez stosy rupieci, wypadła na korytarz i pognąła schodami w dół. Dopiero na zewnątrz, w ogrodzie, wyciągnęła zza dekoltu kawałek pergaminu, zmięła go w dłoni i wyrzuciła pomiędzy krzaki bzu.

– Cóż za teoretyczna wiedza i podziwu godna dialektyka fizycznej miłości. Więc ty mnie, chędożony draniu, nigdy nie kochałeś... – wymruczała przez zaciśnięte zęby.

Gdyby Verena została dłużej, zobaczyłaby, jak głowy magów pochylają się w skupieniu, jak jeden ze starszych członków Kapituły podchodzi do Jardala, delikatnie bierze od niego sowę i sadza ją na własnym przedramieniu. A potem zobaczyłaby, jak postać Jardala maleje i wiruje, by w końcu zmienić się w ogromnego burego kota o szarozielonych ślepiach. Usłyszałaby prowadzone ściszymi głosami narady, krótkie „nie” siwowłosego maga, a w końcu nieco głośniejsze, dźwięczne zdanie Evelyn:

– Więc rozdzielimy ich.

Zobaczyłaby, jak z uniesionej na łańcuchu z czarnego metalu Glinianej Pieczęci wytryska zielone światło i łączy wspólnym promieniem Kota i Sowę. A głos Mistrzynie wznosi się aż pod kopułę, oznajmiając wyrok:

– Jeśli pomimo naszych łagodnych ostrzeżeń będziecie przebywać ze sobą, wasze umiejętności obrócą się przeciwko wam. Niech noc będzie nocą Kota, a dzień będzie dniem Sowy. Ludzką postać zachowacie oboje jedynie przez dwie Godziny Zmieszania Świateł, poranną i wieczorną, kiedy wschodzi gwiazda bogini Antarie.

Gdyby Verena nadal podsłuchiwała pod oknem, dotarłaby do niej również dalsza część wyroku:

– Od tej chwili jesteście wygnani z Emain. Mitria zostanie jutro odesłana do rodziny, do Cantaleny. A ty, Jardalu, możesz iść, dokąd chcesz.

Hargon z Emmendath żałował potem, że nie posłał z Mear de Witten białych ubranych adeptów albo chociaż bardziej rozgarniętych strażników. Już na drugim postojach czarodziejka zniknęła bez śladu, choć w gospodzie umieszczono ją w strzeżonym pokoiku na piętrze. Posługacz widział podobno tnącą bez szmeru niebo niedużą sowę płomykówkę.

Czas splatania więzów

Virbio szedł wąskimi i krzywymi uliczkami portowej dzielnicy, otulając się szczelnie płaszczem i zaciskając dłoń na rękojeści rapiera. Broń tę dostał kilka dni wcześniej od Grandiniego, który pluł na wymyślone przez Bractwo zakazy otwartego obnoszenia się z uzbrojeniem. – Jak idziesz do portu bez broni, jesteś trupem – podsumował. Virbio umiał się bić, więc dotyk skórzanej okładziny pod spoconą dłonią działał krzepiąco. Szedł szybko, nie mogąc się powstrzymać przed rzucaniem ukradkowych spojrzeń na boki. Pod stopami miał nierówny bruk, wokół krzywe kamienice o odrapanych tynkach, odpadających, omszałych dachówkach i wiszących najczęściej na jednym zawiasie okiennicach. Musiał przyznać, że słuszna była wskazówka Grandiniego, która brzmiała: kieruj się własnym nosem, chłopcze. Nosem i uszami. Słyszał coraz wyraźniej skrzypienie portowych żurawi, wywrzaskiwane ochryplymi głosami komendy, krzyzące mewy i ogólny gwar, nad który wybijała się niekiedy pijacka śpiewka lub pojedyncze dokowe przekleństwo. Zaś tego, co czuł ze wzbierającą siłą jego nos, nie dało się z niczym porównać. Przypominało to z grubsza woń bardzo zgniłych ryb pomieszaną z odorem wyrzyganej przez pijaka wieszery. Nie wnikając, z czego się składającej.

Odkoczył jak kot, mijając otwarte drzwi tawerny, z których wytoczył się wprost na niego jakiś bełkoczący osobnik. Virbio przyspieszył kroku i ruszył dalej. Pamiętał wskazówki, ale i tak bał się, że pogubi się w zaułkach. Drgnął, gdy nagle ktoś chwycił go za łokieć i pociągnął w boczną uliczkę.

– Nie rozglądaj się na boki, bałwanie – usłyszał szept Grandiniego.

Szpieg poprowadził go kilkadziesiąt metrów wzdłuż cuchnącego zaułka, wepchnął w wąską bramę, a potem wraz z nim wspiął się spiralnymi schodami. Wyciągnął ciężki klucz i otworzył nim masywne dębowe drzwi. W środku mieściła się niewielka komnata, pusta, jeśli nie liczyć okrągłego stołu i kilku krzeseł. Ściany pokrywała pociemniała drewniana boazeria, pod sufitem kołysał się ze skrzypieniem okrągły drewniany żyrandol z miejscami na dwanaście świec, brudny od starego wosku.

Grandini zamknął drzwi i założył na nie żelazną sztabę. Obszedł komnatę, znalazł kłapę wjazdu w podłodze, odblokował ją i otworzył, sapiąc z wysiłku. W dół prowadziły wąskie kamienne schodki. Szpieg schylił się i czekał. Po chwili w przejściu zamigotał blask pochodni i z otworu w podłodze wynurzyły się kolejno dwie postacie: zażywna, około czterdziestopięcioletnia niewiasta w obszernej ciemnej sukni, białym czepku i opończy, oraz starszawy mężczyzna

o poważnym obliczu, noszący obramowany futrem płaszcz i złoty łańcuch. Grandini pomógł im wydostać się na górę, powitał i gestem zaprosił do stołu. Zamknął klapę, najwyraźniej nikogo się już nie spodziewając. Virbio uprzejmie odsunął krzesło dla jejmości, po czym sam zajął miejsce u boku szpiega. Spod zamkniętych okiennic sączyło się nikłe światło.

– Gdzie właściwie się znajdujemy? – zapytał mężczyzna w płaszczu.

Grandini uniósł tłuste dłonie w uspokajającym geście.

– W starej kamienicy, która była własnością kupieckiego rodu Tivaldich, a teraz od dawna stoi pusta. Jakby to paradoksalnie nie zabrzmiało, jesteśmy bezpieczni w samym sercu portowej dzielnicy. – Uśmiechnął się szeroko. Przybyli nie odwzajemnili uśmiechu.

– Zdaje się, że nie wszyscy się znamy – odezwała się kobieta. Miała miły, głęboki głos.

– Już śpieszę naprawić to niedopatrzenie – powiedział szpieg – i zarazem przeprosić, że w tych skromnych progach nie przygotowano dla dostojnych gości małego choćby poczęstunku.

– Nie na uczy tu przyszlśmy – skrzywił się szpakowaty mężczyzna.

– Otóż to, nie na uczy, tylko radzić, a z ciężkich terminów się ratować – przytaknął ochoczo Grandini. Musiał być w dobrym humorze, bo znów malowniczo mieszał poważną mieszczańską *lingua* z dialektem prostego ludu i jeszcze paroma naleciałościami, których Virbio nie był w stanie rozpoznać. – Jednakowoż co kielich, to kielich i nigdy zmoczyć ust zacnym winkiem nie zawadzi. Ale tu nie dało się, bo samiśmy, służby do konfidencji nie przypuszczając, a trzeba by chyba antałek toczyć lochem, bo od strony ulicy dom musi wyglądać na opuszczony. Pozwolicie zatem, że dokonam prezentacji – stwierdził szpieg, nieoczekiwanie przechodząc do rzeczy. – To jest – tu wskazał na młodego wojownika – mój pomocnik przysłany przez Bractwo, Virbio Allenmargh z Blenvingardu, siostrzeniec pana Castigliani. Tego samego, który tu głowę dał jeszcze za Soderiniego.

Mężczyzna skłonił się uprzejmie, mierząc chłopaka uważnym spojrzeniem. Castigliani byli jednym z najbardziej znanych arystokratycznych rodów Castelburga i takie pokrewieństwo budziło zaufanie. Zwłaszcza że w czasie rewolty Soderiniego całe miasto obiegrała historia o tym, jak stary hrabia Baltasaro Castigliani zginął przeszyty włócznią w drzwiach własnego pałacu, broniąc przed naporem tłuszczy swojego majątku i wiekowej żony.

– Pan Virbio – ciągnął Grandini – oddał nam już i oddać może niezwykle cenne usługi, jako osoba spoza miasta, pozornie bez żadnych powiązań. Był i będzie naszym kurierem, a kiedy potrzeba przyjdzie, i bronią włada znakomicie.

Virbio wytrzeszczył oczy, bo z tak pozytywną oceną swojej osoby spotkał się pierwszy raz. Grandini zazwyczaj poprzestawał na wymyślaniu mu od osłów. Z tym większą ciekawością czekał, kiedy szpieg przedstawi mu przybyłych.

– To jest – usłyszał – szlachetna pani Giulia Baldini, ochmistrzyni dworu. – Dama skinęła głową. – Ma ona szczególne powody, żeby nienawidzić Księcia. Wśród kobiet zgwałconych na wybrzeżu była jej córka, a wśród potopionych dzieci jej wnuki. A że serce w niej ze stali, bardziej męża, niżli niewiasty, przystąpiła bez wahania do naszego spisku. Zwłaszcza, że spotkaliśmy się u starej zielarki Sycorax, koło północnej bramy, gdzie pani Baldini przyszła truciznę kupować, chcąc własnymi rękami nienawistnego tyrana usunąć z tego świata. Zdołałem ją przekonać, że lepiej będzie przyłączyć się do nas i podjąć bardziej zorganizowane działania.

Virbio przypatrywał się kobiecie i podziwiał jej opanowanie. Była trochę blada, ale nie zmieniła nawet wyrazu twarzy, lekko obojętnego, jakby nie mówiono o niej. Tylko w kącikach oczu i ust dostrzegł drobne zmarszczki, a w oczach przez moment zalśnił dziwny błysk.

– To zaś jest – ciągnął szpieg, wskazując na szpakowatego mężczyznę, który uklonił się w krzesło – pan Alfredo Fosci, bankier, kilkakrotnie wybierany członkiem Rady Pięćdziesięciu, oczywiście przed tym całym zamieszaniami. Ocalał z zawieruchy, spadł na cztery łapy, żyje i udziela kredytów. Rzecz w tym, że zastanawia się, jak długo jeszcze będzie to możliwe za obecnych rządów. A z tego zastanawiania się wynikało tyle, że wokół pana Fosci zgromadziło się kilku wpływowych ludzi. Bogate mieszczaństwo i ci wszyscy, którzy ze szczerego serca życzą sobie powrotu dawnych porządków.

– Jest takich wielu – odezwał się Fosci – ale nie będę wymieniał żadnych nazwisk. Dlatego przyszedłem sam, z nadzieją, że księżęca straż nie deptała mi po piętach. Żadnych twarzy, żadnych nazwisk – powtórzył z naciskiem. – Ale jesteśmy gotowi wam pomóc. Mamy pieniądze, które mogą opuścić nasze skarbce i tajemniczym sposobem zmienić się w zaciężną armię. Pod jednym warunkiem.

– Zamieniam się w słuch, panie Fosci – powiedział Grandini.

– Zapomniane zostaną wszystkie dawne urazy. Nikt spośród mieszczan nie zostanie ukarany, za wyjątkiem tchórzy i donosicieli, którzy z własnej woli służyli Księciu. Nikt. Ani buntownicy z czasów Soderiniego, ani cechy, które zbyt głośno domagały się przywilejów. Przywrócona zostanie Rada Pięćdziesięciu, a mieszczanom pozwole się swobodnie stanowić swoje prawa, bez ucisku i ograniczeń ze strony szlachty. My zaś zyskamy odpowiednie przywileje. My, to znaczy bankierzy. A konkretnie oznacza to mnie.

– To już trzy warunki – zauważył sarkastycznie Grandini – a nawet cztery, nie policzyłem bowiem tego najbardziej oczywistego, przywrócenia Rady... Czy wy myślicie, panowie mieszczenie, że ja tu rządę albo że mam taką władzę, by móc wam bogowie wiedzą co naobiecywać, a potem jeszcze dotrzymać?

– Nie o to chodzi. – Bankier wsparł dłonie o stół. – Wiemy, że nie macie. Raz już byliśmy głupcami i to wystarczy aż nadto. Chodzi nam tylko o to, żeby ta – jak raczyliście, panie, powiedziec – zawierucha się skończyła i żeby można tu było normalnie żyć. My chcemy, panie Grandini, spokoju. Chcemy zarabiać pieniądze, a do tego trzeba, żeby ludzie nie znikali bez sądu w lochach pod zamkiem, żeby nie bali się rozmawiać, oddychać i rozwiązywać sakiewek. Pragniemy nie tylko obalenia obecnej władzy, ale też tego, żeby potem nastął względny porządek, bez ganiań w kółko niczym, nie przymierzając, kurczak z odciętą głową.

– To się samo przez się rozumie – odparł szpieg, zaplatając ręce na otyłym brzuchu. – Dlatego właśnie powstało Bractwo. Gdyby każdy ród działał na własną rękę, jak to dawniej bywało, nasze nadzieje byłyby koziej rzyci niewarte. Bractwo, panie Fosci, prosi i obiecuje. Jeśli osiągnie cel, skorzystacie. Jeśli nie osiągnie, będziecie mieć dalej Księcia na głowie i terror w mieście.

Bankier potarł podbródek dłonią.

– Jakie są zatem – zapytał – owe cele Bractwa? Oprócz oczywistych? I jakie obietnice, oprócz również oczywistych, to znaczy mieszczących się w stwierdzeniu: „kiedy obalicie Księcia, to już go nie będzie”?

Virbio podziwiał jego refleks. Znał już Grandiniego na tyle, by wiedzieć, że pomimo nieokiełznanej na pozór gadatliwości szpieg mówi zawsze dokładnie tyle, ile chce.

– Jeśli chcecie, panie, poznać cele Bractwa – odparł – wstąpcie do niego.

– Wedle mojej wiedzy, jest to przywilej zarezerwowany dla szlachty i arystokracji – odpowiedział cierpko Fosci.

– W zasadzie tak. Jednak dla waszych pieniędzy zrobi się wyjątek. – Grandini uśmiechnął się szeroko i wrednie. Najwyraźniej jednak trafił na godnego siebie przeciwnika.

– Trochę to odwrócenie logicznej kolejności, jeśli wolno mi zwrócić uwagę – ironicznym tonem zauważył bankier. – Wypadałoby najpierw znać zamierzenia towarzystwa, do którego się przystępuje.

Grandini westchnął.

– Bractwo chce tego samego, co wy. Przywrócenia porządku w Castelburgu i usunięcia zagrożeń – powiedział. – Prawda jest taka, że nie mogę wam w tej chwili zagwarantować żadnych nowych swobód. W tej sprawie będziecie się musieli porozumieć między sobą, kiedy już odzyskamy miasto. Możecie sobie

myśleć, że Bractwo to garstka pozbawionych wygodnych pałaców uciekinierów. Nie zapominajcie jednak o tym, że oni wciąż mają ziemskie majątki poza Castelburgiem i koligacje wśród szlachty z innych Wolnych Miast. Wielu z nich posiada znaczne wpływy na dworach Tradivy, Blenvingardu, Cantaleny, Medii czy Enneady. Jeśli będą zdesperowani, zorganizują armię, zaciągną kondotierów pod swoje sztandary i będziemy tu mieli kolejną wojnę. A wierzcie mi, panie, każdy z sąsiadów chętnie powiększyłby swoje dominium o dogodnie położony port w Castelburgu. Jeśli więc chcemy w przyszłości rządzić się sami, powinniśmy własnymi siłami odbić miasto. Przekonać Bractwo, że opłaca się wejść z nami w układ.

– Z nami? – Bankier pochylił się do przodu, wbijając wzrok w szpiega i mocno akcentując ostatnie słowo.

– Z nami, z mieszczaństwem, z Castelburczykami... Jak zwał, tak zwał. – Grandini wzruszył ramionami.

Na chwilę zapanowała cisza. Virbio z napięciem obserwował skrzyżowane niczym szpady spojrzenia Fosiego i agenta, aż w końcu ten pierwszy odwrócił głowę i zapatrzył się w jakiś odległy punkt. Pani Baldini siedziała nieporuszona, wsparłszy pulchne dłonie na poręczach krzesła.

– O ile dobrze rozumiem, panie Grandini – rzekł w końcu bankier – mam wybór pomiędzy układem z Bractwem, który nie gwarantuje mi niczego, a czekaniem na wojnę o Castelburg, która tym bardziej niczego mi nie zagwarantuje?

– Zalecam to pierwsze. – Szpieg uśmiechnął się i zaplótł palce na otyłym brzuchu. – Przypominam, oferuje się wam miejsce w Bractwie. To oznacza dostęp do wiedzy. A wiedza to władza, panie Fosci. Gdybyście zaś jeszcze mieli wątpliwości, dodam, że skusił się już na to wasz konkurent, również bankier. Fortinari.

Fosci ze świstem wciągnął powietrze. W ciszy dobiegł spoza zamkniętych okiennic odgłos jakiejś bójki, ale to w portowej dzielnicy nie było niczym niezwykłym.

– Jestem skłonny to rozważyć – przerwał ciszę bankier. – Ale czekam na rozsądniejszą propozycję, panie Grandini. Na kontrakt, gwarantujący mi po obaleniu Księcia pewne określone przywileje. Nie zwykłem bawić się w zgadywanki. Jeśli czegoś chcę, kupuję to. Nie mrzonki, nie złudzenia i nie obietnice. Konkrety.

Agent uśmiechnął się i wyciągnął z zanadru dokument.

– Otóż właśnie przypomniało mi się... – powiedział. – Był ktoś spośród dawnych castelburskich możnych, kto szczególnie lubił robić z wami interesy.

I ta osoba dała mi upoważnienie, aby wręczyć wam pewien skromny prezent. Wyłączność na obrót zyskami ze swoich kopalni srebra.

Bankier zrobił niedbały ruch ręką.

– Nie tego pragnę – rzekł, rozpierając się na krześle. – Wspominaliście, panie Grandini, że wiedza to władza. Powiedzmy, że w tej chwili bardzo pragnę wiedzy. Przede wszystkim wiedzy o tym, że kiedy już Bractwo z naszą pomocą przejmie władzę, będzie uprzejmie zagwarantować nam większy wpływ na miejskie ustawodawstwo. Dożywotnie stanowiska w Radzie Pięćdziesięciu dla mnie i dla tych, których wskażę. Chętnie przyjąłbym takie drobne prezenty.

– A w zamian?... – Grandini schował papier z powrotem, nie patrząc na niego.

– A w zamian dostaniecie swoją rewolucję.

Grandini poważnie skinął głową.

– W kwestii zaś pomocy w obaleniu tyrana, z którym tutaj mamy problem – ciągnął Fosci – wszystko pozostaje bez zmian. Otrzymacie potrzebne środki, o ile tylko zdołacie zapewnić mnie, że moje skromne żądania zostaną spełnione.

– Zapewnienia nie dostaniecie – odparł Grandini. – Nie na piśmie. Otrzymacie natomiast ustne zobowiązanie do wdzięczności. Wybór jest prosty, panie Fosci. Albo pomożecie wystawić zaciężną armię, albo kto inny przyprowadzi takową tuż przed wasze drzwi. Wybierajcie zatem.

Bankier parsknął, zadrżały mu nozdrza, odchylił się w krześle.

– Stanowisko w Bractwie – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Załatwione – uśmiechnął się promiennie Grandini. Wyciągnął zza kaftana ten sam dokument, rozwinął go i podał Fosciemu. Virbio rzucił ciekawe spojrzenie i dostrzegł wielkie pieczęcie najmożniejszych Castelburskich rodów: Chiantich, Castiglianich, Ferrerich. Bankier przyjął dokument, przestudiował go uważnie, marszcząc krzaczaste brwi, a potem zwinął i schował za pazuchę.

– Nie zmarnujemy waszych pieniędzy – powiedział szpieg, demonstrując sztuczną wesołość. – Planujemy wynająć najlepszego dowódcę kondotierów. Jastrzębia. Dogadał się z naszymi artystokratami, zmiana strony specjalnie mu nie przeszkadza, byle dostał swoje złoto.

Jastrząb. Virbio spróbował sobie przypomnieć, gdzie słyszał to nazwisko czy raczej przezwisko. A potem zadrżał. Bo sobie przypomniiał. Rzeź w Tradivie. Pogłoski o rannych, dobijanych morgensternami. O kobietach gwałconych na rogach ulic. Szturm na ostatnie domy, w których bronili się ostatni mieszkańcy. A potem szturm kogoś innego na tamten szturm, szybki odwrót, gardła haratane ostrzami, sikająca krew.

Ktoś wtedy nadszedł. Przeszedł ulicami Tradivy i podążył w stronę Castelburga. Ktoś mroczny, w lśniącej zbroi, z własną gwardią i najemną armią,

której część rozpuścił po triumfalnym pochodzie przez miasto, wznecając kurz na bruku, skrapiając kamienie krwią z uciętych głów. Tak mówiły pogłoski, powoli zmieniające się w legendy.

Jastrząb miał powody, żeby nienawidzić Księcia.

To samo musiał pomyśleć sobie bankier, bo skinął tylko głową i przełknął ślinę.

– Chcę dać wam jeszcze jeden prezent, panie Fosci. Wiedzę o tym, co planujemy. Jako dowód naszego zaufania i szczerości intencji. Dlatego jest tu z nami pani Baldini. – Skłonił głowę przed milczącą dotychczas ochmistrzynią. Ta odkłoniła się poważnie.

– Pani ochmistrzyni – kontynuował szpieg – damy szansę wykonać jej pierwotny zamiar. Pomóc nam w dokonaniu zamachu na Księcia. Bractwo, panie Fosci, zaczęło uczyć się od bankierów rozważać ekonomię strat i zysków. Dużo możemy stracić, atakując miasto. Zniszczone kamienice, zabici ludzie, krew i zgliszcza. Nie potrzeba tego wszystkiego. Wystarczy dokonać skrytobójczego zamachu, a potem opanować Zamek, otworzyć bramy i zalać miasto wojskiem, które opanuje sytuację w ciągu kilku godzin. Mamy jednak problem. Jest nim, jak zapewniła mnie obecna tu dama, brzydkie słowo na „m”. Magia.

Bankier zmarszczył się, jakby istotnie podsunęto mu pod nos coś, co paskudnie śmierdzi. Wzruszył ramionami, sugerując, że zabobonami nie należy zbytnio się przejmować.

– Zechciej, pani – szpieg zwrócił się do Giulii Baldini – objaśnić nas nieco w tej materii.

– Jak już pan Grandini raczył być powiedzieć – zaczęła dama swoim dźwięcznym głosem – jestem ochmistrzynią dworu jeszcze od czasów rodu Malatestów, który rządził Castelburgiem pospołu z Radą Pięćdziesięciu. Znam całkiem dobrze północną część Zamku Cieni. Tam znajdują się kuchnie, spiżarnie, pralnie, oficyny, stamtąd jest otwarte wyjście na dziedziniec dla służby i poza mury. Straże sprawdzają tylko wjeżdżające wozy, które są rozładowywane poza bramą. Nie wiem, czy próbowano tamtędy wejść. Dawałoby to po prawdzie małe szanse, bo z Zamkiem, odkąd zamieszkuje go Książę... stało się coś dziwnego.

– To znaczy co? – wyrwał się z pytaniem Virbio. A potem zamilkł, przerażony własną śmiałością. Słuchając negocjacji pomiędzy bankierem a Grandinim, bardzo starał się wtopić w tło, a teraz nagle się zapomniał.

– Zmienia się – odparła pani Giulia. – Do komnat, które zajmuje Książę, nikt nie ma dostępu. Wejść strzeże Gwardia Morgh. Ale to nie wszystko. Kto niepowołany podejdzie zbyt blisko, znajdzie się w labiryncie korytarzy, które zaczną prowadzić we wszystkie strony, jakby się mnożyły. Niektóre będą miały

zwierciadlane ściany. Był ktoś, kto ominął strażników i zdołał wejść. Po dwóch miesiącach znaleziono gdzieś pod schodami jego zasuszonego trupa, jakby zabłądził, umarł z głodu i leżał tam latami.

– Zawierowania czasu i przestrzeni – stwierdził przemądrzale Grandini. – Magowie potrafią tworzyć takie rzeczy.

Virbio poczuł dreszcz zgrozy na myśl o nieskończonym błędzeniu w lustrzanym labiryncie, aż siły osłabną, aż przyjdzie gdzieś pod ścianą skonać z głodu i pragnienia.

– Część służebna jest bezpieczna – mówiła dalej pani Baldini – zaś w pozostałych nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. Nikt nie zapuszcza się poza północne skrzydło, jeśli koniecznie nie musi.

– A sam Książę? – zapytał Grandini. – Ktoś przecież musi mu usługiwać.

– To jest jedna z dziwniejszych rzeczy – rzekła ochmistrzyni. – Są w zamku komnaty jadalne, gdzie zostawiamy zastawione stoły, a potem sprzątamy resztki, są łaźnie, gdzie trzeba czasem przygotować balie gorącej wody, ręczniki, mydła, owoce i wino, jednak nikt nie służy Księżu w kąpielu. Pokojowych prowadzi za każdym razem ktoś z Gwardii Morgh, jeśli trzeba posprzątać w sypialni. Jednak komnata jest pusta i przy ubieraniu też nikt nie służy.

– Więc nikt nie widuje Księcia? – zaciekawił się bankier.

– Widujemy go – odparła pani Baldini. – Przy oficjalnych okazjach. Audiencjach. Siedzi cały zakuty w złotą zbroję, odzywa się głuchym głosem. Ma kilkoro przybocznych, którzy są na jego bezpośrednie rozkazy. I zawsze otaczają go gwardziści.

– Ciekawym – wymruczał pod nosem Grandini – dlaczego to wszystko...

– Właśnie – stwierdził Fosci. – Dlaczego władca miałby ukrywać swoją twarz, jeśli nie jest szpetnym potworem...

– Albo poszukiwanym przestępcą – wtrącił szybko Virbio.

– To nie takie proste – odparował szpieg. – Przestępca na tronie, jeśli ma mocne argumenty, jak pieniądze i wojsko, a do tego szlachetne urodzenie bądź też siłą lub podstępem zdobyty arystokratyczny tytuł, przestaje być przestępcą.

– Tylko kim on właściwie jest? – zapytał bankier.

– Wierz mi, panie, że Bractwo wszelkimi sposobami próbowało się tego dowiedzieć. Na próżno. Wyłonił się jakoś podczas wojny w Tradivie, przyszedł na czele kondotierów i swojej osobistej Gwardii Morgh. Przybył, zobaczył, zwyciężył, a potem osiedlił się tutaj, czarcia jego mać. A teraz dzieje się w zamku coś magicznego.

– Zatem Książę musi mieć przy sobie potężnego czarodzieja. Albo i sam takowym być – skonstatował Fosci. – Choć dziwi mnie to niezmiernie. Magowie to banda zapatrzonych w gwiazdy, roślinki i stare kamienie dziwaków.

– Nie ulega wątpliwości, że jest tam jakiś czarodziej – zgodził się szpieg. – Tylko ciekawość mnie bierze, kto to zacy może być, bo Kapituła twierdzi stanowczo, że nic o tym nie wie. Poza tym magom nie wolno parać się rządzeniem. Doradztwem, owszem. Ale nie mogą wpływać na decyzje władców. Takie zasady.

Fosci prychnął.

– Sami wiecie, panie Grandini, co się dzieje z zasadami, gdy przestają być potrzebne.

– Nie odbiegajmy jednakowoż od naszej materii – stwierdził zagadnięty. – Zatem, pani Baldini, o ile istnieją pewne szanse, że niewładający magią zamachowiec dostanie się do Zamku, o tyle żadną miarą nie dotrze on do Księcia?

Dama potwierdziła skinieniem głowy.

– Zatem po pierwsze, waszmość państwo – Grandini przybrał namaszczone ton – my również potrzebujemy czarodzieja. I myślę, że takowego znalazłem. A nawet nie trzeba daleko go szukać.

Na policzki Giulii Baldini wypłynął rumieniec, nozdrza zadrgały jej złością.

– Nie było o tym mowy, panie Grandini – rzekła z urazą. – Czarodzieje to zło, obraza bogów. Mieliście zwalczać magię, a nie pozwalać się jej omotać.

– Nikt tu nie będzie służył magii – odparł cierpliwie szpieg – ale musimy się nią posłużyć. Skąd w was taka niechęć do czarodziejów, jeśli wolno spytać?

– Nie wasza rzecz – odpowiedziała ostro ochmistrzyni.

Grandini pojednawczo uniósł w górę pulchne i upierścienione dłonie.

– Nie wnikiem w wasze sympatie i antypatie, pani – rzekł. – Chciałbym jedynie otrzymać deklarację, taką samą, jaką usłyszałem od obecnego tu pana Fosci. Czy pomożesz nam w spisku? Czy kiedy damy ci znak, wpuścisz do Zamku skrytobójcę albo czarodzieja? Wskażesz mu drogę? Odwórcisz uwagę straży?

– Tak – odpowiedziała ochmistrzyni, mrużąc mściwie oczy. – Kiedy przyjdzie czas... zrobię to, a nawet jeszcze więcej.

Od lodowatego błysku w jej spojrzeniu Virbia przeszedł dreszcz.

*

– Mewa. Byłam mewą – odezwała się czarodziejka stłumionym głosem, jakby jeszcze przez sen. Jardal odgarnął z czoła kosmyk mokrych, zlepionych włosów. Jego palce nieprzyjemnie mrowiły od przemiany. Ale tak dobrze pamiętały fakturę jej skóry.

– Miałam sen – wyjaśniła, przewracając się na bok. Odrzuciła lekkie przykrycie, biała koszulka zsunęła się jej z ramienia i Jardal przez chwilę

pomyślał, że wolałby posłuchać później. Ale czasu było niewiele. Posłał, jak każdego poranka, nienawistną myśl w kierunku Evelyn von Stein. Od ostatniego przejścia przez wrota światów właściwie zastanawiał się nad istnieniem bogów. Jeśli nawet istnieli, po prostu uprzejmie ich ingorował. Nie uważał, że powinien mieć do nich jakiegokolwiek interesy. Ale od jakiegoś czasu podwójność zachwytu nad ciałem Mitrii i nienawiści do Evelyn stała się jego poranną litanią.

Czarodziejka nadal patrzyła w niewidzialną przestrzeń swojego snu.

– Opowiedz – poprosił.

– Pamiętam wieżę i wyspę, maleńką, wokół było tylko morze – powiedziała.

– Jakimś cudem to była też cała kraina i wiedziałam, tak jak się coś wie we śnie, że toczy się tam wojna. Ale nie widziałam nikogo, dopiero po jakimś czasie dostrzegłam blanki wieży i jakąś małą postać. Wtedy zrozumiałam – we śnie byłam mewą, całą scenę obserwowałam z góry. Postać okazała się ciemno odzianą kobietą o bardzo długich, czarnych włosach. Po obu jej bokach stały dwa wilki, a na ramionach miała dwa kruki. Znikąd pojawił się na balkonie również na czarno odziany mężczyzna. Mewa zanurkowała w dół. To było jakieś niejasne.

– Mitria potarła czoło dłonią. – Ponad wieżą czyste niebo, słońce, wokół iskrzące morze, a na szczycie wieży panował mrok.

– Czy to przypominało Emain? – zapytał.

– Nie wiem. Może. Nie pomyślałam o tym w ten sposób. – Usiadła na łóżku, podkładając sobie pod plecy poduszkę. – To było dziwne – ciągnęła, patrząc w przestrzeń. – Te postacie stały na tarasie i czułam, jakby były nami i zarazem nie nami. Miały imiona, jakąś własną historię. Takie wszystko nagłe, zadziwiające, a jednocześnie zamazane. Jego pojawienie się, jej kamienna twarz. Powiedziała: „Nie powinienes być przychodzić, Artheniusie. Schwytają cię”. A on odpowiedział: „To nie może dłużej trwać. Podejmij decyzję, Eleyno. Giną ludzie”. We śnie wiedziałam, że stoją po przeciwnych stronach, walczą przeciwko sobie, choć nie było widać żadnych wojsk. Potem ona została na tarasie sama, choć nie zobaczyłam, co stało się z mężczyzną. Nie wyszedł, po prostu się rozplątał. A ja widziałam jakby podwójnie – byłam jednocześnie mewą i tą kobietą. Dotarło do mnie, że jest ślepa, że kruki siedzące na ramionach są jej oczami, a wilki strzegą kroków. Wokół wieży zerwał się wichur. Usłyszałam słowa: „Eleyno, zrób coś, jesteś Panią Wiatru. Do ciebie należy szkwał i wichur, i morska cisza, do ciebie poranek i wieczór, do ciebie bezsilne skrzydła mewy i martwe oko cyklonu”. – Mitria wzdrygnęła się i potarła ramię, które pokryła gęsia skórka. – Kobieta podniosła ramiona i próbowała zaklinać wiatr, ale coraz silniej uderzał w wieżę i było widać, że wymyka się jej spod kontroli. Opuściła ręce i stała bezradnie, a kruki i wilki trwały nieruchomo u jej boków.

Jardal odwrócił wzrok.

– Masz jakieś pomysły, co to może znaczyć? – zapytał. Starał się, żeby nie poznała, jak bardzo zmroziła go jej opowieść.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała sennym głosem. – Ale jeśli mi powiesz, że wieża to *phallos*, zabiję cię.

Zachichotał i objął ją.

– Skoro o tym mowa... – powiedział, przyciągając ją bliżej. Nie mógł się powstrzymać, choć z bólem zauważył jej szeroko otwarte, pełne smutku oczy, patrzące w przestrzeń ponad jego ramieniem. I nawet wtedy, gdy palce Mitrii błędziły z czułością po jego karku i plecach, a potem na moment zacisnęły się spazmatycznie, jej szare smutne oczy nadal patrzyły w pustkę.

*

Jardal przeciągnął się, narzucił opończę na nagie ciało i poczłapał schodami w górę do komnaty jadalnej. Sowa przed chwilą wyleciała przez otwarte okienko. Wbrew zwyczajom nocnych ptaków uwielbiała świeże morskie powietrze. Rozejrzał się wśród porozstawianych na piecu, nie do końca czystych garnków i westchnął. Mitria zupełnie nie przejmowała się bałaganem w kuchni, więc zmywanie spadało zwykle na niego. Czarodziejka nie znosiła brudu, ale kurz z podłogi i mebli zwykła usuwać energicznym zaklęciem, kiedy akurat miała na to ochotę. Niestety zdarzało jej się przy okazji anihilować jakieś stępione pióra, które Jardal uważał za zdatne wciąż jeszcze do użytku, a czasami pomięte kartki pełne notatek, które co prawda wyrzucił pod biurko, ale później chętnie by odzyskał.

Przeгляд garnków wypadł mało zadowalająco. W jednym czarodziej odkrył pozostałość jakiejś egzotycznej potrawy, ale nie wiedząc, co to, wołał nie tykać. Nie pamiętał, czy wczoraj to właśnie przyniósł posłaniec z gospody, czy też Mitrię naszła nagła fantazja, by coś ugotować, choć sztuka kulinarna była tą, której akurat nie opanowała. Ostatecznie zdecydował się na nieco podeschnięty chleb i duży plaster apetycznej szynki, która wisiała w kominie. Rozpalił ogień, zagrzał sobie trochę słabego pszenicznego piwa i dodał do niego odrobinę miodu, szczyptę zmielonego imbiru, trochę goździków i cynamonu, po czym zabrał to wszystko i, pogryzając chleb z szynką, poszedł z powrotem na dół. Przeszedł przez sypialnię, rzucając okiem na rozgrzebane łóżko i toaletkę Mitrii, na której stały rządkiem flakoniki pełne różnych tajemniczych ingrediencji, po czym skierował się do biblioteki. Przebiegł wzrokiem po rzędach książek piętrzących się na półkach. *O ziołach i truciznach wszelakich, Magia kamieni, Bestiariusz wedle magów starożytnej Eriu, Misteria labiryntów, Obrzędy inicjacyjne na wyspach Kerit, Czy istnieją inne światy?, Niektóre symboliczne aspekty opowieści o wyłonieniu świata, Bogowie – złośliwość czy nieistnienie, Przeгляд*

solipsystycznych teorii na temat istnienia uniwersum. Tytuły ksiąg ustawionych na następnej półce dotyczyły głównie kosmologii i Jardal nie był pewien, czy tego właśnie szuka. Na razie wędrował wzdłuż regałów z kuflem stygnącego piwa w ręku, pocierając w zamyśleniu nieogolony podbródek. Sen Mitrii zaniepokoił go bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Był pełen dziwnych symboli. Pamięć Międzyświata podpowiadała mu, że są światy, w których symbole żyją, łączą znaczenia, mają w sobie kreacyjny potencjał. Pozwalają zaklinać rzeczywistość, nakładać na nią więzy. Ludźmi rządzi ten, kto rządzi ich wyobraźnią. Czy ktoś lub coś zabłądziło do umysłu Mitrii i podsunęło jej ten sen?

Jardal wiedział wszystko na temat symboliki morza i wieży, a w tej sytuacji nie brzmiało to zachęcająco. A do tego dochodziło wiele innych elementów: kruki, wilki, ślepotą, mewa, wojna, Pani Wiatru... Odstawił gliniany kufel na stół, wytarł o brzeg opończy zatłuszczone szynką palce i wyciągnął z półki olbrzymi bestiariusz. Dowiedział się, że w mitach starożytnej Erii postać czarnej wrony przybierała zazwyczaj bogini wojny i śmierci Morrighu. Siedziała na ramieniu umierającego bohatera Cuchulainna, który przywiązał się do pnia drzewa, by pomimo ran spotkać swoich wrogów na stojąco, zanim zginie z ich rąk. Przyczyną jego śmierci była – pośrednio – zemsta zakochanej i odrzuconej Morrighu. To nie to...

Dalej, Nordowie – dwa czarne kruki przynoszące wieści bogu Odnowi, któremu brakuje jednego oka. Oddał je, by móc napić się ze źródła mądrości. Bliżej, zdecydowanie. Ale dalej nie wiadomo, jaki to ma związek... Mitria jako ślepa Pani Wiatru? To jakaś bzdura. Nie widzi, więc nie wie albo nie chce wiedzieć? Ale jednocześnie wie, bo kruki?...

Zostały jeszcze wilki, które siedzą u stóp. Czy wilk to pusty znak czy też ciepły, parujący, dyszący kłęb futra o dziwnym, wyraźnym zapachu? Nordowie okazali się inspirujący, więc Jardal szukał dalej. Wilki Odina. Wilk Fenrir, potwór, który przy końcu świata pożre słońce. Symbole prowadziły na manowce i czarodziej był bliski dojścia do wniosku, że tylko sama Mitria mogłaby zinterpretować swój sen. Tylko że ona nie przywiązywała do tego zbyt wielkiej wagi. Jardal wiedział, że wieża to może być centralny punkt, świątynia, środek świata – w tym przypadku miejsce spotkania, rozstrzygnięcia, przenikania się przeznaczeń. Miejsce Decyzji. Tym bardziej że we śnie była to jedyna zamieszкана przestrzeń pośrodku pustego morza. Ale sen wydawał się mieć wiele mglistych, chybotliwych i nakładających się na siebie znaczeń.

Upił łyk piwa i już miał usadowić się z księgą w fotelu, kiedy jego wzrok padł na leżącą na stole kartkę. Był to list od Mitrii. Jardal uśmiechnął się. Mieli tak mało czasu na rozmowy, a czasem nawet monologi do siebie – bo zmiana postaci

więzała się z odmiennym rytmem snu i czuwania – że czasem zdarzało im się zostawiać sobie listy. Zaczął czytać stojąc, a po chwili odstawił piwo na stół i ciężko oparł się o blat. Mitria pisała:

Jardalu, Ukochany!

Chcę Ci powiedzieć coś, czego nie mam odwagi do Ciebie pomyśleć. Być może to, co mam do powiedzenia, nie ma nawet zbyt wielkiego znaczenia. Tego również nie wiem.

Chcę być znów w pełni sobą, władać sobą, nie być dłużej niewolnicą Przemiany. Co do tego w zupełności się zgadzamy. Ale co potem? Normalny dzień, normalna noc. W wieży w Castelburgu? Wiem, do diabła z Castelburgiem. Nasza wieża to biblioteka, sypialna komnata, trochę przestrzeni i my. Dzień i noc, dzień i noc... Wiem, długo wędrowałeś, znasz tajemnice światów i teraz spokój jest właśnie tym, czego pragniesz. Ale ja, Jardalu, chcę stąd wyjść.

Czasem tęsknię do Cantaleny, ale Cantalena, za którą tęsknię, znajduje się w całości na starym cmentarzu przy świątyni Środka Świata.

Pamiętasz, wiele razy rozmawialiśmy o starych opowieściach, o Kielichu i krwawiącej włóczni, i o rycerzu, który nie zadał właściwego pytania. Zastanawialiśmy się, czy Gradalis to kielich, kamień, kocioł dawnych magów czy też może... kobieta. Tę wersję lubiłeś najbardziej, choć znawcy legendy uważają ją za późną, niezbyt wiarygodną interpretację.

Nie jestem Twoim Kielichem, Jardalu. Uczyniłeś mnie nim, bo pragniesz wypić mnie do dna. To była cena za zmianę światów – niczego nie wolno Ci naprawdę mieć, bo niczego nie możesz zabrać ze sobą. Co we mnie zostanie, kiedy wypijesz wszystko? Chcę czuć zawsze Twoje ramię obok swojego, ale jednocześnie tak bardzo, tak boleśnie pragnę wolności.

Podpisu brakowało. Jardal rzucił list na stół. Zaczął chodzić po komnacie, zaciskając szczęki i pięści. Znieruchomiał i zaklął, słysząc walenie kołatką do drzwi. Błady i wściekły przebiegł przez sypialnię, narzucił w pośpiechu spodnie i koszulę, a potem zbiegł po schodach i otworzył, gotów wyładować się na niespodziewanym gościu. Ale przez próg wtoczył się, w całej swej okazałej postaci opiętej czerwonym kaftanem, Grandini. Głośno odprawił chłopca, który niósł za nim koszyk z jedzeniem, i wkroczył do środka, narzekając na stare kości, które chcąc nie chcąc kurować mu przyszło u czarodzieja. Jardal zmierzył go nienawistnym spojrzeniem. W tej chwili nienawidziłby każdego, kto miałby pecha przywlec się do wieży.

– Nie zaprosisz mnie na pokoje, panie magu? – zapytał szpieg, mrużąc oko. – Osobliwie nie lubię stać w przeciagu. To mi niedobrze robi na...

– Proszę – przerwał mu zimno czarodziej.

– O, coś widzę, że monstrum nam jakoweś o poranku przez sypialnię przeszło, na odcisk nadepnąwszy – stwierdził radośnie Grandini, po czym wtoczył się na schody i podążył za Jardalem w górę, gdzie bezceremonialnie rzucił na stół serwetę, wyjętą z wiklinowego koszyka. Zaczął rozstawiać na niej przyniesione wiktuały i butelki. Monologował przy tym bez przerwy, streszczając najnowsze plotki z podzamcza. Jardal obserwował go w milczeniu.

– Zdałyby się duże, zacne kielichy, panie czarodzieju – zwrócił się do niego szpieg – ale poza tym to do mnie należy zaszczyt zaproszenia gospodarza na śniadanie. Wyborne, świeże ostrygi, bażancie udka na zimno, błękitny ser blenvingardzki, melony i winogrona, a wszystko to prosto z targowiska...

– Wolałbym przejść do rzeczy zamiast ucztować – mruknął czarodziej, ale posłusznie podszedł do szafy i wyjął z niej złożone pucharki Mitrii. Grandini podniósł jeden z nich pod światło.

– Wy, czarodzieje, zdaje się pijacie z naparstków – podsumował.

Jardal się nie odezwał, choć gość irytował go coraz bardziej. Wyszedł do kuchni i przyniósł talerze, chcąc nie chcąc wchodząc w narzuconą mu rolę gospodarza. Nie było to zbyt zgodne ze stylem, w jakim czarodzieje zwykli przyjmować petentów.

Przysunęli sobie fotele i usiedli przy stole, a szpieg nalał wino i nałożył sobie udko bażanta, gestem wskazując Jardalowi, żeby się częstował.

– Nie odmawiajcie, panie mistrzu, niewinnych przyjemności stołu, tym bardziej, że prawie żywot pustelnika tu wieciecie – zaczął z pełnymi ustami.

– Nie mam czasu na zabawy – warknął mag.

– A ja muszę mieć – odparł pogodnie szpieg – bo takie już moje zajęcie. Wszyscy wiedzą, że Grandini to taki nieszkodliwy typ, co lubi zjeść, a przy jedzeniu poplotkować. Chodzę, gadam z ludźmi, kupuję różne różności na targowisku, znam w tym mieście każdy kamień i każdą dziurę w murze, każdego woźnicę i powroźnika, każdą portową dziwkę. A jeśli jakiejś nie znam, to poznam, spokojna głowa. Wy, czarodzieje, gardzicie prostymi ludźmi, takimi, którzy nie mają waszej wiedzy. Przed chwilą puszczałeś mimo uszu moje historyjki o zamkowych kucharkach, marząc tylko, żebym skończył – ciągnął, nakładając sobie na talerz ostrygę. Sprawnie ją rozłupał, polał sokiem z cytryny i z wyraźną rozkoszą połknął.

– Zignorowałeś to, panie magu – podjął wątek – nawet nie zauważywszy, że wśród tych banalnych plotek przemyciłem dość informacji, żebyś mógł zorientować się, jak niepostrzeżenie wejść do Zamku Cieni.

– Pytanie tylko, czy ja chcę do niego wejść. Zdaje się, że jeszcze nie doszło do ostatecznych rozstrzygnięć. Jeśli zechcę, zapewniam, że nie będę musiał nikogo pytać, jak to zrobić. Względem zaś prostych ludzi mylicie się. Zawsze gotów

jestem ich wysłuchać i służyć im moją wiedzą. I w odróżnieniu od was, panie Grandini, nie wykorzystuję ich do swoich celów.

Szpieg przechylił pucharek i wysączył wino do ostatniej kropli.

– Jeśliście nam nieprzychylni, mistrzu Jardalu – rzekł, z głośnym stuknięciem odstawiając kielich na stół – to od razu to powiedzcie i głowy nie zawracajcie. Szkoda czasu.

– To wy nie marnujcie mojego. Nieprzychylny nie jestem. Przedstawiliście mi, panie Grandini, rozsądne argumenty. Nie interesuje mnie, czym jest tak naprawdę wasze Bractwo ani czym się zajmuje, ale, po prawdzie, jeśli chce się nadal mieszkać w tym mieście, wypadałoby się pozbyć Księcia i całej jego z piekła przywleczonej hałastry. Problem w tym, że robiłbym to na własną odpowiedzialność czy też dla własnej, powiedzmy, rozrywki. Bo w wasze zapewnienia o wpływie na Kapitułę nie wierzę.

Lekki ton wydawał się nie pasować do Jardala. Podobnie jak nerwowe ruchy, podniesiony głos, spoczone dłonie i parę innych oznak zdenerwowania. Grandini uśmiechnął się krzywo, po czym spoważniał.

– Tak sobie pomyślałem, że będziesz chciał dowodów – powiedział bezceremonialnie, nagle zmieniając ton i rezygnując z grzecznościowego „wy” oraz „panie magu”. – Odsuń łaskawie serwetę z dna koszyka. Jest tam gruba żółta koperta.

Jardal wygrzebał żądany przedmiot i posłał szpiegowi pytające spojrzenie.

– Dalej, otwórz. – Grandini skinął przyzwalająco głową. – Jeśli się dogadamy, te papiery będą naszym prezentem dla ciebie. Zgromadzenie ich zajęło Bractwu sporo czasu i wysiłku, więc docień to.

– Co to jest?

– Listy. Dowody. Coś na każdego. No, prawie. Adelard z Tradivy szpieguje dla cesarza Tarrentu. Hargon z Emmendath siedzi w kieszeni u verdyjskich kupców. Haakon Svearson dopomógł w otruciu następcy tronu Enneady. Flora van Tiven sporządzała niebezpieczne magiczne eliksiry dla przeróżnych arystokratek. Justin Fern był kiedyś w Tarrencie członkiem tajnego stowarzyszenia, które chciało obalić cesarza i posadzić na tronie uzurpatora. Arno Forese na dobre zadomowił się u książąt Medii jako nadworny czarodziej. Znalazłoby się również paru innych, którzy mają na koncie mniej lub bardziej drobne wykroczenia przeciwko waszej regule. A na każdego coś miłego.

Jardal przerzucił listy, pobieżnie rejestrując ich treść. Wielu spośród tych, których Grandini wymienił, było członkami Kapituły. Każdy z nich położył swój podpis pod którymś z trzymanyh teraz przez niego dokumentów. I wszyscy byli obecni podczas sądu nad Torem Harbergiem, żaden z nich – podobnie jak on sam – nie zrobił nic, żeby ocalić Bibliotekarza. I Jardalowi wydało się, że nagle

zrozumiał przyczyny tej bierności. Nikt nie chciał, by padło na niego spojrzenie Mistrzynie, źrenica oka władzy. Wielu bało się przyciągnąć uwagę, dotknąć obnażającej mocy Glinianej Pieczęci.

Myśl o procesie była gorzka, bardzo gorzka. Pozostawiała na języku smak wosku i popiołu. Wspomnienie, z jednej strony wyraźne, jakoś nie mogło do końca przebić się do świadomości. Jakby otaczała je gęsta, ciężka mgła, w której brnie się jak w koszmarnym śnie, oddychając piaskiem.

– Oddaj to, proszę. Na prezenty jeszcze za wcześnie. – Przez watę w uszach przebił się głos Grandiniego.

Jardal złożył dokumenty i włożył je z powrotem do koperty.

– Są bezużyteczne – mruknął. – Nie ma na żadnym z nich podpisu Evelyn von Stein.

Grandini wytarł w serwetę zatłuszczone palce i pośpiesznie umieścił sobie pakiecik na piersi pod kaftanem.

– To prawda – odparł – ale z ich pomocą mógłbyś zagrozić waszej Mistrzynie nielichem skandalem. A to już jest jakaś karta przetargowa.

Jardal zapatrzył się w okno. Potem powoli odwrócił głowę.

– Wasz prezent – powiedział – wsadźcie sobie łaskawie w dupę, panie Grandini. Nie pomogę wam. Nie dla lichej próby zdobycia pliku bezużytecznych świstków, które miałyby pomóc mi w rozpoczęciu wspaniałej kariery szantażysty. Ale – dodał – chcę sam dla siebie dowiedzieć się, co takiego kryje się w castelburskim zamku.

– Musimy jednym ruchem opanować miasto – wszedł mu w słowo szpieg, ignorując zarówno zniewagę, jak i odmowę. – Każde inne działanie będzie samobójstwem. A w cytadeli i w całym zachodnim skrzydle działa jakaś magia, o czym mógłbyś posłyszeć z ust własnych zamkowej ochmistrzyni, jeno że ona dziwną jakąś pałą niechęcią do magów.

– Więc pójdę sobie do zamku, sam. Dla własnej fantazji. Przy okazji może otworzę wam drzwi. Jeśli będę miał dobry humor, zadbam, żeby nikt się nie pogubił w czasoprzestrzennych pułapkach. A jeśli będę miał jeszcze lepszy, przyjrę się, jak też radzicie sobie z Księciem.

– Lepiej bym tego nie ujął. – Twarz Grandiniego przybrała zwykłą maskę jowialnego humoru, ale oczy pozostały czujne i nieruchome. – Zatem jutro o zmierzchu, w podziemiach banku Fortinarich. A teraz – dodał, pedantycznie wygładzając serwetę i chowając ją do koszyka – bywajcie, panie magu. Sam trafię do wyjścia. I wyśpijcie się dobrze, bo widok waszej twarzy mógłby piekarzom kwasić ciasto w dzieży.

Kroki Grandiniego ucichły na schodach, skrzypnęły otwierane i zamykane drzwi. Jardal siedział bez ruchu, z przymkniętymi powiekami, pod którymi litery

listu Mitrii jaśniały ostro, jak wypalone.

*

Adelard z Tradivy szedł szybko przez dziedziniec Emain, a za nim powiewał z szelestem fioletowy płaszcz podbity jedwabną podszewką. Był tak zły, że z trudem się powstrzymywał, by nie ciskać piorunów kulistych w podstawy murów. Zaciskał dłonie, z których od czasu do czasu sypały się iskry czystej magicznej energii, a nie mając co ze sobą zrobić, uziemiały się pomiędzy kamiennymi płytami posadzki. Zaledwie przed kilkoma godzinami Adelard przyjechał z gotowym raportem dla Evelyn i kilkoma wiarygodnymi bajeczkami dla innych. Był przygotowany na to, że spotka się ze sporym zainteresowaniem, w niektórych przypadkach wręcz z admiracją, a tymczasem odbił się od muru milczenia. Siedziba magów dziwnie przypominała wymarłe miasto. Służba snuła się leniwie po dziedzińcu, w kuchni nic nie gotowało się na wygasłych paleniskach. Wyglądało na to, że kto mógł, wyjechał. Po Bibliotece łąził jedynie ekscentryk w cynobrowej szacie, wydając jakieś foliały i mamrocząc do siebie. Skryptorium stało pustką, choć gdzieś tam zostały na pulpicie księgi i pergaminy jako smętne memento czyjejś przerwanej pracy. Na schodach do zielarni czarodziej wyminął Florę van Tiven, ubraną wedle najnowszej blenvingardzkiej mody w adamaszkową suknię z dekoltem w karo i wysoki spiczasty kapelusz, co nasunęło Adelardowi przypuszczenie, że na czele listy jej kochanków nie znajduje się już medyjski kupiec, lecz najpewniej jakiś arystokrata. Flora posłała mu zgryźliwy uśmiech i poszła dalej bez słowa. Jeśli pozostali tu jeszcze jacyś magowie, to – jak zorientował się Adelard – siedzieli ciasno pozamykani w swoich komnatach. Minął go tylko w pustych krużgankach Odo Trevelius, patrzący przed siebie szklanym wzrokiem. Jak zawsze wysoki i chudy, na czole miał wyciętą gwiazdę, z której nie do końca jeszcze obeschła krew – znak, że przechodził niedawno rytuał oczyszczenia. Ale zamiłowanie Odon do surowych praktyk pokutnych było powszechnie znane, więc Adelard nie przejął się specjalnie. A przynajmniej chciał wierzyć, że się nie przejmuje. Z wysokości swojego balkonu skinęła mu głową wiekowa Leta Therrus. Obok niej siedziała biała ubrana adeptka. I to było wszystko.

Tradivczyk obszedł znane sobie przestrzenie i zakamarki Emain, ale nie spotkał nikogo więcej, a przy tych nielicznych przypadkowych spotkaniach zwyczajne żarciki i anegdotki z podróży zamierały mu na ustach. Bardzo chciał się dowiedzieć, gdzie jest Verena, ale nie śmiał pytać. Wspominał ją jako cudowną kochankę, ale uważał również za całkiem niezłe źródło informacji o tym, co działo się w kręgach, do których Adelard nie miał bezpośredniego

dostępu. Rzadko bywał w Emain Avallach, a lubił mieć pełny obraz sytuacji. Tym razem nie mógł jednak na to liczyć.

Przeszedł przez dziedziniec i skierował się do północnego skrzydła zamku, położonego tuż obok Wieży Wschodniej i Zachodniej Gwiazdy, w poczuciu, że tym razem idzie nieprzygotowany. Z wściekłości posłał snop iskier w podstawę kolumny, która zasyczała, szerniała i zmieniała powierzchnię na twardą i połyskliwą. Cóż, trzeba było iść. Evelyn nie zносиła czekać.

*

– Musisz wiedzieć, że zamek na Emain Avallach ma ponad tysiąc lat – powiedziała Leta Therrus do swojej młodej przyjaciółki, baronówny Cantii von Essen, która niedawno przywdziała szaty adeptki. Siedziały na wysokim, ocienionym tarasie, pełnym dużych kamiennych donic z przeróżną roślinnością, tworzących prawdziwy podniebny ogród. Przed nimi stał stolicek z owocami, korzennymi ciastkami i słodkim winem. Leta wzięła z tacy jeden pierniczek, skruszyła go w dłoni i rzuciła na kamienną posadzkę. Gołąb, który spacerował po balustradzie, natychmiast sfrunął na dół i zaczął dziobać okruchy. Cantia von Essen obserwowała, jak Leta wyciąga smukłą, zasuszoną dłoń z błękitnymi żyłkami i wypowiada krótkie, ledwie słyszalne zakłęcie. Z głowy gołębia oderwał się strzępek srebrnej mgiełki i poszybował w kierunku wyciągniętej ręki, która się na nim zamknęła. Niczego nieświadomy ptak dalej spokojnie się pożywiał.

– To nie jest najlepszy posłaniec – powiedziała Leta, rozcierając srebrną mgiełkę pomiędzy palcami. – Gołębie są głupie. Przenoszą tylko najpierwotniejsze instynkty, najprostsze emocje. To tutaj to złość – uniosła rękę do twarzy, wdychając zapach – a także strach, niepewność, niechęć, może nienawiść – stwierdziła, po czym strzepnęła mgiełkę na wiatr. – Trochę aktualnego nastroju zebranego z dziedzińca Emain. Nie ma tu nic nowego, więc nie przejmuj się. Weź, proszę, ciasteczko.

Cantia von Essen rozgryzła kruchy, korzenny pierniczek i upiła łyk wina, obserwując przy tym swoją preceptorkę. Leta Therrus nosiła elegancką suknię z szarego jedwabiu, a srebrzyste włosy upinała w kok spięty pojedynczą, czarną szpilą z obsydianu. Z rozcinanych rękawów wysuwały się szczupłe, niezwykle dłonie – białe, gładkie, pozbawione najmniejszej nawet plamki, choć były zasuszonymi rękami staruszki. Cantia zastanawiała się nad prawdziwością plotek mówiących, że Leta ma ponad dwieście lat.

– Starość może być miła, kiedy ma się swój własny taras – mrugnęła wiekowa czarodziejka. Baronówna zarumieniła się, przypomniawszy sobie kolejną plotkę: cudze umysły, zwłaszcza myśli najmniej skryte, Leta czyta jak

otwartą księgę. Właściwie mogłaby w ogóle się nie trudzić zadawaniem pytań. Za to Cantii przyszło do głowy jedno, na którego wypowiedzenie prawie nie miała odwagi:

– Właściwie... jak to się stało, że to nie ty...

– ... że to nie ja noszę Glinianą Pieczęć?

Cantia przytaknęła nerwowo.

– Cóż, odpowiedź jest bardzo prosta. Nie chciałam. Nie bój się, nie muszę czytać twojego umysłu, zdziwienie w oczach mówi wystarczająco wiele. – Leta uśmiechnęła się figlarnie. – Widzisz, kiedy się naprawdę żyło, nie unikając niczego, żadnej wiedzy, żadnego doświadczenia, kiedy doznało się wielkiego szczęścia i wielkiego cierpienia, najlepszą na świecie filozofią życiową jest taras.

Cantia znów spojrzała na przepiękne, szczupłe dłonie Lety, oparte na poręczach fotela.

– Ale lubisz mieć pełną wiedzę o tym, co się dzieje wokół ciebie – stwierdziła. – Dlatego gołębie.

– Och, mówiłam ci, że gołębie są głupie. Tak naprawdę najlepsze są wróble. I szczyry.

Baronówna obrzuciła Letę długim spojrzeniem, ale pomimo wesołych iskerek w oczach nic nie wskazywało na to, że czarodziejka z niej żartuje.

– Naucz mnie tego – poprosiła.

– Przyjdzie na to czas – Leta Therrus odwróciła głowę w kierunku dziedzińca, a słońce zamigotało w jej srebrzystych włosach. – Zanim napisze się własną księgę, trzeba nauczyć się czytać. Jeszcze wiele przed tobą.

– A czego mogłabyś nauczyć mnie teraz? – zapytała Cantia, czując bicie własnego serca. Wiekowa czarodziejka przyjrzała się jej badawczo, po czym odpowiedziała:

– Emain.

– To znaczy historii?

– Sugerujesz, że to nudne? Nie, nie historii. Chciałabym cię nauczyć, jak tu przetrwać.

Baronówna poczuła przebiegający po plecach dreszcz. Wzdrygnęła się z zimna. Przetrwanie. Śliski głos wuja tuż przy uchu i lodowaty, daleki głos ciotki. Ona się w ogóle nie stara. Niewdzięcznica. Szara komnata o pustych ścianach i zakratowanych oknach. Otwórz, Cantio. Otwórz, bo jak tam wejść, to mnie popamiętasz, ty smarkata dziwko. No dalej, otwórz, kochanie, obiecuję, że cię nie tknę. Muszę tylko zobaczyć moją dziewczynkę. Czemu ona jest taka posiniaczona, Hevardzie? Pewnie znów się bawiła z dziećmi ze wsi. To nie uchodzi.

Zimną mgłę przed oczami rozwiął żywy, ciepły dotyk suchej dłoni Lety Therrus. Cantia spojrzała na nią nieprzytomnie.

– Tu chyba nie będzie trudno... przetrwać – powiedziała przez schrypnięte gardło.

– To zależy. Jeszcze kilka lat, może nawet miesięcy temu powiedziałabym, że masz rację. A gdyby ktoś postawił mi takie pytanie w czasach mojej młodości, wyśmiałabym go. Wtedy zamek w Emain Avallach był marzeniem każdego, kto tylko miał magiczny talent. Stawał się schronieniem dla wszystkich, którym rzeczywiście udało się tu dostać. My, magowie, byliśmy pełni zapału i pasji. Marzyliśmy o poznawaniu starożytnych tajemnic, spotykaliśmy się tu, aby dyskutować i prowadzić badania, a potem rozjeżdżaliśmy się po świecie – uzdrowiciele, cudotwórcy, uczeni, mistrzowie. Owszem, wielu się prędzej czy później spalało. Umiłowanie wiedzy, tym bardziej tej niedostępnej wszystkim, jest samo w sobie rodzajem szaleństwa, a jeśli dochodziły do tego ambicje i pragnienie władzy... Zdradzę ci coś. W podziemiach zamku Emain są lochy, a w nich cele z łańcuchami i obrożami przykutymi do ścian.

Cantia przypomniała sobie kuzynkę ciotki, wariatkę, której krzyki i brzęki łańcucha niosły się po zamku, dopóki zirytowany tym wuj nie kazał odgrodzić grubym murem komnaty, w której ją zamknęto. Przełknęła ślinę.

– I trafiali tam magowie, którzy popadli w szaleństwo? – zapytała.

Leta zakreśliła stopą jakiś bezsensowny wzór na kamiennej posadzce. Nie podniosła wzroku, choć uśmiechnęła się lekko. To właśnie przyciągnęło ją do młodziutkiej, bezradnej adeptki arystokratycznego pochodzenia i sprawiło, że się nią zajęła – żywa, choć nieoszlifowana inteligencja Cantii, umiejętność błyskawicznego analizowania sytuacji i stawiania właściwych pytań.

– Trafiała tam ponad połowa mojego pokolenia – odpowiedziała, wciągając powietrze w płuca. – A bardzo wielu spośród nich sama tam zaprowadziłam.

– Zatem byłaś?...

– Byłam Strażniczką Bram. Właściwie nadal nią jestem, choć tylko nieliczni o tym wiedzą. Na szczęście ta funkcja przestała być potrzebna i poszła w zapomnienie.

Cantia zmięła w dłoni fałd sukienki.

– Czemu tak się stało? – zapytała, wbijając wzrok w posadzkę. – Czarodzieje przestali już... kończyć w ten sposób?

– Nie. Ale teraz najczęściej popadają w obłęd na własny rachunek, daleko stąd. Poza tym... – Leta gestem przepłoszyła kolejnego gołębia, który przysiadł na kamiennej balustradzie i łakomie gapił się na resztki posiłku poprzednika. – Znasz formułę Przysięgi, prawda?

Cantia skinęła głową.

– Jej litera pozostała niezmienną – ciągnęła stara czarodziejka. – Nie wolno popychać naprzód Koła Dziejów i łączyć się w miłości z nikim, a szczególnie z innym magiem. Musisz jednak wiedzieć, że z czasem formuła Przysięgi nabrała charakteru... czysto teoretycznego. Ale to paradoksalnie ratuje przed szaleństwem. To jeden z aspektów przetrwania, moja droga.

Wiekowa czarodziejka nagle uniosła dłonie w kierunku gołębia i wyskandowała krótkie zaklęcie. Baronówna poczuła lekkie uderzenie powietrza, a ptak wzbił się w górę, zakołował przez chwilę i puścił się stromym lotem w dół. Po chwili wrócił, a czarodziejka wydobyła z niego srebrną mgiełkę.

– Złość już się nieco rozviała – powiedziała, wdychając zapach. – Pozostało bardzo dużo lęku i niepewności. Lekcja pierwsza: żeby przetrwać, musisz bezbłędnie rozpoznawać emocje. Milczeć, kiedy trzeba i odzywać się w porę, przychodzić w niektóre miejsca i unikać innych, wiedzieć, kiedy poprosić, a kiedy zażądać czy rozkazać, albo dla odmiany nie powiedzieć nic. A przede wszystkim umieć rozróżnić, komu możesz zaufać, a kto potraktuje cię tylko jako szczebelek drabiny prowadzącej do zbudowania własnej pozycji. Wynika z tego bezpośrednio lekcja druga: musisz poznać ludzi.

Cantia znów przytaknęła. Pamiętała jeszcze potworny strach, jaki ogarnął ją na widok lodowato surowej Mistrzynie Evelyn von Stein, która dokonała ceremonii przyjęcia jej w szeregi adeptów. Mgliste wspomnienie ciotki przemieszało się wtedy z koszmarną treścią, a szelest srebrzystych płaszczy kilku obecnych na sali magów brzmiał w uszach dziewczyny jak kamienna lawina. Przystojny brunet uśmiechnął się drapieżnie, a jakiś inny czarodziej o oczach niczym sadzone jajka narzucił na jej ramiona biały płaszcz. Czerwona jak wiśnia baronówna próbowała niezdarnie zawiązać go pod szyją, aż zeszywniałe palce odkryły, że przy kapturze biała opończa ma nie taśmę, a zapinkę. Cantia wyszła, zapominając o ukłonie, i czuła taki wstyd, że przez moment zapragnęła przestać istnieć. Wszyscy ci dostojni magowie i czarodziejki wydawali jej się postaciami z legend, które w dzieciństwie – jeszcze przed śmiercią rodziców – ukradkiem czytywała na strychu. Dopiero potem, w komnatach adeptek, usłyszała kilka nazwisk i znacznie więcej powtarzanych z chichotem lub przejęciem plotek, z których – choć nie chciała się do tego przyznać – rozumiała bardzo niewiele. Cały ten świat wydawał się jej jakby oddzielony grubą szybą, za którą tkwiła zupełnie sama, dopóki nie dostała wezwania do prywatnych komnat najszacowniejszej z precepterek, Lety Therrus. Wtedy świat przybrał formę uśmiechniętych czarnych oczu, których właścicielka odezwała się, żywo patrząc na baronównę: „Mów mi Leta. Jestem już tak stara, że bawienie się w ceremonie nie ma sensu”. To ona otworzyła przed Cantią świat Biblioteki. Wskazywała ścieżki. Pozwalała popełniać błędy. Nie pocieszała, ale i nie wyśmiewała

porażek. Jednak nigdy wcześniej nie wyjawiała młodej adeptce żadnych sekretów Emain. Wręcz przeciwnie. Pozwalała jej na budowanie własnego, wyidealizowanego obrazu zamku na wyspie, najwspanialszego miejsca na świecie, siedziby mądrych i szlachetnych magów.

A teraz ta sama staruszka powiedziała:

– Pytaj. Po prostu zapytaj o wszystko, co tylko przyjdzie ci do głowy. Ale najpierw weź ciasteczko – dodała, podnosząc pierniczek i ostrożnie maczając go w herbacie.

Cantia ze zdenerwowania bezwiednie mięła sukienkę. Oto miały się przed nią otworzyć tajemnice Emain Avallach, a ona nie miała nawet pojęcia, od jakiego pytania zacząć. Tak bardzo chciała dobrze wypaść, pokazać, że pojmuje, choć ten nowy świat przerażał ją momentami grozą i zamętem. To nie było Emain z jej dziecinnych snów. Zaczynała to rozumieć. Przełamując suchość w gardle, zapytała:

– Co się tu teraz dzieje? Dlaczego jest tak pusto?

– To dobre pytanie – odpowiedziała łagodnie Leta Therrus – ale odpowiedź na nie będzie bardzo trudna. Wymaga szukania odległych przyczyn i snucia długich opowieści. Na to, co dziś gołębie przyniosły mi z dziedzińca, składają się setki drobnych wydarzeń splecionych bardzo delikatnymi powiązaniem, często wzajemnie sprzecznymi. Ale pewne węzły na nitkach tej tkaniny są dla mnie wyraźniejsze od innych. Słyszałaś coś zapewne o śmierci Bibliotekarza?

– Słyszałam wiele – Cantia skuliła się w sobie – ale w większości jakies szemrane pogłoski i plotki.

– No tak, w Emain nigdy nie brakowało szeptanej po kuchniach, alkowach i korytarzach propagandy – uśmiechnęła się kpiąco czarodziejka. – Więc co do ciebie dotarło?

Baronówna przełknęła ślinę.

– Różności – odparła. – Mówili, że Bibliotekarza Kapituła skazała na śmierć za jakieś straszliwe przestępstwo. Adeptki opowiadały, że on tam u siebie nocą odprawiał jakieś straszne czarnomagiczne rytuały, kreślił krwią niewinnych dzieci pentagramy na posadzce, ściągał stwory z innych światów. Od służącej usłyszałam, że nocą zamieniał się w nietoperza i latał po zamku, by wysysać krew z ludzi i zwierząt. Wersja jakiegoś przemądrzałego adepta brzmiała tak, że wcale nie został skazany, ale wysłano go z tajną misją, pozorując najpierw śmierć. Ale ogół jest zgodny co do tego, że mu kat w lochach poświecił.

– Kat w lochach, powiadasz. Interesujące... – Leta Therrus znacząco zawiesiła głos i nieco ociężałe podniosła się z krzesła. – Chodź tutaj – oparła się o kamienną balustradę i gestem wskazała przyjaciółce miejsce obok siebie. – Co widzisz?

– Dziedziniec – odparła z wahaniem Cantia.

– Znakomicie, moje dziecko. Dalej, zrób użytek ze swoich oczu. I z mózgu.

Dziewczyna zlustrowała uważnie widok na kamienne płyty i krążanki. Wokół wznosiły się wysokie, szare mury zamkowych zabudowań. Pośrodku ogromnego dziedzińca cicho szemrała fontanna. Na lewo, w bramie, ponad którą unosiły się masywne sylwetki strażniczych wież, snuł się samotny wartownik. Z mieszczących się obok oficyn i stajni dobiegały pojedyncze, ciche odgłosy. Balkon Lety mieścił się we wschodnim, mieszkalnym skrzydle, w drugiej co do wysokości wieży Emain, zwanej Wieżą Słońca, i był tak duży, że rozpościerał się z niego widok zarówno na dziedziniec i bryłę zamku, jak i na morze, wybrzeże i ogrody po drugiej stronie zabudowań. Cantia zlustrowała wysoki dach Biblioteki i posępny cień Wieży Wschodniej i Zachodniej Gwiazdy.

– Jest pusto – powiedziała. – Nikt, kto nie musi, nie przechodzi przez dziedziniec. Nie ma wiatru, proporce zwisają na masztach. Z okien pracowni Justina Ferna zniknęły iluzje. Skryptorium w Bibliotece świeci pustkami, podobnie jak stół w sali jadalnej. Fiorella Venzio wpadła w histerię i codziennie odwiedza zielarnię Teo Vastinius, wynosząc stamtąd całe flakony nalewki z kozłka i dziurawca. A kwiaty w oknach Adalii z Bergen uschły już dawno temu.

– Bardzo dobrze, mała baronówno. Domyślasz się, dlaczego?

– Ma to jakiś związek ze śmiercią Bibliotekarza?

– Tak można wnioskować. Legedny, które uprzejmie mi streściłaś, są wspaniałym wyrazem ludowej i nastoletniej wyobraźni, ale to prawda, że został skazany na śmierć. Okrutnym, szybkim, przedwczesnym wyrokiem. Nie było mnie przy tym – skrzywiła się. – Lekkomyślnie wyjechałam miesiąc wcześniej ratować zdrowie nad brzegiem oceanu. Wtedy Kapituła uczyniła ruch, który pociągnął za sobą rozpędzoną lawinę. Zostało popchnięte naprzód nasze własne, wewnętrzne Koło Dziejów. A całą odpowiedzialność wzięła na siebie – dobrowolnie lub nie – Mistrzynie Glinianej Pieczęci. Teraz dla większości Emain Avallach przestało być miejscem albo wygodnym, albo bezpiecznym. W każdym razie niektórym nie miłe stało się życie w cieniu czyjejś wszechwładzy. Nikt oczywiście nie wymówił tego głośno, nie postawił Mistrzynie żadnych zarzutów. A Evelyn milczy i coraz bardziej otacza się milczeniem.

– Przepraszam, ale nie wszystko rozumiem. Mówisz zagadkami. Wewnętrzne Koło Dziejów?...

– Wybacz. – Leta Therrus oderwała dłonie od barierki i rozprostowała plecy.

– Zapominam, że młodość jest niecierpliwa. A poza tym rozleniwiłam się już. Wypowiadam jedno zdanie i wydaje mi się, że to wystarczy, choć tak naprawdę potrzebna jest długa opowieść. Jestem już zmęczona. Na razie chcę ci udzielić

radę i ostrzeżenia. Pamiętasz maga w fioletowym płaszczu, który uklonił się nam dziś, idąc przez dziedziniec?

– Tego, który zmierzał do wielkiej wieży? – Cantia poczuła, jak na twarz wypływa jej rumieniec. Pamiętała spojrzenie tego człowieka, gdy kilkakrotnie się z nim zetknęła, drapieżne i zagarniające. Mówiło: „gdy tylko zechcę, będziesz moja – ale na razie nie chcę”.

– Tak. To Adelard z Tradivy. A rada brzmi: strzeż się go.

Stadko gołębi poderwało się z dachu i zaczęło kołować w powietrzu. Baronówna cieszyła się, że może przez chwilę pomilczeć.

– Więc magowie wyjechali, bo chcieli pokazać własną niezależność? – zapytała w końcu.

– To była jedna z przyczyn. O pozostałych opowiem ci innym razem. Wybacz, dziecko, ale starość ma swoje prawa, co oznacza, że teraz muszę wypić kubek mikstury, która zdecydowanie otrułaby młodego i zdrowego człowieka, a potem trochę się przespać. Przyjdź na kolację – ale obawiam się, że będziesz musiała wcześniej udać się do kuchni i ją zamówić. Jeśli po drodze spotkasz jakiegoś adepta, powiedz mi o tym.

Cantia znów się zarumieniła, uścisnęła staruszkę i odeszła, strzepując pomięte fałdy spódnicy. Dopiero zbiegając po schodach uświadomiła sobie, że w słowach Lety tkwiło coś więcej niż banalna sugestia, by baronówna zaczęła zwracać uwagę na młodych ludzi płci odmiennej. Ona sama również od dawna nie widziała żadnego adepta, choć dziewczęta po starym mieszkają w swoich komnatach i chodzą na zajęcia do czarodziejek, które nie wyjechały z Emain. Upór w sugerowaniu normalności jednym wychodził lepiej, innym gorzej. Wielu magów tkwiło na zamku, wykonując bądź symulując codzienne czynności, ale po adeptach najwyraźniej zaginął ślad.

*

Ciężkie, okute wrota były zamknięte na głucho. Otwierające zakłęcie nie zadziało. Parę innych także nie. Adelard posłał w oporne drzwi wiązkę przekleństw, snop iskier, a na koniec solidnego kopniaka, który tylko sprawił, że przez chwilę zabawnie podskakiwał na jednej nodze. Obejrzał się za siebie, żeby zobaczyć, czy nie ma świadków tego uchybienia jego godności, przy czym z rozmachem uderzył głową w nadproże przedsionka. W tym momencie repertuar tarrenckich, medyjskich, zbójceckich, dokowych i całkowicie pospolitych przekleństw już mu się zupełnie wyczerpał. Lekko kulejąc, wyszedł z przedsionka, zajrzał w krużganki i ruszył labiryntem korytarzy do tylnych pomieszczeń. Tu dla odmiany drzwi wcale nie były zamknięte, a skrzypienie zardzewiałych zawiasów obudziło stadko śpiących w podziemiach nietoperzy,

które wyleciały z piwnicy i zaczęły dziko kołować mu nad głową. Opędzając się od gacków, ruszył w górę po schodach. Jeśli Evelyn chciała mnie upokorzyć, pomyślał, gorzko tego pożałuje.

Drzwi do komnaty Mistrzynie były lekko uchylone. Fotele stały tam, gdzie przypadkiem zostały postawione, wszędzie wałały się książki, a zasłany papierami i woluminami stół pokryła całkiem gruba warstwa kurzu. W poprzek krzesła leżała niedbale porzucona rzeźbiona laska Mistrza Ceremonii. Pod oknem stał kamienny postument, na którym, pod magicznym przykryciem, powinna spoczywać Gliniana Pieczęć. Ale niczego tam nie było. Adelard podszedł i ze zdumieniem dotknął płyty, czując lekkie mrowienie. W tym momencie z kąta dobiegł szmer.

– Stój! – usłyszał, po czym przez pokój przepłynęła wiązka magii, ale Tradivczyk był wystarczająco szybki – zdołał przechwycić ją w locie i posłać w sklepienie, na którym zmieniła się w mały płomień, zasyczała i zgasła, pozostawiając po sobie czarną i dymiącą plamę.

– Do ciężkiej cholery, co ty tu robisz? – odezwał się zasapany i najwidoczniej przerażony głos.

Nawet kląć potrafię lepiej, pomyślał Adelard, wpatrując się ze zdumieniem w twarz, która wyglądała zza wiszącej w roku, zakurzonej aksamitnej kotary – a choć blada, wymięta i zdradzająca oznaki wielotygodniowego niewyspania, należała najwyraźniej do Hargona z Emmendath. Tradivczyk zmierzył go wyniosłym i nieco szydreczym spojrzeniem.

– Pytanie raczej nie na miejscu, zważywszy, że po pierwsze, zwykłem tu zachodzić regularnie, a po drugie, mógłbym ciebie zapytać o to samo – stwierdził. – Przyjechałem gnany gorliwością, by złożyć mój zwykły raport naszej ukochanej Mistrzynie.

Jeżeli nawet Hargon zrozumiał ironię, tym razem wolał udać, że nie rozumie. Pomagało mu bardzo to, że Adelard z Tradivy miał go za idiotę. Nieszczęsny Mistrz Ceremonii nie był jednak na tyle głupi, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Pielęgnował w sobie urazę jak zadawnioną ranę, licząc na to, że kiedyś zdoła się odegrać.

– Evelyn nie ma – oznajmił ponuro, z satysfakcją obserwując efekt, jaki te słowa wywrą na dumnym Tradivczyku.

– W takim razie poczekam. – Adelard odrzucił z ramion aksamitny płaszcz, którego fiolet prowokująco połyskiwał głębokimi refleksami, zdradzając kosztowność materiału, podobnie jak noszony pod spodem czarny, wyszywany srebrem kaftan. Wszystko w jego wyglądzie, od wypielęgnowanych czarnych włosów, poprzez inkrustowaną rubinami rękojeść krótkiego miecza, aż po srebrne klamry błyszczących butów miało wzbudzać w otoczeniu poczucie niższości.

Mag przysunął sobie jedno z krzeseł, zrzucił z niego rozpadający się foliak o medyjskich zwierzętach, ozdobiony dziwaczną, pełną rogów głową na okładce, z obrzydzeniem obtarł mebel z kurzu i usiadł.

– Mam pewne obawy, że możesz się nie doczekać – westchnął Hargon z Emmendath. Nadal na wpół wyglądał zza zasłony, wyciągając szyję jak przerażony ptak. Jak oskubany kogut, który nawet nie wie, co się robi z kurą – pomyślał Adelard. Założył nogę na nogę, podniósł z podłogi medyjski bestiariusz i zaczął go przeglądać, z zainteresowaniem przerzucając ilustracje chimery, bazyliiszków, skorpionów o ludzkich głowach, bykołaków i chyba najpaskudniejszych ze wszystkiego węzogłowych gorgon.

– Mówiłem poważnie – sapnął Hargon. – Mistrzynie nie ma. Nie w tej komnacie ani w zamku. W ogóle nie ma jej w Emain.

Książka przefrunęła przez pokój i rąbnęła w stos foliaków ułożony pod przeciwną ścianą, rozwalając go z impetem.

– Co ty, do ciężkiej i plamistej francy, bredzisz? – Adelard podniósł się z krzesła i podszedł go Hargona, odsuwając zasłonę i łapiąc go za szatę na piersi.

– Przecież gdyby wyjechała, coś bym o tym wiedział! Ktokolwiek coś by o tym wiedział. – W tym momencie przypomniała mu się pustka na dziedzińcu. – A może wszyscy wiedzą, co? – Ścisnął Mistrza Ceremonii mocniej, pchnął go na ścianę, przycisnął. Przerażone oczy Hargona wpatrywały się w niego w napięciu, uchylone usta łapały powietrze. Bezradnie pokręcił głową.

– Więc dokąd wyjechała? Kiedy? I jak, na grzmoty z tyłka świętego Ederwalda, wszystko się teraz tutaj odbywa?

Hargon zarządził, usiłując nabrać oddechu, i wskazał na kąt zasłonięty kotarą. Stał tam wysoki, okryty aksamitną zasłoną przedmiot. Tradycyzyk puścił Mistrza Ceremonii, podszedł i ściągnął okrycie. Wyłoniło się spod niego wysokie, owalne lustro, osadzone na rzeźbionej ramie. Na jego zamglonej powierzchni coś się jakby kotłowało, a mlecznobiały dym zaczął powoli wydostawać się z tafli zwierciadła i rozsnuwać po komnacie.

– Nie wyjechała – wycharczał Hargon, masując szyję. – Przeszła przez tunel. Nie powiedziała dokąd i obawiam się, że zabroniła pytać.

– Jak to przez tunel? Przecież posługują się nimi tylko Wędrowcy Światów! Dla nas to... zabronione. Przeszła do innego wymiaru rzeczywistości?

– Nie – sapnął Hargon, ponuro wpatrując się w powierzchnię zwierciadła, na której pośrodku mlecznej, kotłującej się mgły zaczął pojawiać się jakiś jaśniejszy punkt. – Jest gdzieś w naszym świecie, ale nie wiem gdzie. Utworzyła tunel za pomocą Glinianej Pieczęci. Wiesz, że to możliwe. Zabrała ją ze sobą, więc tą samą drogą może wrócić. Tyle że to ryzykowne i wymagające bardzo dużych umiejętności i sił. Nie będzie się więc przemieszczała zbyt często.

– A to tutaj? – Adelard wskazał na lustro.

– Komunikator. Rozmawia ze mną dość regularnie. Oczywiście możesz tą drogą złożyć swój raport. – W głosie Hargona zabrzmiał sarkazm i odrobina kiepsko skrywanej satysfakcji, że wreszcie i on może sobie na niego pozwolić.

– Chyba z tym poczekam. – Tradiwczyk podniósł zasłonę i spróbował narzucić ją z powrotem na ramę zwierciadła.

– Zdaje się, że za późno. – Po umęczonej twarzy Hargona przemknął złowieszczy uśmiech. – Wzywa nas.

Mgła rozpełzła się, częściowo opuszczając ramy lustra i rozsnuwając białymi pasemkami po komnacie. Na środku tafli utworzył się stopniowo klarowny, czarny owal, który pełził ku brzegom lustra, aż w końcu pojawiła się w nim najpierw twarz, a następnie cała postać Mistrzynie Glinianej Pieczęci, Evelyn von Stein.

– Witajcie – powiedziała swoim zwykłym, dźwięczącym jak ostrze noża głosem. Jej włosy jak zawsze były upięte w sztywny kok, a szyję podtrzymywała w górze wysoka kryza ciemnej sukni. Spomiędzy perłowych guzików na piersi wysuwał się czarny łańcuszek. Adelard wpatrzył się uważnie w tło obrazu, jaki ukazał się jego oczom. Evelyn stała bez wątpienia w pomieszczeniu i to dość ciemnym. Gdzieś z boku znajdowało się wysoko umieszczone okno, bo na jej sylwetkę padał niewyraźny cień kraty. Ale to było wszystko, co dało się zaobserwować. Cokolwiek znajdowało się za Evelyn, zostało zasłonięte parawanem z białego płótna.

– Dziękuję, że przybyłeś, Adelardzie. – Mistrzynie uśmiechnęła się, unosząc w górę same kąciuki ust. Zagadnięty pomyślał, że nie było chyba żadnej osoby w całym Emain, od obecnego tu Mistrza Ceremonii aż po popiskującą w ścianie mysz, która by nie nienawidziła tego uśmiechu. Za pozorną serdecznością kryła się w nim otwarta chęć dominacji i znacznie bardziej ukryta chęć poniżenia rozmówcy. – Chętnie wysłucham tego, co chciałbyś mi opowiedzieć.

Chciałbym, pomyślał Tradiwczyk. Jakbym nie musiał. Chrząknął i spojrzał znacząco na tkwiącego wciąż u jego boku Hargona z Emmendath, który nerwowo przełykał ślinę i gapił się martwo w przestrzeń, ze swoimi wybałuszonymi oczami stanowiąc żywy pomnik absolutnego przerażenia.

– Och, nie krępuj się – powiedziała słodko Evelyn. – Nie mamy przecież przed droгим Hargonem żadnych tajemnic. Musisz wiedzieć, że stał się on dla mnie ostatnio nieocenionym wsparciem.

Mistrz Ceremonii skulił się i zgarbił, jakby nałożono mu na ramiona cały zamek Emain wraz z przyległymi siołami. Adelard bez zmrużenia oka rozpoczął relację. Jasno, ale ogólnikowo i bezosobowo opowiedział o blenvingardzkim embargu na handel magicznymi substancjami, o porozumieniu władców Medii

i Tradivy w sprawie szlaku handlowego prowadzącego od Gór Błękitnych aż do Zewnętrznego Oceanu.

– To się nie spodoba cesarzowi Tarrentu – mruknęła Evelyn. – Uderza w jego największy kompleks, jakim jest brak dostępu do południowego morza. Coś jeszcze? – dodała swoim zwykłym głosem, o ton cieplejszym od zamarzającej kry.

Adelard zawahał się. Opowiedział jeszcze pokrótce o problemach z rozzuchwalonymi piratami, jakie mają verdyjscy kupcy.

– Rozważają przeniesienie większości swoich inwestycji na szlaki lądowe – stwierdził. – Przejście przez Góry Błękitne jest trudne, ale jeśli skierują się w stronę Tarrentu, będzie to w dużej mierze balsamem na bolączki cesarza. Do tej pory wygodniej im było handlować z Wolnymi Miastami. Jest jeszcze jedna rzecz... – dodał.

– Tak?

– ...i to, można rzec, pod samym naszym nosem. W Enneadzie. W tajemniczy sposób zginął następca tronu, prawdopodobnie otruty.

– Pojedź tam. Trzeba to zbadać.

– Evelyn, Enneada leży blisko, ale tym razem to nie nasza sprawa. Nie ma nic wspólnego z poprzednią. Uwierz mi, udało mi się już rozmyć wszystkie tropy, które dotyczyły śmierci... tego człowieka. Kapituła nie jest już w nic zamieszana i lepiej, żeby nie była.

Z wnętrza zwierciadła świdrowały go czarne, jastrzębie oczy. Hargon z Emmendath stał cały czas tak samo sztywny, szaroblady i bezgłośnie poruszający grdyką.

– Mimo wszystko dowiedz się. Nie możemy ryzykować, że coś... przeoczyliśmy. – Kąciki ust Mistrzynie znów uniosły się w górę.

Tradivczyk skinął głową na znak, że przyjął polecenie. Twarz Evelyn zwróciła się w stronę Mistrza Ceremonii.

– A ty masz mi coś do powiedzenia, drogi Hargonie? Czy coś się wydarzyło?

Zapytany zaprzeczył nerwowym poruszeniem głowy.

– W porządku. Zatem to, co zwykle. O świcie, po wzejściu gwiazdy. Muszę kończyć – dodała szybko, a biała zasłona za jej plecami zawibrowała i zaczęła się odsuwać. Evelyn zaciągnęła ją w pośpiechu, wyciągając drugą rękę w kierunku tafli zwierciadła. Obraz zasyczał i zgasł, a powierzchnię lustra zaczęła znów pokrywać kłębiąca się, mleczna mgła.

– Uff... – Adelard sapnął i uświadomił sobie, że się spocił. Usiadł z powrotem na krześle, myśląc z niechęcią o batystowej koszuli, która pod kaftanem i płaszczem nieprzyjemnie lepiła mu się do pleców. Zabębnił palcami po stole.

– To, co zwykle? Co ona właściwie miała na myśli? – zapytał.

– Co kilka dni podczas wzejścia gwiazdy bogini Antarie posyłam jej przez lustro magiczną energię – odpowiedział grobowo Hargon. – Gromadzę ją z różnych źródeł, z artefaktów, ze starych ksiąg, z murów Emain – sam wiesz, jak dużo jej się tu nazbierało przez stulecia.

Adelard przypomniał sobie z zawstydzaniem iskry, które w złości bezmyślnie ładował w bogom ducha winne mury.

– Najwyraźniej – ciągnął Mistrz Ceremonii – potrzebuje tego strasznie dużo. Nie wiem po co. Ale przenoszę to wszystko poprzez swoje ciało, sam wyciągam i sam przekazuję. Inaczej się nie da. A jutro rano znów. Już prawie nie mam siły.

Tradivczyk przyjrzał mu się uważniej i dopiero teraz zauważył trupioblada cerę, zapadnięte policzki, lekkie drżenie ramion i czerwone obwódki wokół na wieki już chyba wytrzeszczonych oczu. Rzadkie włosy lepiły się do jajowatej czaszki maga, a cała twarz po raz kolejny przywiodła Adelardowi na myśl wystraszonego ptaka.

– Więc nic ci nie powiedziała? – zapytał. – Dokąd się udała, kiedy wróci, po co jej właściwie takie dawki magii?

– Nic. – Hargon zaprzeczył udręczonym ruchem głowy.

– I nikt w całym Emain nic nie wie? Jakie informacje im przekazujesz? Gdzie oni w ogóle wszyscy są?

– No cóż... – Mistrz Ceremonii oparł się o stół, nieobecny ruchem zrzucając gruby inkunabuł z wyraźnie wytłoczonym tytułem *O pochodzeniu magicznych gatunków*. – Teraz jakoś już nikt nie pyta. Przekazuję od czasu do czasu polecenia Evelyn, są wykonywane. Wielu tak usilnie stara się nie spotkać Mistrzynie, że fakt jej niepojawiania się nigdzie przyjmują z ulgą. Chyba mocno wierzą w to, że siedzi w swoich komnatach, tak jak oni siedzą w swoich. Paru się chyba czegoś domyśla, ale nikt nie przyszedł z tym do mnie. A poza tym... od pamiętnej sprawy Bibliotekarza minął już prawie rok. Od tamtego czasu Aurelianus z Xanty wyniósł się do siebie na daleką Północ, nie kryjąc, że uważa nas za zeschnięte gówno. Ta młoda Adalia z Bergen też pojechała do siebie w góry. To byli pierwsi, którzy stąd odeszli. O ile nie liczyć Mitrii z Cantaleny i Jardala, których sami wygnaliśmy. Potem wyjechali jeszcze bez słowa Arno Forese, Quintus Terentius, Justin Fern i wielu innych. Czarodziejów i czarodziejek. Niektórzy wpadają i wypadają, jak ty, Flora van Tiven i Haakon Svearson, którzy zdaje się prowadzą jakieś swoje badania. Chcesz wiedzieć, kto tu został? Staruszka Leta Therrus, parę czarodziejek o edukacyjnych zapędach, stadko podskubanych adeptek, Odo Trevelius i ten świr, którego imienia nikt już nie pamięta, bo od pięćdziesięciu lat się nie odzywał. I może paru innych, ale wierz mi, ja też staram się nikogo nie spotykać.

Adelarda uderzyło, że nigdzie nie padło nazwisko Vereny Haage, ale nie miał odwagi zapytać.

– Jeśli chcesz mi pomóc – Hargon skrzywił się boleśnie – to możesz zebrać trochę magii z dziedzińca. A jeśli nie, to zrób mi przysługę i po prostu odejdz. I nie pokazuj się więcej.

Tradivczyk wstał, skinął głową i bez słowa skierował się ku drzwiom.

– I jeszcze jedno – zatrzymał go w progu głos Mistrza Ceremonii. – Zniknęli też adeptci. No wiesz, wychowankowie Odon Treveliusa.

*

Dzban zachwiał się, a jego lśniąca powierzchnia oddała chyboczące odbicia płomyków świec. Stary Askoy, przez kamratów z niezliczonych łajb i rejsów zwany nie wiadomo dlaczego Psią Piszczelą, obserwował z fascynacją, jak jego pomarszczona ręka pomimo wszelkich usiłowań rozmija się z uchem naczynia, a odstawiony niefortunnie na krawędź szynkwasu dzban po krótkim zawirowaniu nieuchronnie leci w dół. Brzęk tłuczonego naczynia utonął w ogólnym gwarze, ale Askoy ze ściśniętym sercem pomyślał o ostatnim łyku pozostawionym na dnie. A może to była ostatnia kropla. Tak czy owak, żal zmarnować. Wyglodniałym wzrokiem popatrzył na szynkarza, Łysego Berta o poznaczonej szramami twarzy zakapiora i minie, która mniej wytrzymałym kazała w pośpiechu regulować rachunki. I to jeszcze zanim spojrzeli na wystającą zza pasa rękojęść szerokiego, zakrzywionego kordelasa i przypomnieli sobie legendy o tym, że pod szynkwasem Bert trzyma stale co najmniej dwie gotowe do strzału kusze.

Tawerna Pod Czarnym Drakkarem leżała prawie przy samych dokach i cieszyła się taką samą sławą, jak cała reszta lokali w tych obszarach portowej dzielnicy. Virbio siedział w kącie, właściwie nie wierząc, że dotarł tu w całości, stoczywszy po drodze zaledwie dwa niewielkie pojedynki, choć może było to zbyt wielkie słowo. Raz zwalisty, pijany żeglarz próbował przyprzeć go do muru, a uderzony łokciem w splot słoneczny zatoczył się na przeciwległą ścianę. Virbio poprawił zgrabnym ciosem w podbródek i szybko uciekł, przebiegając jak kot po przewróconym cielsku. Za drugim razem było gorzej. Został zaatakowany z bocznej uliczki, ale zbój miał pecha, bo chłopak kątem oka dostrzegł cień odrywający się od ściany i błysk noża. Odwrócił się, błyskawicznie chwycił uniesioną rękę napastnika i rąbnął nią o mur, odskoczył, poprawił kopniakiem w krocze, a potem uciekł.

Teraz siedział, sącząc coś paskudnego, i obserwował spod oka wnętrze tawerny. Był tu zaledwie od chwili, a już widział porozumiewawcze spojrzenia rzucone w swoją stronę, połączone z wybuchami głośnego rechotu. Ktoś zbliżał

się ku niemu chwiejnym krokiem, z dzbanem wina w dłoni. Virbio zrozumiał, że tamten zamierza zabawić się, uderzając go naczyniem w łeb i zabierając sakiewkę. Postanowił więc szybko poszukać kompanii kogoś tutejszego i napić się z nim. Alkohol nie mógł mu zaszkodzić, bo przed wyjściem łyknął sporą dawkę paskudnej, otrzymanej od Bractwa mikstury, która miała mu pomóc zachować w takich wypadkach szybkość ciosu i sprawność umysłu, a na razie powodowała jedynie nieprzyjemne sensacje w okolicach żołądka. No cóż, jeśli eliksir neutralizuje alkohol, najprawdopodobniej trzeba sporo alkoholu, żeby zneutralizować eliskir. Virbio podniósł pucharek z paskudnym, palącym i śmierdzącym starą beczką zajzajerem, który mu tu podano, i spróbował wypić go do dna. Nie wyszło. Odebrało mu oddech. Zaczepnął nosem powietrza, obserwując, jak parę kroków od niego jakiś stary pijak rozbił dzban. Zbliżył się, objął starego, poklepał go po plecach i rzucił monetę na szynkwias. Karczmarz o wyglądzie korsarskiego herszta bez słowa postawił przed nimi dwie czarki brunatnego płynu. Chłopak omiótł spojrzeniem przestrzeń za plecami. Ten, który zmierzał w jego stronę z dzbanem, zawahał się na chwilę. W jego przepalonym alkoholem mózgu nastąpił zgrzyt i powolne przestawienie się na inne tory. Askoy Psia Piszczel był to gość w tym miejscu prawie nietykalny. Jeśli ten chłopak jest z nim, zakołatało się w pijanym mózgu, to się... to się... zawsze jeszcze zdąży.

Virbio pił, przyswajając sobie filozofię przełykania czegoś, czego smaku i zapachu nie sposób poczuć, bo już pierwsza dawka wypala usta oraz przełyk i pozwala doskonale zapoznać się z anatomicznym położeniem własnego żołądka. Poklepał starego po plecach i postawił mu drugą, a potem trzecią kolejkę, starając się zbyt gwałtownie nie odsuwać, gdy towarzysz czepiał się jego odzieży, wlepiął w jego twarz przekrwione ślepie, bełkotliwie wychwalał pod niebiosa jego dobroć i zdaje się próbował opowiadać własny szubieniczny żywot. Chłopak nie rozumiał za dobrze powtarzanego co chwila uparcie słowa, które brzmiało jak „Aszkhoj”, a potem cyklicznie następowało coś o psich gnatach. Zresztą Virbio prawie nie słuchał. Sponad ramienia przypadkowego towarzysza od kieliszka bacznie obserwował salę. Tawerna była dość duża. Co chwilę ktoś otwierał drzwi i wchodził bądź wychodził, najczęściej zawiadując głową o deskę ozdobioną wyobrażeniem Czarnego Drakkara, zawieszoną nad wejściem. Paru osobników siedziało po kątach i piło tęgo, nie zwracając uwagi na resztę. Pośrodku toczyła się hałaśliwa gra w kości, z akompaniamentem wybuchów śmiechu bądź wyzwisk, szczęku kufli i pisku obłąpianych portowych dziewczek, które w kusym i wydekoltowanym odzieniu kręciły się, ocierając o marynarzy. Od czasu do czasu dolatywały stamtąd solowe lub chóralne przyśpiewki w stylu:

*Splukałem się na nią, co za pech,
A ona rzecze: żebyś zdechł!*

Od stołu, na którym toczyła się gra, wstał mały, żyłasty osobnik, zaśpiewał coś na całe gardło o tym, co ona ma jak kliper, zatoczył się i wpadł na pijącego samotnie, wytatuowanego zbira. Wywiązała się krótka walka, w wyniku której żyłasty zastygł ze zdumionym wyrazem twarzy, zaciskając dłoń na ramieniu, z którego sikała krew, a zbir, grożąc wokół pokrwawionym nożem, splunął i wyszedł, lekko się zataczając. Virbio wytarł spocone ręce o płaszcz i trzęsącą się dłonią rzucił na szynkwas kolejną monetę.

– Jeszzztes obczzzy – usłyszał głos przy swoim uchu. Przekrwione ślepie wpatrywały się w niego z napięciem. – Nje wyjdziezsz stond żywy.

Agent Bractwa zadziwił się w duchu nad tak spokojną przepowiednią tyczącą szybkiego końca jego kariery. Przychodząc tu, był świadom zagrożenia, ale i tak po plecach przebiegła mu kohorta zimnych mrówek. Dłoń instynktownie powędrowała do rękojeści rapiera. Już dawno zauważył spojrzenia, jakie się na nim zatrzymywały, błyskające zęby i białka. Z pozoru nikt nie zwracał na niego uwagi, ale Virbio zrozumiał, że podtekst tej obojętności brzmi: chłopcze, jesteś już trupem. Teraz czy za godzinę, wszystko jedno. Rozejrzał się uważnie. Przy szynkwasie siedział jeszcze ponury, wyglądający na rybaka gbur w średnim wieku, zajęty ustawianiem w rzędzie kolejnych kufli, przy czym rachunek bezustannie mu się mylił. Dalej pod ścianą dwie skulone sylwetki, niegustownie obwieszane znamionującymi piratów złotymi ozdobami, toczyły ze sobą ożywioną rozmowę nad omszałym gąsiorkiem zacnego trunku. Niepokojąca wydawała się postać w rogu, mała, niepozorna, okryta burym płaszczem z głęboko naciągniętym na twarz kapturem. Na rękach miała ciemne skórzane rękawiczki i powoli sączyła wino, przy czym Virbio miał wrażenie, że przez cały wieczór stoi przed nią jeden i ten sam pucharek. Wydawało mu się, że nieznamy go obserwuje, ale spod kaptura nie było widać nawet oczu. Swoją drogą czuł, że obserwują go nawet krokwie w suficie, więc odczucie mogło być wyłącznie subiektywne.

Ocecił odległość od drzwi i szansę, żeby wymknąć się niepostrzeżenie. Okna, małe i wysoko położone, nie dawały zbyt wielkiej nadziei na ucieczkę. Równie dobrze mogło ich w ogóle nie być. Do tego obwieszono je harpunami, sieciami, starymi kołami sterowymi i innym śmieciem. Virbio zaczął rozważać wejście w bliższą komitywę z sepleniącym staruszką, głośne zamówienie jeszcze jednej kolejki, a następnie zbiorowe i w najlepszej zgodzie przeprowadzone wyjście za potrzebą. Na razie jednak czekał, obliczał i myślał. Wkrótce powinien nadejść pośrednik, który go tu ściągnął. Rozpozna go bez problemu – Virbio nie miał złudzeń, wiedział, że wyróżnia się tu jak panienka z dobrego domu na przyjęciu u burdelmamy. Może wysłannik Bractwa już tu siedzi, tylko on, kretyn, nie potrafi go zidentyfikować. Jeszcze raz obrzucił wzrokiem najbardziej

zagadkowe figury w tawernie. Askoy Psia Piszczel oparł się o jego ramię i wionął mu w twarz pijackim oddechem.

– To szssię bawją chłopcy ze Sszkryzni Umarlaka – wybełkotał. – A tamci z Małej Mo. A tam kaprowie ubijają intereszsy. A tam nasi, castelbursszcy...

Drzwi otworzyły się z rozmachem i weszło dwóch obco odzianych drabów, którzy wyglądali na wilków morskich mniej więcej tak jak Virbio. Bezceremonialnie roztrącili kłębiący się przy wejściu tłumek, złożony z piratów i dziwek, wznoszących nieustannie toasty wokół ochrypniętego szantymena zawodzącego o tym, jak to on popłynął w rejs, a ona puściła się z innym. Podeszli do szynkwasu i rozejrzeli się dookoła. Łysy Bert odłożył trzymaną w rękę szklanę i sięgnął pod blat, ale wyższy z przybyszów powoli, stanowczo położył przed nim dłoń w skórzanej, nabijanej ćwiekami rękawicy. Drugą ręką wydobyl z za pazuchy opatrzony pieczęcią dokukment, zademonstrował go nie rozwijając, po czym schował z powrotem.

– Pssia ich maćśśś... Książętssy – mruknał stary Askoy i osunął się na ramię Virbia. Zdaje się osiągnął żądany poziom nasycenia organizmu alkoholem, co oznaczało, że jego oddech mógłby z powodzeniem zapalać zapałki.

Niższy z przybyłych, o haczykowatym nosie i zrośniętych brwiach, rozejrzał się po tawernie, po czym zatrzymał wzrok na młodym agencie Bractwa i wskazał go kompanowi ruchem głowy. Ruszyli na niego. Virbio wstał z miejsca, osłaniając się trzymanym za ramiona, bezwładnym ciałem Askoya. Cofnął się i kopnął tamtym stołek pod nogi. Wysoki wyciągnął puginał, haczykowaty zaczął się przesuwac tak, by obejść go dookoła. Agent rzucił starego na szynkwias jak worek szmat, a sam uskoczył w tył i wyciągnął rapier. Zobaczył, że Łysy Bert stoi już za barem z naładowaną kuszą, nie wie tylko najwyraźniej, w kogo ją wycelować. Napastnicy byli szybcy i też już zdążyli wyjąć miecze.

W tym momencie Virbio kątem oka zauważył, że zakapturzona postać w kącie podnosi się i płynnym ruchem wskakuje na stół. Zabrzmiała inkantacja, od której zawibrowały szyby w oknach, a pijani marynarze zachwiali się na nogach. Kula mgły poleciała w stronę nowo przybyłych, po czym jak tarcza rozpostarła się między Virbiem a tamtymi. Postać uniosła ramiona, a przy tym ruchu kaptur zsunął jej się z głowy i wydostały się spod niego długie, faliste włosy koloru miedzi. Czarodziejka zeskoczyła ze stołu. Posłała kolejne zaklęcie i tłum rozstał się przed nią. Cofająca się ludzka fala napotkała na tych, którzy nie zdążyli się jeszcze zorientować, o co chodzi. Najbliższy stół poleciał z łoskotem na ziemię, ktoś tratowany darł się wniebogłosy, ktoś walnął kogoś krzesłem, błysnęły wydobyte noże, posypały się tłuczone dzbany. Haczykowaty okrążył magiczną tarczę, ale Virbio był przygotowany na cios. Ostrza zwarły się ze szczękiem. Napastnik był silny i zwinny, chłopak parował ciosy z rutynową

sprawnością, ale czuł, że długo nie wytrwa. Z tyłu opierał się już o szynkwasa, a lewą stronę blokowała magiczna osłona. Czarodziejka chyba się zorientowała w sytuacji, bo jednym ruchem dłoni zdjęła zaklęcie i nie zważając na latające w powietrzu butelki oraz części umeblowania zeskoczyła ze stołu w kotłujący się tłum. Za jej plecami rozpętało się małe pandemonium. Chłopcy ze Skrzyni Umarlaka zabarykadowali się za przewróconym stołem, stłoczone po kątach dziwki darły się wniebogłosy. Łysy Bert stał z kuszą opuszczoną do pasa, ale wciąż gotową do strzału, i patrzył, jak przez jego lokal przechodzi coś w rodzaju miniaturowej trąby powietrznej.

Virbio przemknął pod ramieniem haczykowatego, raniąc go w rękę. Porwał magiczkę w pole i ruszył z nią do wyjścia, torując sobie drogę rapierem i jak kot skacząc po leżących ciałach i meblach. Czarodziejka próbowała osłaniać tyły, nie przestając miotać zaklęć, choć w tej sytuacji raczej na oślep. Wysoki ruszył w pościg, ale potknął się o leżący na posadzce taboret, który Virbio przewrócił jeszcze na początku walki. Haczykowaty rzucił sztyletem, który odbił się od czegoś nadlatującego z drugiej strony, zmienił tor lotu i wbił się w plecy Askoya zwanego Psią Piszczelą, który właśnie nadludzkim wysiłkiem podnosił się z szynkwasa. Stary zachwiał się i upadł. Ostatnim widokiem, jaki zobaczył w życiu, były szczątki potłuczonego dzbana.

Wypadli na zewnątrz. Czarodziejka wyszarpnęła się z uścisku Virbia, zatrzasnęła drzwi tawerny, w której trwała wciąż kotłowanina, i nałożyła na nie zamiast sztaby porzuconą pod ścianą miotłę.

– To ich powinno na chwilę zatrzymać – mruknęła. – Ale nie na długo – oceniła. – W nogi.

Rzucili się biegiem w labirynt wąskich uliczek portowej dzielnicy, ciemnych o tej porze jak katakumby, oświetlonych tylko słabym, odbitym na krzywym bruku światłem księżyca. Za nimi rozległ się najpierw tłumiony, a potem głośniejszy gwar, krzyki i przekleństwa.

– No i puściło – wydyszała czarodziejka. Virbio zauważył, że nie jest zbyt dobrą biegaczką.

Skręcili kilka razy i chłopak zdążył już dawno stracić orientację. Nagle Mitria zatrzymała się i chwyciła go za ramię.

– Biegną za nami – syknęła. – Tych dwóch. Szybko.

Znalazła zagłębienie w murze, coś w rodzaju starej bramy prowadzącej na zagracone podwórko. Schronili się tam, przywierając do ściany. Virbio nasłuchiwał. Dopiero po chwili dotarły do niego dudniące po bruku kroki. Napastnicy zatrzymali się na rogu ulicy i naradzali szeptem. Potem chyba zdecydowali się rozdzielić, bo dźwięki ciężkich butów oddaliły się w dwie różne strony. Chłopak wychylił głowę z bramy.

– Jeszcze nie – przytrzymała go czarodziejka. – I w ogóle lepiej nie tędy.

Gestem wskazała na przyczepione do muru pokruszone schodki z cegły, po czym zwinnie się po nich wspięła. Agentowi nie pozostało nic innego, jak podążyć za nią, uważając, by nie potknąć się w ciemnościach.

– Cicho. Hałasujesz jak podkuty koń na bruku – mruknęła rudowłosa magiczka. Szarpnięciem otworzyła drzwi na jakiś mały, zagracony stryszek, po czym w ciemnościach bezbłędnie odszukała okno prowadzące na dach. Virbio próbował podążać za nią, macając przed sobą i potykając się co chwilę. Słyszał tylko jej niezadowolone syknięcia, ale jego oczy jeszcze w pełni nie przystosowały się do mroku. Niezgrabnie wyszedł za nią, przytrzymując skrzypiącą okiennicę. Czarodziejka wspięła się wysoko i zlustrowała okolicę.

– Tędy – zdecydowała, zsuwając się z powrotem na gzyms. Chłopak przytrzymał się dachówek i usilnie próbował nie spoglądać w dół, choć w ciemnościach i tak niewiele było widać. Na szczęście na górze światło księżycy wyraźniej wydobywało kształty z mroku. Przemykali po dachach w kierunku, który wskazała czarodziejka, prowadzącym, jak zorientował się Virbio, w stronę rejonów miasta bardziej cywilizowanych niż portowa dzielnica. Od czasu do czasu słyszeli w dole czyjeś kroki, zamierali i przywierali płasko do powierzchni dachu albo kryli się w cieniu szerokich kominów. Parę razy dotarli do nich dźwięki rwanej, pijackiej przyśpiewki. Minęli kolejną gwarną tawernę. Domy wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Chłopak patrzył na sylwetkę czarodziejki, zwinnie przemykającej w ciemnościach, i czuł delikatne mrowienie magicznej mocy, które uderzyło go najmocniej, gdy przez chwilę trzymał ją w objęciach.

W końcu opuścili się po rynnie na niższe piętro, a stamtąd schodkami na kolejne zaniedbane podwórko. Czarodziejka ostrożnie wyjrzała z bramy i dała Virbiowi znać, by podążył za nią. Stąpali ostrożnie, by nie wzbudzać echa na bruku wąskiej uliczki. Za rogiem napotkali zrujnowany pałacyk z zarośniętym ogrodem. Furtka ledwie wisiała na zardzewiałych zawiasach, a za nią kłębił się gąszcz łośpianów, pokrzyw i przytulii. Księżyc oświetlał ozdobne gzymsy murów i pojedynczą figurę stojącą w ogrodzie nad sadzawką, w której kwitły jeszcze lilie wodne. Przedarli się przez chwasty, szarpiąc odzienie. Chłopak wzdrygnął się, widząc ciemne, martwe, pozbawione szyb otwory okien, ale rudowłosa magiczka brnęła przed siebie, nie oglądając się na niego, więc chcąc nie chcąc poszedł za nią. Minęli hol, gdzie ich kroki rozległy się głucho na marmurowej posadzce i wspięli się po schodach na piętro. Mitria zatrzymała się dopiero w zrujnowanej komnacie. Sądząc po ilości krętych schodów, które trzeba było pokonać, żeby się do niej dostać, znajdowała się ona na szczycie wieżyczki.

Czarodziejka usiadła w szerokim wykuszu okna, westchnęła i zwinęła się w kłębek, oplatając kolana ramionami.

– Tu przeczekamy – stwierdziła. – Niedługo świt. Idzie wiatr od morza. – Wciągnęła nosem wilgotne powietrze.

Virbio odnalazł wśród gratów zdezelowany materac z powypruwanym włosiem, przyciągnął go pod ścianę i ciężko na nim usiadł.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Na obrzeżach targowej dzielnicy. Rano będziesz mógł dyskretnie stąd wyjść i ruszyć na zakup świeżych melonów.

– A wy... pani Mear?

– Ja sobie poradzę – parsknęła. Okryła się szczelniej płaszczem, bo przez pozbawione szyb okno wiało chłodem. – A skoro mamy chwilę czasu, to może mi wyjaśnisz, co ty właściwie tam robiłeś? Toż to było może miłe i nieco odłożone w czasie, ale jednak samobójstwo.

– No cóż – chrząknął Virbio – to samo mógłbym powiedzieć o was, pani.

– Ja to co innego. Ja władam magią.

– Co nie wyjaśnia, dlaczego tam poszliście – stwierdził oskarżycielsko. Zastanowił się w myślach nad skutecznością używania magicznej mocy przeciwko tłumowi uzbrojonych po zęby wilków morskich. Wydała mu się wątpliwa, ale nie powiedział tego na głos.

– Nie twoja sprawa – warknęła czarodziejka. – Czekałam na kogoś.

– To tak jak ja. – Chłopak odwrócił głowę i zapatrzył się w powoli blednący księżyc.

– I co? Doczekałeś się?

– Jak widać nie. Za to najwyraźniej wpadli w odwiedziny inni. Nie wiem, czego ci dwaj ode mnie chcieli.

– To byli książęcy tajniacy, idioto. Ktoś cię wystawił. Gdyby nie moja pomoc, za dzisiejsze śniadanie miałbyś kromkę starego chleba i kubek wody w zamkowych lochach.

Virbio poczuł się tak, jakby ze starego materaca, na którym siedział, miały się wydostać zimne żelazne kleszcze i złapać go w mocny uchwyt. Prawie zachciało mu się śmiać, bo w przypływie przerażenia pomyślał, że Grandini go zabije. Sam odebrał wiadomość od kontaktu Bractwa i poszedł na spotkanie bez porozumienia ze szpiegiem, a teraz nie miał nawet pewności, czy jego mocodawcy mieli cokolwiek wspólnego z wydaniem tego rozkazu. Jeśli nie, nad całym planem zawisł ogromny znak zapytania.

– Nie martw się, ja też się nie doczekałam mojego kontaktu. – Czarodziejka ziewnęła i jeszcze bardziej skuliła się na parapecie.

– A na kogo czekaliście, pani Mear?

– Mówiłam już, nie twoja rzecz. Jest taka stara, dobra zasada: nie mieszaj się w sprawę czarodziejów, bo są chytry i skorzy do gniewu.

– Ale chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie. Wybaczcie. Pani Mear.

– Pytaj.

– Skąd znacie to miejsce? Ten pałac?

– Po prostu znam – wzruszyła ramionami. – Przyla... przychodzę tu czasami, kiedy chcę pobyć sama.

Trwali przez chwilę w milczeniu, czekając na świt. Oparta o wykusz okna Mitria sprawiała wrażenie, że przysypia. Virbio siedział z szeroko otwartymi oczami, czując wciąż chłodne mrówki wędrujące po skórze. Miał ochotę wyciągnąć dłoń i dotknąć stopy siedzącej powyżej czarodziejki, żeby choć przez chwilę poczuć istnienie drugiego człowieka, ale brakowało mu na to odwagi. Niebo powoli zaciągało się jaśniejszą łuną. W oddali słychać już było turkot wozów zmierzających na targowisko, a w powietrzu unosił się zapach pieczonego chleba.

– Czas na mnie, Virbio Allenmarghu z Blenvingardu. – Magiczka przeciągnęła się i rozprostowała ramiona. Chłopak zastygł w zdumieniu, gdy jej postać zamigotała, skurczyła się i rozmyła. Po chwili na parapecie siedziała już nieduża, rdzawo upierzona sowa płomykówka. Ptak zahukał cicho, rozłożył skrzydła i bezszelestnie odleciał.

*

– Oni przetrwają – powiedziała Pierwsza Prządka.

– Nie przetrwają – powiedziała Druga.

– Nie wiadomo – powiedziała Trzecia.

– Złamali zasady – oznajmiła Druga.

– Zasady – sprzeciwiła się Pierwsza – to tylko przezroczyste bariery ustawione pomiędzy człowiekiem a rzeczywistością. Ludzie budują je sobie, bo boją się świata.

– To nie znaczy, że one nie obowiązują – sprostowała Trzecia. – O mebel ze snu również można urazić sobie stopę. Nożem ze snu można się skaleczyć. Najgrubsze mury zbudowane są z wierzeń. Ludzie nie mogą wydostać się z własnych głów.

– Nie zawsze też mogą dotknąć własnych umysłów – powiedziała Pierwsza.

– Czasem rozmijają się albo zderzają ze sobą.

– Co jest zatem przedmiotem Eksperymentu? Co powinniśmy Obserwować?

– zapytała Druga Prządka.

– Odnogi Kłacza światów, które Oni będą wybierać – wyjaśniła Pierwsza. – Wybrali drogę niebezpieczną jak myśl i cienką jak ostrze noża. Przekroczyli

niewidzialną barierę.

– To ludzie. Zwykle odczuwają ból i niemoc w zetknięciu ze światem. Nazywają to cierpieniem – powiedziała Druga. – To zwykle ich hamuje i ogranicza spektrum wybieranych przez nich dróg. Czy to rzeczywiście może być przedmiotem Obserwacji?

– Ośmielam się zauważyć, że tak. Jestem Zwolennikiem – powiedziała Pierwsza.

– Ja, jako Przeciwnik, muszę zaprzeczyć – dodała Druga.

– Ja zadbam o równowagę – podsumowała Trzecia.

– Poczekamy na wyniki – powiedziała Druga. A Trzecia dodała:

– Będziemy czuwać i patrzeć. My, Odwieczne. My: Zwolennik, Przeciwnik i Mediator.

*

Wilk Fenrir wyglądał jak żywy, prawie wychodził ze stronicy książki. Szczerzył białe zęby w obrysie poprowadzonych czerwonym tuszem zawitych linii ikonogramu, tworzących skomplikowane roślinne motywy. Obok otwartej księgi leżały rozrzucone karty zapisane pośpieszonym, lekko pochyłym pismem. Część tekstu nie nadawała się do odczytania, bo inkaust rozmył się pod wpływem małej kałuży rozchlapanego piwa. Z boku leżało zupełnie już stępione, złamane pióro. Kufel stał niedbale pośrodku stołu.

Zza parawanu dobiegał chłopot wody i ogłósy parskania. Mitria myła włosy, polewając je obficie wodą z dzbana, co powodowało małą powódź, stopniowo rozlewającą się po posadzce. Jardal siedział nieruchomo na krześle przy łóżku i czekał. Księga, którą początkowo próbował czytać, spoczywała kartkami w dół na pobliskiej skrzyni. W końcu czarodziejka wychynęła zza parawanu w luźnej koszuli narzuconej na nagie ciało, energicznie wycierając płóciennym ręcznikiem rude włosy, które pod wpływem tego zabiegu skręciły się w sprężyste spirale. Mag popatrzył na nią jakby z wielkiej, wielkiej odległości. Z bólem. Z tęsknotą. Z czymś jeszcze.

– Nie było cię całą dobę – powiedział, odwracając wzrok.

Sowa odleciała poprzedniego poranka. Dopiero następnego dnia o świcie wleciała przez okno, wilgotna od porannego morskiego powietrza, prosto w jego ramiona. Ogarnął ptaka i przytulił mocno, aż poczuł, że wierci się i próbuje wydostać, nie mogąc w jego uścisku oddychać. Otworzył ramiona, a sowa zamachała skrzydłami, usiadła na poręczy krzesła i natychmiast zasnęła. Po jakimś czasie próbował ją delikatnie obudzić, nakarmić, opowiedzieć o rozmowie z Grandinim. Starła się słuchać, ale mimo wysiłków szarozłote oczy zamykały się co chwila i zapadała w sen. Jardal dał spokój. Dopiero przed chwilą nastąpiła

wieczorna Godzina Zmieszania Świąteł i znów pojawiła się przed nim kobieta. Pocałowała go przelotnie i natychmiast poszła się umyć.

Ominęła skrzynię, która oddzielała parawan od krzesła, na którym siedział, i przypadła do niego. Objęła go w pasie i przytuliła wilgotną głowę do jego ramienia. Powiodła dłonią po linii żeber, doskonale wyczuwalnych pomimo koszuli.

– Znów nic nie jadłeś – powiedziała cicho.

– Nie potrzebowałem.

Dotknęła jego policzka, dłoni, piersi, mówiła do niego dotykiem, milczeniem, zapachem mokrych włosów. Mówiła z bardzo daleka i z bardzo bliska. Odpowiedział. Ogarnął ją sobą. Pokazał jej jak wtedy, tej pierwszej przerażającej nocy, nadzieję. I wiedział, że uwierzyła.

Świetlisty kontur okna na posadzce zaczął się wydłużać i coraz bardziej zabarwiać płomienistym odcieniem zachodu.

– To możliwe, Jardalu, to naprawdę możliwe – wyszeptła, rozkładając ramiona jak skrzydła. – Poleciałam bardzo daleko. Byłam wolna. Usiadłam na klifie i patrzyłam, jak w górze szybują mewy, a w dole rozbijają się fale. I poczułam, że mogę robić, co chcę. Mogłam odmieniać postać, jak mi się podobało. Po chwili już siedziałam tam, wystawiając twarz do słońca, a wiatr szarpał moją sukienkę i spryskiwał ją wodnym pyłem. Znalazłam ścieżkę prowadzącą w dół i kąpałam się w morzu. A potem wracałam, roześmiana i bardzo głodna. Zmieniłam się więc z powrotem w sowę i zapolowałam na myszy. Jest tak, jak myślałam, Jardalu. – Spuściła głowę. – W oddaleniu klątwa słabnie. Dotyka nas tylko wtedy, kiedy jesteśmy razem.

Czarodziej powoli, delikatnie ujął jej rękę w dłonie.

– Więc twój list znaczył, że... wolisz być wolna? – zapytał z poważną, zastygłą twarzą.

– Nie, to nie to – zawołała, przytulając się do niego mocno. – To znaczy... nie w ten sposób. Nie za taką cenę.

– Więc po co to wszystko? Po co to pismo, twoja nieobecność, moja udręka?

– Żebyś o tym wiedział. Tylko dlatego.

Jardal popatrzył na wydłużający się cień, nieuchronnie biegnący w kierunku zachodu. Z każdym razem zbyt szybko. Za każdym razem w połowie słowa, pieśnyczoty, wymienianej myśli, daremnego gestu. Wpatrywał się w linię słońca z jedynym odczuciem pełnym ślepego buntu.

Odsunął się i zajrzał na chwilę w szarozłote oczy.

– Chciałbym móc ci powiedzieć, że jesteś wolna, że możesz być zawsze sobą, odchodzić i wracać, robić wszystko, czego tylko zapragniesz. A ja będę siedział w wieży w Castelburgu, studiował książki, będę chodził po niej bezsennie,

objając się o ściany własnego umysłu i czekając, aż wrócisz. Jeśli wrócisz. Ale wybaczyć, nie potrafię.

Przytuliła twarz do jego ramienia.

– Pani Wiatru – wyszeptwała. – Mój sen. Czy my... będziemy walczyli przeciwko sobie? Czy do mnie będzie należała decyzja?

Jardal poczuł na plecach zimny dreszcz, ale nie pokazał po sobie niczego. Nadal siedział zgarbiony, bez ruchu, sztywno trzymając Mitrię w objęciach. Odwróciła głowę i też zapatrzyła się w podłużny snop światła na podłodze.

– Dostałam wiadomość od Vereny Haage – powiedziała cicho. – Jej posłaniec miał się wczoraj ze mną spotkać w tawernie, ale nie przyszedł. Wiem tylko, że chciała przypłynąć statkiem do Castelburga. Ale od marynarzy w porcie usłyszałam, że sztorm zagnał ten statek za bardzo na północ. Przybije do brzegu w Tir Taingiri. Wiem, że Verena będzie czekała. Chciałabym tam pojechać.

– Ale...

– To niedaleko, Jardalu. Kilka dni drogi konno. Ona może mieć nam coś ważnego do powiedzenia.

Czarodziej chciał opowiedzieć o rozmowie z Grandinim, o planowanym spotkaniu w podziemiach banku Fortinarich, ale nie zdążył. Powietrze zadrżało. Mitria przytuliła twarz do futra dużego, burego kota.

*

– Myślisz, że nam za karę wartę na Oku dali? – zapytał pierwszy strażnik, wzdrygając się i ciaśniej owijając ciemnym żołnierskim płaszczem.

– Franca ich wie. – Drugi splunął pomiędzy kraty. Płwocina poleciała w dół. Bardzo, bardzo daleko w dół. Pierwszy spojrzął i wstrząsnął się jeszcze mocniej.

– Po prawdzie to i pilnować tu nie ma czego. A warty wystawiają – mruknął. Poprawił nabijaną ćwiekami rękawicę, bo świeżo szyta rana na przedramieniu piekła i swędziała go nieznośnie.

– Nie nasza rzecz – warknął drugi. Tłuste włosy wyłaziły mu spod hełmu i spadały na czoło. – Kazali, to siedź. I wypatruj.

– Niby czego?

– A bo ja wiem? Ognia, pochodni, pożaru, obcych wojsk?

– Zanim wypatrzę, trzy razy dupę odmrozę. – Pierwszy poprawił się, bo zimna, żelazna krata, na której siedzieli, rzeczywiście boleśnie wpijała mu się w tylną część ciała.

Oko było najwyższą basztą castelburskiego zamku, wyniosłą, smukłą i najeżoną jak trzeba szczybatymi blankami. Tyle że na sam jej szczyt straż nie miała wstępu. Zamiast tego wartownicy zmuszeni byli przebywać na położonym nieco niżej ażurowym balkoniku, który otaczał wieżę dookoła i zdawał się

w porównaniu z jej wysokością i masywnością delikatny jak koronkowa chusteczka. Patrzenie w dół przez kratę przyprawiało o zawrót głowy. Dla tych, dla których duże wysokości stanowiły problem, perspektywa warty na Oku mogła być spędzającym sen z powiek koszmarem. Dlatego też rzadko który ze strażników pełnił ją stojąc. Większość siadała, opierając się z całej siły o mur i patrząc sztywno przed siebie, za wszelką cenę unikając spoglądania w dół.

– Myślisz, że mnie i Mino coś zrobią za to, żeśmy tamtego młodzika w tawernie nie pochwycili? – spytał pierwszy, drapiąc się pod rękawicą. Drugi nie odpowiedział. Miał nawet silniejszy od towarzysza lęk wysokości, a chwilę wcześniej w przypiływie słabości spuścił wzrok. Teraz zaciskał mocno szczęki, walcząc z podchodzącą mu do gardła kolacją.

– Widziałem coś – powiedział pierwszy, nie doczekawszy się reakcji.

– Gdzie? – Drugi przewalczył słabość, zaciskając mocno powieki i unosząc wysoko głowę. – Co? Płomień? Gore gdzieś?

– Nie, nie tutaj. W lochach.

– Tfu. Głowę zawracasz. Co w lochach, to nie nasza rzecz. Nie potrzebujesz tam łązić.

– Kiedy nie łąziłem.

– To co?

– Jak wróciliśmy z portowej dzielnicy, Mino i ja, zziązani jak charty i spoceni jak szczury, bośmy tego młodzika razem z wiedźmą przez pół miasta ścigali, wezwali nas. Dowódca Gwardii Morgh. Do lochów.

– Sirocco. – Ten z tłustymi włosami splunął przez kraty. – Jak widzę ten jego łeb, ciągiem w hełmie, i słyszę ten głos, dudniący jakby kto w studnię gadał, to aż mnie ciarki przechodzą. A strachliwy nie jestem. I co dalej było?

– Jak nas zobaczył, zaklął tylko szpetnie i kazał wezwać ochmistrzynię, żeby mi łapę zeszyła. Ta dopiero obsobaczyła nas porządnie, bośmy zakrwawieni byli jak po uboju świni. Mino stołkiem w łeb w tej knajpie oberwał i w ogóle coś nie bardzo mógł mówić.

– A potem? Karę wam jakąś wyznaczyli?

– Kazał Sirocco gadać, jak było. To gadałem, a ochmistrzyni mnie szyła. Mino całkiem był do niczego, więc go kazali zanieść i do łóżka położyć. A mnie wartę przydzielili.

– I tyle żeś widział nadzwyczajnego?

– Nie. Czekaj, to potem było. – Pierwszy znów ciasniej owinał się płaszczem. Dreszcze chodziły mu po plecach i zaczynał się bać, że od zaognionej rany bierze go gorączka. – Kazali mi wyjść, ale za parę kroków słabość mnie ogarnęła i mroczyki zaczęły przed oczami latać. Krwi straciłem. Pomyślałem, żeby się parę kroków wrócić, bo w pustej celi widziałem beczkę z wodą i czerpak. Przysiadłem

więc obok tej beczki i całkiem mnie już słabość ogarnęła. A wtedy zobaczyłem, że ochmistrzyni, która już wyszła była z lochów, nazad się wraca. Wyjrzałem więc za nią. Zatrzymała się u węgła. Z kimś rozmawiała przyciszonym głosem. O nas. O mnie, o Mino i o tym młokosie, cośmy go pochwycić mieli.

– E, przywidziało ci się cosik. A może przesłyszało. Pewnieś też w łeb oberwał.

– Prawdę mówię. – Strażnik zadygotał, czując już wyraźnie, że ogarnia go gorączka.

– Skąd ochmistrzyni, baba głupia, miała by o tym coś wiedzieć?

– Jeśli wie, to wcale nie taka głupia. Ale to nie wszystko.

– A co jeszcze?

– A to, że nie wiem, z kim gadała, ale słyszałem najpierw ten dudniący głos. A potem zwykły, tyle że kobiecy. Twarzy nie widziałem, ale zobaczyłem włosy. Długie, złote.

– Taddeo, ty naprawdę masz gorączkę albo ci się we łbie pomieszało.

Pierwszy strażnik spuścił głowę i mimowolnie spojrział w dół. Zatrzęsło go. Odsunął rękawicę, żeby potrzebę wciąż potwornie swędzącą ranę. Odsunął przesiąkniętą zaschniętą krwią bandaż. Pod spodem zobaczył ciemniejącą powoli opuchliznę. W dotyku była gorąca jak ogień. Pomyślał, że nie da rady. Ochmistrzyni może i zszyła, ale gangrena się wdała. Trzeba do cyrulika, żeby krwi upuścił. A tamto w lochach... może naprawdę mu się przywidziało. Ochmistrzyni...

*

– Nie powinnaś tu przychodzić.

– Nikt mnie nie widział. – Giulia Baldini przysunęła usta do kraty.

– Nie możesz być pewna.

– A ty nie zdejmuj hełmu. Nie mogą wiedzieć.

Z cienia w niszy muru rozległ się rozzłoszczony syk.

– Jak myślisz, co jest trudniejsze – powiedział głos – udawać mężczyznę czy zapewnić sobie posłuch jako kobieta? Chyba jednak wolę to drugie. Inaczej po co walczyć? Po co starać się zrównać z nimi pozycją, jeśli nie mogę z tego zrobić użytku? Jeśli cały czas muszę nosić maskę?

– Może masz rację. – Ochmistrzyni pochyliła głowę.

– Moja gwardia się dowie. – Głos z załomu muru brzmiał dumą. – Niektórzy już wiedzą.

– Lepiej było posłać twoich wyszkolonych Morgh, a nie zwykłych strażników

– odezwała się ostrożnie Giulia Baldini. – Co za osły! Dali się wciągnąć w karczemną bijatykę, zamiast po prostu zabrać młodego i wyjść, machając

wszystkim przed nosem książęcym pismem. Zawsze powtarzam, że mężczyźni to skończeni durnie.

– Właśnie dlatego lepiej, że to byli oni. Grandini i ten młody, o ile on w ogóle potrafi myśleć, wezmą to za nieudaną prowokację. Albo działanie na ślepo. I tu się nawet bardzo nie pomylą.

Giulia Baldini oparła się o mur. Przeniknął ją chłód. Pod palcami czuła chropowatość kamienia.

– Więc co mam im powiedzieć? – zapytała cicho.

– Prawdę. Mniej więcej – mruknął głos. – Postaraj się dostarczyć Grandiniemu wiadomość, że zamkowi strażnicy natrafili na jedną ze skrzynek kontaktowych Bractwa. Był w niej list, w którym wyznaczono miejsce spotkania w portowej knajpie. Postanowili się popisać przed Gwardią Morgh i schwytać agenta, dla którego wiadomość była przeznaczona. Urządzili prowizoryczną akcję, którą następnie spaprali tak dokładnie, że pozostało im zaszyć się, lizać rany i do niczego nie przyznawać. Gwardia Morgh o niczym się nie dowiedziała. Myślisz, że to kupią?

– Nie mam pojęcia. – Giulia Baldini przechyliła się w stronę wypełniającego niszę mroku. – Możliwe. Grandini jest bystry, ale bardzo zadufany w sobie. Nie wiem za wiele o tym Bractwie, ale jeśli rzeczywiście składa się ono większości z wygnanych stąd patrycjuszy, to... można im wmówić prawie wszystko. Nie znałam bardziej zapatrzonych w siebie głupców.

– Dobrze. Idź już.

– Uważaj, proszę... – Głos Giulii Baldini załamał się lekko, stał się proszący, cichy i pełen troski.

– Ani słowa – syknął mrok. – Idź.

*

Na podgrodziu powoli zapadał zmierzch. Sprzedawcy broni, glinianych garnków, wiklinowych koszy, drewnianych łyżek i wszelakiego dobra bez pośpiechu zwijali swoje kramy. Ci, którzy sprzedawali warzywa, owoce i zboża prosto z wozów, pakowali resztki towaru i umorusane dzieciśka, zacinali batem spragnione stajni chabety i ze skrzypieniem odjeżdżali do swoich wiosek. Pasterze zwijali rozłożone na płótnie owcze i kozie serki, wyprawione skóry z wyczesanym runem, skórzane buty i pasy, a owce zaganiali do naprędce skleconych zagród. Słynne castelburskie targowisko przyciągało tłumy z okolicznych wiosek, a nawet z dalej położonych miasteczek. Bydła i koni nie pędzono jednak do miasta, tylko handlowano nimi na podgrodziu, które stopniowo obrosło kramami. Rozstawiali tam swoje budy ci, którzy nie weszli do

Castelburga przed zamknięciem bram albo w ogóle tam wchodzić nie chcieli, sprzedając swoją marną chudobę tanio, byle szybciej.

Stary Turgut Vosok rozbił płócienny namiot na skraju obozowiska, tam, gdzie plac handlowy powoli przechodził w las. Umościł sobie legowisko ze skór, a potem z sakwy wygrzebał bukłak mocnego wina, łyknął tego, otarł wąsy i splunął. Wzdrygnął się, bo po niebie bezszelestnie przeleciała sowa, usiadła niedaleko na gałęzi i wlepiła w niego wielkie, otoczone szlarą oczy. Jak zahuka, ani chybi, omen śmierci – pomyślał stary i sięgnął do zawieszzonego przy pasie woreczka, gdzie miał kilka poświęconych w świątyni kamyków na wypadek złych uroków. Jeno jaka to była świątynia, nie pamiętał, stąd miał pewne trudności z przypomnieniem sobie imienia bóstwa, które powinien teraz wezwać. Zdaje się, że to żona Turguta zanosila kapłanom świeże jaja i kupowała po drakońskich cenach magiczne amulety, co miały chronić przed złym okiem, upiorami, sukkubami i inszym plugastwem. Raz to jej nawet kapłan przez pomyłkę zamiast kamyków owe jaja poświęcił.

Vosok splunął jeszcze raz, ale sowa nie odleciała. Rozejrzał się wokół za Selkiem, swoim chłopcem stajennym, ale niewiele dojrzał w zapadającym zmierzchu. Skórę wygarbuję i pasy każę drzeć, pomyślał. Już dawno powinien konie do zagrody zagnać, spętać, obroku zadać i tu przy mnie być, żeby posługiwać. I na co ja go ciągam ze sobą, darmożjada przekłętę, jak nie ma mi kto ognia rozpalić i strawy ugotować. Turgut zatarł ręce. Był zły, bo cały dzień wystawał na podgrodziu jak byle kmiołek, pokazywał i zachwalał, a ani jednego konia nie sprzedał. Nie trafił się rycerz czy pan wystarczająco bogaty, żeby któregoś kupić. Bo konie ze stajni Vosoków to nie były byle dyszlowe chabety, ale słynne na całą okolicę wierzchowce znakomitej krwi, temperamentne, ale i pod siodło, i do boju zdatne.

Turgut usłyszał szelest i obejrzał się za siebie. Sowa odleciała. Odetchnął z ulgą i zawołał Selka. Chłopak przybiegł po chwili, przeskakując ogrodzenie dla koni.

– Coś się stało, panie?

– Nic się nie stało, ciele ty niedowarzone. Jeno się pośpiesz, bo u mnie za wylegiwanie się w piernatach chleba się nie je. Żywo, ognisko rozpal i wieczerzę nagotuj.

– Kiedy, panie... Żywy jeszcze nie spętany, bo zbiesił się coś i samopas po zagrodzie bryka.

Vosok rzucił okiem na ogrodzenie i rzeczywiście zobaczył za nim sylwetkę Żywego, swojego najlepszego, czarnego jak smoła ogiera, który z dumnie uniesioną głową wyczyniał dzikie harce na trawie.

– Po co ja cię trzymam w ogóle, nicponiu przeklęty! – Ciężka ręka Turguta spadła na kark chłopca. – Marsz tam z powrotem, konia złapać i...

Odwrócił się, bo krzaki za nim zaszeleściły złowieszczco. Obaj, i Vosok, i Selko, wytrzeszczyli oczy, kiedy wyszła z nich rudowłosa dziewczyna w burej opończy i brązowej sukni, której luźne sznurowania na bokach ukazywały białą koszulę. Na plecach miała podróżną sakwę.

– Chciałabym kupić konia – oznajmiła z uśmiechem.

– Nie stać was – burnkął Turgut, puszczając chłopaka.

– Zobaczmy. – Nieznajoma nie przestawała się uśmiechać, a uśmiech ten wyglądał trochę niebezpiecznie.

– To nie są konie dla niewiasty. Krzywdę wam, pani, mogą uczynić.

– Rzekłam, zobaczmy. Prowadźcie do zagrody.

Turgut Vosok zastanowił się, szarpnął wąsa. Niech tam, pomyślał. Ciekawość, ile srebra może mieć takie po krzakach się pętające stworzenie.

Podeszli do zagrody. Nieznajoma pochyliła się i przeszła pod poziomym drewnianym balem.

– Stójcie, pani, tam jest niespętany ogier! – Selko przesadził ogrodzenie i zbliżył się, próbując stanąć między nią a koniem. Ale rudowłosa odsunęła go, wyciągnęła rękę i wypowiedziała krótką inkantację. Chłopak poczuł uderzenie powietrza, które niemal odrzuciło go w tył. Z dłoni kobiety powiało coś jakby wiatr, co otuliło rozbrykanego konia, rozwiało jego grzywę, a potem opadło aż do kopyt, które drobily jeszcze przez chwilę w miejscu, a potem zupełnie się zatrzymały.

– Teraz możesz go spętać – powiedziała spokojnie czarodziejka. – Nie będzie się sprzeciwiał.

Vosok zbliżył się, z podziwu otwierając i zamykając usta jak wyrzucona na brzeg ryba.

– To Żywy – wysapał. – Mój najlepszy ogier. Kosztuje fortunę.

– Nie chcę go – odpowiedziała nieznajoma. – Jest dumny, uparty i rozkapryszony. Nie potrzebuję wierzczychowca, z którym trzeba będzie prowadzić nieustające spory o to, kto tu rządzi.

Turgut zdumiał się nieco perspektywą pertraktacji z koniem. Rudowłosa swobodnie chodziła po zagrodzie i rozglądała się. Do kilku zwierząt podeszła, poklepała je po szyjach, szepnęła coś do ucha. W końcu przystanęła obok niedużego kasztanka z białą strzałką na czole i takimi samymi pęcunami. Pogładziła go po pysku i chuchnęła prosto w nozdrza.

– To Faras – powiedział Turgut, który chodził za nią krok w krok, nie mogąc się nadziwić jej praktykom. – Jeszcze młody. Będzie szybki.

– Biorę go – stwierdziła.

– To będzie kosztowało, pani. – W Vosoku odezwała się rodowa żyłka handlarza koni. – On wyrośnie na silnego ogiera. Tak dobrego jak Żywy.

– Nie będzie taki duży. Ani tak bezczelny – powiedziała czarodziejka, patrząc Turgutowi prosto w oczy. – Ile?

– Trzydzieści florenów.

Stojący za plecami swojego pana Selko głośno wciągnął powietrze.

– Nie próbuj mnie nabrać ani nie trać mojego czasu na bezużyteczne targi. – Głos czarodziejki zabrzmiał jak stalowy dzwon, a szarozłote oczy zalśniły niebezpiecznymi błyskawicami. – Dam piętnaście i wiesz dobrze, że to uczciwa cena za takiego konia. A nawet płacę z nawiązką. Tamten siwy miał ranę od ciernia na nodze, wyleczyłam ją. Będę tak dobra i nie zażądam zapłaty.

Rzuciła sakiewkę, którą Vosok skwapliwie podniósł z trawy. Selko, nie pytając o pozwolenie, rozpętał konia, a rudowłosa wskoczyła na niego na oklep, przesadziła ogrodzenie i zniknęła w mroku. Turgut chciał za nią krzyknąć, ale wstrzymał się. Sakiewka w jego dłoni ciążyła mile rzetelną, złotą monetą. Wbrew sobie poczuł zadowolenie – jednak zrobił tego dnia dobry interes. Wracając, poklepał Żywego po kłębie i pomyślał, że ogier nie jest chyba aż tak narowisty, jak mu się zdawało. Ale trzeba będzie szybko znaleźć na niego kupca. Najlepiej rycerza.

*

Giulia Baldini wysunęła się z łoża, kiedy tylko księżyc wspiął się na niebo na tyle wysoko, by zniknąć, częściowo zasłonięty masywnym zarysem północnej baszty. Zadrżała, kiedy jej stopy dotknęły zimnej posadzki i prędko narzuciła na siebie gruby płaszcz. Pochyliła głowę, by spaść go pod szyją i westchnęła, kiedy w rozcięciu nocnej koszuli zobaczyła zarys własnych obfitych, ale uwiędłych piersi. Zawinęła się szczelnie i po cichu wymknęła z komnaty.

Żadnej ze służek nie pozwalała spać w pobliżu. Wszystkie odpędała krzykiem, sarkaniem i wiecznym niezadowoleniem. Osiągnęła tyle, że nawet strażnicy bali się jej śmiertelnie, gotowi uciekać, byle nie narazić się na potok obelg i złorzeczeń z ust starej kobiety. Tak było lepiej. Nikt nie wchodził jej w drogę. Widok jej sztywno nakrochmalonego czepca, który unosił się niczym korweta pod pełnymi żaglami, stanowił w większości zamkowych pomieszczeń skuteczny środek odstraszający. Dzięki temu mogła bez przeszkód i nie niepokojona przez nikogo chodzić tam, gdzie chciała.

Nie wszędzie jednak mogła pójść. Powiedziała Grandiniemu prawdę. Południowa część Zamku, zamieszкана przez Księcia, odkształcała się dziwnie, zmieniając drogę do Kryształowej Sali w labirynt nieistniejących korytarzy. Giulia Baldini westchnęła. Pomyślała z nienawiścią o doradcy, Machiavello

Niccolim, żalonym szurku w czarnym odzieniu, który jako jedyny został dopuszczony do poufałości z Władcą i mógł wchodzić do jego prywatnych komnat. Nawet dowodząca Gwardią Morgh Sirocco nie dostąpiła takiego zaszczytu. Ochmistrzyńni rozejrzała się uważnie i przemknęła cicho jak cień w kierunku dawnej sali obrad Rady Pięćdziesięciu. Minęła ją, nawet nie zaglądając do środka. Oprócz próchniejących drewnianych ław, ciemniejących herbowych tarcz i pożeranych przez mole gobelinów nie było tam nic ciekawego. Przeszła jeszcze przez kilka korytarzy i przywarła na chwilę do muru, słysząc kroki wartownika, które na szczęście szybko się oddaliły. Wspięła się po wąskich schodkach prowadzących do zachodniej baszty, a potem ciężkim, zardzewiałym kluczem zawieszonym przy pasku otworzyła małe boczne drzwi.

Komnata przypominała składzik nieużywanych mebli. Piętrzyły się w niej krzesła z połamanymi nogami i komody, którym brakowało szuflad. Giulia Baldini stłumiła kaszel, gdy ze sterty rzuconych byle jak kobierców uniosła się chmura pyłu. Podeszła i ze stojącego w kącie przedmiotu ostrożnie ściągnęła ciężką aksamitną storę, z której wyleciała chmura srebrzystoskrzydłych moli. Mruknęła pod nosem parę niezycżliwych słów pod ich adresem. Nawyk pilnowania porządku i wymuszania posłuszeństwa służby krzykiem i złorzeczeniami wsiąkł w nią, nasączając jej naturę niczym farba barwiąca płótno. Tu jednak za kurz i mole mogła nawymyślać jedynie samej sobie.

Zasłona opadła ze słyszalnym szelestem. Oczom ochmistrzyńni ukazała się czarna jak obsydian tafla dużego zwierciadła, osadzonego w matowej złotej ramie. Giulia Baldini dotknęła jego powierzchni i poczuła delikatne mrowienie. Wyszeptała zaklęcie. Tafla powlekła się mleczną bladością.

– Emain Avallach!

Biała mgła rozstąpiła się, ukazując blanki i wieże Emain, widoczne z dużej odległości, jakby z lotu ptaka. Ale po chwili obraz rozwiął się, a lustro znowu powlekło się lśniąca czernią.

Giulia Baldini ze złością uderzyła pięścią w taflę. Rozległ się głuchy dźwięk, ale szkło nie pękło. Nie ukazało również niczego innego. Nie odbijało jej własnej twarzy ani ledwie widocznego w mroku zarysu sylwetki. Mimo to kobieta wbiła wzrok w zwierciadło i przytknęła do niego obie dłonie.

– Nie wiem, jak naprawdę masz na imię – powiedziała cicho, z nienawiścią.

– Wezwałabym cię, gdybym tylko wiedziała. Nic nie szkodzi. Czekam już tak wiele lat. Mogę poczekać jeszcze trochę. Dołożę swoje marne zaklęcia do potężnej magii tego zamku, byle tylko zbudować tu pułapkę na ciebie. Nic nie szkodzi, że ten nieznany nikomu Książę najprawdopodobniej też jest magiem. Cóż z tego. Najwyraźniej mu z wami nie po drodze. – Zaśmiała się. Objęła ramy

lustra i przysunęła twarz do jego tafli. Chuchnęła. Jej ciepły oddech zostawił obłoczek pary.

– Zniszczę wszystko, co kochałeś i czemu służyłeś – wyszeptała z ustami przy szkle. – Nie zostawię ci niczego, najmniejszej nawet odrobiny nadziei. Niech Książę rośnie w siłę. Prędzej czy później będziecie musieli się z nim zmierzyć. Niech nie zostanie kamień na kamieniu z dumnych, białych murów Emain Avallach, niech morze pożre wasz ciasny półwysep, siedlisko samolubstwa i pychy. Niech Kapituła Magów rozpadnie się i przestanie udawać stowarzyszenie pokornych uczonych, którym ani w głowie marzenia o rządzeniu światem. Każdej nocy będę tu przychodzić i sączyć w magię luster swoje przekleństwa. Aż kiedyś przyjdzie moment, kiedy staniesz na gruzach swojego życia. A wtedy do ciebie przyjdę.

Wyprostowała się, oderwała dłonie od zwierciadła i narzuciła na nie z powrotem aksamitną płachtę. Stłumiła kaszel. Podrażnione kurzem oczy zaczęły piec i łzawić. Giulia Baldini zgarbiła się i ruszyła do wyjścia z komnaty. Czuła się żalosaną, starą kobietą, która bezsilnie rzuca w przestrzeń patetyczne, ale zupełnie bezużyteczne zaklęcia. Miała wrażenie, jakby cała siła jej pilnie gromadzonej przez lata nienawiści z trudem wystarczała na zerwanie pajęczej sieci. Westchnęła, otuliła się płaszczem i wymknęła na korytarz. Nie potrzebowała światła. W tej części Zamku Cieni znała na pamięć każdy kamień, każdy zakręt i każdy stopień schodów. Przemknęła się z powrotem do swojej komnaty i dygocząc z zimna, wsunęła się pod pierzynę. Nie dostrzegła, że jej własne, stojące na toalecie lustro rozjarzyło się na chwilę czerwonym blaskiem. A potem znowu zaczęło odbijać rzeczywistość.

*

Statek, przygięty wichrem, prawie położył się na burcie. Łopotały luźno puszczone żagle, które marynarze refowali w pośpiechu, wśród łoskotu fal, skrzypienia kadłuba i trzeszczenia masztów. Woda i niebo miały kolor ołowiu. Nad wybrzeżem kołowały mewy, odcinając się białymi kreskami na tle ciemnych, burzowych chmur. Przy kei kręcił się zaniepokojony tłum niewiast, dzieci i starszych mężczyzn, którzy w napięciu obserwowali nierówną walkę z żywiołem. Kobiety trzymały zapalone latarnie. Niektóre głośno modliły się do Mananana lub Aegira, bogów morza i sztormów, by ojcowie i mężowie szczęśliwie przybyli do portu.

Mitria i Verena stały na blankach wieży w Tir Taingiri. Wokół nich wył wicher.

– Dobrze, że przyjechałaś konno, zamiast wybrać drogę morzem – powiedziała Verena, przekrzykując szum wichury. – Ja przyплыnęłam statkiem

i o mało nie utonąłam. To dopiero trzeci miesiąc Pory Wiatrów, za wcześnie na żeglugę dla takich szczurów lądowych jak ja.

Mitria zacisnęła dłonie na krawędzi muru i obserwowała statek spod zmarszczonych brwi. Jej szaleł wiatr, wyszarpując spod niego kosmyki rudych włosów.

– Szybciej – szepnęła, przygryzając wargi. – Dziobem do fali. W dryf.

Verena szczelniej otuliła się płaszczem. Zimny i wilgotny wiatr smagał niczym wbijane pod skórę igiełki lodu.

Statek obrócił się lekko, ze straszliwym skrzypieniem kadłuba. Refowany żagiel wyrwał się z rąk marynarzy, a wiatr natychmiast podarł go w strzępy. Jeden z majtków zachwiał się na rei i z głośnym wrzaskiem runął w dół. Mitria wyrzuciła ręce przed siebie i wykrzyczała inkantację. Za późno. Wysoka, grzywiasta fala pochłonęła spadającego człowieka.

Verena obserwowała Mitrię, skryta przed wiatrem za zębem krenelaża. Ona sama miała już serdecznie dość morskich przygód. Odnalazła ślad wygnanej czarodziejki dzięki Adalii z Bergen, której ta przesłała lustrzanym teleportem wiadomość, że żyje i wszystko z nią w porządku. Adalia z radości podzieliła się tym z Vereną, a ona natychmiast tą samą drogą nawiązała kontakt z Mitrią, dla pewności wysyłając również posłańca, który jednak najwyraźniej nie okazał się godny zaufania. Potem czarnowłosa czarodziejka przeżyła kilka dni, trzęsąc się z przerażenia pod pokładem, i teraz marzyła już tylko o gorącej łaźni ze wszystkimi wygodami i pełnym zakresem usług. Niestety, w Tir Taingiri odnalazła tylko małą, zapchląną tawernę bez śladu luksusów. Miejscowy burmistrz, dowiedziawszy się, że jest czarodziejką, posłał zakatarzonego posłańca z pękiem zardzewiałych kluczy i poleceniem, by zakwaterować magiczkę w wieży. Wieża śmierdziała wewnątrz myszami i przegniłą słomą. Kilka dni oczekiwania na przybycie Mitrii wydawało się Verenie wiecznością. A kiedy ta w końcu przybyła, rozpętał się kolejny sztorm.

Statek z wysiłkiem halsował w stronę portu. Załozce udało się opuścić część żagli. Pozostałe napełniły się wiatrem, wybrzuszony i trzeszczący. Czarodziejki ze szczytu wieży widziały żeglarzy, którzy uwijali się po pokładzie, przygotowując fregatę do zwrotu i próbując zapobiec zdryfowaniu na przybrzeżne skały. Na horyzoncie rosła chmura o barwie ciemnego ołowiu. Mitria zacisnęła na ceglany murze palce, aż pobieleły kostki.

– Szybciej – szepnęła. – Szybciej. Zwrot na wiatr.

– Jeszcze trochę. Jeszcze mają szansę. – Verena oceniła odległość.

– Ale niewielką.

Statek wciąż walczył z burzą i wydawało się, że trwa to wieki. Nagle pękł bras i jeden z żagli na olbrzymiej rei poleciał w dół, zahaczając o inne liny, płacząc je,

drać płótna. Marynarze wciąż ciągnęli fały, ale kadłub powoli zaczynał tańczyć, tracąc sterowność, a fala i wiatr pchały go w stronę skał.

– Bogowie – westchnęła Verena. – Niech oni przejdą...

– Nie przejdą – stwierdziła Mitria. – Czas na nas. Biegnij! – zawołała. Powietrze wokół niej zawirowało iskrami magii. Płomykówka, walcząc z wichrem, wystartowała z muru i pomknęła w dół. Verena zaklęła szpetnie, kopniakiem otworzyła drzwi, po czym zbiegła po spiralnych schodach.

Zanim dopadła do kei, bok fregaty rozorała przybrzeżna skała. Statek przechylił się na lewą burtę i zaczął nabierać wody. Verena wpadła zdyszana, roztrącając stłoczonych na nabrzeżu ludzi. Niektóre kobiety zawodziły, inne stały bez ruchu, zaciskając pięści. Mężczyźni szykowali ratunkowe łodzie. Verena przepchnęła się przez tłum lamentujących kobiet, starców i podrostków. Wypatrywała sowy, ale nigdzie nie mogła jej dostrzec.

– Ratujcie, pani. – Jakaś staruszka z płaczem rzuciła się jej do nóg. – Tam syn mój...

Czarodziejka wzniosła dłonie i rozpoczęła inkantację, ale jej zaklęcia zdołały zaledwie trochę uspokoić przybrzeżne fale. Nagle sowa przecięła powietrze tuż przed jej twarzą. Chwilę później blada jak trup Mitria upadła tuż przy niej na mokre deski.

– Nie w ten sposób – wychrypiała. – Nie powstrzymasz sztormu. Wzmocnij kadłub. Otocz ich.

Znowu poderwała się do lotu, zmieniając w powietrzu. Po nabrzeżu przeszło chóralne westchnienie, ludzie się odsunęli, niektórzy zaczęli na głos powtarzać modlitwy do morskich bogów. Sowa, targana przez wiatr, runęła w stronę statku. Verena szeptała zaklęcia, spajając deski, nie pozwalając trzeszczącej konstrukcji się rozpaść. Pobladła z wysiłku i opadła na kolana. Ptak podfrunął bliżej fregaty, zachwiał się w powietrzu i przysiadł na pokładzie. Statek zadygotał, zatrzeszczały reje. Nagle wokół niego rozpostarł się krąg ciszy, niemal widzialny, drgający na krawędziach tęczowo jak rozgrzane pustynne powietrze. A na zewnątrz wicher wzmógł się, poderwał fale, rozbryztał spienione masy wody o pirs. Verena słabła, lecz wciąż pomagała, spajając i przyciągając. Szumiało jej w głowie, dłonie drżały. Siekał jej twarz wiatr i wodny pył.

Podmuch pchał statek w kierunku nabrzeża. Sowa wzleciała i usiadła na głównym maszcie, rozkładając skrzydła. Verena osunęła się na mokre deski kei. Kadłub kiwał się na boki, częściowo dryfując, magicznym wiatrem łagodnie pchany naprzód. W lewej burcie ziała olbrzymia dziura, ale woda nie lała się już do środka. Fregata nie dryfowała już w stronę skał, tylko chwiejnie płynęła w stronę pirsu. Jednak wicher, który na chwilę ucichł, wzmógł się znów, wyjąc, wściekle łomocząc takielunkiem, przyginając drzewa. Statek zachybotał

i przyśpieszył. Błada jak płótno kobieta przyklękła obok Vereny i ścisnęła ją za ramię silnymi jak kleszcze palcami.

– Błagam was, pani... Jeszcze trochę... – wychrypiała przez wyjący wiatr.

Czarodziejka z wysiłkiem uniosła się na kolana. W tym momencie kadłub statku zadrżał, rozległ się zgrzytliwy trzask pękających desek. Woda wdarła się do środka. Krzyk, wycie wiatru, jęki kobiet, płacz.

– Niech się Aegir nad nimi zmiłuje – zaszemrała staruszka tuż przy uchu Vereny.

Gwałtowny szkwał minął, wicher zaczął słabnąć. Z tłumu wyszedł stary żeglarz i sękatymi dłońmi odcumował jedną z łodzi. Za nim ruszyli inni i po chwili wszyscy mężczyźni dołączyli do tych, którzy już odbili z przystani i, z wysiłkiem poruszając wiosłami, płynęli w kierunku niknącego szybko pod wodą wraku. Verena uniosła dłonie, ale opuściła je bezradnie.

– To był Cutty Sark – powiedział ktoś. – Za szypra tam stary Angus Jednooki robił. Dzielny statek był.

Sylwetka sowy zniknęła z masztu.

Z granatowych chmur lunął deszcz. Ktoś narzucił Verenie na ramiona ciepły płaszcz, ktoś inny przytknął jej do warg buteleczkę z palącym płynem. Czarodziejka dygotała w strumieniach wody. Ktoś wziął ją za ramiona, próbował sprowadzić z kei, ale strząsnęła jego ręce, stała i patrzyła, jak łodzie ostrożnie podpływają do rozprutego kadłuba i wyciągają z morza rozbitków. Widziała, jak marynarze spuszczały szalupy, a inni w panice skaczą z burt pogrążającego się w odmętach statku. Ratownicze łodzie podejmowały rozbitków, a potem powoli, z wysiłkiem przybijały do kei, walcząc z wysoką, spienioną falą, z zasłonami deszczu odbierającymi wzrok. Zgromadzeni na nabrzeżu ludzie patrzyli, czekali, zaciskali ręce.

Wreszcie łodzie przybiły. Kobiety marynarzy w zaciętym milczeniu odbierały z ramion ratowników swoich bliskich. Verena dygotała, patrzyła. Nigdzie nie widziała sowy.

W końcu kadłub fregaty prawie całkowicie pogrążył się w wodzie. Ostatnie łodzie przybijały do nabrzeża. Z jednej z nich marynarze wynieśli dwie postacie, które pośród innych rozbitków od razu rzuciły się w oczy Verenie. Pierwsza okazała się bladą jak trup, nieprzytomną i kompletnie przemokniętą Mitrią. A druga...

– Justin Fern. Co za niespodzianka. – Powiedziała czarodziejka, powstrzymując szczykanie zębów. Odgarnęła z czoła kompletnie mokre włosy. Potarła szczypiącą od wiatru i słonej wody twarz.

– Też mi bardzo miło – burknął równie przemoczony mag, gramoląc się na keję, przy czym pośliznął się na mokrych deskach i o mało nie wpadł do wody.

Milczący, barczyści marynarze ułożyli obok Mitrię. Verena ruchem głowy wskazała wieżę. Mężczyźni zrozumieli. Podnieśli czarodziejkę i ponieśli ją we wskazanym kierunku. Ktoś wziął Verenę za ramiona, podtrzymał, nie pozwolił upaść. Z tyłu podążył chwiejąc się Justin Fern.

*

Zostawiono ich samych. Po prostu. Z uszanowaniem, z lękiem. Burmistrz kazał przynieść wieczerzę, grzane piwo, koce, rozpalić ogień w kominku. A potem zostawiono ich samym sobie. Czarodziejów, tych innych i obcych, z którymi nikt, kto już nie potrzebuje ich pomocy, nie chce mieć do czynienia.

Wieża nadal cuchnęła myszami i zgnilizną. Justin Fern stał na środku komnaty, ociekający wodą i ze skrzywioną miną, ściskając w objęciach niedużą skrzynkę.

– Nie stój tak – warknęła Verena. Drżała i szczękała zębami, mokra suknia lepiała się do ciała, po plecach wciąż spływały strumyczki wody. – Odwróć się chociaż, bo muszę się przebrać.

Justin stał dalej, jakby nie rozumiał, co do niego powiedziała. On również trzął się z zimna.

– No dalej. Też się rozbierz. Nie bój się, nie rzucę się na twoje chuderlawe ciało – zakpiła czarodziejka. – Możesz rozwiesić ubranie przed kominkiem i owinąć się w kapę z fotela. Bardzo gustownie.

Justin Fern rozejrzał się po komnacie i westchnął filozoficznie na widok okrycia w barwne wzorki.

– Ty też się odwróć – zażądał.

– Z przyjemnością.

Słyszała, jak sapie, ściągając z siebie przemoczony kubrak, koszulę i spodnie. Sama, odwrócona tyłem, bez skrepowania zdjęła z siebie płaszcz i suknię, a potem narzuciła wygrzebaną z kufra koszulę i ciepłą opończę.

– Już? – zwróciła się do ściany.

– Już – usłyszała. Odwrócili się jak na komendę. Justin usiadł w głębokim fotelu, komicznie zawinięty w kolorową kapę. W rękach wciąż kurczowo ścisnął skrzyneczkę.

– Czy tylko wy dwie znajdujecie się obecnie w tym uroczym zakątku, czy też ktoś jeszcze z naszego bractwa? – zapytał. – Toż to mały zjazd.

– Tylko my. Z tobą będzie nam przyjemniej. – Verena uśmiechnęła się zalotnie i zatrzepotała rzęsami, po czym szyderczo wykrzywiła twarz.

– Nie można wykluczyć takiej możliwości – odpowiedział. – A teraz chciałbym, jeśli pozwolisz, trochę się zdrzemnąć. Jestem śmiertelnie zmęczony.

*

Mitria spała dwanaście godzin. Verena tylko osiem. Po przebudzeniu obie pochłonęły górę wędzonych ryb, chleba i kociołek zupy z kalmarów, które to potrawy zapobiegliwy burmistrz kazał rano dostarczyć do wieży wraz z dwoma gąsiorkami starego wina i uniżonymi podziękowaniami za pomoc w uratowaniu załogi statku. Podziękowania byłyby zapewne serdeczniejsze, gdyby udało się uratować cały statek, a przynajmniej znajdujące się na nim towary.

Justin Fern obudził się wcześniej, zjadł równie obfity posiłek, posiedział chwilę przy płonącym na palenisku kominka ogniu, a potem znów zasnął, ciasno obejmując ramieniem swoją skrzyneczkę.

Czarodziejki rozmawiały.

Verena opowiedziała Mitrii, że była kochanką Adelarda z Tradivy. Mitria milczała. Verena wyznała, że Adelard obszedł się z nią podle. Starannie pominęła natomiast fakt podsłuchiwania pod oknem w czasie procesu Mitrii i Jardala. Przyznała się za to, że jakiś czas temu uległa słabości i spotkała się z Adelardem. A on opowiedział jej jakąś niewiarygodną historię o tym, jakoby Evelyn von Stein nie było w Emain. Nikt nie wie, gdzie obecnie przebywa Mistrzynie, ale podobno zabrała ze sobą Glinianą Pieczęć.

– Rozumiesz, Mitrio?

Rudowłosa skinęła głową.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli to prawda, Evelyn może stracić stanowisko Mistrzynie.

– Możemy o to walczyć – dodała z entuzjazmem Verena.

Mitria zmierzyła ją uważnym spojrzeniem szarozłotych oczu.

– Ale ja nie wiem, czy chcę – powiedziała. – Czy nie lepiej na zawsze opuścić te krainy i zapomnieć o Emain? Zrobilibyśmy to, gdyby nie klątwa.

Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. W progu stanął Justin Fern, wciąż otulony kolorową kapą.

– Wybaczcie, szlachetne panie – skłonił głowę – ale mimowolnie słyszałem waszą rozmowę. Czy mogę się przyłączyć?

*

Siedzieli w milczeniu, sącząc stare wino podarowane przez burmistrza, lekko kwaśne i zalatujące starą skórą. Wpatrywali się w płonący na palenisku ogień. Justin założył wysuszone już ubranie. Nosił jasny kaftan, obcisłe spodnie i koszulę z koronkowymi mankietami. Verena przypomniała sobie plotki mówiące, że jest z pochodzenia tarrenckim arystokratą. Może i była to prawda. Miał wyszukane maniery, szlachetny zarys podbródka i nos, którego cienkie skrzydełka drgały czasem jak u rasowego konia. Teraz jednak nie wyglądał zbyt

efektownie. Jasne włosy lepiły mu się do czoła, a bladoniebieskie oczy były podkrążone i zmęczone.

– Wybaczcie. Naprawdę nie chciałem podsłuchiwać – powiedział, poruszając się nerwowo na krześle. – Po prostu słyszałem i... nie wiedziałem, co zrobić, czy się ujawnić, czy...

– Trzeba było zdecydować się wcześniej – odpowiedziała cierpko Verena. – Skoro już nasłuchiwałeś się nie swoich tajemnic, może zdradzisz nam swoje. Na przykład, co robisz w tej pięknej okolicy?

– Nic szczególnego. – Wzruszył ramionami. – Każdemu wolno podróżować.

– A więc nie chcesz sam podzielić się... – zaczęła Verena.

– Co ci wiadomo – przerwała jej Mitria – o obecnym miejscu pobytu Evelyn von Stein?

– A więc to prawda. – Tarrentczyk wypuścił powietrze z płuc. – Zniknęła.

Rudowłosa czarodziejka popatrzyła na niego przenikliwie.

– Jeśli zadaję pytanie, to dlatego, że nie wiem – powiedziała. – Nie chcesz, nie odpowiadasz. Wnioski wyciągasz sobie samodzielnie. To chyba rozsądny układ, prawda?

– Nie pytamy wszak o intymne sprawy... Na przykład o zawartość tego, co tak pieczołowicie tulisz na łonie – dodała złośliwie Verena.

Justin Fern chyba tym razem się rozżłościł.

– Słuchajcie, moje panie, chyba każde z nas ma swoje osobiste sprawy, w które nie ma ochoty wprowadzać innych. Usłyszałem waszą rozmowę i poprosiłem już o wybaczenie. Obiecuję pełną dyskrecję. Macie na to moje słowo. W zamian postaram się udzielić wam w miarę wyczerpujących informacji w kwestiach, które nie są dla mnie szczególnie intymne.

– Słuchamy – oznajmiła Mitria.

Tarrentczyk potarł dłonią nieogolony podbródek.

– Wyjechałem z Emain dość dawno temu – powiedział. – Krążyłem trochę między Wolnymi Miastami, wybierałem się nawet na Północ, ale jednak po namyśle z tego zrezygnowałem. Około dwa miesiące temu natknąłem się w Tradivie na Odonę Treveliusa. Gadał coś od rzeczy i w ogóle wyglądał, jakby stracił rozum, ale same dobrze wiecie, że w jego przypadku takie wrażenie nie jest niczym nadzwyczajnym. Siedzieliśmy w tawernie, piliśmy tamtejsze znakomite wina, a on wstawał co pół godziny i biegł gdzieś na parę minut, bo tak mu nakazywał jakiś pokutny rytuał. Nosił czarne szaty i był błydy jak upiór. Bredził coś o złu, które przeniknęło mury Emain. Zapytałem go, co na to Mistrzynie i dostałem wyłącznie wymijające odpowiedzi. Dopiero potem, z... innych źródeł, których wolę nie wymieniać, dowiedziałem się, że krążą plotki, jakoby Evelyn von Stein zniknęła czy wyjechała. Nie mogła więc pewnie

zareagować na to, co działo się z Odonem. A on sprawiał wtedy wrażenie, że jest na wpół obłąkany. Oprócz obsesji demonicznego czynnika w naszych murach opowiadał też o jakimś spisku przeciwko Kapitulie, którego wszystkie nici prowadzą do Castelburga.

Dłoń Mitrii, trzymająca pucharek wina, zastygła w połowie drogi do ust.

– Wiesz o tym coś więcej? – zapytała czarodziejka.

– Nic. – Tarrentczyk wzruszył ramionami. – Następnego dnia się rozstaliśmy, ja wyruszyłem w swoją stronę, a Odo, o ile dobrze go zrozumiałem, zamierzał wrócić do Emain. Ale przyznam, że jakoś nie dawało mi to spokoju. Tak się składa, że chwilowo moja droga również prowadzi do Castelburga, więc spróbuję zbadać sprawę. Choć obawiam się, że okaże się to poszukiwaniem iluzji, które uroiły się w nie do końca zdrowym umyśle naszego konfratra. Ze wszystkich jego mętnych opowieści jak na razie tylko podejrzana nieobecność czy też tylko niedostępność Evelyn znalazła potwierdzenie w innych źródłach.

– Droga z Tradivy do Castelburga nie ma nic wspólnego z morzem ani tym bardziej z morską podróżą do Tir Taingiri – zauważyła zimno Verena.

– Nie mówiłem, że jadę prosto z Tradivy. – Justin Fern rozszerzył z oburzeniem skrzydełka arystokratycznego nosa. Blond włosy nadal lepiły mu się do czoła, czyniąc go podobnym do rzeźby. – Przybyłem drogą lądową do Verdii, gdzie miałem do załatwienia kilka spraw, a stamtąd próbowałem dostać się statkiem do Castelburga. Ale sztorm zniósł mnie tutaj.

– Podobnie jak mnie – przytaknęła Verena. Wyglądało na to, że wyjaśnienie ją zadowoliło i że jej dystans wobec Tarrentczyka powoli znika. Rozlała do pucharków resztę wina.

W tym momencie drzwi skrzypnęły, przynosząc zgniły i mysi zapach, kilkakroć silniejszy na schodach wieży niż w jej komnatach. Pokazała się rozczochrana i niedomyta głowa służącego z tawerny, tego samego, który przynosił im posiłki.

– Pismo do pani Mear de Witten – oznajmił młodzieniec, demonstrując złożony i zalakowany list.

– Cantaleńska księżniczka – gwiznął Justin.

Rudowłosa czarodziejka machnęła ręką.

– Uboga krewna cantaleńskiej księżniczki – sprostowała. Złamała pieczęć i przebiegła wzrokiem papier, po czym zwinęła go w rulon.

– Wracam do Castelburga – oznajmiła. – A jeśli komuś po drodze, może jechać ze mną. – Rzuciła znaczące spojrzenie Justinowi Fernowi.

– Co się stało? – zapytała Verena.

– Jardal jest w więzieniu.

Tarrentczyk pytająco popatrzył na czarnowłosą, ale ta odwróciła wzrok.

– Jadę z wami – powiedziała.
– Ale... – zaprotestowała Mitria.
– Jadę z wami – powtórzyła Verena. – Zniknięcie Evelyn, spisek przeciwko Kapitulie... to zbyt poważne sprawy, żebym nie próbowała tego wyjaśnić. – Tym razem to ona posłała Justinowi długie, znaczące spojrzenie pięknych orzechowych oczu.

*

– Pójdziemy za trzy dni, o świcie – powiedział głęboki głos, należący do otyłej postaci w czarnej opończy z kapturem. Na dużej dłoni widniał olbrzymi pierścień z karbunkułem. – Do tego czasu kondotierzy dotrą pod miasto.

– Wszyscy idziemy na Zamek? – zapytał ktoś inny, mały i myszowaty. Stał w kącie, nie sięgał go blask pochodni umocowanych do ścian stalowymi obręczami.

– Jak jeden mąż – rzekł inny, młody i rzeński głos, połączony ze szczękiem ukrytej pod opończą broni.

– Nie – odpowiedział gruby. – Jeno nasi, castelburscy. Dla innych – jak wola. Musu nie ma.

– Idziemy wszyscy – odpowiedział mu ktoś stojący z lewej strony, pod arkadami. Głos zdecydowany, przywódczy, stalowy i lekko przebiegły. – Wszyscy albo nikt.

– Słusznie – zapiał ktoś inny, nerwowo i skrzypiąco jak młody kogut. – Jeśli my wam tu, w Castelburgu, wsparcia nie damy, u nas waszego oczekiwać nie mamy prawa.

– Daliśmy wsparcie – odezwał się przepity głos z kąta po prawej. – Pomogliśmy zorganizować siatkę szpiegowską, pieniądze, przemyt broni, kondotierów, a nawet i czarodzieja. Własnej skóry narażać za cudzą sprawę nie można nakazać nikomu. Niech idą, którzy chcą, a za nimi pójdą żołnierze.

Grandini westchnął cicho. Delegacja Bractwa. Nikt spośród najważniejszych, bo tym nie chciało się narażać własnej skóry. Nieważni stryjaskowie, młodzi synowie, dziedzice fortun z bocznej linii rodu. Napęczniali poczuciem własnej ważności, przekonani, że ich śmieszne fortele, na jakie nie nabrałoby się nawet dziecko, są przebiegłymi intrygami.

Przybywali w ciągu minionych dni. Każdy oddzielnie, przebrany za kupca, mieszczanina bądź zamożnego podróżnika. Przekraczali bramy miasta pocąc się i drząc, tak jak wcześniej Virbio Allenmargh. Podobnie jak on pozbawieni doświadczenia, za to pyszni jak pawie i głupi niczym świąteczny indyk. Rozglądali się wokół, oglądali za siebie, spoglądali z góry na otaczający ich motłoch. Każdego z nich Grandini i Virbio zdołali ulokować w przygotowanych

przez pana Fosci mieszczańskich kwaterach. Grandini był zdania, że nie są tu w ogóle potrzebni, ale rada Bractwa, w której prym wiedli Castigliani, spokrewnieni po kądzieli z Malatestami, uparła się. Może miała nadzieję, że oni zginą, pomyślał pesymistycznie agent, słuchając kolejnych głosów poparcia bądź sprzeciwu.

– Ślubowaliśmy braterstwo – zaperzył się młody.

– Takie ci to polityczne braterstwo – splunął myszowaty. – Przyjdzie co do czego, zostaną tylko ci, którym poświęci interes, władza albo złoto. Tedy już lepiej ustalmy, że interesa nasze dzielimy i że nikomu nie ma musu karku nadstawiać.

Podniosły się szmery.

– Dobrze, dobrze. – Stojący pośrodku Grandini uspokajająco uniósł dłonie, a czarna opończa rozchyliła mu się nieco na otyłym brzuchu. – Idą castelburscy i ci, którzy chcą, a nie zapomnimy im tego. Spotykamy się na godzinę przed świtem przy bramie na służebny dziedziniec. Oddział żołnierzy pójdzie z nami, dowodzony przez Jastrzębia – wskazał ruchem głowy na tego o przywódczym głosie, stojącego pod arkadami – mającego przy sobie Virbia Allenmargha jako adiutanta. W tym czasie kondotierzy najęci za pieniądze pana Fosci wejdą do miasta miasta i okrążą Zamek. Nie powinno być problemów. Zaufani Jastrzębia dostaną się do Castelburga w przebraniu, tak jak i wy, waszmość panowie, i ukryją się we wcześniej przygotowanych kwaterach. W nocy podejną do bram, zabiją strażników i otworzą wrota. Kondotierzy wejdą cicho i szybko, nie chcemy przypadkowych ofiar. Razem z wojskiem podejdziemy pod mury Zamku Cieni. Tuż przed świtem zaufana osoba otworzy nam bramę. Przodem pójdzie czarodziej, a za nim my, razem z przybocznym oddziałem Jastrzębia.

– Jastrzębia widzimy – odezwał się pijacki głos – ale kto zacz owa zaufana osoba, nie wiemy, a i czarodzieja nie widzieliśmy.

– Owa osoba ma powody, by zataić swą tożsamość – odpowiedział szpieg – a czarodziej, jak miemam, wkrótce przyjdzie.

Otarł pot z czoła. Dyskutowali, kłócili się, radzili, a ustalenia nijak nie posuwały się do przodu. Wyglądało na to, że łatwiej wejść do Zamku Cieni, związać Księcia wraz z całą gwardią i sprzedać piratom, aniżeli z tymi panami w czarnych opończach dojść do konsensusu w kwestii, co też im podać jutro na śniadanie. Jeden Jastrząb stał z boku i spokojnie żuł w krzywych ustach słomkę. Grandiniemu chciało się śmiać i płakać na wspomnienie stwierdzenia, że Bractwo zorganizowało siatkę szpiegowską, wojsko i przemyt uzbrojenia. Jak dotąd zdołali szczęśliwie przemyścić samych siebie, swoje czarne opończe i odrobinę broni na własny użytek, zaś siatka szpiegowska, jeśli do niego i Virbia doliczyć bankiera wraz z Giulią Baldini, mogła osiągnąć chwalebny liczbę

czterech osób. Agent liczył mocno na Jastrzębia z jego kondotierami oraz na czarodzieja. Bez nich cały zamach stanu można by równie dobrze przeprowadzić wśród niedoroślej dziatwy.

– Właśnie – zaperzył się myszowaty. – Pokażcie, gdzie ten wasz czarodziej. Bez niego ani chybi na pewną śmierć idziem.

W krąg postaci odzianych w czarne szaty skoczył nagle jak piorun wielki bury kot. Kierunek, z którego się pojawił, sugerował, że do tej pory leżał spokojnie w jednej z ostrołukowych nisz. Pośrodku zmaterializował się nagle dość wysoki mężczyzna w szarym płaszczu, o przenikliwym spojrzeniu, od którego po plecach przebiegały ciarki. Stojący najbliżej poczuli delikatne uderzenie powietrza. Postać odrzuciła opadające na oczy szare włosy i czujnie rozejrzała się wokół.

– Przybyłem, aby skrócić zbędne dyskusje i uwiarygodnić słowa pana Grandiniego – powiedział mag.

Jastrząb z głośnym dmuchnięciem wypluł słomkę na podłogę.

– No, to już coś – odezwał się przepity, którego najwyraźniej nic nie mogło zdziwić.

Tłusty z pierścieniem odął się pod opończę jeszcze bardziej.

– Musi złożyć przysięgę – odezwał się w powietrze.

Grandini sapnął głośno. Zabrakło mu pomysłu, jak zasugerować panom w czerni, że magowie przeważnie nie grzeszą cierpliwością, a zwerbowanie tego zajęło trochę czasu i wysiłku.

– Drogi bracie – zaczął ostrożnie – przysięgę muszą składać jedynie członkowie naszego stowarzyszenia, nie zaś ludzie, z których usług ono korzysta. Tak samo nie wymagaliśmy przysięgi od pana Fosci ani od... naszego kontaktu w Zamku.

– Ale on przyszedł na nasze spotkanie – zaperzył się gruby. – Przypomnę, łaskawy panie, że to tajne zgromadzenie Bractwa. Jeśli kogoś wpuszczamy, musi złożyć przysięgę na wierność. Takie są zasady. Nosimy opończe. Nie wymieniamy nazwisk. Nie odsłaniamy twarzy.

Grandini westchnął ponownie. Wszyscy się znali, a więzi pomiędzy arystokratycznymi rodami powodowały, że każdy z nich był dla drugiego co najmniej odległym powinowatym. Rekwizyty tajnego stowarzyszenia, czarne opończe z głębokimi, skrywającymi twarze kapturami, wydawały się w tej sytuacji kolejnym absurdalnym pomysłem dzieciaków, które bawią się w zakulisowe sterowanie losami świata. Zaś wiara w to, że członkowie zgromadzenia rzeczywiście nie rozpoznają się wzajemnie, zakrawała na szczyt naiwności.

– Nie przypominam sobie, abyście mnie zapraszali, panie Morese. – Czarodziej ziewnął bardzo po kocie, rozprostował ramiona i zaczął spacerować po lochu. – Pan Grandini był łaskaw wyrazić przypuszczenie, że ucieszylibyście się panowie na mój widok.

– A więc znacie mnie, mistrzu. Ktoś tu zdradził. – Tłuscioch wyciągnął sztylet i zawiesił go w powietrzu w pół drogi pomiędzy Grandinim a czarodziejem, nie wiedząc właściwie, kogo zaatakować.

– Nikt nie zdradził ani nie zdradzi, jeśli się sami nie zdradzicie. I bądźcie uprzejmi schować to żelastwo, bo się jeszcze pokaleczycie. – Jardał wykonał krótki gest, a broń wyleciała z dłoni grubego, zawisła na chwilę pod ostrołukowym sklepieniem, po czym z brzękiem upadła na posadzkę. – Nie noście, panie Morese, na palcu pierścienia z herbem, skoro tak bardzo nie chcecie się przedstawiać.

Myszowaty parsknął krótko, tłumiąc chichot. Czarodziej odwrócił się w jego stronę.

– Co się tyczy was, panie Chianti – powiedział – znoszone buty pobrudzone gliną z przedmieścia Severni i wyraźny odór sera bleningardzkiego również mogą zdradzić wasze pochodzenie.

Myszowaty umilkł, kuląc się pod czarną szatą.

– Ktoś jeszcze? – Czarodziej wykonał obrót na pięcie. – Panie Leontini? Panie...

– Dostyc – powiedział przywódczy głos spod lewej arkady. Jardał zwrócił się do niego.

– ...i na dodatek słynny Jastrząb, kondotier, rzeźnik z Tradivy, który miał okazję zmierzyć się z Księciem w polu. Chylę czoła.

Grandini uznał, że czas najwyższy przynajmniej spróbować odzyskać panowanie nad sytuacją. Nie wiedział, czy czarodziej faktycznie aż tak dobrze odrobił lekcje, czy też używał jakiegoś magicznego skanowania umysłów.

– Mistrzu Jardału, skoro chęć was wzięła na przedstawianie sobie zebranych, pozwalam sobie użyć i waszego nazwiska – powiedział. – Skoro zgodziliście się, mamy tylko jedno pytanie: czy pójdziecie z naszym oddziałem za trzy dni o świcie?

– Pójdę nie z wami, a przed wami. Sam. – Czarodziej po raz kolejny odgarnął włosy z oczu. – A wam nie wróżę powodzenia. I, szczerze mówiąc, odradzam.

Wśród postaci w czarnych opończach zaszemrało. Jastrząb oparł się o filar, skrzyżował ręce na piersi i zapytał:

– Dlaczego? Jakie macie do tego podstawy, panie magu?

– Po pierwsze, do przeprowadzenia zamachu jesteście jeszcze zupełnie nieprzygotowani. Nie macie planu działania. Nie zdecydowaliście, kto uderza,

w którym miejscu, z którym oddziałem.

– Od tego mamy Jastrzębia – pisnął myszowaty. – On dowodzi, on wie. Ma przygotowane wszystkie plany. Nasza rzecz opanować Zamek Cieni.

Jardal prychnął pogardliwie.

– Wasza wola. Chcecie iść, idźcie. To już nie moja rzecz.

Grandini parsknął i przez chwilę sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale tylko otworzył usta i zamknął je z powrotem.

Gruby z pierścieniem, nazwany Morese, wysunął się na środek kręgu.

– Również wasza rzecz w tym rzecz, żeby spisek się nie wydał – zagrział.

– A teraz opuśćcie, panie magu, to zgromadzenie. Jak słusznie zauważyliście, musimy się naradzić.

Głosy zaszemrały. Ktoś się sprzeciwił, ktoś pytał. Grandini wołał o spokój. Jastrząb stał w kącie, przeżuwał słomkę i uśmiechał się krzywo, podczas gdy jego żółte oczy pozostawały zimne i czujne.

Jardal skłonił się i skierował do wyjścia z lochów. Gdy wyszedł z blasku pochodni, otoczyła go wilgotna piwniczna ciemność. Usłyszał za sobą ciężkie, pospieszne kroki. Na następnym zakręcie dogonił go Grandini. Oparł się dłonią o ścianę i wysapał:

– Czy wasza pani nie przyłączyłaby się, mistrzu?... To zwiększyłoby szanse...

Jardal pokręcił głową.

– Nie ma jej. Jest w Tirn Taingiri.

Nie oglądając się za siebie, odszedł w mrok.

*

– Dzieje się – powiedziała Pierwsza Prządka.

– Dopiero się Stanie – powiedziała Trzecia

– Gdyby Ona tu była, nie Stałoby się – powiedziała Druga.

– Ale w tym wszechświecie Stanie się właśnie tak – powiedziała Trzecia. –

Obserwujemy.

– Ona wkrótce wróci – powiedziała Pierwsza Prządka.

– I zobaczy, że Stało się, ponieważ nie zapobiegła – stwierdziła Druga.

– Wybrała taką właśnie nitkę Miejsca i Czasu – powiedziała Trzecia. –

Ludzie nie Widzą. Po prostu wybierają. Tacy już są.

– Ona zrobi wszystko, żeby to naprawić – powiedziała Pierwsza. – Podejmie Drogę.

– Może z niej nie wrócić – zauważyła Druga. – Tak jak On może nie wrócić ze swojej.

– Może. Ale to nie ma znaczenia. Nie zakłócajmy Eksperymentu – stwierdziła Trzecia. – Zwolennik, Przeciwnik i Mediator muszą trwać.

- Więc Obserwujmy – powiedziała Pierwsza Przędka.
- Obserwujmy – przytaknęły pozostałe.

*

Było ich czterech. W ciemnościach majaczyły plamy białych płaszczy.

*

Potrzebował innej rzeczywistości. Takiej, w której ma floret w dłoni. Takiej, w której ciało samo odnajduje rytm szermierczego tańca, a prawa dłoń... Tak, prawa dłoń jest mu posłuszna po najdrobniejzde drgnienia palców.

W takiej rzeczywistości walczyłyby. I zabijał.

*

Po prostu podeszli. Dwóch z przodu, dwóch z tyłu. Chłodne ostrze na gardle. Mrowienie sieci obciążonej grudkami gwiazdnego żelaza.

*

W innej rzeczywistości zafurkotałyby szary płasz, stopy odnalazły rytm na bruku. Byłyby piruety, wypad, uniki. Szczęk broni. Jęki. Krew.

Pierwszy padłby z rozplatanym gardłem. Inni cofnęliby się i natarli znów. Unik, półobrót, sztych. Śmierć.

Ucieczka. Stukot butów na kamieniach.

Pot i drżenie nóg. Chropawa ściana z cegieł za plecami.

*

Ale to nie była inna rzeczywistość.

Była za to pustka i ciemność. Sieć przetykana gwiazdnym żelazem i uderzenie, które zgasiło największą ludzką magię, jaką jest świadomość.

*

Woda kapała z przerażającą regularnością. Kropla zbierała się u sufitu powoli, jakby rozmyślała nad naturą grawitacji, a potem odrywała się i nieodwracalnie spadała w dół, żłobiąc dziurę w kamieniu i wydając delikatny plusk, który dla otumanionego mózgu Jardala mógł być równie dobrze odgłosem lawiny. A potem wszystko powtarzało się jeszcze raz. I jeszcze raz. Ciągłe, z piekielną systematycznością.

Czarodziej leżał na kamiennej posadzce, skrepowany tak, że nie mógł się ruszyć. Rozbita głowa pulsowała tępym bólem. Płytkie rany na skórze piekły wściekle. Usta wyschły i popękały, umazane, podobnie jak twarz, zaschniętą krwią, która pociekła z rany na czole.

– Patrz, obudził się. Czas go chyba zapytać, czy mu wygodnie – rozległ się z kąta ostry, świszczący głos.

Jardal przymknął opuchnięte powieki.

– Mówi, że tak – odpowiedział inny, głęboki baryton. – Jak ktoś nie może gadać, to mu się każe, żeby zamknął oczy. Jak zamknie, znaczy się rozumie.

Czarodziej próbował coś powiedzieć, ale głos nie wydobył się z gardła.

– Ty patrz, będzie coś gadał – zainteresował się baryton.

– Tedy posłuchamy – stwierdził świszczący.

Jardal powalczył jeszcze chwilę ze skołowaciałym językiem i wyschniętą krtanią, aż w końcu wydobył z siebie schrypnięty szept:

– Wody!

– Nic interesującego – skomentował świszczący.

– Zapewne. Ale godzi się bliźniego napoić.

Wielkie jak młyńskie kamienie ręce dźwignęły maga z posadzki i powlekły pod ścianę, a potem rzuciły w kąt jak worek szmat. Kropla wody, ta sama, której dźwięk z taką uporczywością wwiercał się w mózg, spadła mu na twarz.

– Przy odrobinie cierpliwości – stwierdził zadowolony z siebie baryton – możecie się, panie mistrzu, napić że aż miło. Jeśli zaś wam owej cnoty braknie, da się również zlizywać wodę ze ścian. Nie brak jej tu – zarechotał.

Jardal istotnie poczuł, że spływająca po piwnicznych ścianach woda przesiąka mu przez ubranie i przyjemnie chłodzi kark. Otworzył usta i poczekał na następną kroplę. Nie trafił, spadła mu na policzek, łaskocząc przez zakrzepłą krew. Tamci obserwowali jego wysiłki, wybuchając raz na jakiś czas rechotem. Zignorował ich. W końcu udało mu się pochwycić kroplę językiem. Ulga była jak rozbłysk światła pod powiekami. Oprawcy musieli coś poczuć, bo zamilkli nagle.

– Brachu, ale on ma moc – mruknął baryton z wielkimi pięściami. – Przez gwiazdowe żelazo przenika. Wiatr magiczny mnie aż tutaj dosięgnął. Brrr...

Jardalowi udało się unieść nieco i pochwycić kolejną kroplę. Po chwili w głowie rozjaśniło mu się na tyle, że sięgnął umysłem w głąb cząsteczek wody i odnalazł ich magię. Ciało miał zeszywniałe, jak z drewna, ale na szczęście sieci poprzetykanej grudkami gwiazdnego żelaza nie zarzucili mu na głowę. Skupił się i delikatnie przemieścił wodę z sufitu w jedno miejsce, utworzył z niej cienki strumyczek i nakierował go na własne usta. Pił chciwie, nie zważając na tamtych dwóch, którzy zamilkli nagle.

– Patrzaj, co on robi. A nam kazali jego... – zaczął baryton.

– Zamknij się – warknął świszczący. – On w siatce gwiazdnym żelazem szpikowanej. Ruszyć się nie ma jak. Tylko myślą może.

– To i może myślą nam w łeb przyłożyć – mruknął tamten.

– Cichaj.

Świszczący wstał, przemierzył cełę, podszedł i trącił Jardala nogą.

– Nas tu, panie mistrzu, posłali przy waści posługę czynić – powiedział. – Ot tam, na środku, stoją narzędzia do takowej służby stosowne. Żelazo zacne do paznokci zdzierania, dyby wielce wygodne, buty, co na każdą stopę pasują, a jak nie będą pasowały, to się śrubką dokręci. A do tego kołyska, tylko taka, że zasnąć w niej nie dacie rady, bo ona szpikulcem do góry sterczy, a waść na niej zadkiem łądujesz, z sufitu na linie zwieszony. I czapeczka piękna na głowę, takż ze śrubką. I kleszczyków zacnych kolekcja, które w ogniu wnet wyprażyć można. A to wszystko was czeka, panie mistrzu, boście niecznie na życie Księcia nastawali. Ale ominąć was może, jeśli o współspiskowcach waszych wszystko gładko wyśpiewacie.

Jardal nie odpowiedział. Napił się już i teraz pozwalał, żeby wąski strumyczek wody łagodnie obmywał mu twarz. Po chwili przemieścił wilgoć na suficie i puścił wodę prosto na głowę świszczącego. Ten parsknął, odgarnął mokre włosy, podszedł i z rozmachem kopnął czarodzieja w bok. Jardal zwinął się na podłodze. Ostry ból w pękniętych żebrach na chwilę go sparaliżował. Otworzył oczy i przyjrzał się pachołkom. Baryton dołączył do tego drugiego i przez chwilę obaj się nad nim pochylali. Świszczący miał sianowatą czuprynę, wodniste oczka i lekko skrzywiony nos. Przy tamtym sprawiał wrażenie pokurcza, ale to było tylko wrażenie. Baryton natomiast wyglądał, jakby miał problem, by zmieścić się w średniej wielkości drzwiach, a poziom inteligencji zyskał chyba nieustannie waląc czołem w futryny. Potężne bary prawie rozsadzały mu skórzany kaftan. Widocznie uznał, że musi poprawić po koledze, bo wziął solidny rozmach i kopnął. Jardala po raz kolejny ogarnęła ciemność.

Ocknął się, leżąc na drewnianym stole. Przez chwilę lokalizował części swojego ciała i ich położenie względem otoczenia. Nogi w kostkach i nadgarstki były przypięte żelaznymi obręczami. Pod kręgosłupem wyczuwał jakąś nierówność, najprawdopodobniej rodzaj szpikowanego drewnianymi kolcami wałka – element narzędzia tortur, które dopiero miało zostać użyte, a na razie jedynie niewinnie, acz boleśnie wbijało się w plecy. Usta znów wyschły i popękały. W głowie nieznośnie szumiało, a po dłuższej chwili magowi udało się także zlokalizować przenikający różne części ciała ból. Pęknięte żebra dawały o sobie znać przy oddychaniu. Migotliwe światło pochodni, oświetlające krzyżowe sklepienie piwnicznego lochu, wciskało się pod nabrzmiałe powieki.

Skrzypnęły drzwi – co odezwało się lawiną pod czaszką Jardala – i rozległy się kroki. Czarodziej poczuł coś, co poznałby wszędzie – lekki podmuch magii. Było w nim coś niepokojącego, ale trudnego do uchwycenia. Rozległ się zgrzyt łańcuchowego mechanizmu i blat, na którym leżał Jardal, zaczął powoli unosić

się do pionu. Żelazne obręcze wpiły się mocniej w wyciągnięte nad głową dłonie. Szarpnęło i mechanizm stanął. Mag zobaczył przed sobą postać w białym płaszczu narzuconym na czarną zbroję, w hełmie, z którego otworów prześwitywały przenikliwe oczy. Przybysz dał znak ręką i za jego plecami pojawił się osiłek.

– Przywołam, jak będzie trzeba. – Biały płaszcz przemówił głosem dudniącym przez hełm, jak jakiś duch z podziemi. Tamten wycofał się pośpiesznie i zniknął w drzwiach.

– Więc z samym mistrzem Jardalem mam przyjemność. – Człowiek w hełmie przybliżył się do konstrukcji.

– Jeśli takie wasze przyjemności, nie chciałbym znać przykrości – wychrypiął czarodziej.

– No proszę. Widać pobyt tu jeszcze za mocno ci nie dokuczył, skoro humor dopisuje. – Przybysz w białym płaszczu obszedł loch, dudniąc butami. Jego głos dochodził teraz Jardala gdzieś zza pleców. – Obawiam się, że moi podwładni nie do końca zrozumieli zadanie, które nas czeka – ciągnął, a w jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju zabarwionego sadystyczną przyjemnością rozbawienia.

– Nie interesuje nas zneutralizowanie spisku na życie Księcia, bo tak naprawdę żaden poważny spisek nie istnieje. Nie mam tu na myśli dziesiątek małych partyjek złożonych ze zidiociałych arystokratów czy pieniących się mieszczuchów, wszystko jedno. Ani kondotierów stojących u bram, którym wystarczy nie zapłacić, aby splunęli pod nogi i udali się gdzie indziej, tam, gdzie ktoś będzie potrafił rzeczywiście ich wykorzystać. Oni wszyscy się nie liczą. Żaden z nich nie ma nawet szans na przekroczenie progów Zamku Cieni. Interesuje nas tylko jedna rzecz, mistrzu. Moc. Magia, której dostatecznych, naszym zdaniem, ilości nie potrafimy zdobyć. Trzeba zatem ją pozyskać. Z ciebie.

– Spróbuj – warknął Jardal. Kajdany coraz mocniej rozcinały mu nadgarstki, a kręgosłup zaczynał się rozciągać do stanu, którego anatomia już nie przewidywała.

Krótki, stłumiony śmiech białego ducha odbił się od wnętrza jego hełmu i od sklepienia lochu.

– Żebyśmy mogli pozyskać z ciebie moc, musimy otworzyć twój umysł – powiedział, wciąż zza pleców czarodzieja. – Mógłbyś zrobić to dobrowolnie, ale, wyobraź sobie, założyliśmy z góry, że nie zechcesz. Zrobimy to zatem bez długich targów, prosto i skutecznie. Za pomocą bólu.

Jardal skoncentrował spojrzenie na tkwiącym pod ścianą instrumentarium kata. Dopiero teraz zauważył, że w małym palenisku, w którym płonął niewielki,

równy płomień, tkwią rozrżone w tej chwili do czerwoności szczypce i szpikulce.

– Umrę – stwierdził, z trudem odklejając język od wyschniętego podniebienia.

– To nie będzie konieczne. – Duch nadal krążył po lochu, najwyraźniej coraz bardziej rozbawiony. Pełen ochoty i werwy. – Jesteśmy fachowcami. Potrafimy zadawać ból tak, żebyś za każdym razem wymykał się śmierci. Zwróć uwagę na słowa „za każdym razem”. Czynność nie będzie, niestety, jednokrotna. Chodzi nam bowiem o zniszczenie twojego umysłu i doprowadzenie do rozpadu osobowości, a to można osiągnąć tylko długotrwałym i, wybacz trywialność, do znudzenia się powtarzającym bólem. Omdlenie, tak. Śmierć – nie. Przykro mi.

Jardal szarpnął się odruchowo, aż zabręczały łańcuchy. Po lochu przetoczył się, odbijając od ścian, perlisty śmiech postaci w białym płaszczu. Jego jasny ton nagle uświadomił czarodziejowi, że ma do czynienia z kobietą.

– Nie uwolnisz się – powiedziała. – Twoja moc będzie stopniowo wsiąkać w ściany, skąd bardzo starannie ją wydobędziemy. Zależy nam na tym, żeby trwało to długo, bo im więcej mocy przez siebie przepuścisz, tym więcej jej uzyskamy. Widzę, że na razie niepotrzebny będzie nawet ból. Wystarczy strach.

Czas luster

Mitria narzuciła szybkie tempo podróży. Jechali już całe trzy dni, zostawiając za sobą lasy i sioła. Faras tańczył na ścieżkach i duktach, jakby powstrzymując niecierpliwość, by wyrwać się naprzód i zostawić towarzyszy z tyłu. Verena i Justin kupili konie w Tir Taingiri, przy czym szybko okazało się, że pośpiech przy tego typu zakupach jest niewskazany. Wierzchowce, choć na oko zadbane, okazały się podstarzałymi i zmęczonymi pocztowymi chabetami, które, odsprzedane za bezcen właścicielowi gospody, czekały na przypadkowego nabywcę.

– No i się doczekały – westchnął Justin, gdy przyszło mu zakładać koniowi dość już zleżałą uprzęż. Zwierzę łypało na niego okiem ze spokojem i godnością prawdziwego weterana dróg. Mitria, która wcześniej w pośpiechu kupiła bardzo niewygodne siodło, nie zdołała znaleźć niczego lepszego. Podłożyła tylko z dwóch stron dodatkowy kawał derki, dla wygody tak swojej, jak i konia. Faras podejrzliwie strzygł uszami, ale bez kaprysów pozwolił dociągnąć sobie popręgi.

Podróżowali w ten sposób, bardzo mało się odzywając. Jechali nadmorskim traktem, prowadzącym przez rzadkie, karłowate sosnowe lasy. Mitria milczała, blada i zawzięta, Verena skupiała się na bolących częściach ciała, Justin zrzędził trochę i próbował zagadywać czarodziejki, ale spotykał się z tak marnym odzewem, że po pewnym czasie zrezygnował. Teraz siedzieli przy dogasającym już ognisku, świadomi, że następnego dnia przekroczą bramy Castelburga. Mitria, jak co wieczór, wyruszyła na krótką przechadzkę, nie tłumacząc się nikomu.

– Jak myślisz – zapytał Justin – co tak naprawdę spotkało Jardala?

– Nie mam pojęcia. – Verena westchnęła, wruszyła ramionami i szczerzej otuliła się szalem. – Lepiej zapytaj właściwą osobę. Albo w ogóle nie pytaj.

Rudowłosy cień wynurzył się z lasu i bezszelestnie usiadł z nimi przy ognisku.

– Nie wiem dokładnie, co stało się z Jardalem – odezwała się Mitria. – Napisał do mnie niejaki Dionisius Grandini. List był bardzo ogólnikowy. Jardal został pojmany i uwięziony w casteburskim Zamku Cieni. Nic więcej.

– Ale z jakiego powodu? – dopytywał się Justin.

Mitria westchnęła.

– Opowiem wam później. Proszę. Musimy się spieszyć. Do tej pory spiski i walki o władzę w Castelburgu niespecjalnie mnie obchodziły. Ale wygląda na to, że przyszedł czas, by jednak przełamać swoją niechęć do angażowania się. Czy macie coś przeciwko temu, by podróżować nocą?

– Godzinę temu byłam zmęczona – westchnęła Verena. – Ale chyba mi przeszło.

– Mnie też. – Justin wzruszył ramionami. – Możemy ruszać.

*

Przed bramę przybyli tuż przed świtem. Dość już wiekowa chabeta Justina parskąła, myliła krok i zatrzymywała się co chwila, żeby schylić łeb do kępy przydrożnej trawy. A nawet, jak ze zdumieniem zauważył czarodziej, ostu.

– Toż to osła ma za skórą, nasienie przekłete – stwierdził filozoficznie, po raz kolejny cugłami podrywając koński łeb do góry.

– Nie wymyślaj staruszce, Justin – odpowiedziała Verena, której gniada kobyłka miała się zdecydowanie lepiej. Choć nie tak dobrze jak Faras, który tańczył na ścieżce, niecierpliwie wybijając rytm kopytami. Mitria jechała skupiona, mocno ściągając mu wodze i powściągając zawczasu przedwczesną ochotę na galop. Powoli mijali podgrodzie, na którym rozpoczęła się już zwykła krzątania. W chłodnym, przymglonym powietrzu poranka pobekiwały owce, kwiczały świny i pokrzykiwali zaspani ludzie. Od czasu do czasu rozlegało się na przywołanie dnia pojedyncze, donośne pianie koguta.

Rudowłosa naciągnęła kaptur głęboko na oczy i szczelniej otuliła się płaszczem. Verena poszła za jej przykładem, tylko Justin pozostał z odkrytą głową, wdychając osobliwą mieszaninę zapachów.

– Tak, to miasto pachnie dość specyficznie. – Mitria skierowała konia w stronę bramy. – Jak się dobrze skupisz, wyczujesz wiatr od morza, ale tak naprawdę mamy tu do czynienia ze stanową monarchią wszystkich możliwych woni. Tutaj – wskazała głową podgrodzie – stan chłopski oferuje, co ma najlepszego, a pachnie to swojsko nawozem, owczym runem, gotowaną kapustą, ziemniakami pieczonymi w popiele i kwaśnym piwem. Dalej czekają nas zapachy miasta. Na targowisku pachnie dosłownie wszystkim, co tylko możecie sobie wyobrazić. Świeżym chlebem, warzywami, zamorskimi owocami, pieczonym mięsem, ciastem i winem. Wyprawioną skórą, kowalskim warsztatem, pachnidłami ze wszystkich stron świata, kadzidłem, piżmem, kwiatami. Dziwnymi zwierzakami przywleczonymi przez treserów nie wiadomo skąd. Jak pachnie port, nie możecie sobie wyobrazić.

– I nie będziemy próbować. – Justin obejrzał się wokół siebie. – Ale ta inna, trzecia część miasta, także na pewno ma swój zapach.

– O tak. – Mitria po raz kolejny ściągnęła mocno wodze konia, niemal zmuszając go do podniesienia łba. – Tam pachnie kamieniem. Marmurami i takim szaroburym, nazywanym *pietra serena*, który na deszczu ma naprawdę interesującą woń. Jest też lita skała, na której stoi Zamek Cieni. I zapach lochów,

na szczęście mi nieznany. Ale w całym mieście dają się szczególnie we znaki dwa zapachy, osobliwie tu lubiane. Złota i krwi.

Podjechali do bramy, w której o tej porze rozwarte było tylko małe okienko w bocznej furtce. Wewnątrz ścianę kordegardy podpierał kiwający się sennie, wsparty na włóchni strażnik. Mitria zeskoczyła z konia.

– Musimy poczekać, aż otworzą bramy – powiedział Justin.

– Nie musimy – mruknęła Mitria. – Otwierać! – krzyknęła rozkazującym tonem. Strażnik podskoczył w miejscu, poprawił hełm i poczłapał do furtki.

– Kto zacz? – zapytał.

– Nie twoja rzecz, łachudro – warknęła czarodziejka. Justin i Verena spojrzeli po sobie z obawą. – Zauszników naszego pana ty znać nie możesz, bo to progi nie na twoje nogi – ciągnęła rudowłosa tonem rozkazującym i bezczelnym. – Ani, po prawdzie, nie na głowę. A w ogóle czemu zwykły ciura stoi na warcie? Gdzie Gwardia Morgh?

– Gwardzistów nie ma teraz, pani... – Żołdak zachłysnął się pośpiesznym wyjaśnieniem.

– Więc prowadź do dowódcy. Albo nie, sama trafię. Otwórz wreszcie, ciamajdo!

Wartownik, automatycznie posłuszny rozkazowi, odsunął rygiel i furtka odemknęła się ze skrzypieniem. Trójka czarodziejów przekroczyła ją konno, po czym oddaliła się niespiesznie. Mitria zatrzymała się tylko na moment i wionęła strażnikowi w twarz mącącym pamięć czarem, po czym zrównała się z towarzyszami.

– Czy istnieją granice bezczelności? Bo zaczynam w to wątpić – mruknął do niej Justin.

Mitria odwróciła wzrok.

– Wybaczcie – powiedziała cicho. – To było głupie. Ale po prostu... nie potrafiłam zaczekać.

*

Grandini siedział ze zwieszoną głową, przebierając w powietrzu tłustymi, upierścienionymi palcami. Wlał już w siebie sporo wina. Przewrócony puchar leżał na stole, w lśniącej, czerwonej kałuży.

– Wszystko ciężka... franca wzięła – wybełkotał.

Spróbował zogniskować wzrok. Stały przed nim trzy postacie. Chyba trzy. W opończach z kapturami. Rozmywały się mocno. Ściany chwiały się jak pokład statku.

Karczmarz Arno zajrzał przez drzwi i szybko się wycofał. Trochę się wystraszył tych trojga, dwóch kobiet i mężczyzny. Mieli śmiałe spojrzenia,

maniery ludzi nawykłych do wydawania poleceń. Weszli obcesowo, nakazali wezwać chłopca stajennego do koni i prowadzić się do Grandiniego. Próbował protestować, ale przypomniał sobie, że szpieg na kogoś podobno czeka. Na jakąś kobietę. Jedną.

Zaprowadził ich więc. A teraz bał się gniewu agenta.

Ale agent się nie gniewał. Jego z trudem znajdującą cel dłoń postawiła puchar pionowo i nalała do niego wina, połowę rozlewając.

O coś pytali. Ona pytała. Ta niższa, rudowłosa. Jej słowa z trudem przedzierały się do jego świadomości.

Rudowłosa podeszła. Dzban wina poszybował w powietrze i rozbił się o ścianę. Pochyliła się. Poczuł jej dłonie na kołnierzu, paznokcie na gardle. Targnęła nim i rzuciła z powrotem na ławę. Przytrzymała za włosy.

– Gdzie...

– Dość – przerwał mężczyzna z orlim nosem. – To też jest głupie.

Puściła go. Grandini podniósł głowę. Rozwarł zapuchnięte powieki. Przyjrzał się.

– Wyście są... Mitria z Cantaleny. – Czknął. – Mear de Witten. Mam wam do powiedzenia, że... hik... wszystko czarci wzięli.

– Co się stało? – Mitria ciężko opadła na ławę. Tę samą, na której nie tak wiele dni wcześniej siedział Jardal. I ona. Sowa na jego ramieniu.

Grandini spróbował opowiedzieć. Poszło mu składniej, kiedy Justin wlał mu do ust jakąś miksturę z małej buteleczki i zaciśnięciem dłoni na szczęce zmusił do jej przełknięcia. Szpieg wzdrygnął się potężnie, ale spojrzenie mu się rozjaśniło.

– Naradę mieliśmy – powiedział. – Mistrz Jardal przybył, choć nieoczekiwanym dość sposobem. A gdy wyszedł, kazali mi za nim posłać kogoś. Rozumiecie. Nieufni. Psubraty chędożone, zapowietrzeni oligarchowie bez ziemi, pierdzistołki popaprane...

– Do rzeczy – przerwała zimno Mitria.

– Do rzeczy – zgodził się Grandini, kiwając głową jeszcze całkiem po pijacku. – Więc Virbio Allenmargh poszedł za nim. I zobaczył, jak go w zaułku naszli, w łeb zaprawili, zawinęli w siatkę jak szczupaka i do Zamku ponieśli. I ni zarazy nie wiem, z jakiej przyczyny. Ani kto go wydał.

Justin i Verena popatrzyli po sobie. Mitria z uporem wpatrywała się w szpiega.

– A dalej – ciągnął ten – to już pandemonium jakoweś było. Jak tylko chłopak z tą wieścią wrócił, jęli się panowie bracia przekrzykiwać wzajemnie i oskarżać o zdradę. I nie minęła chwila, a okazało się, że nijakiego ataku nie będzie, bo nikt do niego nie ruszy. Nikt nikomu nie ufa, a wszyscy drą się w głos, że oni tu jedyni sprawiedliwi. A Jastrząb w tej sytuacji splunął pod nogi, zabrał

się i poszedł. Z nim, jak mi doniesiono, kondotierzy spod miasta ulotnili się jak mgiełka o poranku. A panowie z Bractwa w ślad za nimi spieprzyli w podskokach. I tyle by było ze spisku. – Pochylił głowę i ciężko wsparł ją na dłoniach.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała Mitria głosem głuchym i obojętnym. Justin wzdrygnął się. Verena spojrzała na nią zaskoczona. – W najgłębszych czeluściach otchłani mam spisek, Księcia i Bractwo. Muszę wejść do Zamku Cieni. – Czarodziejka spojrzała na towarzyszy.

Bez słowa skinęli głowami.

*

Zainstalowali się w wieży magów. Do kompanii dołączyli Virbio i kompletnie załamany Grandini. Dyskutowali. Radzili. I niczego nie uradzili.

Mitria chodziła po komnatach jednostajnym, miarowym krokiem, co po kilku godzinach zaczynało działać wszystkim na nerwy. Ale rozmawiali. Snuli pomysły. Grandini doszedł nieco do siebie, pustoszył spiżarnię i osuszał piwniczkę.

– Nie ściągniemy z powrotem kondotierów – mówił, przeżuwając kawałek błękitnego sera i przegryzając winogronami. – Atak odpada.

– Czy nie można by wkraść się jakoś do Zamku Cieni? Od strony części służebnej? – zapytał po raz nie wiadomo już który Justin.

– Teoretycznie tak – westchnął szpieg. – Sęk w tym, że pani ochmistrzyni, którą miałem za niewiastę odważną, przestraszyła się widać, bo kompletnie zamilkła. Próbowałem jej wiadomość przemycić starym sposobem, zostawiając list pod obluzowaną cegłą, ale nie odebrała go. Mało tego, mojego posłańca, ulicznego chłopaka, podobno zwymyślała i pognęła precz. Obawiam się, że na mój widok mogłaby zacząć wrzeszczeć ze strachu. Tam jesteśmy spaleni, chyba że poszlibyśmy w przebraniu. A na takich, co szukają posady posługaczy i dziewczek kuchennych jakoś mi, waszmość państwo, nie wyglądacie.

– Poza tym ze służebnej części Zamku nie dostalibyśmy się łatwo na pokoje albo... do lochów. – Verena przełknęła ślinę. – A przebranie za kogoś z gminu na pewno nie ułatwiłoby poruszania się tam.

Szpieg skinął tylko głową i zapił wątpliwości potężnym łykiem blenvingardzkiego wina.

Mitria dalej chodziła po komnacie. Trzy kroki w jedną, trzy w drugą, obrót. Szelest wąskiej sukienki. Stukot obcasów, który nagle umilkł, gdy się zatrzymała.

– Więc nie ma innej możliwości – oznajmiła. – Skoro wszystkie inne metody dostania się do Zamku Cieni są niewykonalne, trzeba wybrać najprostsze wyjście. A raczej wejście. Frontowymi drzwiami.

Virbio, Justin i Verena popatrzyli na nią z minami sugerującymi, że postradała zmysły i przydałoby jej się trochę odpoczynku. Tylko otyły szpieg uśmiechnął się chytrze, pomimo wciąż rozemglonego wzroku.

– Potrzebny mi idealny kamuflaż – powiedziała Mitria. – Moje prawdziwe nazwisko.

Justin się rozpromienił.

– Oczywiście! Cantaleńska księżniczka podróżująca ze świtą. To jest tak dobre, że sam powinienem być na to wpaść.

– Albo tak szalone – mruknęła Verena.

– Gdy nie ma nadziei, pozostają tylko najbardziej szaleńcze plany – oznajmił sentencjonalnie czarodziej. – Czy wolno mi będzie zostać twoim dworzaniem, Mitrio?

– Nawet kuzynem, jeśli sobie życzysz.

– Panie Allenmargh?...

Virbio z namaszczeniem skinął głową i położył dłoń na rękojeści rapiera. Ten gest pełen młodzieńczej powagi wzbudził uśmiech Vereny.

– Tylko skąd weźmiemy orszak? Damy dworu... – zastanowiła się Mitria.

– O to się nie martwcie – uśmiechnął się szeroko Grandini.

*

Jakoż nie musieli się martwić. Grandini uznał, że problem dam dworu z powodzeniem rozwiązać może kilka bystrych portowych dziwek, domytych, odzianych w schludne szaty i skromnie milczących. One i Virbio oraz Justin Fern stanowiąc będą co prawda niewielką asystę, ale wszystkim, którzy co nieco wiedzieli o południowych dynastiach, wiadome było, że kuzynka cantaleńskiej księżniczki jest raczej uboga.

Następne dni upłynęły im na pośpiesznych przygotowaniach. Verena dyskretnie wymknęła się z wieży, po czym zatrzymała w gospodzie, najęła sługi i zaczęła z ich pomocą robić zakupy na targowisku, wybierając głównie stroje i klejnoty, przy czym udało jej się znacznie uszczuplić finansowe zasoby Mitrii i całkowicie zużyć zawartość sakiewki, którą z ciężkim westchnieniem przeznaczył na ten cel Grandini. Podobnie wyposażony Justin udał się na podgrodzie, gdzie od Turguta Vosoka nabył kilka dobrych koni, w tym osławionego ogiera Żywego, którego zmienny temperament, pomimo przestróg Mitrii, zafascynował maga tak, że kupił go za dość nawet wygórowaną cenę. Szpieg sarknął co prawda na tę rozrzutność za nie swoje pieniądze, ale umilkł, gdy Justin bez mrugnięcia powieką wystawił mu list zastawny na jeden z największych enneadzkich banków.

Grandiniemu po niezbyt długich poszukiwaniach udało się w końcu znaleźć trzy młode dziwki, których świeża cera i buzie aniołków nie budziły natychmiastowych skojarzeń z zawodem ladacznicy. Mitria rwała z głowy rude włosy, przez cały dzień ucząc je chodzenia bez nadmiernego kołysania biodrami, dworskich dygów, które nie wyglądałyby jak karnawałowe przedrzeźnianie, siadania, wstawania i trzymania łokci przy sobie. Na szczęście jako czwarta dołączyła do nich młoda mieszczańeczka, której Grandini od dawna, z sobie tylko wiadomych przyczyn, obiecywał udział w jakiejś awanturze. Chwacko wzięła się za dziwki i zdołała w krótkim czasie wtłuc im do powabnych główek trochę dobrych manier. Mitria wyuczyła je jeszcze kilku dwornych zwrotów, a za poprawę gminnej wymowy wzięła się z ochotą owa mieszczańeczka, pulchna blondynka zwana Fionką. Czarodziejki uznały jednak, że lepiej, by pannie w ogóle się nie odzywały.

Po trzech dniach, które dla Mitrii były wiecznością, awantura była gotowa. Justin we wspaniałym aksamitnym kubraku, z dużym brylantowym pierścieniem na palcu i taką samą zapinką przy berecie wyglądał rzeczywiście na hrabiego Egerberta z Cantaleny, za którego się podawał. Virbio, również dobrze urodzony, nie miał żadnych problemów z wejściem w rolę. Zapamiętał tylko mały wąsik, właściwie puszek nad górną wargą, i przezwiał się rycerzem Estemirem z Vessen. Za to dziwkom, w strojnych, acz prostych sukniach wyglądającym świeżo i ślicznie, trzeba było w kółko przypominać, że nazywają się Helena, Fiorella i Evyanna, a nie Gaga, Mimi i Mała Bess. Fionka występowała pod własnym imieniem.

Verena miała pozostać na miejscu. Mitria uznała, że w orszaku znalazłoby się zbyt wielu magów. Poza tym potrzebny był ktoś, kto w razie kłopotów czekałby na zewnątrz.

Grandini zatarł ręce, oglądając skrzącą od aksamitów i klejnotów świtę. Pośrodku komnaty w wieży stała Mitria, ubrana w ciemnozieloną aksamitną suknię z dekoltem w karo i rozszerzanymi, rozciętymi do łokci rękawami. Jako jedyną ozdobę nosiła mały naszyjnik z pojedynczą perłą. Dziewczęta za to nie żałowały sobie klejnotów. Verena włożyła dużo pracy w to, żeby nie obwiesiły się nimi od stóp do głów.

– Świecicie w oczy niby słońeczko o poranku. Sam dałbym się nabrać – uśmiechnął się szpieg, zacierając pulchne dłonie.

Mitria spojrzała w lustro i z miną pełną wątpliwości przeczesła dłonią rude loki.

– Zostaw – powiedziała Verena. – Zepsujesz.
Czarodziejka westchnęła.

– Musimy pójść do Zamku o zmierzchu – powiedziała. – Jeśli w ciągu dnia znajdę się zbyt blisko Jardala, może się zdarzyć, że zamienię się w... w sowę.

Virbio wzdrygnął się, przypominając sobie migotanie, ucisk w głowie, ból nierozumiejących oczu, to wszystko, co poczuł, kiedy patrzył na przemianę.

– To rzeczywiście mogłoby stworzyć pewne problemy – powiedział beztrąsko Justin.

– Wszystko tu stwarza problemy – stwierdziła ponuro Mitria. – No cóż, zatem do dzieła.

Późnym popołudniem wydostali się za miejskie mury na zorganizowanym przez Grandiniego, krytym płótnem wozie. Konie czekały uwiązane w pobliskim zagajniku, tuż na skraju zajmującego podgrodzie targowiska. Tam dosiedli wierzchowców i zaczęli na odpowiednią chwilę, żeby niedługo przed wieczornym zamykaniem bram pojawić się na gościńcu. Przepychali się pod prąd utworzony przez wiejskie wozy, pędzone z targu zwierzęta, hałaśliwych parobków i przekupniów. Justin wysforował się naprzód i torował drogę niczym prawdziwy hrabia, płazując pospólstwo po grzbietach. W końcu dotarli do bramy, którą dowódca w białym płaszczu już prawie rozkazał zamykać.

– Przejście dla księżniczki – huknął Justin. Virbio, jak przystało na młodego rycerza, flankował panie z tyłu.

– Jakiej znów księżniczki? – zdumiał się strażnik.

– Moja pani, jaśnie wielmożna Mear Melinda Erian de Witten, księżniczka Cantaleny, będąc w podróży, której celu nie wolno mi wyjawiać, wiąże mnie bowiem ślub milczenia, pragnie złożyć wizytę dostojnemu Księżciu tego grodu – zagrzmiął Justin.

Strażnik otworzył usta i zastygł tak, w pozie dość malowniczej. Arystokratyczne odwiedziny u tajemniczego i bezwzględnego władcy Castelburga zdaje się nie były w modzie. Wtedy z kordegardy przy bramie wynurzył się barczysty, ponury gwardzista w pełnej zbroi i białym płaszczu. Zlustrował przybyłych spojrzeniem. Strażnik miejski wykorzystał to, aby dyskretnie wycofać się parę kroków. Rycerz w białym płaszczu zbliżył się i podniósł rękę w stalowej rękawicy. Pomiędzy końskimi łbami przeszło coś na kształt delikatnego tchnienia wiatru.

– Czuć od was magię, panie – powiedział zgrzytliwie. Głos miał pozbawiony emocji, przypominający pusty dźwięk hełmu w zderzeniu z mieczem.

– Och, zapewne – odparł wesoło Justin. – To teraz bardzo modne na cantaleńskim dworze, a pewnie i na wielu innych. Amulety, eliksiry i tym podobne... Sam przed wyjazdem prosiłem znajomego maga, żeby rzucił zaklęcie przeciw zranieniom na nogi naszych koni. Chyba wszyscy też piliśmy uzdrawiającą miksturę, bo sroga u nas panuje grypa. Mam też amulety przeciwko

wielu przypadłościom, o, na przykład ten – zdjął z szyi złoty łańcuch i rzucił go w ręce gwardzisty – chroni przed złymi przygodami w boju. Zechciej przyjąć go w podarunku, szlachetny rycerzu.

Mitria skurczyła się w sobie. Justin wkroczył na grząski grunt. Fanatycy są nieprzekupni. A ten osobnik miał zimne, puste oczy fanatyka. Jednak gwardzista w białym płaszczu schował łańcuch, skinął głową i gestem nakazał ich przepuścić. Najwyraźniej dziwaczna przemowa Justina odniosła skutek i uznano ich za grupkę nieszkodliwych cudaków. Pewną ciekawość jednak chyba wzbudzili, bo gwardzista kazał podać sobie konia i osobiście poprowadził ich krętymi ulicami Castelburga.

Virbio jako ostatni przestąpił bramę i jako jedyny obejrzał się za siebie, na majaczący w zachodzącym słońcu zarys lasu i gościńca. Po raz kolejny poczuł w nozdrzach charakterystyczny portowy castelburski smród. Westchnął. Wkraczanie do tego miasta stawało się najwyraźniej coraz bardziej emocjonujące.

Mijali kolejne uliczki, podążając nieśpiesznie za ponuro wyglądającym przewodnikiem w białym płaszczu. Miasto, nad którym powoli zapadał zmierzch, zaczynało przypominać królestwo cieni, podążających chyłkiem w sobie tylko wiadomych kierunkach. Ominęli łukiem dzielnicę domów z jasnego kamienia i zaczęli wspinać się tarasowymi uliczkami w stronę majaczącej w pewnym oddaleniu, zabarwionej łuną zachodzącego słońca bryły Zamku Cieni. Minęli dzielnicę bogatych kupców, z zatrzaśniętymi już o tej porze okiennicami schludnie odmalowanych kamienic, dumnie prezentujących pękate mury w kolorze ochry, błękitu, terakotowej czerwieni. Z ich parapetów zwieszały się girlandy doniczkowych kwiatów. Na parterze złotnicy zwijali swoje wystawy, pokrzykując na sługi i rzucając wokół niespokojne spojrzenia w obawie przed złodziejami, którzy mogliby porwać któryś z klejnotów, troskliwie zawijanych w aksamitną materię. Bogaci kupcy korzenni wychodzili przed domy, pilnując dostaw towarów. Od wnoszonych przez bramy małych, płóciennych woreczków z przyprawami niosły się ostre, odurzające zapachy cynamonu, kardamonu, gałki muszkatołowej, imbiru. Dalej dzielnica mieszkalna powoli i niemal niepostrzeżenie przechodziła w targową. Zwijano płócienne stragany, na których zdunowie wystawiali gliniane naczynia, płatnerze broń, garbarze skóry, tkacze i folusznicy płótna, a kupcy z dalekich stron sery, owoce, wino, słodkie ciastka i inne dobra.

Nie zagłębiając się dalej w targowisko, skręcili ku bardziej eleganckiej części miasta, była jednak ona wyludniona i ponura jak grobowiec. Arystokratyczne pałace z łukowatymi portykami i rzeźbionymi wykuszami okien stały w większości puste i zamknięte na głucho. W niektórych urządzono składy

towarów lub nawet stajnie czy łaźnie, do innych wprowadzili się chyłkiem mieszczańscy lokatorzy. Pojedyncze popadały powoli w ruinę. Tynk odpadał ze ścian, mech obrastał spoiny w ceglach, kamiennym gargulcom odpadały różne części ciała. Nieliczne zamieszkałe pałace były od strony ulicy szczelnie pozamykane. Okiennice zatrzaśnięto, przed wrotami zablokowanymi sztabami z żelaza stali milczący, wyprostowani wartownicy – bardziej jednak dla odstraszenia żadnego rabunku motłochu aniżeli dla obrony przed książęcą gwardią. Tej nikt nie zamierzał się opierać.

Mitria, jak przystało na podróżującą wśród pospólstwa księżniczkę, skryła głowę pod szerokim kapturem, a twarz zasłoniła półprzejrzystym, gęstym woalem. Drogę torował jej Justin, jadący tuż za prowadzącym ich gwardzistą, przed którym tłum rozstępował się w milczeniu. Virbio skulił się w siodle, gdy mijali wystawną kamienicę, zajmowaną przez bank Fortinarich, a po drugiej stronie pękatą sień winiarni Pod Przewróconym Dzbanem, skąd skrycie obserwował ich Grandini. Zaraz potem zamajaczyła mu w oddali przysadzista, ponura sylwetka wieży magów.

Zbliżali się, mury potężniały, rosły w oczach. Wysoki, najeżony krenelażami gmach rzucał na miasto ponury cień. Zamek przebudził się w ich umysłach, zasnuł je mrokiem. Myślom Mitrii narzucała się opowieść o mieście widm, jak natrętne, monotonne skojarzenie. Cichy szmer poruszanych wiatrem na bruku zeschniętych liści, zdążające przed siebie w półmroku, obojętne cienie. *Jesteśmy na szurzej ulicy, gdzie umarli pogubili swoje kości...*¹ – zadźwięczał jej w głowie wers z poematu, czytanego kiedyś w otchłannych głębinach Biblioteki. Justin wzdrygnął się, bo wśród przechodzących dostrzegł nagle zakapturzoną postać, w której niewidocznej twarzy mignęły tylko świecące dziwnym blaskiem oczy. Przez moment pomyślał, że to Verena, a potem nagle objął go chłód, owijając stopy i pełnząc powoli w stronę serca. To Tamta. Dawno zapomniana i nigdy niezapomniana. Przegnana zjawa.

Okrążyli warowne wzgórze, omijając służebną część Zamku i kierując się prosto do głównej bramy. Ich ponury przewodnik milczał przez cały czas. Gdy stanęli u wrót, ogrom zamkowych wież z szarego kamienia rzucił na nich długi, wieczorny cień. Gwardzista w białym płaszczu załomotał ciężką kołatką, cicho wymienił jakieś hasła z wartownikami i złożone, zdobione w heraldyczne lwy i lilie wierzeje otworzyły się ze skrzypieniem. Kopyta koni zastukały na pustym dziedzińcu, ozdobionym wysoką fontanną, z której nie płynęła woda. Justin zatrzymał się strzemię w strzemię z Mitrią. Virbio ze świstem wciągnął powietrze, próbując uspokoić szybko bijący puls. Mieszczaneczka Fionka i trzy odziane w aksamity dziwki skuliły się w siodłach jak nastroszone kury na grzędzie.

Czekali, podczas gdy ich przewodnik zniknął w małym bocznym wejściu. Minuty dłużyły się, liczone pośpieszonymi uderzeniami serca. W małych okienkach wejściowej baszty widać było oddalone sylwetki gotowych do strzału kuszników. Dopiero po dłuższej chwili z bramy Zamku wyszedł ku nim kolejny oficer Gwardii Morgh, w białym płaszczu i czarnym hełmie, z którego szpar wyglądały podobnie jak u towarzysza puste oczy.

– Za mną – rozkazał sucho.

Virbio rzucił się, by przytrzymać strzemię Mitrii, a potem wszystkim po kolei „damom”. Czarodziejka podała ramię Justinowi i wszyscy razem przekroczyli wrota Zamku, podążając za przewodnikiem.

Drzwi zamknęły się za nim ze skrzypieniem i głuchym szcękaniem zapadającej sztaby.

*

Człowiek odziany w czerń wziął głęboki oddech i zastukał do drzwi. Trzykrotnie, raz za razem. Dźwięk poniósł się głuchym echem po korytarzu. Na czole pukającego, wokół cienkiej srebrnej opaski, zalśniły maleńkie kropelki potu. Obliznął nerwowo uwiedłe wargi. Po chwili drzwi uchyliły się z delikatnym skrzypieniem. Pchnął je i wszedł do środka.

Kryształowa Sala zawsze przyprawiała go o zawrót głowy. Ledwie przekroczył próg, znalazł się w potężnym labiryncie luster. Jego stopy, ubrane w czarne, skórzane buty, odbijały się w zwierciadlanej podłodze, jakby wisiały w powietrzu. Wokół piętrzyły się miniaturowe wieże, mury, miasta i baszty o zawitych powierzchniach, z których każda po wielokroć odbijała każdy pojawiający się obraz, wchłaniała go, rozdrabniała, odwracała, spiętrzała w szeregu równoległych odbić i oddawała w formie przedziwnie zwielokrotnionej, powiększonej lub pomniejszonej karykatury. Ilekroć człowiek w czerni musiał przekroczyć te drzwi, stawał twarzą w twarz z groteskową prawdą o własnej postaci, często bardzo trudną do zniesienia. Ale cóż, musiał.

Nie wiedział też do końca, ilu jest Władców, którzy w ten sposób wzywają go przed swoje oblicze. Czasem towarzyszył im w oficjalnych spotkaniach w Zamku Cieni i wtedy ukazywali się zwykle jako milczący pan w złotej zbroi i wysoka, chuda, szczelnie zakryta welonem kobieta. Albo tylko on sam. Nigdy ona. Natomiast tu, w Kryształowej Sali, oboje prawdopodobnie nosili jednakowe szare szaty. Niknęli i powracali w tysiącach odbić. Mówili do niego, ale głos też się odbijał. Nie sposób było ich znaleźć. Widział setki nakładających się na siebie, spowitych w mroczne płaszcze sylwetek, słyszał szemrzące głosy, które należały nie wiedzieć do kogo. Drżał, dzwonił zębami i spływał lodowatym potem. Ilekroć wchodził do Kryształowej Sali, dłoń ślizgała mu się na klamce. Tu nie

było wart. Nie były potrzebne. Pojawiały się za to odbicia wielu korytarzy i komnat, tak jakby Zwierciadła ukradły wewnętrzną duszę całego Zamku, sprytnie ją sprzeniewierzyły, przeinaczyły i oddały na usługi Władcom. Człowiek w czerni miał pewność co do jednego – Księżę nie był pojedynczą osobą. Był znakiem, cieniem, symbolem rozkładającym się na wiele postaci. Gdziekolwiek się pojawiał, niósł ze sobą złowrogi cień koniecznego okrucieństwa. Nie był z natury okrutnikiem, nie pastwił się bez powodu. Nie grabił bogactw poddanych i nie bałamucił ich żon i córek. Za to każdy, najmniejszy nawet przejaw nieposłuszeństwa karał natychmiast i straszliwie. Jego rozkazy były zaś czasem jasne i ostre jak sztylet, czasem zaś – tu czarno ubrany człowiek wzdrygał się ze zgrozą – przeraźliwie nieprecyzyjne.

Tym razem również Władcy nie mieli dla niego nic konkretnego. Stał na zwierciadlanej posadzce i czuł się, jakby wisiał w powietrzu.

– Witaj... taj... taj... aj... aj...

Głos, który go dobiegł, dźwięczał głucho, jakby odbijany wielokrotnie o ściany nieskończonej studni. Zamiast powitania człowiek przyklęknął na jedno kolano, a jego czarny płaszcz rozpląnął się na powierzchni zwierciadła płynnym, falistym ruchem. Jakby nurkował gdzieś w głąb.

– Bądź czujny... ujny... ujny... – powiedziały głosy.

Przytaknął skinieniem głowy, choć nie rozumiał, co do niego mówią. W ustach mu zaschło. Za każdym razem, kiedy tu przebywał, wolał gesty od konieczności odezwania się. Nie dlatego, że jego własny głos dźwięczałby równie przeraźliwie. Wręcz przeciwnie. Wydobywał się z jego ust stłumiony, skrzypiący niczym u zachrypniętej papugi. Przerazało go to i przekonywało, że nie ma władzy nad tym miejscem ani nie powinien próbować jej zdobyć. A marzył o niej potajemnie, dniem i nocą. Pragnienie posiadania jej opanowało jego umysł, stopniowo wypalając go i nie pozostawiając miejsca na nic innego. Trawiony skrywaną obsesją, pożywał tajemnic Władców, jednocześnie nie mając odwagi podjąć choćby próby ich przeniknięcia. Wieczorami, kiedy już wykonał swoje obowiązki, wracał do skromnie, wręcz ascetycznie urządzonej komnaty w odludnej części Zamku i oddawał się z pasją pisaniu traktatu o zasadach rządzenia. Nic innego dla niego nie istniało.

Teraz klęczał, zgięty w pokornym ukłonie, i nie rozumiał polecenia. Czujność była jego stałym obowiązkiem i jednocześnie jednym z przejawów tajonego nałogu. Oceniał ludzi, zgłębiał ich motywacje i zastanawiał się, jakie mechanizmy nimi rządzą. Za jakie sznureczki należałoby pociągnąć, żeby ktoś wykonał rozkaz, poddał się jego woli, a w przyszłości nie odpłacił zdradą. Wiedział, kto z otaczających go dworzan ma problem z hazardem, kto zagląda do kieliszka, a kogo wodzą na pasku kobiety. Znał chciwość i zawiść. Umiał

sterować ludźmi, ale był wiecznie sam. Bano się go i unikano jak złego omenu. A był przecież jedynym, nie licząc oficerów Gwardii Morgh, człowiekiem, z którym rozmawiali Władcy.

– Bądź czujny i bacznie obserwuj ludzi, którzy za chwilę tu przybędą... będą... będą... – zabrzmiał rozkaz, tym razem sformułowany mniej więcej wyraźnie. – Mają wejść i wyjść... yjść... yjść... Pozwolimy im wejść... yjść... yjść...

To nie jest najlepsze rozwiązanie, pomyślał. Nie powinni tu wchodzić, a jeśli już, nie powinno się pozwalać im odejść. Ale może Władcy mają inne plany.

*

Verena Haage bawiła się pierścieniem, przesuując go przez wszystkie palce po kolei. Potem wzięła do ręki widelec i zaczęła kreślić nim kółka na stole. Za chwilę odrzuciła go po to, żeby z kolei nawijać na palce czarne loki.

– Uspokój się – rzucił Grandini – bo i tak im nie pomożesz.

Siedzieli razem w zacisznej, konspiracyjnej sali winiarni Pod Przewróconym Dzbaniem. Karczmarz Arno przyniósł dzban wina i tacę z wędzonym łososiem oraz innymi przysmakami, po czym ulotnił się dyplomatycznie, w przelocie zerkając na piękną Verenę łakomie i z ciekawością.

– Ty też straciłeś apetyt – odpowiedziała oskarżycielsko czarodziejka.

– Mam kaca – odparł z godnością szpieg.

– Akurat.

Grandini, jakby dla zaprzeczenia posądzeniu o brak możliwości przerobowych, nałożył sobie na talerz potężną porcję sałatki z krabów. Verena dziobała widelcem niczemu niewinnego łososia, którego jakoś nie ubywało.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– To znaczy co? – zaperzyła się.

– Jesteś tu. Czekasz.

Odpowiedziało mu wzruszenie pięknych ramion, połączone z przesypywaniem się po plecach kaskady lśniących, czarnych loków.

– Nie wiem. Jest kilka powodów. Może nie ma żadnego.

– A te powody to?...

– Nie twoja sprawa.

– Oczywiście.

Łososia nadal nie ubywało, choć przybyło mu sporo wydłubanych widelcem dziur.

– Nie udało się, prawda? – zapytała Verena. – Zdobyć Zamku Cieni, przejąć władzy. Bractwo w rozsypce i...

– Nie twoja sprawa.

– Oczywiście.

– Pij, czarownico. Jedyne, co możemy dziś zrobić, to porządnie się upić.

– Pewnie masz rację. Bezużyteczny szpiegu.

Grandini rozlał wino do pucharków i wprawnym okiem ocenił poziom płynu w pękatym dzbanie. Verena wzięła solidny łyk i zakrztusiła się, ale szybko odzyskała oddech.

– Myślisz o nim, prawda? – zapytał. – O pięknym, arystokratycznym czarodzieju mówiącym z tarrenckim akcentem. Czekasz, aż wróci.

– Daruj sobie – stwierdziła zgryźliwie czarodziejka. – I dolej mi wina – dodała, opróżniając do końca pucharek. Grandini skwapliwie spełnił jej prośbę, nie zapominając również o sobie.

– Współczuję wam, magom – stwierdził. – Jesteście skazani na hipokryzję. Wybitni, posiadający niezwykle zdolności, dostęp do mocy i nadzwyczajne wykształcenie, a tak naprawdę produkowani przez Emain Avallach jako kukiełki do naprawiania świata. Macie łątać i leczyć, ale nie wolno wam w sposób istotny czegoś zmienić ani czerpać siły z tego, że się kogoś kocha i jest kochanym, więc... albo dajecie popis hipokryzji, albo usychacie sobie jako te bratki w doniczce. Niepodlewane.

Verena znów zaczęła zsuwać z palca pierścioneł.

– Dużo wiesz o czarodziejach – zauważyła zgryźliwie. – Ale masz rację – podjęła. – Z małym wyjątkiem. Nie jesteśmy produktami ani kukiełkami. Przypominamy raczej koty, które ktoś spróbował spędzić w stado. Rezultaty łatwo przewidzieć. Prychanie, parskanie, sypanie iskier i drapanie pazurami. Przy czym coraz większa liczba magów przestaje się tak naprawdę przejmować literą Przysięgi, przynajmniej jeśli chodzi o miłość. Znacznie gorzej jest z tą jej częścią, która mówi o niepopychaniu naprzód Koła Dziejów.

Grandini uśmiechnął się szeroko i wrednie.

– Założymy się? – zapytał, dotykając lekko kaftana na piersi, a właściwie wyrzuczenia w kształcie koperty.

– Och, nie o tym mówię – zachnęła się czarodziejka. – Nie wiem, co tam masz, ale zapewne wiele anegdotek, których autentyczność można by bez większych problemów potwierdzić. Nieważne. To oczywiste, że tak naprawdę większość magów rezydujących na dworach przeróżnych władców miesza się do polityki. Jeśli nie wszyscy. Kłopot w tym, że jeśli ktoś przesadzi, może go za to dosięgnąć przykładowa, surowa kara ze strony Kapituły.

– Czyżby Jardala i Mitrię za ich związek dosięgnęła miła i łagodna kara?

– Na wszystkich bogów, tak. Uwierz mi, szpiegu, że tak.

Zapatrzyła się w widoczny zza małego okienka skrawek zamglonego nieba.

– Pij, czarownico. – Grandini wcisnął w piękne, drżące dłonie kolejny pełny puchar.

– Poza tym – Verena podjęła wątek, gdy już opróżniła naczynie i nieco chwiejnym gestem odstawiła je na stół – to nie jest tak, że nie wolno nam tworzyć. U podstaw Przysięgi leży dziwaczna doktryna, że czarodzieje powinni być tak naprawdę twórcami pozbawionymi jakichkolwiek obciążeń. Nie byliśmy powołani tylko do naprawiania i łatania. Zgodnie z zasadą istnienia Kręgu powinniśmy stać się odkrywcami, którzy będą zdobywać nową wiedzę i mądrze się nią dzielić, opanowywać żywioły, tworzyć wynalazki. I takie tam. Właśnie stąd wziął się zakaz uczestniczenia w bieżącej polityce. Żeby tych wspaniałych osiągnąć nie oddawać na usługi drobnych królików, którzy będą chcieli przy ich pomocy zamieniać swoje państewka w imperia.

Grandini skinął głową i chyba w końcu dojrzał do rzetelnego zajęcia się sałatką z krabów.

– Jestem w stanie to zrozumieć – powiedział. – Tyle że to też rodzaj popychania naprzód, jak wy to mówicie, Koła Dziejów. Ale w większej skali.

– Och, Koło Dziejów to tylko metafora. – Verena odrzuciła z ramienia piękny lok. – Wieloznaczna, jak wszystkie.

– No dobrze, ale co w takim razie z zakazem miłości?

Czarodziejka tym razem przejęła inicjatywę w dolewaniu wina.

– Akt fizycznej miłości połączony z psychiczną więzią między dwojgiem czarodziejów jest naprawdę niebezpieczny – powiedziała, wychylając spory łyk.

– Skutkuje pewną intensyfikacją mocy, która może pójść w nieprzewidzianym kierunku. Słyszałeś o Wędrowcach Światów?

– Słyszałem. Że nie istnieją.

Verena oparła podbródek na dłoni i zatrzepotała rękami.

– To źle słyszałeś – powiedziała zalotnie.

– No więc co słyszałem źle? – zapytał Grandini, odsuwając od siebie talerz z resztką sałatki i zaplatając ręce na otyłym brzuchu.

– Opowieść o istnieniu Wędrowców jest prawdziwa, tyle że nikt nie zna tak do końca ich natury. Przypuszcza się, że to jakieś byty z Międzyświata albo innej rzeczywistości, której prawa są nieco odmienne od naszych. W każdym razie oni nie zamieszkują na stałe żadnej czasoprzestrzeni, ale dość swobodnie je zmieniają, zachowując przy tym dość wyraźnie wspomnienia minionych bytów. W kwestii ich prawdziwej natury zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że to *mercurios*, posłańcy, którzy scalają rzeczywistość, inni, że wręcz przeciwnie – drapieżne i szkodliwe twory chaosu. Jeszcze inni, że to właściwie to samo. A jeszcze inni od tych innych, że to po prostu zmityzowane upostaciowanie ludzkiego pragnienia nieśmiertelności i jednocześnie lęku przed nią.

– No tak... A co się dzieje, kiedy się takiego złapie?

– Podziwiam cię, Grandini. Jak zawsze praktyczny. – Czarodziejka roześmiała się perliście. – To, rzecz jasna, zależy od tego, kto złapie. Dawniej niektórzy fanatyczni magowie traktowali Wędrowców jako obiekt ponurych eksperymentów. Inni, jak wieść gminna niesie, sami ponoć takowymi byli. – Zmrużyła łobuzersko oko. – A w obecnych czasach, jeśli schwyta się Wędrowca, Kapituła stawia takiego w Kręgu i radzi uprzejmię, żeby sobie poszedł. To znaczy niszczy jego ziemską powłokę.

– Aha – skomentował. Przez plecy przebiegł mu dreszcz. – Ale odeszliśmy od tematu. Miałaś mówić o zakazie miłości.

Karczmarz Arno zajrzał do nich, sprawdzając, czy czegoś nie potrzebują. Zdziwił się na widok nie do końca opróżnionej tacy z przysmakami, po czym przyniósł drugi pękaty dzban wina. Zlustrował zaróżowione policzki i rozluźnione sznurówki wokół falującego dekoltu Vereny, po czym profesjonalnie zniknął.

– Właśnie dlatego zaczęłam mówić o Wędrowcach – podjęła czarodziejka. – Teoretycznie tylko oni potrafią tworzyć przejścia między światami i korzystać z nich. W praktyce jednak zdarzają się magiczne wypadki... które otwierają takie przejścia również dla nas, magów. Według legendy jeden z międzyświatowych tuneli otwierał się w grocie Argh, tyle że nikt nie wie, gdzie to jest. Ale podobno stworzyć je może również silne magiczno-emocjonalne wyładowanie, które towarzyszy spełnionej miłości pomiędzy czarodziejem a czarodziejką. Jeśli naprawdę się kochają.

– Ale skoro jesteście odkrywcami – szpieg uśmiechnął się nieco obleśnie – to chyba powinno być dla was jak najbardziej wskazane robienie takich... odkryć.

– Nie rozumiesz – odpowiedziała zimno Verena. – Nad wyzwoloną wtedy mocą nie sposób zapanować. Jeśli otworzysz tunel między światami, to najczęściej albo cię wessie, albo dla odmiany przyniesie jakiegoś gościa. Co byś powiedział na pożeracza czasu albo jakieś inne monstrum z wielowymiarowej przestrzeni? Słyszałeś o zagładzie wyspy Vaino? Zanim chaos udało się pokonać, zginęło kilkudziesięciu czarodziejów.

– To było kilkaset lat temu.

– I całe szczęście. – Verena podniosła pucharek i wypić resztę wina jednym długim łykiem. Przekorny i zalotny nastrój jakoś ją opuścił, ustępując znów miejsca poprzedniej ponurości.

– Więc Jardal i Mitria... – W umyśle Grandiniego konkluzja nagle przebiła się przez opary alkoholu.

– ...cholernie ryzykują – dokończyła czarodziejka. – Ale wiesz co? I tak im zazdroścę.

– Na razie nie mieliśmy tu wielowymiarowych monstrów – zastanowił się szpieg. – Castelburg, niestety, jeszcze stoi.

– Intensyfikacja mocy bywa czasem nieznaczna. – Verena wzruszyła pięknymi ramionami. – A niektórzy potrafią też całkiem nieźle nad nią panować.

Zapalona świeca zaskwierczała, odbijając zwielokrotniony płomyk w rubinowym płynie. Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Granatowy prostokąt okna pokazywał zapadający mrok.

– Pij, czarownico.

– Piję, szpiegu. I nie jestem kukielką.

– Nie ty.

– Nikt z nas. Jesteśmy piekielnie zdolni, samolubni, pyszni, wyjątkowo wredni i bardzo samotni. Jesteśmy bandą ponurych szaleńców.

– Emain Avallach to realna siła.

– Emain to zbieranina spędzonych razem indywidualistów, którzy wymijają się, pokazując zęby i pazury.

– Ale twoje pazury są piękne. Zęby też.

– Zamknij się, Grandini.

*

Człowiek w czarnym płaszczu skulił się w ukłonie na lustrzanej posadzce. Miał wrażenie, że zwierciadlane miasta i geometryczne figury wokół niego układają się teraz inaczej, niż kiedy był tu ostatnim razem. Nad jego głową zwieszała się fasetowa powierzchnia, ironicznie wykoślawiając i niemożliwie zwielokrotniając jego twarz. Otaczały go gęsto odbite postacie Władców, spowitych w szarość.

– Oni proszą o audiencję – wychrypiął. – Księżniczka Cantaleny podróżująca z małym orszakiem.

Czuł się tak, jakby wygłosił jakiś gigantyczny absurd. Do Zamku Cieni nie przyjeżdżał nikt, kto nie musiał. Rzadkie sprawy polityczne i handlowe, wymagające osobistego udziału Księcia, odbywały się w pośpiechu i milczeniu. Posłańcy kłaniali się nisko przed złotą zbroją i wycofywali tak szybko, że nie zdążył za nimi opaść kurz z dziedzińca, a już byli daleko od bramy.

– Mear Melinda Erian de Witten. Wiemy... emy... emy...

Poczuł gęsią skórę na karku. Sprawiali wrażenie, że wiedzą wszystko. Trudno powiedzieć, do czego potrzebne były im jego meldunki. Siłą rzeczy skazany na absolutną szczerłość, cierpiał niewypowiedziane katusze.

– Przyjmiemy ją... ją... ją... ją... Przygotuj salę... alę... alę... alę...

Skinał głowę. Nie próbował zrozumieć Władców, ale wykonywał wszystkie ich instrukcje. Sam czuł bezbrzeżną pogardę dla Mear de Witten i nie rozumiał,

co skłania Księcia do spotkania się z nią. Nocami w ramach swoich studiów dotyczących mechanizmów władzy zgłębiał herbarze. Znał na pamięć członków wszystkich panujących i arystokratycznych rodów, od cesarza Tarrentu po władców księstwa wielkości sporego pastwiska, takiego jak ta cała Cantalena. Wiedział, że następczynią tronu jest tam księżniczka Julia de Witten, a Mear to jedynie córka pozbawionego prawa dziedziczenia bankruta, która w rodowodach właściwie niknie. Z niewiadomych przyczyn nie dało się nawet wydać jej za mąż. Może była brzydka. Powinna mieć teraz około trzydziestu lat. A w tej chwili ta zubożała królewska krewniczka podróżuje sobie po świecie z małą grupką dam i rycerzy. Zapewne ekscentryczka. W każdym arystokratycznym rodzie zdarzają się takie. Człowiek w czarnym płaszczu westchnął. Na miejscu Mear użyłby intrygi, sztyletu lub trucizny i w tej chwili już siedziałby na tronie. Gardził nią za to, że tego nie zrobiła.

*

Stał pośrodku sali przyjęć, odziany w czerń, z wąską srebrną opaską wokół czoła, chudy, starszawy i niepokojąco uśmiechnięty.

– Witajcie – powiedział. Różowy język oblizwał wąskie, uwiedłe wargi. – Witaj, łaskawa pani Mear Melindo Erian de Witten, księżniczko Cantaleny.

Mitria zastygła w dworskim dygu, a po jej bokach pochylili się w ukłonach Justin i Virbio. Z tyłu dziwki i mieszczańeczka wykonały swoje przysiady, omal nie wpadając na siebie nawzajem i depcząc sobie skraje długich sukni.

– Witaj, panie... Pragnę złożyć moje uszanowanie dostojnemu kuzynowi, księciu Castelburga. – Zerknęła na nieruchomą złotą zbroję, siedzącą na rzeźbionym, umieszczonym na podwyższeniu krześle. Komnata była nieduża, miała malowany wymyślnymi freskami sufit, ale oprócz kobierców na ścianach i kilku drewnianych ław nie było w niej właściwie żadnych mebli. Dwóch gwardzistów przy wejściu stanowiło całą straż. Obok Księcia, w swojej blasze sprawiającego wrażenie pustej kukły, i stojącej przy nim nieruchomo kobiecej postaci, okrytej od stóp do głów i szczelnie zakwefionej, nie było nikogo. Stał przed nią tylko ten zasuszony, siwiejący człowiek, oblizujący usta wężowym językiem.

– Nie wiem, czy Książę zechce z tobą rozmawiać – zasyczał z uśmiechem. – Uzurpatorko. Nie jesteś księżniczką, tylko zwyrodniałym owocem umierającej gałęzi.

– A tyś kto? – Mitria wyprostowała się i przewierciła go wzrokiem. – Niezbyt dobre maniery panują na dworze w Castelburgu, skoro byle sługus ośmiela się znieważać gości.

Wężowy roześmiał się szyderczo.

– Machiavello Niccoli, do usług – rzekł z ukłonem. – Prawa ręka jedyne go prawowitego władcy tego grodu.

– Nie przybyłam tu dyskutować na temat prawa – odparowała czarodziejka. Justin syknął. Księżę objął tron bezprawnie, ignorując wszelkie castelburskie ustawy. Aluzja najwyraźniej została zrozumiana, bo uśmiezek znikł z wąskich warg Machiavella.

– Dziwię się – ciągnęła czarodziejka – że aż na tutejszy dwór dotarły wieści o mojej rzekomej uzurpacji. Nie wiem jednak, czego miałyby ona dotyczyć, bo nie roszczę sobie pretensji do niczego, czego nie posiadam. Tytuł książęcy jest moją własnością.

Machiavello skłonił się.

– Ale tylko tytuł. – Znów uśmiechnął się nieładnie. – Witamy zatem po raz kolejny na naszym dworze, żebraczko z Cantaleny, i ośmielamy się zapytać, po co przybyłaś.

– Po to, po co przychodzi każda żebraczka. Po kęs stawy i dach nad głową. Jestem w podróży. Lecz przyjechałam tu również, wyznam szczerze, z ciekawości. Doszła mnie sława Księcia i chciałam z bliska mu się przypatrzeć. Porozmawiać. Z nim, a nie z jego oślizgłym sługusem.

– Twoja ciekawość zostanie zaspokojona tylko połowicznie – odpowiedział Machiavello. – Zobaczyłaś Księcia i to powinno ci wystarczyć. Spotkał cię, pani, wielki zaszczyt. Docień to.

*

Człowiek w czarnym płaszczu był zdziwiony. Nie miał przed sobą brzydkiej trzydziestoletniej ekscentryczki w dziwacznej sukni, otoczonej papuzio kolorową świtą, lecz na oko kobietę dwudziestokilkuletnią, ubraną skromnie i ze smakiem, aczkolwiek wytwornie i niebiednie. Przedstawił się jej swoim prawdziwym nazwiskiem. Zadrzał przy tym, jak zawsze, z tajonej żądy, by kiedyś stało się ono znane na cały świat. Machiavello Niccoli, Władca. Imperator. A może po prostu Księżę. Spłoszył się trochę, nie mając pewności, czy jego Władcy, tkwiący mu za plecami w swoich oficjalnych postaciach, nie potrafią przypadkiem czytać w myślach. Jednak nawet jeśli potrafili, do tej pory nie dali po sobie poznać, że w jakikolwiek sposób dostrzegają jego ambitne plany. Prawdopodobnie zwyczajnie je ignorowali, co go jeszcze bardziej bolało. Nikt, łącznie z drżącymi przed nim dworzanami, tak naprawdę nie traktował go poważnie.

A teraz Machiavello Niccoli patrzył na księżniczkę de Witten i bezkarnie ją obrażał. Śliska przyjemność, jaką z tego czerpał, rozpływała się w oparach niezrozumienia. Nic się nie zgadzało. Miała być starsza, a Władcy powinni byli ją zignorować. To osoba bez znaczenia. A jednak w jakiś dziwny, niezrozumiały

dla niego sposób to znaczenie posiadała. Wyodrębniała się z tła, jak precyzyjnie narysowana figura. Wyszukane maniery dobrze do niej pasowały, wszystkie ruchy wykonywała naturalnie, a jednocześnie robiły wrażenie nałożonych na nią z zewnątrz, jak gesty aktorki na scenie. Mówiła jasno i odważnie, dźwięcznym, pewnym głosem, odrzucając na plecy rude włosy splecione w spiralne loki. Spojrzenie szarozłotych oczu degradowało go do rozmiarów psa. Nawet jej świta była jakaś nienormalna: beztrąsko uśmiechający się rycerz, nieśmiały młodzik i kilka spłoszonych dworak, przykucających co chwila w dziwacznych ukłonach. Coś tu było mocno nie tak, ale nie potrafił powiedzieć co. Rzuciła mu w oczy swoim autentycznym książęcym tytułem, a na to nie miał argumentów. Nerwowo oblizał usta.

Najgorsze było to, że nie wiedział, jak właściwie powinien się zachowywać. Instrukcje Władców okazały się jak zwykle nieprecyzyjne i dawały się w skrócie zamknąć w stwierdzeniu: „dowiedz się, po co przybyła”. Zostawili mu swobodę w wyborze metod, dlatego pozwolił sobie na szyderczy ton, ale nie był wcale pewny ich aprobaty. Czuł się zakleszczony pomiędzy ich milczącą kontrolą a próbą sił z tą na pozór młodą i niedoświadczoną kobietą, która zaczęła mu się wydawać niebezpieczna.

*

– Doceniam zaszczyt, który mnie spotkał – odpowiedziała Mear de Witten bezbarwnym głosem, jakby brała wypowiedź w cudzysłów, cytując tylko poprzednie słowa Machiavella Niccoli. – Widzę, że na dworach nadmorskich księstw grzeczność znacznie staniała. Cóż, osiągnęłam swój cel. Zobaczyłam Księcia i przekazałam mu moje pozdrowienie. Czy mogę zatem się oddalić? – Wykonała ukłon, którego subtelna teatralność lekko ocierała się o drwinę.

Machiavello Niccoli milczał. Znów zaschło mu w gardle. Nie osiągnął swojego celu – dowiedział się niewiele, a właściwie nic. Ale nie wiedział też, jak dalej pokierować rozmową, żeby zadowolić Władców. Nie znajdował powodu, żeby nie pozwolić jej odejść, a raczej pretekstu, pod którym mógłby ją zatrzymać i wypytać.

*

Mitria zmierzyła długim spojrzeniem siedzącą na tronie kukłę w złotej zbroi i stojącą obok postać, owiniętą w czarny jedwab niby posępna mumia. Zignorowała natomiast zupełnie węzowego, choć był on jedynym, który w ogóle sprawiał tu wrażenie żywego człowieka. Ukłoniła się, aby wyjść. Nagle zamarła.

Coś się stało. Rozległ się dźwięk-nie-dźwięk, wibrujący na krawędzi świadomości, brzęczący w uszach. Wzrok zapulsował, rozchwiał się, komnata

zatraciła kontur i kształt. Coś ciężkiego ścisnęło skronie. Myśli rozproszyły się, uciekły, pamięć osunęła się na krawędź snu, kiedy tuż po przebudzeniu trzeba przypomnieć sobie coś ważnego, co właśnie w tej chwili umyka, więc próbuje się jeszcze raz, i nie można, i jeszcze... Nogi były jak z ołowiu, zrobienie kroku wydawało się niepodobieństwem. Ktoś jęknął. Któraś z dziewcząt pisnęła cienko. Machiavello Niccoli stał z otwartymi ustami, łapiąc powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

– Stój... ój... ój... – zabębnił pod sklepieniem niezwykle, głuchy Głos, dochodzący jakby zewsząd, a nie ze swego źródła, którym powinien być złoty hełm. – Zostań z nami, Mitrio z Cantaleny... eny... eny...

Walka o oddech. O jasność myśli.

Cokolwiek, o co można by zaczepić umysł.

Rozcięty od łokcia rękaw sukienki. Jest prawdziwy. Głęboka zieleń. Miękkość materiału. Śliskość na opuszkach palców. Ta chwila to teraz, a nad „teraz” można mieć władzę.

Rzeczywistość wróciła, szum odpłynął.

– Czy... mogę odmówić? – zapytała czarodziejka, biorąc głęboki oddech. – Po prostu odwróć się, wyjdę stąd, a ty zapomnisz o moim istnieniu. Nie wiem, kim jesteś, ale nie wszystkim znane jest imię Mitria. Nie przedstawiłam się nim tutaj. Postaram się zapomnieć, że go użyłeś.

Atak mentalnej mgły znów ścisnął skroń.

– Nie gardź mną!... mną!... mną!... – W Głosie gniew, zawód, żądza i żal. – Ze mną możesz władać światem... atem... atem...

– Castelburg nie jest światem.

Głos odbity od ścian powrócił zwielokrotniony niczym szum wiatru przed burzą.

– Niech więc będzie jak chcesz... esz... esz... esz... esz... – Dźwięk przybrał formę pełnego złości wrzasku. – Odejdź stąd, jeśli potrafisz... trafisz... trafisz... trafisz... trafisz... Wszystko spowięła gęsta, mleczna mgła, w której ściany pokoju i zdobiony freskami sufit zginęły w jednej chwili. Czarodziejka i jej towarzysze spróbowali chwycić się za ręce.

*

Przyszła do niego po kilku godzinach, odmierzanych rytmem spadających kropel. Przez cały ten czas woda skapująca z sufitu zaspokajała jego pragnienie. I nie było nic innego. Zmęczenie. Odrobinę tłumiony magią ból w kręgosłupie i nadgarstkach. Zapadanie w ciężkie, nieprzytomne drzemki w pozycji pionowej. Czekanie. Głód, który w pewnym momencie przyszedł, a potem minął, pozostawiając tylko mdlącą pustkę w żołądku.

Ogień na palenisku wygasł. Narzędzia tortur przestały świecić rozżarzoną blaskiem. Zimno wilgotnych, kamiennych ścian zaczęło pełzać po skórze, wywołując lekkie dreszcze.

Była sama, tym razem bez osiłka i tego drugiego, bez żadnych innych sług. Osadziła pochodnię w żelaznym uchwycie. Okrążyła go bez słowa, od czasu do czasu dotykając stawów i ścięgien przeraźliwie lodowatą dłonią w stalowej rękawicy.

– Trzeba cię nakarmić – powiedziała śpiewnie, a głos odbił się od kamiennych sklepień. – Jak zdechniesz z głodu, do niczego nam się nie przydasz.

Szarpnęła jakąś dźwignię i metalowe obręcze rozpięły się, a Jardal bezwładnie spadł na posadzkę. Ból żeber i kręgosłupa na moment go zamroczył. Biały duch przysunął sobie jakiś katowski pieniek i usiadł na przeciwko niego, popychając w jego stronę dzban mocno rozwodnionego wina i talerz z kawałkiem zeschniętego chleba i sera.

– Właściwie to nie muszę się tobą przejmować. I tak jesteś skazany. Ten loch będzie ostatnim, na co się w życiu napatrzysz. – Kobieta podniosła dłonie w stalowych rękawicach i zsunęła z głowy hełm, który nadawał to dudniące brzmienie jej głosowi. Długie jasne włosy rozsypały się po białym płaszczu. Miała lazururowe oczy, które patrzyły uważnie, trochę ciekawie i bardzo zimno.

Jardal przymknął opuchnięte powieki. Niemal na ślepo sięgnął po jedzenie i zaczął je powoli przeżuwać. Z ulgą wypił od razu połowę dzbanka wodnistego trunku. Pomimo wilgoci w lochu czuł się odwodniony i słaby jak małe dziecko.

– Chyba szybko nam się wyczerpie twoja moc, magu – zadzwiała. – Wbrew zapowiedziom twój pobyt tutaj może okazać się niezbyt długi.

Jardal odchylił głowę w tył i spróbował się skoncentrować. Spod oka obserwował swoją przeciwniczkę. Była młoda i gibka, a jednocześnie dość wysoka. Zbroja i suty biały płaszcz poszerzały jej sylwetkę i skutecznie maskowały kobiece kształty. Teraz siedziała swobodnie, z głową lekko przechyloną w bok i przypatrywała mu się kpiąco. Bujająca w powietrzu stopa zdradzała brak koncentracji. Nie miała się czego bać. Zebrał wszystkie siły w jedną wiąznię mentalnej energii i nagle, brutalnie wdarł się do jej umysłu.

Wrzasnęła i zerwała się na równe nogi. Ale trwało to tylko chwilę. Mocny podmuch przebiegł w drugą stronę, od niej do niego. Rzucił Jardalem o dolną część narzędzia tortur.

– Nie próbuj – warknęła, nachylając się nad nim. Lazururowe oczy płonęły wściekłością.

– Nazywasz się... Nazywasz się Lorentina Baldini – wykrztusił, odzyskując oddech.

Na jej twarzy mignął przestrich. Obejrzała się za siebie, na drzwi lochu.

– Nazywam się Sirocco – powiedziała cicho i dobitnie – i jestem kapitanem Gwardii Morgh. Radzę ci dobrze to sobie zapamiętać.

– Sirocco. Pustynny wiatr. Niezły pseudonim jak na wojowniczkę. Ale jesteś też czarodziejką, panno Lorentino. Muszę dodać, że niedouczoną czarodziejką.

– Zamknij się – wysyczała, nachylając się nad nim głębiej. – Jeszcze raz spróbujesz grzebać mi w mózgu, a poczujesz sztylet między żebrami i do cholery z twoją magiczną mocą. Jeszcze raz zaczniesz zgadywać, kim jestem, a przyspieszę twoje tortury i rozpocznę je od wyrwania języka.

– Zdaje się, że ty chcesz grzebać mi w mózgu bez żadnego skrępowania. Ale nie umiałabyś niczego w nim odnaleźć. Mój atak odparłaś nieźle, ale czysto instynktownie. Tak naprawdę nie wiesz, co należy robić. Możesz tylko potraktować mnie jako źródło surowca, czyli mocy, czego zresztą nie ukrywałaś. Komu właściwie służysz, Sirocco? Bo obawiam się, że on cię nie wynagrodzi. Nie da ci wiedzy i władzy, której tak bardzo pragniesz.

– Zobaczmy. Ty w każdym razie nie możesz mi dać niczego – powiedziała. Podwyższony ton głosu zdradzał zdenerwowanie. – Jesteś nędznym szczurem, mistrzu Jardalu. Ale tkwi w tobie coś zadziwiającego. Zwyczajny, praworządny mag nie zna i nie stosuje takich sztuczek jak wdzieranie się do czyjogoś umysłu. Nie grasz czysto i obiecuję ci, że dowiem się, dlaczego. I to już wkrótce. Najadłeś się? Nie zmierzasz jeszcze chwilowo do bram krainy umarłych? No, to możemy zaczynać.

Włożyła z powrotem hełm, starannie ukrywając pod nim włosy. Potem pociągnęła za ukryty sznur i za drzwiami rozdzwonił się miedziany dzwonek. Po chwili do lochu wkroczyli znani już Jardalowi katowscy pacholki, a za nimi dwóch gwardzistów w białych płaszczach. Przypięli go z powrotem do stołu i naciągnęli obręcz. Jardal jęknął, po chwili wrzasnął. To, co działo się potem, utonęło w mdlącej mgle bólu, krzyku, koszmaru i przywidzeń. Widział białe zjawy, pochylające się nad nim z szyderczymi uśmiechami i wymyślnymi narzędziami w rękach. Widział, jak powoli tną jego wnętrzności, smarują sobie twarze krwią, oblizują ją i wyprawiają sobie krwiożerczą ucztę z jego ciała. A potem wszystko wirowało, zamierało i zaczynało się jeszcze raz. Rozpadał się i zapadał gdzieś w przepaść bez dna, kawałek po kawałku. Krzyczał ze świadomością, że nie wydobywa z siebie głosu. A u jego wezgłowia siedziała jasnowłosa Lorentina Baldini i monotonicznie szeptała cały czas jedno zaklęcie, którego nauczyli ją Władcy. Wyciągała z niego magiczną moc i przelewała ją w leżący na jej kolanach kamień, który stopniowo rozgrzewał się i zaczął promieniować nikłym blaskiem.

– Starczy – powiedziała w pewnej chwili. – Ma dość. Bo nam tu zemrze, a dużo jeszcze można z niego wyciągnąć. Nie możemy sobie pozwolić na takie marnotrawstwo.

*

Mgła wypełniała wszystko, wciskała się do oczu, uszu i ust, uczyniła ich na moment ślepy i głuchy. Po chwili rozproszyła się na tyle, że mogli rozróżnić zarys własnych sylwetek, ale nadal nie widzieli pomieszczenia wokół siebie. Szum w uszach zastąpiła cisza, dziwna, wibrująca dalekim echem, tak jakby znajdowali się w ogromnej hali, a nie w niewielkiej komnacie. Któraś z dziewcząt chlipała, pociągając nosem. Dźwięk rozpływał się i zamierał stopniowo, aż do granicy słyszalności.

Mgła była wokół nich, ale już nie w umyśle. Ten pracował jasno. Mitria zacisnęła palce na dłoni Virbia.

– Podobno wiesz, gdzie jest zejście do lochów – szepnęła.

– Wiem, gdzie powinno być. – Przełknął ślinę. – Ale nawet nie wiem, gdzie jesteście teraz. I obawiam się, że kierunki przestały tu obowiązywać...

Grandini przekazał mu całą wiedzę zaczerpniętą od Giulii Baldini: trzeba dojść do głównej kondygnacji schodów, minąć westybul, zejść na sam dół, a potem zagłębić się w długi, ponury korytarz, na którego końcu znajduje się żelazna krata zamknięta masywną sztabą i kolejne schody. A także najprawdopodobniej wartownik. Dalej już zaczyna się labirynt lochów. Część z nich w lepszych czasach Rada Pięćdziesięciu zamieniła na składy wina, stąd też rzędy beczek i specyficzny zapach wydobywający się ze sklepionych łukowato piwnic. Ale nikt nie wie, jak wyglądają lochy ciągnące się dalej. Poza tym ten znany i swojski plan dotyczył Zamku z czasów Rady Pięćdziesięciu, sprzed osiedlenia się w nim Księcia. Teraz normalne układy przestrzeni mogły się okazać przerażająco nieaktualne.

Mitria wyszeptała krótką inkantację i otoczył ich przejrzysty dzwon. Wewnątrz niego mgła się rozplynęła, na zewnątrz nadal była gęsta jak mleko.

– Uspokójcie się – mruknęła czarodziejka, patrząc na trzesące się jak osika dziwki. – Teraz przynamniej nas nie słyszają. Pójdę poszukać Jardala. Nie musicie mi towarzyszyć, ale wtedy Justin powinien odprowadzić was do wyjścia.

– Idę z tobą – zaprotestował Fern.

– Ja również – rzekł krótko Virbio.

– I ja – dodała entuzjastycznie Fionka. – Nie po to pana Grandiniego nudziłam przez pół roku, żeby mi wymajstował jakąś piękną awanturę, by teraz zmykać w podskokach niby podskubana gęś. – Spojrzała pogardliwie na dziwki,

które chcąc nie chcąc pokiwały głowami. Tylko Mała Bess patrzyła przed siebie obojętnym wzrokiem zagonionego zwierzęcia.

– Więc ruszamy – podsumowała Mitria. – Uwaga, zdejmuję osłonę. Nie odzywajcie się, jeśli nie musicie.

Mgła na nowo otoczyła ich szczelnie, a po chwili przerzedziła się nieco. Nie zobaczyli już sufitu zdobionego freskami, lecz wysoki, lodowy czy też lustrzany pułap, przypominający sklepienie jaskini. Ścian w ogóle nie było widać. Zaczęli ostrożnie, na ślepo podążać przed siebie, nie wiedząc, w jakim kierunku powinni zmierzać.

– Westybul powinien być gdzieś tam... – wyszeptał Virbio.

– Tu nie ma kierunków – odpowiedziała głucho Mitria. – Ta przestrzeń się zagina.

Zwyczajem górskich wędrowców położyli sobie dłonie na ramionach i posuwali się przed siebie w milczeniu. Słyszeli tylko swoje oddechy i szelest kroków na posadzce. Każdy z nich widział jedynie zarys pleców osoby idącej przed nim. Czarodziejka prowadziła pochód, Justin chciał go zamknąć, ale nieszczęśliwym trafem utknął gdzieś w środku, a nie chciał ani na chwilę rozłączać łańcucha. Idący za Mitrią Virbio zobaczył nagle, jak z jej dłoni spływa na ziemię maleńki punkcik światła.

– Trzeba przynajmniej zaznaczyć naszą trasę – powiedziała cicho.

– Słusznie – mruknął Justin.

Mniej więcej co dziesięć kroków czarodziejka upuszczała na posadzkę maleńkiego magicznego świetlika. Brnęli przed siebie, aż w końcu zaczęło ich ogarniać coraz większe zmęczenie.

– Ta sala nie może być aż taka duża – wysapała Fionka, której pulchne kształty wyjątkowo nie znosiły długich marszów.

– Bo nie jest – odpowiedział szeptem Justin. – Może się jednak okazać, że to w ogóle nie jest normalna przestrzeń, a tylko ktoś nieładnie się z nami bawi.

W tej samej chwili Virbio wydał z siebie stłumiony okrzyk. Pod ich stopami pokazał się mały, migoczący we mgle magiczny świetlik. Kręcili się w kółko.

Mała Bess puściła ramię Fionki, usiadła na podłodze, objęła głowę rękami i zaczęła się rytmicznie kołysać. Uwolniona w ten sposób mieszczańeczka zaprzestała trzymania się Justina i również klapnęła na posadzkę, choć nie dlatego, by oddawać się rozpaczom, ale by ulżyć obolałym nogom.

– To wszystko na nic. – Mitria zacisnęła zęby. – Popełniłam błąd, a najgorsze jest to, że wy za niego płacicie. To miejsce nie bez przyczyny nazywają Zamkiem Cieni. Ktoś wieki temu zostawił tu odbicie własnego skrzywionego umysłu. A teraz ktoś inny z tego korzysta. Prawa Zamku zawsze będą przeciwko nam. Trzeba rzucić im wyzwanie i...

– Zastanów się – powiedział zimno Justin. – Za kolejne błędy możemy zapłacić jeszcze wyższą cenę.

– Zamek nie przebacza – wyszeptał Virbio. Przypomniały mu się opowieści Giulii Baldini.

– Bzdury. Zamek nie jest osobą. Zaczekajcie, muszę się skupić. – Mitria przyłożyła ręce do skroni. – Tylko czemu jestem tak bardzo, tak niewyobrażalnie zmęczona...

Mgła wokół nich podniosła się i zgęstniała. Oddzielające się od niej pojedyncze pasma wpełzały pomiędzy nich jak żywe istoty. Justin zaczął nawoływać, by znowu chwycili się za ręce. Za późno. Nagle wszystko znikło i otoczyła ich ciemność. Ostatnie, co zostało im w uszach, to wysoki, świdrujący krzyk Fionki, brzmiący jak zwierzęcy wrzask kogoś poddanego niewyobrażalnej torturze. A potem zapadła cisza. Wzrok i słuch wypełniła miękka, biała, nieprzenikliwa wata.

*

– Stanie się – powiedziała Pierwsza Przędka.

– Nic się nie Stanie, co już się nie Stało – odpowiedziała Druga. – W jakimś innym momencie Przestrzeni i miejscu Czasu.

– Ich drogi rozejdą się o włos – dodała Trzecia. – O ten włos, po którym jak po moście sprawiedliwi pokonują wezbrane wody rzeki Śmierci.

– A jednocześnie nic nie mogło być Inaczej – powiedziała Pierwsza. – O włos się spotkali. O jeden wszechświat, który On akurat przemierzył. O jedną decyzję, którą Ona podjęła.

– I rozstaną się teraz o jedno zmrużenie powiek – powiedziała Druga. – Jeden trzepot motyli skrzydeł.

– I teraz znów czeka na nich Koło Decyzji. Ogród o rozwidlających się ścieżkach, które trzeba przemierzać i nigdy, przenigdy nie powraca się w to samo miejsce – powiedziała Trzecia.

– Obserwujmy – powiedziała znów Pierwsza Przędka.

– Nic innego nie czynimy – odpowiedziała Druga.

– Wszak w każdej sprawie potrzebni są Zwolennik, Przeciwnik i Mediator – dodała Trzecia.

*

Ocknął się, czując zimno przenikające go do kości. Potworne wizje odeszły, pozostawiając jednak wyraźne i barwne wspomnienia dobijające się do ścianek czaszki. Umysł i ciało przejmowała sztywność, która powoli ustępowała miejsca powracającemu bólowi. Spróbował przywołać całą siłę woli i zacząć myśleć

jasno, ale efektem była także wzmożona aktywność sygnałów dobiegających z poszarpanego ciała. Impulsy bólu zebrały się w jeden rozbłysk jasnego światła w mózgu. Jęknął i stuknął głową w drewniany blat katowskiego stołu. Czucie powracało lawinowo. Zesztywniałe palce przesunęły się po chropowatej i śliskiej od zastygłej krwi powierzchni.

Zrozumiał, czemu jest mu tak zimno. Opuszczały go siły. Zakołatała się w nim świadomość, że oni wrócą. Skoro już zaczęli, będą chcieli dokończyć dzieła i wysać z niego tyle magicznej energii, ile się da. Zanim umrze. Jeśli zależy im na powolnej, dogłębnej eksploatacji, znów go nakarmią i dadzą trochę odpocząć. Ale może raczej im się spieszy. Wtedy przyjdą jak najszybciej i będą go torturować najdłużej i najokrutniej, jak się da.

Zrozumiał, że trzeba opuścić to ciało. Gdzieś w głębi czuł, jak powoli otwiera się Brama Światów, jak przebija spoza niej chłodne białe światło, jak łatwo, jednym gestem, mógłby teraz się uwolnić. Tak łatwo, jak zerwać kajdany uplecione z pajęczyny. Jednak jakiś zaplątany w świadomość głos mówił mu, że nie powinien, że coś go tu zatrzymuje. Próbował sobie przypomnieć, co to było i nie mógł. Umysł odmawiał posłuszeństwa i osuwał się w ciemność. Wewnątrz siebie powoli zaczął otwierać Bramę. Byle dostać się do Miejsca Między Światami, tam będzie można odpocząć i podjąć ostateczną decyzję. Ale tam – wypowiedział wewnętrzny głos – nie ma pamięci. Tam przenosi się tylko swoją najgłębszą istotę, by odzyskać ją z powrotem w innym świecie. Nie odchodzić stąd – coś szeptało. Słuch wyłowił gdzieś z oddali stukot butów na posadzce i skrzypnięcie drzwi. Uciekać, szybko. Międzyświat jest schronieniem.

*

Justin szedł przed siebie w czarnej mgłę, gęstej jak smoliste opary państwa umarłych. Nie czuł wokół nikogo. Pustka. Brnął przez nią, a nogi zapadały się niczym w piasek. Przeczuwał nad sobą zimne niebo bez gwiazd, a wokół lodowatą otchłań, ciągnącą się aż do Nilfheimu i dalej, w nieskończoność. Jeszcze chwila, a napotka ciemny nurt rzeki, po której nadpłynię statek zbudowany z paznokci zmarłych. Jeszcze jeden mroźny oddech, a z dna wynurzą się potężne, łuskowate sploty Nidhogga. Mimo to nie sposób było zawrócić. Szedł drogą bez kierunku, odmierzaną przez chwile bez czasu.

Nagle ciemność naprzeciwko rozdarło coś jak kolumna światła, pochłanianego zachłannie przez mrok. Smukła postać spowita w jasną oponczę z kapturem. Zbliżyła się do niego i podniosła pochyloną głowę wolnym, lunatycznym ruchem. Marmurowo blada twarz i nieruchome, matowe źrenice zapatrzone w zaświat. Usta o posągowym wykroju. Ale to była Ona. Tamta.

– Ty nie żyjesz – wyszeptał, a jego głos pochłonął mrok.

Nie odpowiedziała. Minęła go w milczeniu, jakby nie zauważyła wcale jego obecności, i poszła wolno przed siebie, kołysząc pięknymi biodrami lekko tanecznym ruchem. Odwrócił się i podążył za nią jak we śnie.

*

Skorpion miał dwa metry wzrostu, ale nie to było w nim najgorsze. Nawet nie drgający z tyłu ogon z lekko wysuniętym, ociekającym lepkim, zielonkawym jadem żądłem. Nawet nie poruszające się z chrzęstem przednie odnóża. Najgorsze było to, że miał ludzką twarz. Zupełnie pospolitą, okrągłą i kompletnie bezmyślną. Dolna warga zwisała nieco, a z kącika ust sączyła się strużka śliny. Wodniste, puste oczy patrzyły w przestrzeń.

Potwór zbliżył się, rytmicznie poruszając odnóżami i kołysząc jadowitym ogonem. Fionka wrzasnęła tak, że od jej krzyku powinny rozpaść się ściany. Rzuciła się w tył i zaczęła uciekać w panice, na ślepo wybierając kolejne odnogi zasnutych białawą mgłą korytarzy. Za sobą wciąż słyszała przyspieszony, postukujący na kamieniach chrzęst.

*

– Tatko, nie bijcie!

Nie wiedziała, jak znowu znalazła się tam. Drewniana, brudna podłoga, ubogie, poplamione, połamane sprzęty i krzywe okiennice, przez które wpadał wiatr. Wszechobecny zapach ryb. I wódki.

Zbliżał się do niej chwiejnym krokiem, straszny, w podartej koszuli i z przekrwionymi oczami. Z pasem owiniętym wokół lewej dłoni, podpierając ściany kikutem prawej. Zakrwawiony w jakiejś karczemnej bitce, zionący źle przetrawionym alkoholem. I rzygami.

– Bess...

– Tatku... już nie będę...

– Chodź no tu... kurewko...

– Nie bijcie... – Osunęła się pod ścianę, zakrywając głowę dłońmi. Słyszała, jak się zbliża. Za chwilę spadną na nią zadawane bezmyślnie i na ślepo razy skórzanego pasa, kopniaki twardych marynarskich butów.

– Gamratko, pewnieś znów na jakieś szmaty dukaty wydała, zamiast do domu przynieść... i pocziwie rodzicowi oddać... – Zalewał ją szmer pijackiego bełkotu. – Marsz mi zaraz znowu na ulicę... A co zarobisz, przynieść... Tylko najpierw pamiętkę dam, co byś baczyła, że z ojca rodzzonego kpić sobie nie wolno...

– Wszystko oddam... Nie bijcie – szepnęła bezradnie. Zdawało się, że izba jest wielka jak pałacowa hala, a on idzie do niej bez końca.

*

– Raz, dwa, raz, dwa... – Ostry, schrypnięty głos Mamy Gorgone ciął powietrze, a wraz z nim rozlegał się od czasu do czasu świst bata. Orkiestra złożona z kilku niejasnego przeznaczenia instrumentów rzępoliła w kącie rwaną, hipnotyczną melodię. W blasku pochodni ciała kilkunastu rozebranych prawie do naga dziewcząt lśniły potem, gdy wyginały się w rytm muzyki, wrzasków i postukiwań. Od czasu do czasu któraś z nich kulila się, kiedy poczuła na sobie ostre ugryzienie bicza, ale natychmiast prostowała ciało, próbując nie zgubić rytmu. Prymitywną scenę z desek osłaniała stara, ciężka od kurzu kurtyna. W powietrzu unosił się mdlący zapach opium, które wieczorem goście znowu będą wciągać z bulgoczących nargili.

– Dalej, ścierwa, nie obijać się! – Głos Mamy Gorgone przypominał darcie starego worka. – Za darmo was tu trzymać nie będę, darmozjady, księżniczki zafajdane. Gaga! Mimi! Ruszcie zadki, bo je wam tak naznaczę, że nie usiądziecie przez miesiąc!

Popatrzyły po sobie z bezbrzeżnym zdumieniem i lękiem.

– Zamek... – Usta Mimi poruszyły się niemal bezgłośnie. Gaga lekko skinęła głową. Bat świsnął, spadając na ich łydki i pośladki, zmuszając do włączenia się ponownie w hipnotyczny nurt tańca.

*

Mleczna mgła rozstępowała się powoli, ustępując przed srebrnym światłem. Virbio poczuł oplatające jego szyję ciepłe ramiona i usłyszał tuż przy uchu cichy, mrużący szept:

– Chodź ze mną...

Poczuł delikatność palców na swoich plecach i gęstą, słodko-gorzka woń perfum. Sandałowiec i róża. Włosy, które łaskotały go w podbródek, miały barwę złotej miedzi.

– Uciekniemy stąd we dwoje – mrużała wciąż, jak kot ocierając się o jego ramię i błędząc dłońmi po zakamarkach odzienia.

– A Jardal? A nasza misja? – jęknął, nie mając sił, by się opierać.

– Zapomnijmy o tym. – Przywarła do niego. Oparł się o coś plecami i w tym momencie poczuł, że to chropowaty pień drzewa. Pod stopami miał trawę, jasną w tym przypominającym księżycowe światło. Z oddali niósł się śpiew ptaków i zapach trzciny nad brzegiem jeziora. I jabłek.

– Mitrio, pani moja... nie godzi się – szepnął bezradnie.

*

Mgła rozwiała się. Mitria stała sama pośrodku ogromnej kryształowej sali wyłożonej odłamkami lusterek, zwieszającymi się z wysokiego sklepienia i ścian jak stalaktyty. Jej postać powielała się w tysiącach odbić, mniejszych lub większych, rozproszonych do niemożliwości. Sala wspierała się na gigantycznych kolumnach, podobnie jak ściany złożonych z fasetowych, zwierciadlanych odprysków.

Czarodziejka podniosła rękę. Tysiąc postaci wokół niej powtórzyły gest, ale nie wszystkie symetrycznie. Niektóre lustra powielały odbicia bądź odbicia tych odbić. Rozejrzała się wokół. Tysiące małych figurek wykonało obrót.

Nie było z nią nikogo. Wszyscy zniknęli, pochłonięci przez mgłę i ciemność. Wiedziała, że wołanie tylko odbije się od ścian i wróci echem zwielokrotnionym jak obraz. Nie można było walczyć przeciwko lustrom.

Ruszyła przed siebie, wprost na zwierciadlaną ścianę. Odbicia zaczęły przemieszczać się, wychodząc jej na spotkanie. Przyspieszyła kroku. Ta sala nie mogła być aż taka duża, choć na pozór wydawała się większa od świątyni w Megapolis. Mitria nie zwolniła, widząc przed sobą lustrzaną taflę. Tej przestrzeni nie ma, powtarzała w myślach. Nagle tuż przed nią zarysował się kontur drzwi, łamiąc zwierciadlane powierzchnie. Powstał tak, jakby w tej właśnie chwili ktoś kreślił obrys wejścia węglem na białej ścianie. Z pewnością nie istniał wcześniej. Drzwi miały normalny rozmiar, ale w tej ogromnej hali wydawały się absurdalnie małe. Zgrzytnęły i otworzyły się powoli. Za nimi była ciemność rozświetlona tylko bardzo nikłym, srebrnym blaskiem, podobnym do światła księżyca w nowiu. Na tym tle ukazała się ciemna sylwetka.

Wysoki mężczyzna odezwał się ciepłym, matowym głosem:

– Nie podoba ci się tu, Mitrio? Przejdź przez drzwi. Nie będzie może przytulniej, bo to kraina zmarłych, ale nie obawiaj się – tylko ta, którą masz w swojej głowie. Mamy dużo czasu, więc możemy porozmawiać.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Nie rozpoznajesz mnie? – Zaśmiał się cicho. Głęboko. Ciepło. Jego śmiech otoczył ją, otulił. – Poszukaj. Pomyśl.

– Znam cię?

– Poszukaj. W swojej głowie. W pałacu pamięci.

– Ale...

– W pierwszej, napierwotniejszej komnacie.

Cisza. Miękki, głęboki półmrok. Delikatny plusk płynącej rzeki. Zapach jabłek.

– Gilgamesz – powiedziała, przełykając ślinę w zaschniętym gardle.

Znów ciepły śmiech.

Księga. Pierwsza, którą przeczytała, kiedy dostała się do Biblioteki w Emain Avallach. Pieśń o Gilgameszu, najstarszym z bohaterów. Pieśń o czynach, o chwale, o sile, przyjaźni, strachu i słabości. O trwaniu i umieraniu. Dla niej pieśń wolności.

Za otwartymi drzwiami panowała ciepła, przyjazna ciemność. Mitria przeszła parę kroków, kierując się szmerem wody. Usiadła na brzegu rzeki. Pogładziła dłonią trawę, która wydawała się tak bardzo prawdziwa, choć w ogóle nie było jej widać. Objęła kolana ramionami.

– Gdzie są jabłonie? – zapytała.

– Niedaleko – odpowiedział ten sam głęboki głos. – Zaprowadzić cię?

– Nie, dziękuję. Chyba tu zostanę. Jestem zmęczona.

Siedzieli chwilę w ciszy, nasłuchując.

– Zaufałaś mi – odezwał się Gilgamesz. – Nie obawiasz się mnie. – Jego głos zawibrował nisko jak zapowiedź ryku lwa; była w nim aksamitna ciemność.

– Poruszała mnie opowieść o tobie – powiedziała cicho Mitria. – Najstarszy, najpierwotniejszy z bohaterów. Pełen brutalnej siły i gwałtownej słabości. Byłeś potężnym i niesprawiedliwym królem miasta, wielkim wojownikiem i najwierniejszym przyjacielem. Pokonywałeś potwory, mogłeś zostać kochankiem bogini, ale wolałeś ją obrazić. A potem jak małe dziecko przestraszyłeś się śmierci. Patrzyłeś na swojego niezującego przyjaciela Enkidu i nie mogłeś zrozumieć. I chyba właśnie za to niezrozumienie cię pokochałam. Jesteś we mnie prawdziwy, dlatego nie muszę się ciebie bać. Jesteś tą częścią mojego umysłu, która nie obróci się przeciwko mnie. To dobrze, że lustra odbiły we mnie właśnie ciebie.

– Jesteś tego pewna?

– Niczego nie jestem pewna. Ale na razie nie czuję, że przegrałam.

– Wszyscy przegrywamy. Prędzej czy później...

– Prędzej czy później – przytaknęła.

*

Justin Fern prawie biegł, a Ona nieuchronnie się oddalała. Walczył ze stopami, które grzęzły w miękkim piasku. Była jedyną smugą światła w ponurym kraju mroku. Jedyne światłem jego życia. Nie dbał o to, gdzie go zaprowadzi, byle mógł ostatni raz objąć ramionami szczupłą talię i wąskie biodra, pocałować marmurowe usta. Może potem utonąć w rzece śmierci, aż przyplynie po niego statek zbudowany z paznokci zmarłych. A Ona będzie na pokładzie, wśród milczących, kościstych marynarzy. Taka jak wtedy, gdy znalazł Ją w jej komnacie uduszoną i zaczął spijać resztki gasnącego oddechu. Wyglądała jak marmurowa

rzeźba. Gdy Ją uniósł smukłe, wypielęgnowane dłonie opadły i lekko stuknęły w posadzkę.

Wołał Ją teraz, ale nie odpowiadała ani nie oglądała się za siebie. Jej płaszcz świecił w ciemnościach i lekko falował, jakby poruszał nim niewidzialny wiatr. Justin poczuł klucie w piersi, ale zapał się i biegł dalej. Nie był przyzwyczajony do wysiłku. Po chwili nagły ból we wnętrzu spowodował, że zgiął się wpół. Zaczął rozumieć, że Jej nie dogoni. Poruszała się płynnie i lekko, podczas gdy on grzązał w niewidzialnym piasku i otaczającej ich nieprzeniknionej ciemności. Zacerpnął oddechu, zawołał Ją i kolejny raz poderwał się naprzód. Po dłuższej chwili morderczego marszu zachwiał się i upadł na kolana. Łomotało mu w skroniach. Przed oczami zaczęły latać kolorowe powidoki. Bezradnie osunął się niżej, wsparł dłonie na suchym, czarnym piasku krainy umarłych.

I wtedy nagle Ona się odwróciła. Zmierzyła go spojrzeniem pustych oczu, martwych jak najciemniejsze głębie słonych mórz. Kolumna światła zafalowała i zaczęła przemieszczać się w jego stronę. Po chwili ogarnęły go zimne ramiona, uspokajając rozbiegane tętno. Poczuł na wargach dotyk lodowatych, marmurowych ust.

*

Na lewo wznosiły się schody. Wąskie, kręcone, z małym okienkiem widocznym w głębokim wykuszu ceglanego muru. Na podeście pod nimi stała pełna, wypolerowana zbroja. Fionka rzuciła się w tamtą stronę, nierozumnie, bo dopiero w następnym ułamku sekundy uświadomiła sobie, że te schody muszą prowadzić na jakąś wieżę. Droga bez wyjścia. Obejrzała się szybko i przyspieszyła kroku. Skorpion posuwał się za nią spokojnym truchtem, postukując po kamiennej posadzce chitynowymi odnóżami. Rozglądał się sztywno, tak jakby nie był w stanie obrócić swojej łysej, ludzkiej głowy pod zbyt dużym kątem. Strużka śliny spływająca z jego ust zastygła obrzydliwie, jak u starego buldoga.

Fionka w biegu łapała oddech jak ryba, płacząc się w fałdach długiej sukni. Nagle potknęła się i usłyszała trzask dartej koronki. Noga na moment uwięzła w oderwanej falbanie, a przy wyciąganiu zaboląła mocno. Chyba skręciłam kostkę, pomyślała. Schody były coraz bliżej, ale i stukot z tyłu stawał się coraz głośniejszy. Dołączyło do niego miarowe klekotanie olbrzymich szczypiec.

Mieszczaneczka, kulejąc, wpadła na podest i rozejrzała się w panice. Czy *to* potrafi wchodzić po schodach? A jeśli potrafi, i to szybko? Szybciej niż ona? Spojrzała po raz kolejny w bezmyślną, pustą twarz idioty i nagle odezwała się w niej praktyczność i męstwo całych pokoleń kupieckich przodków. Podbiegła kuśtykając do stojącej zbroi, wyjęła z rąk teoretycznego wojaka miecz i włócznię,

oparła je o ścianę, a potem schowała się za tą wystawioną na pokaz kupą błyszczącej blachy. Wsparła się plecami o mur i spróbowała z całej siły rozkołysać zbroję, a potem pchnęła ją mocno wprost na zbliżającego się skorpiona.

– A masz, ty durna mordo – wrzasnęła. – Nie istniejesz, debilny robalu! Idźże sobie straszyć swoich władców tą niedorozwinięta buźką, piekielny karaczanie!

Skorpion zatrzymał się, oszołomiony. Zbroja walnęła z rozpędem w chitynowe ciało i rozsypała się z potwornym hukiem, a jej części poleciały na boki, odbijając się od ścian. Korytarzem poniósł się hałas, przypominający grzmoty przed burzą. Hełm odleciał, zatoczył klasyczny łuk i odbił się od ciała skorpiona, po czym z łoskotem potoczył się po posadzce. Potwór rozdziawił głupawe usta, z których wydobył się bezrozumny dźwięk, jakieś martwe eee... eee... eee... Jednocześnie kolec jadowy na końcu ogona zadrgał niebezpiecznie i zaczął poruszać się na boki, jakby czegoś poszukując.

Fionka, dysząc w bojowym impecie, porwała włócznię spod ściany i zaatakowała z wrzaskiem, jak dzika wojowniczką. Rzuciła przy tym wszystkie malownicze wyzwiska, jakie tylko mogła sobie przypomnieć. Nawet nie podejrzewała siebie o to, że tyle ich zna. Zaskoczony skorpion cofnął się, mrugając oczami. Zaczął obracać się powoli, kierując w jej stronę kolec jadowy.

– Niedoczekanie twoje, przerośnięta ostrygo – warknęła mieszczańeczka i z całej siły wbiła włócznię w podgardle stwora. Rozległo się krótkie rżenie. Fionka naparła całym ciałem. Ostrze przeszło na wylot i teraz groteskowo wystawało z drugiej strony szyi. Z rany pociekła brunatna, paskudnie cuchnąca ciecz. Potwór rozdziawił usta, a ślina w ich kącikach zabarwiła się krwawo. Nagle rozległ się syczący dźwięk i ciało skorpiona zadrgało silnie na końcu włóczni, potem rozmigotało się, a na koniec spowiło siwym dymem. Fionka krzyknęła i puściła drzewce. Na podłodze przed nią leżała teraz w kałuży burej krwi mała jaszczurka.

– Żebyś mi się, ścierwo, już nie podniosła. – Mieszczańeczka zachwiała się na skręconej nodze, a potem z całej siły rozdeptała gada obcasem.

*

Mała Bess czuła ból. Przestała się już bronić. Razy skórzanego pasa i kopniaki marynarskich butów spadały na nią gęsto, a ona tkwiła skulona pod ścianą, odruchowo, ale już bezwolnie osłaniając głowę dłońmi. Dusił ją własne łyzy, które nie śmiały spływać z oczu. Paskudny smród rzygowin i wódki. Brudne deski podłogi w kącie tańczyły przed oczami. Ojciec od czasu do czasu robił

przerwę, wyrzucał z siebie bełkotliwe przekleństwa, a potem znów zaczynał ją okładać.

Wpatrywała się w ścianę. W na w pół przegniłe, od dawna niebielone bale rybackiej chaty, położonej gdzieś między portem, morzem a miastem. Koncentrowała wzrok na zadartym, wgłębionym pośrodku sęku, szerniałym mocniej od reszty. Nagle drewno przed jej oczami zafalowało. Napłynęła skądś szarawa mgła, a kiedy się rozplynęła, w miejscu ściany pojawiła się zmętniała powierzchnia lustra. Mała Bess zobaczyła własną twarz. Usta wygięte w żalną podkówkę i puste, martwe z przerażenia oczy, z których nie spływały łzy. Ujrzała chude dłonie osłaniające głowę w pełnym bezradności geście. A potem zobaczyła pustkę. Nadal odczuwała uderzenia i paskudny fetor odzieży pijaka, słyszała mamrotane przekleństwa, ale zwierciadło, które zdążyło już rozszerzyć się na całą ścianę, nie odbijało niczego poza jej samotną, skuloną figurką. Zacisnęła powieki i wybrała bezpieczną ciemność niewidzenia.

*

Chudy zaklinacz węży wyszedł na środek estrady, wymijając zakurzoną kurtynę. Postawił swój kosz na podłodze i zdjął z niego pokrywę. Wewnątrz łuskowate sploty poruszały się powoli, a dziewczęta, tańczące podobnie węzowymi ruchami, rozsunęły się na boki, robiąc miejsce. Ich ciała lśniły w świetle pochodni jak naoliwione. Bat Mamy Gorgone trzasnął głośno. Z kąta rozległa się melodyjna, piskliwa muzyka fletu i ciche grzechotanie tamburynu. Kobry podniosły głowy i powoli rozłożyły kołnierze, krążąc powoli i wydobywając się z kosza. Zaklinacz uniósł dłonie i złapał węże, unosząc je w górę.

Gaga i Mimi usunęły się w kąt, za kotarę przesiąkniętą zapachem wydobywającym się z nargili. Miały na sobie tylko skąpe stroje do tańca. Czuły ból w mięśniach i szum w głowach, jakby stały na scenie wiele godzin. Mama Gorgone dostrzegła ich ruch, krzyknęła i smagnęła batem. Trafiona w udo Mimi roztarła pięścią grubą makijaż wokół oczu.

– Nie uciekniemy stąd drugi raz. – Chlipnęła cicho. – Trafiłyśmy z powrotem do piekła.

– Zamknij się. To nie jest prawdziwe – syknęła Gaga.

– To były nasze najgorsze czasy... – Mimi była bliska tego, żeby zupełnie się rozkleić.

– Nie musisz mi przypominać – warknęła jej przyjaciółka. – Najchętniej dorwałabym Mamę Gorgone, skopała jej grubą dupę, podarła te wypindrzone kiecki i kazała zjeść strzępy. Ale ta tutaj chyba nawet by nie poczuła. Nie jest prawdziwa. Więc pozostaje uciekać.

– Jak?

– Popatrz. – Gaga odsunęła lekko zasłonę. W miejscu, gdzie powinna być brudna ściana i zejście po cuchnących schodach w dół do pomieszczeń dla dziewcząt, tkwiła gładka, matowo szara tafla lustra. – Tędy.

Nie czekając na nic, chwyciła Mimi za rękę i z rozpędu pobiegła prosto na zwierciadło, które wchłonęło je niczym powierzchnia wody. Na zewnątrz nie pozostały nawet kręgi.

*

Kora drzewa wbijała się w plecy. Srebrne światło nie pozwalało niczego tak naprawdę dostrzec. Może tylko zarys nagich ramion, połysk włosów. Zapach sandałowca i róży wciskał się w nozdrza i obezwładniał, tłumiąc daleką woń jabłek i trzciny.

– Nie godzi się... – szepnął bezradnie, poddając się jednocześnie narastającemu, mdlącemu doznaniu rozkoszy. Kręciło mu się w głowie. Osuwał się po pniu, a z przodu delikatne dłonie walczyły z jego odzieniem, przesuwały się po nagiej skórze. Gdy zapadł się w miękką trawę i poczuł na sobie ciężar szczupłego ciała, poddał się całkowicie. Uniósł ramiona, by wydostać się z rękawów kaftana i koszuli, czując, jak drobne palce mozolą się przy klamrze jego pasa.

Przez chwilę Virbio miał wrażenie, jakby stracił pamięć. Iskierki rozkoszy tańczyły mu wciąż w ciele i pod powiekami, gdy nagle delikatny wstrząs ofiarował mu przebudzenie, po którym wszystko, czego doznał przed chwilą – lub przed wiekami – wydało się cudownym snem. Był sam. Leżał nago na zimnej, lustrzanej powierzchni, a nad nim wznosił się fasetowy, zwierciadlany sufit, nierówny i najeżony gdzieniegdzie kryształowymi stalaktytami. Porażony nagłym chłodem uniósł się i rozejrzał wokół. Ściany były tak odległe, że niemal poza zasięgiem wzroku. W oddali wznosiły się tylko rzędy postrzępionych jak nagie skały, zwierciadlanych kolumn. Jego zmięte odzienie leżało tuż obok.

*

– Czy jesteś gotowa na to, żeby ponieść klęskę? – spytał Gilgamesz.

Mitria siedziała na trawie, w kojącej ciemności krainy umarłych, oplatając kolana ramionami.

– Utracić Jardala? – zapytała. – I wyjść stąd? W poczuciu, że zawiodłam jego i siebie, że zostawiłam go samego, gdy... – Zamilkła. Za dużo było słów.

– Czasem robisz wszystko, co w twojej mocy, a i tak przegrywasz. – Ciepły głos Gilgamesza wibrował w powietrzu jak echo ryku lwa. – Wtedy rodzi się w tobie ślepy bunt. I to jest jeszcze gorsze. Pogłębia klęskę, pogrąża cię w niej,

czyni niezdolną do tego, by wstać. Tak było ze mną i ze śmiercią. Czegokolwiek bym nie zrobił, przegrałem.

Mitria pogładziła dłonią trawę.

– Mylisz się – powiedziała. – Mylisz kategorie. To prawda, są sprawy ostateczne, przeciwko którym nic nie wskórasz. Ale są też inne, z którymi należy walczyć. Ile bitew wygrałeś, zanim zrozumiałeś, że przegrałeś ze śmiercią? Ile potworów pokonałeś? Ile wykonałeś misji, które wszyscy inni uznali za niemożliwe?

Gilgamesz parsknął krótkim śmiechem.

– Porównujesz się ze mną? – zapytał. – Z herosem?

– Nie. Nie obraż się, ale z nas dwojga to ja mam większą wiedzę. A wiedza daje władzę. A przynajmniej klucz do świata. Ułomny i zardzewiały, ale jedyny, jakim my, ludzie niebędący herosami, możemy dysponować.

Gilgamesz westchnął i było to jak tchnienie wiatru i jak sapnięcie kowalskiego miecha.

Siedzieli przez chwilę w ciszy. W końcu Mitria przeciągnęła się, uniosła ramiona.

– Muszę iść – westchnęła. – A tak bardzo jestem zmęczona. To miejsce... przyciąga, jest się w nim, tak po prostu istniejąc. I można... się zapomnieć. A ja powinnam odnaleźć Jardala i moich towarzyszy. Niedługo pewnie wstanie świt.

– Zastanów się. Nie jesteś sową.

– Nie jestem. Czy już jest dzień?

– A jak myślisz?

– Nie mam pojęcia. To trochę bez znaczenia w miejscu, gdzie nie ma przestrzeni ani czasu.

– Ale jest płynąca rzeka. – Gilgamesz podniósł z trawy mały kamyczek i rzucił go w nurt. Rozległ się cichy plusk. Mitria przyjrzała się swojemu towarzyszowi, na ile pozwalał na to gęsty, szary półmrok. Widziała jego masywną sylwetkę, szerokie bary, a nad nimi głowę jakby wyciosaną z kamienia, o ostro zarysowanym profilu.

– Załóżmy więc – powiedziała – że nastał już dzień, a ja nie zamieniłam się w sowę. Czy to oznacza, że Jardala tu nie ma? Czy raczej że jestem od niego oddzielona czymś wyjątkowo silnym? Czy te lustra... dzielą przestrzeń, stwarzają nową?

Zobaczyła w półmroku wzruszenie ramion Gilgamesza.

– Bywają rzeczy, które są prawdziwe i nieprawdziwe jednocześnie. Może Jardal wciąż tu jest, a jednocześnie go nie ma?

– Mówisz o... o śmierci?

– Być może. Boisz się jej? Mój lęk przed śmiercią nazwałaś dziecinny.

– Nie z powodu lekceważenia. Po prostu byłeś jak dziecko, które zobaczyło śmierć pierwszy raz. Twój żal był taki prawdziwy. I twój strach: „Czy i ja będę jak Enkidu? Czy i mnie schwyta ziemia? Czy i z mojego nosa wyjdzie robak?”. Nie wiem, czy boję się własnej śmierci, bo nigdy jeszcze przed nią nie stanęłam. A Jardal... Nie godzę się na to, żeby go utracić. Po prostu się nie godzę. Jak dziecko.

– A więc nie godzisz się przegrać.

Czarodziejka zapatrzyła się w surowy, pierwotny profil swojego rozmówcy. Przez głowę przemknęło jej pytanie, czy on naprawdę ma postać człowieka. A może jest tylko sylwetką podobną do kamiennego posągu dawnego bóstwa, utkaną z szarej mgły.

– A jeśli nie nastał jeszcze dzień... – kontynuowała – jeśli wciąż jest noc...

Wstała i ponownie rozprostowała zdrętwiałe ramiona. Otrzepała suknię.

– Są jeszcze twoi towarzysze. – Głos Gilgamesza rozchodził się cichym szmerem po powierzchni płynącej rzeki. – Nie są ważni? Nie tak ważni jak on? Czy cudza śmierć jest zawsze cudzą śmiercią, czy tylko śmiercią Tego Kogoś, jedyne i wybranego, bez kogo twoje własne życie nie byłoby już tym, czym jest? To ty wciągnęłaś ich w wir opowieści o miłości i władzy. Zostawisz ich teraz na pastwę Zamku Cieni?

– Nie zostawię – odpowiedziała głucho. – A teraz chodź.

Poszła przed siebie w kierunku drzwi, które otworzyły się, wpuszczając ją tutaj. Pradawny heros powoli podniósł się i dołączył do niej. Jego zwałista sylwetka o potężnych barach i kanciastej szczęce zawisała nad nią jak cień.

Mitria bardziej wyczuła niż zobaczyła przed sobą ścianę. Wyglądało to tak, jakby wokół nich nie było nic. Podniosła rękę i dotknęła niewidocznego muru.

– Lustra odbijają mój umysł, wplątują go w sieć wielokrotnych odbić, próbują stworzyć dla mnie labirynt bez wyjścia, stworzony z moich własnych myśli. Nie można walczyć ze sobą w ten sposób. Jeżeli narysuję tu kontur drzwi, stworzę wyjście i ono naprawdę się dla nas otworzy. Ale tego nie zrobię. To byłoby po raz kolejny granie według ich reguł. Oni – kimkolwiek są – chcą, żebym rzucała magię przeciwko magii. Więc tego nie zrobię. Złamię ustanowione przez nich zasady. Zabiorę stąd magię. Unieważnię to.

Wsparła się mocno obiema rękami o niewidoczną ścianę.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Gilgamesz. W jego głębokim, ciepłym głosie po raz pierwszy zabrzmiał lęk.

– Zamek Cieni – odezwała się Mitria, jakby nie usłyszała pytania. – Każdy z nas ma własny Cień. Kłębowisko mrocznych pragnień i upchanych w podświadomości lęków. Zamek obdarowuje nas własnymi Cieniami, a te przemawiają przez opowieści. Opowieści składają się ze słów, a żywią się wiarą.

Jeśli przestanę wierzyć w to, co lustra odbiły i zwielokrotniły w moim umyśle, unieważnię opowieści, wchłonę resztkę ich magii.

– To takie proste? Przestać wierzyć?

– Nigdy nie przestaje się wierzyć do końca, ponieważ tak naprawdę to opowieści wierzą w nas. Ale jeśli zgłębisz opowieść do samego dna, zaczniesz rozumieć, gdzie tkwią jej korzenie, co ją napędza i jakie są jej związki z innymi opowieściami. Widzisz ją na wskroś. A wtedy przestajesz wierzyć.

Wyciągnęła dłoń, wyprostowała ramię, ignorując ścianę. Ręka wsiąknęła w coś miękkiego i migotliwego. Po chwili świat wokół jakby doznał lekkiego wstrząsu. Wszystko zafalowało, zadrżało i zaczęło się rozplýwać. Szarość zniknęła, ustępując miejsca zimnej bieli. Niewidoczny mur nabrał nagle chropowatego kształtu, a po chwili ustabilizował się w kanciastej formie odłamków kryształowych lusterek. Zwierciadła zadrżały i zaczęły się rozplýwać, jakby były z lodu. Ich kontury złagodniały i przybrały postać gigantycznych kropel wody, które powoli ściekały w dół i znikaly, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. W końcu spoza nich ukazała się zwykła, ceglana zamkowa ściana. Świat przybrał na powrót prawie normalny kształt, tylko Gilgamesz stał wciąż nieporuszony jak posąg kamiennego bożka.

– Dlaczego wciąż istnieje? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. – Szczerze popatrzyła mu w oczy, które nie były z kamienia. Miały szaroniebieski kolor i trochę naiwne, a jednocześnie surowy wyraz. Ciemna aksamitna skóra opinała potężne barki i masywne łydki, a jedyną osłonę stanowiła płowa spódniczka z lwiej skóry. Włosy splecione w ciasne warkoczyki opadały z tyłu na ramiona. – Ale cieszę się z tego – dodała.

Znajdowali się w miejscu, z którego rozchodziło się kilka korytarzy. W dół prowadziły szerokie stopnie, w górę z jednej stony wąskie, kręcone schody na jakąś wieżę. Po chwili rozległy się pośpieszne kroki. Gilgamesz napiął mięśnie, ale rozluźnił się z powrotem, kiedy zza zakrętu wypadła, lekko kulejąc, zdyszana, ale i radosna Fionka. Zaczęła paplać coś o niedorozwiniętej umysłowo jaszczurce, gdy z innego korytarza wyłonił się z ponurym i bezbarwnym wyrazem twarzy Justin. Uniósł pytająco brwi na widok posągowego herosa, ale w tej samej chwili na schodach wiodących w dół rozległ się tupot i pojawiły się Mimi i Gaga. Pierwsza miała rozmazany makijaż, druga zawzięty błysk w oku. Nie spieszyły się z opowieściami. Prawie ostatnia przywlekła się lewym korytarzem skulona, drżąca i patrząca w ziemię Mała Bess. Brakowało tylko Virbia. Minęło trochę czasu, zanim nadszedł. Miał błędny, nieobecny wzrok i pomiętą, byle jak pozapinaną odzież. Popatrzył na nich w zdziwieniu, jakby widział ich pierwszy raz.

Mitria wyjaśniła krótko, kim jest Gilgamesz, nie wspominając jednak o tym, w jaki sposób się przy niej pojawił. Justin podniósł brwi jeszcze wyżej. Dziewczęta bez skrępowania gapiły się na masywną sylwetkę herosa.

Wiedzieli już, że wstawał świt. W murze znajdowały się małe, ostrołukowo zakończone okna, przez które zaczynało wpadać trochę światła. Mitria i Gilgamesz wymienili poważne spojrzenia.

Zbiegli po schodach – utykająca Fionka oparta na ramieniu Virbia – i po krótkim marszu prostym korytarzem i zagłębieniu się w kolejną kondygnację znaleźli się w wielkim przedsionku wspartym na dwóch rzędach kolumn. Na ścianach wisiały herbowe tarcze.

– To główny hol – stwierdził Justin. – Pamiętam, przechodziliśmy tędy.

Wrota były, rzecz zadziwiająca, uchylone. Przez szparę sączyło się szare światło przedświt. Wszyscy prócz Mitrii i Gilgamesza posłali w tamtym kierunku tęskne spojrzenie.

– Teraz czas znaleźć wejście do lochów. – Czarodziej otrząsnął się pierwszy. – Virbio, zrób użytek ze swoich wiadomości.

Chłopak przekazał towarzyszom ciężar uwieszanej jego ramienia Fionki, po czym rozejrzał się uważnie i wskazał małe drzwi po lewej stronie schodów. Spróbował je otworzyć, ale okazały się zamknięte. Dla Gilgamesza nie stanowiło to jednak żadnego problemu. Heros delikatnie wyjął je z zawiasów i starannie odstawił pod ścianę. Zagłębili się w mrok. Przodem szedł Virbio, któremu po piętach deptali Mitria i Justin. Gilgamesz zamykał pochód, strzegąc bezpieczeństwa dziewcząt.

Długi, wąski, mroczny korytarz wydzielał woń starych beczek po winie. Wiało piwnicznym chłodem i stęchlizną. Gdzieś pod murami popiskiwały uciekające przed ich krokami szczury. W ścianach umocowane były żelazne uchwyty, w których tkwiły pochodnie, zapalone i kopcające. Ktoś musiał niedawno schodzić do lochów.

– Co dalej, Virbio? – spytała Mitria szeptem, który odbił się echem od ścian.

– Żelazna krata – odpowiedział, nie patrząc na nią – i schody w dół. Potem stare piwnice, a na końcu lochy.

Krata okazała się masywna, zardzewiała i otwarta. Żadnych strażników ani innych przeszkód.

*

Natknęli się na nich na schodach. Nie potrzebowali nawet daleko iść. Przodem kroczyła kobieta w stroju gwardzisty. Hełm niosła pod pachą, a na plecy spływały jej długie jasne włosy. Za nią podążało dwóch osiłków, dźwigając nieprzytomnego Jardala. Jego ręce wisiały bezwładnie, uderzając o kolejne

stopnie. Kobieta zakłęła i wyciągnęła miecz, ale Justin na moment obezwładnił ją szybkim zakłębciem. Virbio z rozmachem kopnął w twarz ogromnego draba, który puścił nogi czarodzieja i zachwiał się, ale zdołał utrzymać równowagę. Chłopak przyłożył rękojeścią miecza w łeb drugiemu, mniejszemu, który trzymał Jardala za ramiona. Potem wyprowadził zgrabne cięcie i z przeciętego gardła osiłka trysnęła krew. Justin w tym czasie poprawił kopniakiem cios zadany drabowi o sianowatych włosach i zajął się wojowniczką, która szybko otrząsnęła się z oszołomienia i zdążyła wyciągnąć miecz. Gilgamesz usiłował przepchnąć się do przodu, a dziewczęta uciec do tyłu, ale schody okazały się na takie manewry trochę zbyt wąskie, więc w efekcie wszyscy utknęli na moment, szamocząc się jak ryby w sieci. Czarodziej uchylił się przed błyskawicznym ciosem gwardzistki, a w tym czasie Mitria szybkim gestem dłoni posłała zakłębcie, które owinęło dłonie napastniczki świetlistym sznurem. Justin wytrącił jej miecz i mocnym kopnięciem strącił w dół, ze schodów.

– Zazwyczaj nie biję kobiet – mruknął – ale musisz wybaczyć, pani. Nie mam ochoty dać się tu posiekać.

Jasnowłosa nieznajoma stoczyła się ze stopni, kilkakrotnie uderzając ściany, i znieruchomiła na podłodze. Drugi pachołek, sianowłoso, usiłował uciekać, ale Virbio celnym sztychem przyszpilił go do ściany. Mimi otworzyła usta i zastygła w nieartykułowanym wrzasku. Mała Bess przywarła do muru, drząc jak osika. Gilgamesz wreszcie uwolnił stopy z fałd różnych sukienek i uklęknął przy Mitrii, która obejmowała dłońmi głowę leżącego bezwładnie na schodach, porzuconego przez walczących pachołków Jardala.

Virbio stał oszołomiony, trzymając w opuszczonej dłoni ociekający posoką miecz.

– Zamknij się wreszcie. – Fionka potrząsnęła porządnie Mimi. – W Castelburgu mieszkasz. Krew ci nie nowina.

Wrzask ucichł jak ucięty nożem.

– Koniec? To zabierajmy się stąd – mruknął Justin, ocierając grzbietem dłoni ślady maleńkiego krwotoku z nosa.

Pochylił się nad wciąż nieruchomym Jardalem, rozwarł mu powieki, a potem sprawdził puls.

– Żyje – stwierdził – ale jest tu coś dziwnego... Nie ma teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Bierzemy go i w nogi.

Gilgamesz podniósł maga, jakby ważył on tyle, co piórko, i przerzucił go sobie przez ramię.

*

Dziedziniec oświetlały pierwsze, ukośne promienie świtu, wydobywając blask z kamiennych płyt.

Zastąpili im drogę przed bramą kutą w heraldyczne lilie. Białe płaszcze, stalowe hełmy, puste oczy. Podchodzili z cichym chrzęstem broni, zacieśniając krąg.

– Spodziewałem się tego – mruknął przez zęby Justin.

Virbio zastygł z dłonią na rękojeści miecza. Czarodziej uniósł dłonie i opuścił je. Stali w złowrogiej ciszy. Walka tak bardzo, w tak oczywisty sposób nie miała sensu. Nie z tak licznym przeciwnikiem.

Nikt nie wydał z siebie głosu. Chrzęściły tylko zbroje, buty stukały o bruk. Mitria zacisnęła dłonie w pięści. Mieszczaneczka Fionka westchnęła cicho.

W tej chwili na kamiennych płytach dziedzińca zabrzmiał powolny odgłos końskich kopyt. Machiavello Niccoli wynurzył się z cienia rzucanego przez zamkową basztę, a za nim chłopiec stajenny prowadzący za uzdę Żywego, Farasa i pozostałe konie.

– Nie jesteś tylko żebraczką, ale również złodziejką, Mear Melindo Erian de Witten z Cantaleny. – Wężowy zmrużył oczy w ostrym porannym słońcu. – Kradniesz własność tych, którzy przyjęli cię w gościnę.

Rycerze w białych płaszczach wyprostowali się, wyrównali szyk i zamarli, jakby czekając na rozkaz.

– On – czarodziejka wskazała głową na swojego bladego jak woskowa figura towarzysza – nie jest niczyją własnością. A tylko jego chcę zabrać.

– Wzruszający egoizm – zadrwił czarno odziany człowiek. – Ale znaj, żebraczkę, pańską łaskę. Nasz Książę zdecydował, że pozwoli odejść w spokoju tobie i wszystkim twoim towarzyszom. Wszystkim. – Znów zmrużył oczy i przekrzywił głowę, przyglądając się ciekawie Gilgameszowi. – Nie myślcie jednak, że odchodzicie zupełnie. Ktokolwiek był w Zamku Cieni, zabierze z sobą Cień. Część was pozostanie w Zamku, a część Zamku pozostanie w was i będzie was przyzywała. Nie mówię więc „żegnajcie”, a jedynie „do zobaczenia”. – Uśmiechnął się nieładnie, twarz skurczyła mu się w wyrazie przebiegłości. – Prędzej czy później wrócicie tu, gnani pragnieniem uwolnienia się od Cienia albo też przeżycia na nowo jego cudów. Ale kiedy się znowu zobaczymy, nasza znajomość nie będzie długa. W waszym przypadku potrwa dożywotnio. Jednakowoż nie martwcie się, albowiem okres oczekiwania na śmierć postaramy się możliwie skrócić.

W ciężkim milczeniu rozbrzmiał tylko echem stukot kopyt o kamienie. Dosiedli koni. Rycerze w białych płaszczach rozsunęli się z chrzęstem, tworząc szpaler. Brama kuta w heraldyczne lilie stała otworem. Przejechali, nie patrząc na boki. Justin rzucił szybkie spojrzenie za siebie. Virbio wbił wzrok w ziemię.

Mitria ciasno obejmowała ramionami umieszczonego przed nią w siodle Jardala. Obok jej konia szedł Gilgamesz i podtrzymywał bezwładne ciało maga swoim potężnym ramieniem. Nad miastem wschodziło jaskrawe, poranne słońce, a jego promienie były ostre jak nóż odcinający światło od ciemności. Skończyła się właśnie Godzina Zmieszania Świata, a Mitria wciąż nie była sową.

*

Człowiek w czarnym płaszczu kulił się na lustrzanej posadzce. Drżał i co chwilę oblizywał uwiedłe wargi. Miał ochotę wytrzeć pot spływający po karku, ale obawiał się podnieść rękę. Lustrzane przestrzenie wokół niego wibrowały delikatnym, ale nieprzyjemnym dźwiękiem, jakimś rodzajem odległego brzęczenia. Przełknął ślinę. Wykonał wszystkie rozkazy Władców, a teraz bał się, że zostanie za to ukarany. Czuł ich złość. Widział, jak pod wpływem tego, co zrobili tamci, magia luster rozprysnęła się i roztopiła jak śniegowy bałwan w słoneczny dzień. Nie znikła co prawda całkowicie, ale pułapki zastawione przez Zamek na niepokornych gości zostały niemal doszczętnie unicestwione.

A jemu nakazano, żeby ich wypuścić. To było sprzeczne z całą jego wiedzą o Władcach, tak pilnie dotychczas gromadzoną. Ale musiał zaakceptować rozkaz, stanął więc na dziedzińcu i wygłosił swoje kwestie, nie pojmując ich celu. Jego zdaniem należało całą tę hałastę wtrącić do lochów i torturować aż do skutku, a tej przebiegłej Mear, która okazała się czarownicą, kazać na to patrzeć, a potem dopiero zacząć ją wypytywać o powiązania z pojmanym wcześniej magiem. Na tortury Machiavello Niccoli nie miał ochoty patrzeć. Nie był ich wielbicielem, nie ślinił się na widok krwi i katowskich narzędzi. Był pragmatykiem. Wierzył w skuteczność władzy ufundowanej na informacjach, takiej, która pozwala poznać swoich obywateli na wylot, wiedzieć, o której wstają, komu są winni pieniądze i kiedy idą do wychodka. Ale założyłby się o wszystko, nawet o swoją nieukończoną księgę, że zeznań od tej grupki nie dałoby się wydobyć środkami innymi niż postrach i tortury.

– Sirocco... occo... occo... – rozbrzmiał widmowy głos, który zawsze napęniał go przerażeniem. Skulił się, a czarny płaszcz zafalował miękko na lustrzanej powierzchni posadzki w Kryształowej Sali. – Gdzie ona jest?...est... est... est?...

– Służba się nią opiekuje. – Przełknął ślinę. Najwyraźniej to nie on zostanie obwiniony. – Tęgo dostała w głowę. Jest nieprzytomna. Giulia Baldini kazała zrobić jej jakiś okład.

– Przekroczyła swoje kompetencje... encje... encje... – Głosy miały odcień irytacji. – Zostanie ukarana... ana... ana...

– Zaniósłem jej rozkaz osobiście – zapewnił pospiesznie. – Miała przerwać torturowanie maga znacznie wcześniej i przenieść go tutaj, do Kryształowej Sali. Wszak tak?...

– To nie były tortury, głupcze... cze... cze... – Echo rozbrzmiało czymś w rodzaju śmiechu. – Ale dobrze zrozumiałeś... ałeś... ałeś... On miał się znaleźć tutaj... aj... aj...

– Pozwoliłem im go zabrać na wasz rozkaz. – Machiavello zaczął odczuwać rosnącą panikę. – Powiedzieliście, że mogą odejść wszyscy...

– Naprawdę tak powiedzieliśmy?... śmy... śmy?... – Głos chichotał już niemal jawnie i dość zjadliwie. – Więc dobrze... obrze... obrze... On był już bezużyteczny... eczny... eczny... Sirocco wydobyła z niego wszystko... ko... ko... Oddaliśmy Mitrii de Witten pustą skorupkę.. kę... kę...

Mitria de Witten. Człowiek w czerni odnotował sobie w myślach to nazwisko. Wśród licznych imion Mear, kuzynki księżąt Cantaleny, nie było tego. A ona najwyraźniej się nie zdziwiła, kiedy Księżę ją nim nazwał. Machiavello Niccoli do tej pory nie interesował się magią. Zbyt go przerażała. Wiedział, że na niej opierają swoją siłę jego Władcy, ale wolał badać mechanizmy władzy w postaci czystej, wypreparowanej z budzących grozę sztuczek dla pospólstwa, za jakie uważał magię w chwilach, gdy już wychodził z Kryształowej Sali i przestawał się bać. Teraz uznał, że czas nadrobić zaległości.

*

– A jednak ich drogi się nie rozejdą – powiedziała Pierwsza Przędka.

– I jednocześnie nigdy się nie spotkają – powiedziała Druga.

– Jak dwie stale przeplatające się wstęgi, które jednak nigdy się nie stykają – dodała Trzecia. – Gdyby spojrzeć na nie z góry, dostrzegłoby się przecinanie dwóch nitek. Ale patrząc z boku, dostrzega się tylko płataninę oddzielnych linii.

– A jednak się zetkną. Witajcie w świecie figur niemożliwych – powiedziała Pierwsza Przędka.

– Ale takich, które tworzą się na naszych oczach. Jeszcze nie widać zetknięć i przecięć linii, pojawia się mnóstwo możliwości, ale nie ujawniła się jeszcze niemożliwość – stwierdziła Druga.

– Co powoduje, że Eksperyment nadal trwa, a co więcej, staje się fascynujący – dodała Trzecia.

– Nigdy nie nuży nas Obserwowanie – podsumowała Pierwsza.

– Ależ nie – stwierdziły chórem pozostałe.

*

Jardal otworzył oczy i natychmiast je zmrużył. Raniło go światło. Było przyćmione, ukośne i zielonkawe, ale jednak sprawiało mu ból. Nie do końca pamiętał, kim jest, a z całą pewnością nie miał pojęcia, gdzie jest. I jakoś dziwnie go to nie obchodziło.

Powoli, osłaniając twarz dłonią, rozchylił powieki. Wokół niego rósł gigantyczny, pierwotny las, pełen splątanych drzew, wyniosłych paproci i wybujałej trawy. Trwał skąpany w ostrym słońcu, ale absolutnie cichy. Przed nim migotało lustro małej, ciemnej sadzawki.

Siedziała obok, na kamieniu. Prawie naga, okryta tylko lekką, króciutką tuniką spiętą po bokach. Drwiąco uśmiechnięta. Miała krótkie, gładkie czarne włosy i zielone, złe oczy. Ostre jak szpilety.

– Odzwyczałeś się – stwierdziła oskarżycielsko, zanim zdążył choćby zastanowić się nad jej obecnością. – Dawno cię tu nie było.

Jardal przeczesał ręką włosy i oblizał spierzchnięte wargi. Nadal czuł się zupełnie oszołomiony.

– Powiesz coś? – Przegięła się w bok z pół sarkastycznym, a pół uwodzicielskim uśmiechem. Tunika rozchyliła się pod jej ramieniem. Pasma krótkich czarnych włosów, nieco dłuższych z przodu, zsunęło się na twarz. Dmuchnęła w nie niecierpliwie.

– Dobrze, więc może to ja pierwsza będę mówić. – Zaśmiała się krótko. – Być może powinnam była zacząć od „witaj, Wędrowcze” lub czegoś równie... oczekiwanego w tym miejscu. Jesteś w domu. A ja nazywam się Lys.

– To nie jest mój dom – odezwał się. Zdziwiło go obce, chrapliwe brzmienie własnego głosu. Bardzo zaschło mu w gardle. Wstał i zbliżył się do sadzawki, zwilżył usta i pił długo, czerpiąc wodę dłonią.

– Strasznie jesteś pewny siebie. – Lys zarzuciła nogę na nogę i zaczęła bujać stopą w powietrzu. – Musiało być ci tam dobrze. Zasiedzałeś się. Kobieta? Jak miała na imię?

– Mitria – odpowiedział i zdał sobie sprawę, że nie wie, co znaczy ten dźwięk. Po prostu był w nim i wypowiedział go, zanim zdążył się nad tym zastanowić. Ale nie krył się za nim żaden obraz ani żadne znaczenie. Próbował uchwycić ten dźwięk i dołączyć do niego jakąś myśl, ale wszystko rozproszyło się i uleciało. Nie miał za czym podążać.

– A ty? Przedstawisz mi się? – Lys znowu przechyliła głowę.

– Nie – odpowiedział opryskliwie. – Ale, żeby być szczerym, głównie dlatego, że nie pamiętam swojego imienia – dodał.

– Oho. – Zacmokała w udanym zmartwieniu, a jej złe oczy przewierciły go na wylot. – To się naprawdę zasiedzałeś. Ale nie martw się – dodała, prężąc

piersi – jeżeli tu znowu jesteś, to znaczy, że miałeś powód. Rzuciła cię albo odwrotnie, próbowała zawłaszczyć. Słowem, znudziło ci się. Wróciłeś.

– Mam ponure poczucie, że nie wróciłem, Lys. – Jardal potargał palcami zmierzwiłone włosy. – Część mnie nadal tam jest. A co gorsza, nie wiem gdzie.

– Cóż, w takim razie pozostaje ci posiedzieć tu trochę i poczekać. Mogę zaoferować swoje towarzystwo. Albo nawet o wiele więcej. – Wyprężyła się lubieżnie. – Nie martw się – dodała – to trochę potrwa, ale w końcu znowu będziesz sobą.

– Skąd taka troska o mnie, Lys? – Tym razem on przybrał sarkastyczny ton. – I skąd pewność, że to właśnie ty potrafisz zdefiniować pojęcie „mnie”? A może to właśnie tam byłem sobą? W świecie, którego nie pamiętam. I zaczyna mnie to męczyć jak niezłałatwiona sprawa.

– Mogłeś sobie tam przybrać dowolną formę i założyć dowolną maskę – złe oczy Lys zaśniły, a głos zabrzmiał tym razem lodowato – ale to tylko realizacja twoich fantazji, mniej lub bardziej możliwych do spełnienia. Nie analizuję cię, idioto. Przypominam ci prostą prawdę, że pochodzisz stąd. Z Międzyświata. Tu nie ma nic, ale istnieje mnóstwo nieureczywistnionych możliwości. Ale dokądkolwiek się udasz, prędzej czy później musisz tu wrócić.

Jardal wstał z klęczek i rozejrzał się wokół. Polana, na której się znajdowali, nie była duża. Za to otaczające ją drzewa przypominały starożytne potwory – wielkie, rozrośnięte, strzeliste niczym wieże, oplecione nieprzeniknioną, zieloną gęstwiną. Światło przeświecało pomiędzy pniami jak między palcami ogromnych dłoni. Wszystko trwało w ciszy i bezruchu godnym kamiennej rzeźby. Spojrzał w dół, na swoje ciało. Oprócz płóciennej przepaski na biodrach był nagi. Jego stopy nikiły pomiędzy źdźbłami drapieżnie zielonej, sztywnej trawy.

Rozejrzał się.

– Co jeszcze tu jest? – zapytał.

– Nic. Wszystko. Cokolwiek. – Wzruszyła ramionami. – To kraina czystych umysłów. Nie posiada formy. Kształtujemy ją jakoś, bo tak nam wygodniej. Niekiedy się spotykamy wracając z naszych wypraw, ale niekoniecznie. Łatwiej żyć w innych światach, takich, które posiadają jakiś kształt. Jakikolwiek. Inaczej umysł się buntuje i zaczyna wytwarzać potwory. Tu nie można żyć.

– Dlaczego nic nie pamiętam? Zawsze tak jest?

– Nie. – Odwróciła głowę i zapatrzyła się przed siebie. – Coś poszło nie tak.

– Co? Mów – ponaglił ją, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

– Powinieneś przynajmniej pamiętać swoje tutejsze imię. – Zwróciła na niego swoje złe, zielone oczy. – Tamten świat pamiętałyś początkowo wyraźnie, a potem jak przez mgłę. Tu nie istnieje pamięć. Wygląda to tak, jakbyś chciał

wrócić, ale z jakichś powodów coś cię zatrzymało. Utknąłeś w połowie drogi. Sam to wiesz.

Skinął głową.

– Ale pamiętam...

– Jej imię – syknęła jadownicę. – Kobiety, która tam cię skrzywdziła. Przez którą nie możesz wrócić tu i zacząć od nowa żyć.

– Nie skrzywdziła mnie, Lys.

– Znów jesteś taki wściekle pewny. Nie pamiętasz żadnego z własnych imion ani swojego świata, a zostało ci w głowie tamto. Jesteś okaleczony, nie rozumiesz? Odebrała ci tożsamość.

– Dziękuję za pocieszenie. A teraz, jeśli pozwolisz, oddalę się w kierunku tamtych drzew, żeby trochę się przespać, a potem w spokoju kontemplować swoje nieszczęście.

Syknęła jak rozzłoszczona kotka i rzuciła za nim kamieniem. Prawie chybiła. Pocisk tylko lekko otarł jego ramię. Jardal nawet się nie odwrócił.

¹ T.S. Eliot, *Jałowa ziemia*, przeł. Cz. Miłosz, w: T.S. Eliot, *Wybór poezji*, Ossolineum, Wrocław 1990, s. 109.

Czas podróży

Grandini siedział na koźle krytego płótnem wozu, kiwał się sennie i próbował to wszystko zrozumieć. Nie udawało się. W normalnych warunkach nie istniało dla niego życie poza miastem, a teraz, gdy wir wydarzeń gwałtownie go z niego wyrwał, musiał się jakoś od nowa przedefiniować. Nie mówiąc o umiejscowieniu na mapie jego nowego świata okoliczności towarzyszących. Czuł się mieszczuchem z urodzenia, mieszczuchem do szpiku kości i nawet wieloletni pobyt na morzu nie zdołał tego zmienić. Pokład statku odczuwał bardziej jako przestrzeń pływającego po wodzie domu. Uwielbiał czuć bruk pod butami, a po uliczkach Castelburga mógł wędrować z zamkniętymi oczami, kierując się wyłącznie węchem i w odpowiednich momentach wyciągając kordelas. Czuł się bezpiecznie nawet w najciemniejszych, najbardziej plugawych zaułkach portowej dzielnicy. Nikt by go nie tknął, ponieważ wszyscy go znali. Miał oczywiście wrogów, czy raczej tych, z którymi pozostały mu jakieś niezłatwione porachunki, ale umiał się tak urządzić, że nawet im jego śmierć przyniosłaby zauważalne straty. A ci ludzie umieli liczyć. Bez tej cennej umiejętności nie przetrwaliby na ulicach nawet tygodnia.

Dlatego to Grandini przechadzał się ulicami swojego ukochanego miasta w glorii nietykalności, tak jawnej, że mogłaby irytować. Radośnie roznosił bądź zatajał pogłoski, był za pan brat z każdym i potrafił stać się mniej lub bardziej użyteczny dla wszystkich. W czasach swojej największej świetności potrafił być agentem trzech konkurencyjnych spisków jednocześnie, bawiąc się przy tym znakomicie, aranżując mnóstwo niemal farsowych *qui pro quo* i zawsze wychodząc bez szwanku. Jego znajomości obejmowały zarówno członków patrycjuszowskich rodzin, jak i portowe dziwki wraz z alfonsami. Często, odwiedzając na przykład bogatego kupca, zaczynał i kończył wizytę u jego kucharki. Lubił i najbardziej cenił właśnie wiedzę zdobywaną od kuchni, podszewkę rzeczywistości. W niektórych kręgach bano się go. Ale właśnie ta encyklopedyczna znajomość Castelburga powodowała, że w każdym innym miejscu czuł się niepewnie, choć za skarby Verdiego by się do tego nie przyznał. Nie lubił wyjeżdżać.

A teraz trząsał się na koźle wozu, podróżując w nieznaną podrzędny gościńcem, prowadzącym z jego rodzinnego miasta do Ugrii, która w mniemaniu szpiega była małą, zapadłą dziurą, złożoną z chałup zbudowanych z byle jakiego kamienia. Nie do końca rozumiał, dlaczego zgodził się jechać, a raczej po prostu przyłączył do wyprawy. Mitria go nie zapraszała, ale potraktowała jego obecność

jak coś oczywistego. Nie protestował, bo i tak nie miał na miejscu nic do zrobienia. Bractwo chwilowo poszło w rozsypkę, a z Zamku Cieni podobno zagrażało niebezpieczeństwo. Lepiej było się na jakiś czas przyczaić, a właściwie to dlaczego nie miałby zobaczyć kawałka świata. Podróże podobno kształcą. Tylko czemu ten cholerny gościniec nie jest wybrukowany. Dźwięk końskich kopyt brzmi tu zupełnie inaczej, jakoś tak głucho.

A wszystko zaczęło się około sześciu dni temu, kiedy oni wszyscy wrócili z Zamku. W komplecie, a nawet wyposażeni w dwie dodatkowe, nazwijmy to, osoby: nieprzytomnego Jardala i groteskowego, pierwotnego olbrzyma w przepasce na biodrach, z grzywą płowych warkoczyków. Przybyli o poranku, mniej więcej godzinę po Zmieszaniu Świateł. Wedle umowy czekał na nich w wieży magów, dokąd dotarli z Vereną gdzieś pomiędzy północą a pierwszymi kurami, oboje mocno zawiani. Czarodziejka wymamrotała jakieś przeprosiny, wspięła się schodami na górę i zasnęła w szerokim łożu Jardala i Mitrii. On sam ulokował się w dolnej komnacie, drzemiąc w krześle i budząc się na każdy szmer. Do położonej pomiędzy tymi pomieszczeniami biblioteki wolał nie zaglądać w nocy. Na samą myśl włoski lekko podnosiły mu się na karku. Z natury nie był przesądny ani skłonny do metafizycznych obaw, ale te wszystkie książki wyglądały, jakby na niego patrzyły.

Według wspólnie ustalonego planu miał czekać do południa. Gdyby do tego czasu nic się nie wydarzyło, spróbowaliby posłać jakiegoś miejskiego urwisa do kuchni, żeby zasięgnął języka. Może udałoby się mimo wszystko ułagodzić Giulie Baldini i dzięki niej dowiedzieć się, jaki los spotkał tych, którzy tak niebacznie weszli w paszczę lwa. Wcześniej, przy trzecim dzbanie wina, szpieg był dobrej myśli, próbował pocieszać Verenę, która dla odmiany upiła się na smutno. Dziarsko wyrażał gotowość osobistego udania się do siedziby Księcia, zastukania do wrót i osobistego powiedzenia „temu durnemu tyranowi”, co o nim myśli. Za to nad ranem przyszła trwoga. Obawiał się, że gwardziści lada chwila załomoczą w drzwi albo że następnego dnia zobaczy na murach głowy Virbia i całej reszty, zgrabnie osadzone na pikach.

Ale przybyli. Weszli do wnętrza wieży. Wszyscy. Justin, Fionka, dziwki, Mitria i ten pierwotny, jasnowłosy olbrzym, niosący w ramionach nieprzytomnego Jardala. Virbio odprowadził konie do szopy na tyłach i też wślizgnął się do środka, cicho jak mysz. Okrzyki triumfu jakoś zamarły Grandiniemu na wargach. Byli bladzi, poważni i milczący jak na pogrzebie, choć misja najwyraźniej się powiodła, a wedle ich zdawkowych zapewnień Jardal żył. W tej ciszy ułożyli się na rozścielonych gdzie się dało siennikach i przespali kilka godzin niespokojnym snem. Szpieg, któremu alkohol nie zdążył jeszcze wywietrzeć z głowy, zasnął na swoim krześle jak kamień.

Około południa, kiedy się przebudzili, Mitria rzuciła tylko krótkie „wyruszamy” i jakoś wszyscy dostosowali się bez sprzeciwu. Grandini siedział w kącie sypialnej komnaty i usiłował czegokolwiek się dowiedzieć, jednak czarodziejka na pytania konsekwentnie nie odpowiadała. Krążyła od szafy do łóża, stukając obcasami, trzaskając drzwiczkami, wyciągając kolejne suknie, płaszcze, szale i przedmioty niewiadomego przeznaczenia, segregując metodą niedbałego przerzucania, a potem upychając do podróżnej sakwy. Usiadła na chwilę przed dużym lustrem przy toaletce, przerzuciła flakoniki i słoiczki, z jednego wyjęła korek i, odrzucając energicznie włosy, wtarła trochę pachnidła za uszami. Wstała, przeszła znów do szafy, trzasnęła bez celu drzwiczkami, zakłęła, potykając się o buty, podeszła do sekretarzyka i zaczęła wyrzucać z szuflady jakieś papiery.

– Muszę zabrać chociaż kilka ksiąg – mruknęła. – Choć nie mam czasu szukać tych potrzebnych...

– Możesz mi powiedzieć, co... – Szpieg po raz kolejny nabrał oddechu i spróbował zadać pytanie.

– Gaga i Mimi muszą jechać z nami – przerwała mu – żeby przynajmniej na pewną odległość oddalić się od miasta. Mała Bess i Fionka też, ale one same chcą. Tamte dwie musisz przekonać. Liczy się pośpiech. Przygotuj wóz. Opuścimy miasto o poranku, tuż po otwarciu bram.

Grandini z ciężkim westchnieniem podniósł się ze stołka i poczłapał do stajni wykonać polecenie. O wschodzie słońca minęli kordegardę przy głównej bramie. Na wozie, za stertą pakunków, spoczywał na pościeli ze skór wciąż nieprzytomny Jardal. Przy nim czuwała Mitria, siedzący w kucki Gilgamesz i skulona w kącie, obejmująca kolana ramionami Mała Bess. Na koźle puszył się Grandini, a reszta, na czele z Justinem i Vereną, tworzyła konny orszak, prowadzący jednego obciążonego bagażem luzaka. Czarodziej na karym Żywym prezentował się tak efektownie, że strażnicy miejscy przyjęli dowolne wyjaśnienie i wypuścili go bez protestów. Ponura sława Zamku Cieni nie odstraszała tych, których ścigało równie głośne w szerokim świecie targowisko. Dlatego pielgrzymujące bramami Castelburga tłumy nie budziły większego zainteresowania, dopóki nie stawały się obiektem szczególnej uwagi Gwardii Morgh.

A potem minęło kilka dni pozornie monotonnej, ale w istocie bardzo dziwnej podróży. Grandini poruszył się na koźle. Tylne ciało już porządnie go bolało i powoli zaczynał być zdania, że przyszedł czas na postój. Był już zmęczony gapieniem się przed siebie i rozmyślaniami. Wielu rzeczy w tym wszystkim nie rozumiał, choć trzeba przyznać, że od tamtego poranka, kiedy Mitria podjęła tak nieodwołalne postanowienie wyjazdu, jego wiedza nieco

wzrosła. Pojawiły się w niej jednak równie znaczące luki. Grandini lubił myśleć. Snuł więc rozważania, obserwując jednostajne, choć malownicze krajobrazy pełne zielonych oliwkowych gajów, upstrzone rzadko rozsianymi budynkami z jasnego kamienia. Widoki kompletnie go nie interesowały, ale układał sobie w głowie coś w rodzaju listy niezrozumień. Szeregował je w piętrowe, hierarchiczne struktury i starał się poprzez odkrycie powiązań pomiędzy znanym i nieznanym wypełniać stopniowo białe plamy na mapie swojej wiedzy.

Jednego tylko stanowczo nie rozumiał. Zachowania Vereny. Nie wiedział, dlaczego tu jest. Podobnie jak on nie przeżyła grozy Zamku Cieni i nie rozumiała lęku tych, którzy w nim byli. Nie miała celu ani powodu, aby dokądkolwiek jechać. Nie rozumiał też, dlaczego trzy noce temu przyszła do niego, wśliznęła się pod pled i zaczęła energicznie rozpinąć mu koszulę. Wcześniej uwodził ją trochę, jak każdą piękną kobietę, ale bez nadziei na sukces, którego w gruncie rzeczy pragnął niezbyt mocno. W końcu miał pięćdziesiąt lat, czuł się doświadczony i zmęczony. A tymczasem ostre paznokcie przesuwają się po jego skórze, a czarne włosy, wciskające się w nozdrza, tamowały oddech. Stał na wysokości zadania i był z siebie zadowolony. Ale nie rozumiał.

Jego niezrozumienie wzrosło jeszcze, gdy następnej nocy przyszła znów. I następnej. Rano wysuwała się z jego ramion demonstracyjnie niewyspana, półnaga przechodziła przez obozowisko i rozsiadała się przy ognisku, czesząc poplątane włosy. Fionka odprowadzała ją zgorszonym spojrzeniem prawdziwej mieszczyki, Justin strugał jakieś patyki lub patrzył w przestrzeń, a Virbiowi krew omal nie tryskała z policzków. Czarodziejka najwyraźniej nic sobie z tego nie robiła. W ciągu dnia ostrożne umizgi Grandiniego traktowała chłodno, jakby dla podkreślenia, że traktuje go instrumentalnie. Zaczynał czuć się z tym głupio.

Obserwował. Na pytanie, czy będą ścigani, nikt nie udzielił mu jednoznacznej odpowiedzi. Jakby sami nie wiedzieli. Idiotyczne. Jednocześnie ich skupione, ściągnięte twarze i nieobecne oczy nosiły w sobie piętno lęku. Mitria przesiadywała przy nieprzytomnym Jardalu. Justin strugał swoje patyki, niekiedy tylko skrzydełka jego arystokratycznego nosa drgały nerwowo. Verena najczęściej spała na wozie albo w inny sposób ignorowała wszystkich. Virbio czyścił rynsztunek tak gorliwie, że wydawało się, jakby miał zamiar przedrzeć się na wylot przez blachę. Dziwki, które dziarska Fionka wzięła pod swoją komendę, nieudolnie brały się za gospodarowanie, to znaczy rozpalanie ogniska, gotowanie stawy i szorowanie kotła, który mieszczaneczka przezornie kupiła w pierwszej napotkanej miejscinie. Mała Bess próbowała szyć coś w rodzaju cywilizowanej odzieży dla olbrzyma, któremu jej starania były zresztą doskonale obojętne. Siadywał zwykle przy ogniu zupełnie nieruchomo, na skrzyżowanych nogach,

i nucił po cichu jakąś niemelodyjną pieśń. Nikt nie pytał, jaki jest cel podróży. Grandini, choć nie było to w jego stylu, dostosował się. Milczał.

*

Szelest. Szmer. Noc w wieży magów nie była podobna do żadnych innych nocy. Ani do gęstych, upalnych, prawie jasných nocy Tarrentu, pełnych zapachów kwiatów z tarasowych ogrodów i grania świerszczy, ani do chłodnych, gwiaździstych, otoczonych perłową aurą magii nocy z Emain Avallach. Ani do przypadkowych, podróżnych nocy w gospodach i na statkach, kiedy zapada się w ciężki, lepki sen, ściskając w spoconych dłoniach kuferek, zawierający tajemnicę.

Szelest. Szmer zsuwającej się na posadzkę sukni. Ona? Justin śni. Wyciąga ramię, które obejmuje smukłą talię. Dłoń dotyka jedwabistej skóry. Skóra jest ciepła. Czeka na dotyk marmurowych ust. Usta są ciepłe. Pełne nadziei. Czarne loki muskają go w ramię i opadają na twarz, tamując oddech. To nie jest jasny jedwab Jej włosów. Justin się budzi. Ramiona rozsuwają się gwałtownie. Fala ciepła opada.

Delikatnie bierze pled i otacza się nim, rozdzielając ją i siebie. Verena wstaje i narzuca suknię na posągowo piękne, nagie ciało.

– To nie... – próbuje Justin.

– Rozumiem. Oszczędź mi kłamstw.

– Nie rozumiesz.

– Ach tak. No dobrze. Niech więc będzie tak, że nie rozumiem. Tego również mi oszczędź.

Szelest sukni się oddala. Noc w wieży magów, po tej spędzonej w Zamku Cieni, nie jest podobna do żadnej innej nocy.

*

Mała Bess boi się. Właściwie nieustannie odczuwa strach, nie ma nawet chwili, w której ciemna dłoń przestałaby trzymać ją za gardło. Dlatego szyje. Drobne ruchy igły uspokajają. Nie ma odwagi wziąć miary z tego potężnego ciała, szyje na oko, powiększając tylko rozmiar odwzorowany na starej koszuli Grandiniego. Co jakiś czas rzuca spojrzenie spod oka na nieruchomą postać pierwotnego herosa. Cały czas słyszy jego monotony zaśpiew. On nie zna lęku. Jest wszystkim, czym ona nie jest, dlatego może tylko zerkać na niego tak, jak zagoniony zając spogląda na wspaniałego lwa, który mógłby go zmiażdżyć jednym machnięciem potężnej łapy. Ale tego nie uczyni. Jest wielki, łagodny i dobry. Mała Bess patrzy więc na niego z uwielbieniem i szyje tę

nieprawdopodobną koszulę, nie zwracając uwagi na złośliwe chichoty Gagi i Mimi.

*

Dłoń Jardala jest chłodna. Zawsze można było odczuć wokół niego drgania powietrza, lekkie uderzenia magii. Teraz znikły jak płomień zgaszonej świecy. Mitria opiera czoło na jego nieruchomym ramieniu. Jest potwornie, śmiertelnie zmęczona. Choć postronnym wydawać by się mogło, że potrafi wiele. Czuje soki płynące w drzewach, tory lotu ptaków po niebie i żyły minerałów ukryte w ziemi. Ale nie czuje Jardala. Jest jak martwy, choć krew w nim płynie, pierś unosi się płytkim oddechem, a źrenice lekko reagują na światło. Nie słyszy głosu, nie odpowiada na myśl. Czarodziejce udaje się czasem, dużym wysiłkiem, odrobinę go ogrzać. Skóra staje się lekko zaróżowiona, na parę chwil wstępuje w nią życie. Ale potem blednie znów. Jardal nie umiera, ale nieuchronnie zmierza wciąż na granicę śmierci i tam się zatrzymuje.

Mitria przemywa jego ciało, nakłada opatrunki, leczy. Na nadgarstkach, kostkach nóg, plecach i bokach Jardal ma paskudne otarcia i sińce, głębokie rany, dziury aż do kości. Ktoś go potwornie skrzywdził. Ktoś go więził i bił. Ktoś zadawał mu męki, rozciągał jego ciało, wbijał w nie najeżony kolcami wał, zamocowany pośrodku stołu do tortur. Czarodziejka zaciska szczęki. Być może ci, którzy to uczynili, zginęli na schodach od przypadkowych, chaotycznych ciosów Virbia. Zostali już ukarani. A jasnowłosa wojowniczką? Jaka była jej rola? Mitria ma plan, bardzo prosty, choć jego wstępna część może okazać się nad miarę skomplikowana. Kiedy już zdoła sprowadzić Jardala z powrotem, wróci do Zamku Cieni i znajdzie odpowiedź na każde pytanie, choćby miała wydobywać ją z kamieni. Jeśli będzie to wymagało wypełnienia zawartej z Grandinim umowy i wypędzenia tej upiornej książęcej kukły do wszystkich popapranych czartów, tym lepiej. A szczególne względy należeć się będą Machiavellowi Niccoli.

*

– O ile wiem, już niedaleko do Ugrii – odchrząknął Justin. Siedzieli przy dogasającym ognisku, obgryzając kości dwóch przepiórek, które po południu Gilgamesz zastrzelił z wykonanego przez siebie prymitywnego łuku.

Mitria skinęła głową. Siedzieli na leśnej polanie, położonej niedaleko gościńca. Zapadał coraz gęstszy zmierzch, w którym rosochate gałęzie dębów i rude pnie sosen tworzyły ciemniejące, ponure kształty. Las był w całym znaczeniu tego słowa mieszany, toteż liście zaścieniały go pospołu z kłującym igliwem i całym mnóstwem spadających co chwilę z głośnym pacnięciem

szyszek. Polanę otaczał gąszcz głogu i tarniny, tworząc trudne do pokonania zaskoki. Nieco w oddali rysował się biały kształt wozu, który nie był w stanie przebyć zbyt wąskiej dla niego ścieżki między drzewami.

– Za parę mil będzie Verit – odezwała się niespodziewanie Mimi i spłonęła rumieńcem, kiedy wszyscy na nią popatrzyli. – Miasteczko takie. Ot, tam. – Wskazała kierunek. – O zachodzie, nimeśmy z gościńca zjechali, widać było dachy.

– Verit – powtórzył Justin. – Potem Ugria... a później? Dokąd zmierzamy?

– Chwilowo byle dalej od Castelburga – odpowiedziała Mitria, nie odrywając wzroku od dogasających płomieni.

– Chwilowo? – wtrąciła się Verena, odrzucając bujne włosy z białych ramion.

– A co potem? Masz jakiś plan? Rozumiem twoją niechęć do uzewnętrzniania się, zwłaszcza że masz teraz własne problemy, ale po co, na boginię, powlekłaś je wszystkie – wskazała na dziewczki – ze sobą?

– Ty nie musiałaś jechać. – Rudowłosa zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem.

– A nasze młode przyjaciółki były w Zamku. Słyszeliście – zwróciła się do Justina i pozostałych – co powiedział Niccoli. Magia Cieni i luster będzie nas przyciągać. Nas wszystkich, którzy weszliśmy z nią w kontakt. My, czarodzieje, sobie poradzimy. Być może. One nie.

– Mnie tam się takie podróżowanie podoba. – Fionka wstała i dorzuciła kilka gałązek do ogniska. Zasycało i sypnęło iskrami. – Ino moskitów nadmiar zdecydowany. Jakiś czar antymoskitowy zdałby się, panie i panowie magowie.

Justin podniósł dłoń i posłał w powietrze mały punkcik światła, który rozproszył się jak kropla wina w szklance wody. Fionka wciągnęła powietrze.

– Ładnie pachnie owo czarowanie – westchnęła zachwycona. – Ech, dobrze byłoby magiczką być... Wszystko bym wtedy czarami robiła. Jenó palcami pstryknąć i już, i garki umyte, i podłoga zamieciona, i...

– Zapewniam cię, że to nie takie proste – przerwała jej Verena. – I na ogół nie służy przyziemnym celom. To było pierwsze zaklęcie antymoskitowe na świecie.

Złośliwy podtekst wypowiedzi najwyraźniej umknął uwadze Fionki, bo wybałuszyła na Justina oczy w niemym zachywcie.

– Podróżowanie może i rzecz miła – Grandini zdecydował się wrócić do tematu – choć swoje wady ma. Na ten przykład, o zachodzie słońca już rzyć uczciwie boli. Ale i cel podróży jakiś musi być. Chyba że za cel uznać włóczenie się od miasta do miasta. Byłaby to taka, jak to mówią, podróż edukacyjna. Jenó my w takiej nie jesteśmy. Nic nie wiem o Zamku Cieni – tu szpieg rzucił spojrzenie spod oka na Gilgamesza, który siedział u boku Mitrii nieporuszony, na skrzyżowanych nogach – jenó widać, że wieziecie ze sobą, pani, chorego

czarodzieja. – Skinął głową w kierunku wozu, na którym spoczywał Jardal. – Chcecie może jakiej rady szukać na jego niemoc? Gdzie?

Verena parsknęła krótko, Justin spuścił wzrok.

– Chcę jechać do Aurelianusa, do Xanty – odpowiedziała spokojnie czarodziejka. – Jeśli ktoś znajdzie jakąś radę, to on.

– Oho... Xanta piekielnie daleko. – Grandini westchnął teatralnie. – A domyślacie się może, pani Mitrio, co jest waszemu czarodziejowi?

Rudowłosa odwróciła głowę i zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń.

– Nie – powiedziała sucho.

Justin pochylił się i zaczął znowu w skupieniu skrobać sztyletem swój patyk. Od kiedy odkrył, że może robić brzechwy strzał dla Gilgamesza, zajęcie stało się nawet pożyteczne. Verena wbiła ostre paznokcie w ramię Grandiniego, ale szpieg rozochocił się już i nabrał chęci do dalszej rozmowy. Skoro raz odważył się przerwać milczenie, doszedł do wniosku, że nic nie traci. Perspektywa uzupełnienia luk w siatce jego wiedzy wydawała się bezcenna.

– A skoro już wspomnieliśmy o Zamku Cieni... Jak wiecie, pani Mitrio, jestem nim dość mocno zainteresowany. Rzekłbym, żywotnie. I rad bym się dowiedzieć, co czarodzieja w środku spotkać może. I zwykłego śmiertelnika takż.

– Jeśli nie musicie, panie Grandini, leżć do Zamku, to nie leżcie – wtrąciła się Fionka rzeczowym tonem mieszczki udzielającej praktycznej rady. – Jeśli owego księżęcego pomiotu pozbyć się chcecie, pošlijcie czarodzieja. A najlepiej kilku. A jeśli zwykłych ludzi, to nie strachliwych. – Wypięła dumnie pełną pierś.

Szpieg uśmiechnął się szeroko.

– Rad bym się dowiedzieć, czemu nie mam leżć. – Zmrużył filuternie oko. – Powiedzieliście, pani Mitrio, magia Cieni i luster...

Justin skończył oczyszczać kolejny patyk i krytycznie przyjrzał mu się pod światło.

– A więc dobrze – westchnęła Mitria. – Porozmawiajmy. Zdaje się, że wszystkim nam – albo prawie wszystkim – to się przyda. Grandini, po pierwsze chciałam wyrazić swoją wdzięczność za list z informacją o pojmaniu Jardala. Jeśli tego wcześniej nie uczyniłam, mam nadzieję, że usprawiedliwiają mnie okoliczności. Spodziewam się, że mi wybacysz.

Szpieg machnął ręką.

– Gdyby nie tamta wiadomość, która zastała mnie w Tir Taingiri – ciągnęła – być może dotarłabym do Castelburga za późno. Możliwe, że Jardal już by nie żył. Ktoś go torturował. Nie wiem dlaczego. Miało to coś wspólnego z waszym spiskiem albo i nie. Żałuję jedynie, że straciłam kolejne kilka dni na przygotowania. Mogłam – rzuciła okiem na dziwki i mieszczaneczkę, stłoczone

na rozłożonym na trawie pledzie niczym kurki na grzędzie – nie wciągać was w to wszystko. Żałuję.

– Gdzież tam, nie było tak źle – rzekła energicznie Fionka. – Dziewki także sobie poradziły.

Mała Bess skuliła się w sobie i spróbowała przysunąć bliżej, choć odrobinę bliżej do Gilgamesza.

– Naprawdę? – Mitria przyjrzała się im uważnie. – O to właśnie chciałam was spytać. – Zwróciła się w drugą stronę, w kierunku czarodzieja i odsuniętego w tył, opartego o pień drzewa Virbia. – O wasze wizje. Widzisz, Grandini – ciągnęła – Zamek Cieni zaskoczył nas czymś niezwykłym i okrutnym. Ale to, z czym musieliśmy walczyć, nie było zewnętrznym wrogiem, lecz odbitą w mentalnym lustrze projekcją jakiegoś elementu wydobytego z naszych własnych umysłów. Ja – wskazała na Gilgamesza – dostałam jego. Nie wiem, jakim cudem jeszcze ze mną jest.

– Na wszystkie demony pustyni! – Verena zerwała się i wycelowała w herosa wyciągniętą dłoń.

– Spokojnie. – Mitria powstrzymała ją gestem. – On nie jest szpiegiem ani tworem pana Zamku. Pochodził z mojej pamięci. Rozpoznałam go. Ale teraz stał się już chyba przede wszystkim sobą samym. Wiesz przecież, że to postać z bardzo pierwotnego mitu. Wykraczał poza moją indywidualną pamięć, więc w jakiś sposób mógł się urzeczywistnić. Jest żywym archetypem.

– Pamiętam... swój mit – odezwał się Gilgamesz głębokim, gardłowym głosem. Verena jednak nie usiadła. Cofnęła się tylko w półmrok, oparła o pień drzewa i obserwowała starożytnego wojownika spod przymrużonych powiek.

– Nie rozumiem tylko, co w tym strasznego. – Grandini klepnął się w tył łysiejącej głowy. Najwyraźniej zakłęcie antymoskitowe przestawało działać, bo zabił komara i roztarł go między palcami. – Panienska Fionka radzi mi nie leżć do Zamku, ty zaś wychodzisz stamtąd wyposażona w herosa z baśni, który cię chroni. Choćbym nie wiem ile patrzył, niczego w tym nie znajduję złego. Żadnego wroga do pokonania.

Mitria potarła czoło dłonią. Grandini zauważył, że ma cienie pod oczami, spowolnione reakcje, wykonuje chaotyczne gesty. Wyglądała, jakby bardzo potrzebowała snu.

– Wróg – powiedziała wolno – przypadkiem podarował mi przyjaciela. Ale ten sprzymierzeniec najpierw usiłował przekonać mnie, że powinnam się poddać, nauczyć się przegrywać. I mówił o... śmierci. – Przełknęła ślinę. – Jardala – dodała szeptem, jakby samo wypowiedzenie tego na głos mogło sprowadzić nieszczęście. – To było jakby... wydobył jeden z moich lęków, wyolbrzymił go, ładnie opakował i podał. Myślę – rozejrzała się po swoich towarzyszach, jakby

zbudzona ze snu – że powinniśmy opowiedzieć sobie nawzajem swoje wizje. Tylko to może nas wzmocnić i ochronić. Jak dotąd jedna Fionka okazała się dość wylewna.

– Jesteś pewna – odezwał się Justin, odkładając kolejny patyk – że to były tylko wizje? Gdzie się spotkałaś z Gilgameszem?

– W krainie umarłych. Płynęła tam rzeka i pachniało jabłkami.

Czarodziej i Virbio wzdrygnęli się niezauważalnie.

– Więc skąd pewność – w głosie Justina dało się słyszeć ledwie widoczne drżenie – że to nie była prawdziwa kraina umarłych? Przecież on – wskazał na herosa – tu jest. Skąd przekonanie, że nasze przeżycia nie były... prawdziwe?

– Daj spokój – parsknęła Mitria. – Kraina umarłych to mit. Wszyscy znamy opowieści o tym, że jeśli można się do niej dostać, to jedynie przez skaliste jaskinie Pustej Ziemi, po której wędrują bogowie. A w tamtych miejscach przestaje obowiązywać podział na logiczne i sprzeczne, prawdziwe i nieprawdziwe. Na pytanie o położenie krainy umarłych nie otrzymasz odpowiedzi. Ona jest tylko częścią zbiorowych wyobrażeń. Zależy od tego, czy wierzysz, czy nie. Ja, wybaczyć, nie wierzę, choć szanuję siłę wyobrażenia. Tym bardziej niemożliwe, żeby nasz miły Książę i jego świta przechowywali sobie wejście do niej wśród onirycznych luster swojego upiornego Zamku.

– A jednak... – w głosie Justina zabrzmiał bezbrzeżny smutek – jeśli mogły przenikać się wymiary...

– Chciałbyś tego – domyśliła się Mitria. – Spotkałeś ukochanego zmarłego czy zmarłą i pragniesz wierzyć, że to była prawda.

– On tu jest. – Czarodziej wskazał na Gilgamesza. – Emanacja twojego umysłu. Więc czemu nie miałyby być i Ona?...

Rudowłosa odwróciła głowę.

– Moim zdaniem to niemożliwe. Przykro mi – powiedziała cicho.

Inni też odwrócili wzrok. Grandini spojrział w stronę Vereny. Wzdrygnął się, gdy zobaczył zimny, skoncentrowany wyraz jej twarzy i spojrzenie wbite w Justina, jakby przebijała szpilą dołączanego do kolekcji owada.

Mitria zwróciła się z kolei do dziewcząt. Fionka radośnie podjęła się opowiedzenia swojej walki ze skorpionem po raz dwunasty i powtórzyła wszystko, dodając po drodze kilka malowniczych szczegółów.

– I tak zem ową jaszczurkę obcasem pizgła, że się na drobne kawałeczki rozpukła – zakończyła triumfalnie.

Zapadła cisza. Mieszczaneczka rozejrzała się po nieruchomych twarzach.

– Ale ono że takie straszne nie było, nie? – spytała.

– No dobrze – powiedziała cierpliwie Mitria. – A co spotkało was? – zwróciła się do Gagi i Mimi.

– Po co ty męczysz te biedne gąski – parsknęła Verena. – Nie widzisz, że zdaje się tylko tobie Zamek zafudnował pokusę łatwą i przyjemną? A do tego jaką przystojną... Po co ci to wszystko? Studia nad psychiką dziwki w zetknięciu z czymś, co ją przerasta? Nie dosyć już wycierpiały w imię twojej wyprawy, twojego ratowania Jardala i samej siebie?

– Dajcie spokój, pani – odezwała się Gaga. – Pani Mitria rzekła, że tamten węzowaty miał rację i że Zamek będzie nas wołał do siebie. Ja jej wierzę. Nas z Mimi nic strasznego nie spotkało, bośmy same z pułapki wyszły. Sztucznie ona była uczyniona, to i wyleźć się dało. Byłyśmy kiedyś u takiej burdelmamy zatraconej, co to nam makowe ziele palić kazała i tańczyć przy bębnach. A klienci także owo ziele bez ustanku z takich bulgoczących fajek wdychali. Tam nas wyniosło, ale ja wyrozumiałam, że owa burdelmama sztuczna jest. Inaczej bym jej chyba ten batog wyrwała i tańcować kazała aż do świtu, każde potknięcie na gołej dupie znacząc.

– Zuch dziewczyna! – Grandini poklepał się po udach z uciechy.

– Naprawdę miałyście tę samą wizję? – Mitria zwróciła się do Mimi, która tylko przytaknęła ruchem głowy. – A ty? – Czarodziejka spojrzała na zwiniętą w rogu pledu Małą Bess. – Nie robię na was żadnych eksperymentów – powiedziała smutno. – Nie zamierzam ciągnąć was ze sobą wbrew waszej woli. Żadnego z was. Ale na razie nie możecie wrócić do Castelburga. Nie chcę, żeby Zamek Cieni was skrzywdził.

– W chałupie byłam – mruknęła Mała Bess, skubiąc rąbek spódnicy. – Rodzinnej mojej. Podłogi pomywałam, sprzęty czyściłam. Matuli mojej ani rodzica nie było. A potem wszystko takowym zwierciadłem się powlekło i przy was się z powrotem znalazłam.

Czarodziejka zastanowiła się przez chwilę, ale o nic nie zapytała.

– Dobrze. Więc została nam ostatnia osoba. Virbio, czy mógłbyś się z nami podzielić... – zwróciła się w stronę gęstego mroku pod drzewem, gdzie ukrył się chłopak.

– Nie. To znaczy nic. Nic mnie nie spotkało, nie miałem żadnej wizji. Zaraz po nadejściu mgły mocno zasnąłem i obudziłem się dopiero słysząc wasze głosy – powiedział szybko.

– Dziwne. – Zastanowiła się czarodziejka. – Czy jesteś pewny, że...

– Verena ma rację, Mitrio – wszedł jej w słowo Justin. – Daj spokój.

Mrok zgęstniał już na tyle, że prawie ukrył ich twarze. W ciemności rozległ się głos Fionki:

– Panie magu, owo zaklęcie antymoskitowe zdałoby się mocniejsze, bo pod wieczór okrutnie gadziny kąsają...

Grandini przesuwiał w myślach kolejne kostki informacji i zgrabnie układał je we właściwych miejscach, uzupełniając swoją myślową mapę. Zdawało mu się prawie, że przy każdym kolejnym ruchu słycać ciche szczęknięcie.

*

Drzewa istniały. Jardal obudził się w gęstym, zielonym cieniu. Było mu dobrze. Trawa, w której leżał, sprawiała wrażenie naturalnego posłania, tak była miękka, elastyczna i nienatrętna. Światło przeświecało ukośnie przez pnie, dając miłe, idealnie przyjemne ciepło. Chwilę trwało, zanim rozwarł powieki i przypomniał sobie, gdzie jest. A także fakt, że niczego nie pamiętał. Następną chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że nic się w tym świecie nie zmieniło. Nie wiedział skąd, ale miał niezachwianą pewność, że ukośne promienie światła, sugerujące wczesny wieczór, trwają tu cały czas. Cisza zaczynała lekko dźwięczeć w uszach. Nieważne, jak długo pozostawałby w uśpieniu. Kiedy się obudzi, wokół będzie ta sama pora dnia, ta sama niezmienna godzina.

Lys siedziała tym razem na brzegu sadzawki, bawiąc się rozpryskiwniem wody palcami stóp.

– Lepiej? – zapytała, nie patrząc na niego. Jakby miała oczy z tyłu głowy.

Nie odpowiedział. Nie miał bladego pojęcia, co powiedzieć.

– Nie przypomniała ci się choćby pierwsza litera twojego tutejszego imienia?

– Odwróciła się i przewierciła go spojrzeniem złych zielonych oczu, w których tańczyły figlarne ogniki.

– Nie. – Ukląkł na brzegu, zanurzył dłonie w wodzie i obmył twarz. Podwinął rękawy koszuli i pomyślał, że chciałby wykapać się w wodzie. Koszula. Nagle do niego dotarło. Spodnie i koszula. Poprzednio ich na sobie nie miał.

– Niedobrze. – Lys też to zauważyła i ułożyła usta w wąski dzióbek. – Ubranie z tamtego świata.

– Co to znaczy? – zapytał.

– To samo, co poprzednio – odpowiedziała, wciąż chlapiąc się w jezioru. – Coś cię tam trzyma. Tu nie masz... kontekstów. Tak naprawdę powinieneś być nagi – zmrużyła łobuzersko oko.

– Więc fakt posiadania przeze mnie ubrania oznacza, że chcę wrócić do tamtego świata? – zapytał rzeczowo, po raz kolejny ignorując jej zalotny ton. – Albo że ktoś stamtąd... ona, Mitria... wzywa mnie? Nie pozwala mi odejść?

– Znow się popisujesz znajomością tamtego imienia. – Wydęła usta w podkówkę. – Twoja droga do uzdrowienia jest jeszcze bardzo daleka.

Zacisnął szczęki, odwrócił się i pomaszerował w stronę lasu.

– Zaczekaj! – zawołała za nim. – Czekać, mówię ci! Cóż to, do wszystkich demonów, obraźliki jak mały chłopiec. Stój! Nie poradzisz sobie beze mnie!

Jardal zatrzymał się, a potem powoli odwrócił.

– Nie poradzę sobie, powiadasz. A kim ty właściwie jesteś, Lys? I dlaczego zamiast skoczyć na kolejną wyprawę do jakiegoś interesującego świata przesiadujesz sobie w moim Międzyświecie? Nie nudzi ci się? Spałem chyba dość długo.

– Tu czas nie istnieje – odpowiedziała szybko. – I to nie jest wyłącznie twój Międzyświat. Już ci mówiłam, że my, Wędrowcy, czasem się spotykamy. Zdarza się nawet, że wyruszamy na swoje wyprawy razem – dodała z nadzieją.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Kim jesteś?

– Nikim – wzruszyła gładkimi ramionami. – Zwykłym Wędrowcem, który chwilowo ma dość. I godzi się na to, żeby ci bezinteresownie pomóc. Bo bez swojego imienia i pamięci jesteś tu bezbronny jak dziecko. – Podeszła tak blisko, że prawie dotknęła jego kolan swoimi.

– Skąd tyle bezinteresowności? – zadrwił, usuwając się w bok.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Mogłabym cię bardzo wiele nauczyć... – Znów wygięła się zalotnie, uważając pilnie, żeby jej skąpa tuniczka odpowiednio się rozchyliła. – Nie podobam ci się?

– Ależ podobasz. Ale, jak by to rzec, nie budzisz we mnie zainteresowania. Wybacz. Chwilowo mam większe problemy.

Znów nadąsała się dziecinnie, a Jardal czysto fizjologicznie poczuł, że owszem, mogłaby wzbudzić w nim pewne zainteresowanie. Ale rzeczywiście miał większe problemy. W obliczu braku wspomnień wszystkie odczucia doznawane w obecności Lys pryskały jak sen. Jej złe zielone oczy przeszły go, kiedy odwrócił się i spokojnie poszedł przed siebie.

*

Ciemna sylwetka Gilgamesza rysowała się na tle równie ciemnego lasu jak granitowy posąg. Dogasające ognisko żarzyło się w mroku, wypełniając powietrze zapachem dymu i sosnowych gałęzi. Mitria wysliznęła się z wozu i cicho usiadła pod drzewem, opierając plecy o pień. Zaplotła ręce wokół kolan. Gdzieś daleko huczały sowy.

– Co z nim? – zapytał cicho Gilgamesz. Jego ciepły gardłowy głos zabrzmiał w ciszy jak delikatny grzmot.

– Nie wiem. – Czarodziejka ciaśniej oplotła się ramionami. – Nie mam pojęcia. Udaję, że wiem, co robię i dokąd idę, ale tak naprawdę zupełnie nie wiem, co mam robić. Niepotrzebnie ciągnę ich wszystkich ze sobą.

– Skoro nie wiesz nic, rób cokolwiek. Ja zawsze w takich chwilach wznosiłem jeszcze wyżej mury mojego miasta i pokonywałem potwory. Nie powiem, żebym

stał się od tego mądrzejszy.

Mitria wpatrzyła się w jego profil. Znów, jak tam, na brzegach rzeki umarłych, odniosła wrażenie, że nie wie, z kim rozmawia – z człowiekiem czy z kamiennym posągami bohatera. Stał zupełnie nieruchomo, opierając się o pień drzewa. Głowa lekko pochylona. Ramiona opadające swobodnie. Lewa noga wysunięta i zgięta w kolanie. Bez najmniejszego drżenia, prawie bez ruchu ust, gdy mówił.

– Pamiętasz moment, kiedy otworzyłeś drzwi i znalazłeś się naprzeciw mnie?

Lekki pomruk potwierdzenia.

– Co było wcześniej? Pamiętasz? Skąd się tam wziąłeś?

– To nie są dobre pytania, Mitriyah.

– Może. Ale odpowiedz.

– Nie wiem. Otworzyłem drzwi i znałem właściwe słowa, którymi powinienem się do ciebie zwrócić.

– Mówiłeś, że pamiętasz swój mit.

– Tak. Pamiętam każdy szczegół. Wyniosłe mury Uruk. Drwiącą boginię Innanę. Enkidu, mojego drogiego Enkidu, który stawał się człowiekiem i zdrapywał z siebie zwierzęcą sierść. Swoją wędrówkę przez puste ziemie i gorzkie wody. Ludzi-skorpiony. Słoneczny rydwan boga Szamasza. Wszystko. I pamiętam własną śmierć. I długie, puste równiny państwa umarłych, na których przez stulecia szukałem Enkidu. Daremnie, bo go nie znalazłem. Każdy ma własną śmierć, Mitriyah.

Nie poruszał się. Głos ledwie wydobywał się zza kamiennych warg, ale był jak ciche brzmienie burzy.

– Wiesz, że milczenie też może być kłamstwem? Nie o to chciałaś mnie zapytać.

– Nie o to – szepnęła czarodziejka. – Ty... znasz moje myśli, prawda?

Skinął głową. Profil drgnął na tle ciemnego lasu.

– Więc wiesz...

– Wiem. Ale nie lękaj się. Twoje myśli są we mnie bezpieczne. Widzę je i czuję, ale nie mają kształtu słów.

– Ale...

– Rozumiem, że ich wszystkich okłamałaś. Że bardzo dobrze wiesz, co dolega Jardalowi.

*

Góry majaczyły w oddali, odległe, nieruchome, obce i mgliste. Wznosiły się ponad zieloną gęstwą lasu niczym zębata grań lodowatego błękitu. Las tonął w rozmytym świetle wiecznego świtu lub zmierzchu. I było cicho, absolutnie

cicho. Na pozbawionym drzew szczycie wzgórza, na którym stał Jardal, wiatr bezszelestnie pochylał żółtawe trawy.

– Dokąd idziesz? – Czarnowłosa Lys o złych zielonych oczach dogoniła go, walcząc ze zbyt krótkim oddechem. Wiatr poruszał jej skąpą tuniką koloru szafranu.

Nie odpowiedział. Wskazał głową.

– Nie rozumiesz, że wędrowka dokądkolwiek nie ma sensu?! – wykrzyknęła.
– To jest Międzyświat. Stąd pochodzimy my, Wędrowcy. Ale tu niczego nie ma. Nie zauważyłeś, że nie potrzebujesz tu jeść? Ani spać, jeśli nie masz na to ochoty. Jesteś tu tylko umysłem. Równie dobrze możesz usiąść gdzieś i spróbować się skoncentrować. Jest tylko jedna rzecz, którą musisz sobie przypomnieć. Twoje imię. Tutejsze, nie tamto. A zapomnieć...

Odwrócił się gwałtownie. Jego oczy miały iskry.

– Przypuszczam, że istotne jest, co chcę, a czego nie chcę pamiętać – wycedził przez zaciśnięte zęby. Parująca z niego złość aż sparaliżowała Lys. – A jak na razie znacznie bardziej chcę przypomnieć sobie tamto, a nie tutejsze imię. Nie wiem, czemu tak jest, ale to jedyne, co w tej chwili mam. Nie próbuj mi tego odbierać. Nigdy więcej.

*

– Więc to jest Verit – powiedział Justin, próbując objechać koniem ogromną, wydzielającą woń gnojówki kałużę, rozpościerającą się pomiędzy opłotkami. Żywy zaparskał, zatańczył, przysiadł na zadzie i przeskoczył jak przez przeszkodę, trafiając kopytami pomiędzy stadko kur, które, jak to kury, zaczęły ganiać w kółko, gdacząc w panice. Ogier zatruchtał w miejscu, najwyraźniej nic sobie z tego nie robiąc.

– Jak widać – mruknął Grandini. Faras Mitrii powtórzył manewr, zgrabnie kończąc skok pomiędzy kuprami przerażonego drobiu. Za nimi ospała kasztanka Virbia przebrodziła kałużę, nie zwracając na nią większej uwagi. Powożony przez Grandiniego wóz wrył się ciężko w grząski grunt, niemal zupełnie tarasując przejazd. Zbliżający się z przeciwka woźnica bluznął przekleństwami, ale musiał przeczekać, aż szpieg przeprowadzi pojazd przez wąskie gardło stłoczonych drewnianych parkanów. Zamilkł zaś na widok masywnej postaci Gilgamesza, który szedł sobie spokojnie z tyłu, odziany w szeroką, nieco bezkształtną, przewiazaną skórzanym pasem szafirową tunikę, zmajstrowaną przez Małą Bess. Na nogach miał sznurowane na krzyż sandały. U pasa nosił sztylet, a przez plecy przewiesił duży, prymitywnie wyglądający łuk. Jasne włosy, splecione w drobne warkoczyki, opadały mu na kark.

Do gospody trafili bez problemu. O tej porze dnia było w niej dość pusto. Karczmarz o kaprawych ślepiach brudną ścierką przecierał gąsiorek pełen wielce mętnej cieczy. Odór kwaśniejącego piwa zniechęcał. Krzywo osadzone, próchniejące drewniane drzwi skrzypiały niemożliwie przy wchodzeniu, a przez błony w oknach sączyło się zaledwie odrobinę światła. Zresztą i oglądać nie było co. W kącie jakiś dziadek o wzroku nieskażonym myślą żuł coś pracowicie, a cycata dziewczka z zakasanyimi rękawami szarawej koszuli niemrawo szorowała stoły popiołem.

Grandini podszedł do szynkwasu i położył na nim ciężko swoją tłąstą, upierścienioną dłoń. W palcach błysnęła mu srebrna moneta.

– Obroku dla koni – rzekł. – A dla ludzi wina zacnego zdałoby się, choć wątpię, czy takowe posiadasz. I żarcia.

Karczmarz skwapliwie zgarnął monetę i przywołał pacholika, któremu nakazał burkotliwym szeptem zmykać do stajni i zająć się robotą. Cycata dziewczka zniknęła w pomieszczeniu za szynkwasem, a następnie wynurzyła się stamtąd z dzbanem wina i glinianymi kubkami, które niedbale szurnęła po stole. Gospodarz wymamrotał, że na wieczerzę przyjdzie im jeszcze trochę poczekać, bo wieprzek dopiero ubity i nad ogniem ledwie zaczął się obracać. Polewki natomiast wczorajszej tak dostojnej kompanii nie radzi. Na odwieczerz dopiero ściągną panowie szlachta przejezdni i tutejsi włościanie, bo w rynku dziś ludno. Tarrenckiego szpiega mają wieszać.

– Jakiego... szpiega? – Justin zakrztusił się, co na karczmarzu, znającym widać jakoś własnego wina, nie zrobiło specjalnego wrażenia.

– Tarrenckiego – powtórzył. – Niemożliwe, żebyście, panie rycerzu, o Tarrencie nie słyszeli. O mocarstwie owym wszetecznym, co gdyby nie góry, co nas od niego oddzielają, dawno by bruki swoje z naszych łbów poczyniło. Przecieście w świecie bywali.

– Za to wasze bruki w Tarrencie nie zdałyby się nawet chłopu do budowy murowanego chlewu. – Czarodziej zmełł w ustach ciche przekleństwo.

– Zamknij się, Justin – powiedziała zimno Verena – i nie częstuj nas swoim arystokratycznym poczuciem wyższości. Bo nas tutaj wszystkich przy tobie wezmą za tarrenckich szpiegów.

Mitria zsunęła z głowy kaptur, pozwalając złotorudym lokom rozsypać się po plecach.

– Dlaczego to, dobry człowieku – zapytała – Tarrent miałby szpiegów wysyłać do tej zapowietrzanej wioski? I kto ich niby miałby tu zdemaskować? Nie jest przypadkiem tak, że pospólstwo, ofiarę jakąś sobie upatrzwszy, zaczęło swoje amatorskie sądy?

Karczmarz ruszył wąsiskami niczym ogromny karaluch.

– Ja tam nie wiem – burknął. – Jeno wielmożnemu państwu nie radzę w nie swoje sprawy delikatnych rączek pchać.

Skrzydełka nosa Justina Ferna poruszyły się nerwowo. Dłoń odruchowo poszukała rękojeści miecza.

– Zostaw – mruknęła Mitria, chwytając go za nadgarstek. – Przejdziemy się tam. Zobaczymy. Też jestem wielce ciekawa tych tarrenckich szpiegów.

– A twój kochanek, Mitrio? – rzuciła ironicznie Verena. – Zostawisz go na pastwę losu, na wozie, na dziedzińcu prowincjonalnej karczmy? I pójdiesz ratować świat?

Rudowłosa odwróciła się i zmierzyła Verenę długim, bezlitosnym spojrzeniem. Po czym musnęła lekko ramię Gilgamesza i skierowała się ku wyjściu. Grandini westchnął ciężko i poczłapał za nią. To samo po namyśle uczynili wszyscy inni. Czarnowłosa czarodziejka została sama.

Verit okazało się miściną małą, brudną i przygnębiającą. Pomiedzy domostwami, których dachy reperowano wiązkami byle jak upchanej słomy, kręciły się gromady niedomytych dzieciaków o dużych, smutnych oczach, i watahy zabłoconych psów. Chude kobiety pielęgnowały zachwaszczone przydomowe ogródki albo rozwieszały na sznurach szarawe pranie. Drewniane płoty miały tendencję do przechylania się w jedną lub drugą stronę.

Mieścina, przynajmniej architektonicznie, nie miała żadnych tajemnic. Z łatwością odkryli logikę wąskich, wypełnionych kałużami i ściekami uliczek. Wszystkie prowadziły do centralnego, równie błotnistego placu, szumnie zwanego rynkiem. Na jednym jego końcu kilka straganów, na których sprzedawano gliniane garnki, drewniane łyżki, końskie rzędy oraz piwo i miód, tworzyło imitację targowiska. Grandini splunął jak przeciw złym mocom.

Na środku owego rynku ustawiono niedbale sklecony z desek szafot, na którym widniała ponura konstrukcja o kształcie szubienicy. Wokół zgromadził się spory tłumek. Na stopniach szafotu stał młodzieniec przypominający łasicę, odziany w zdekompletowany i wytarty strój miejskiego pachółka. Trzymał w ręku zwój pergaminu i sylabizował z niego z namaszczeniem, a zgromadzony wokół lud przytwierdzał jego słowom głośnym szemraniem.

Mitria rozejrzała się wokół. Baby, które po drodze widzieli, porzuciły plewienie ogródków i zakasawszy spódnice, podążyły na plac. Zgromadzili się tu chyba wszyscy mieszkańcy miasteczka.

Pod szafotem stał pulchny, jasnowłosy młodzieniec, ubrany w białą szatę skazańca. Ręce miał skrępowane za plecami. Dygotał jak liść na wietrze. Jego czuprynę koloru słomy rozwiewał wiatr.

– ...i tak oto... tego tu... gdyż niechęć ogólną Wolnym Miastom naszym i szpiegostwo wstrętne względem wszetecznego Tarrentu jemu udowodniono...

skazuje się wyrokiem prawomocnym... – mamrotał miejski herold, a pospólstwo przywtarzało mu entuzjastycznymi pomrukami.

– Jakież on szpieg – jęknął Justin. – Do trzech zliczyć nie umie... Ofiara małodusznego zadufania w sobie panów radców i małomiasteczkowych przesądów.

– To oczywiście. – Mitria wbiła mu paznokcie w ramię. – Ale pohamuj się trochę. Małomiasteczkowe przesady mają siłę, o której nawet nam się nie śniło.

Herold doczytał wyrok do końca i ustąpił miejsca czarno odzianemu katu, który brutalnie chwycił jasnowłosego młodzieńca za kark i pociągnął go na szafot. Tamtemu uginały się nogi, a podbródek drżał w niemym, histerycznym szlochu.

– Toż to Janto! – zakrzyknęła nagle Mimi. – Żaden z niego szpieg z Trentu czy innego Targentu, to Janto z Ugrii!

– Znasz go? – Czarodziejka szarpnęła dziewczynę za ramię i zajrzała jej w oczy. – Możesz to potwierdzić?

Mimi skinęła głową i zarumieniła się po same uszy. Mitria, działając zupełnie bez namysłu, uniosła dłoń i posłała w kierunku szafotu wiązkę liliowego światła, od którego szubieniczna pętla zajęła się błękitnym ogniem. Tłum zafalował, westchnął i jęknął. Młodzieniec prowadzony przez kata osunął się na kolana.

Wokół nich nagle zrobiło się miejsce. Dość dużo miejsca, zważywszy, jak zapchany był ten niewielki placyk. Virbio zasłonił sobą kobiety i położył dłoń na rękojeści miecza. Z tłumu nagle wyrwał się ubrany w brudną, poszarpaną czarną szatę kapłan. Wspiął się na szafot i wyciągnął przed siebie w kaznodziejskim geście rękę ze wskazującym palcem zakrzywionym niczym szpon.

– Widzicie! – zaskrzypiał. – Czarownicy, pomiot wszeteczny, w sądy nasze już się wtrącają! A może i oni są szpiedzy, co prawdopodobne wielce, jako że rodzajowi ludzkiemu z natury są przeciwni! Oni w swoich wieżach czarostwo i rozpustę wszelaką uprawiają! Oni płody wyjmują z niewieścich żywotów!

– A pewnie i zaplatają koniom warkoczyki – mruknął Justin. – Z tą rozpustą to świątobliwy minimalnie przesadził.

Tłum szemrał i kręcił głowami, nie wiedząc, czy gapić się na kaznodzieję, czy też na grupkę stłoczonych razem, dostatnio odzianych postaci. Pod skazańcem, o którym chwilowo zapomniano, ugięły się nogi, więc usiadł na brzegu szafotu. Kat stał z boku z opuszczonymi po bokach łapskami niczym bezużyteczna kukielka, której ktoś odciął sznurek. Sytuacja najwyraźniej intelektualnie go przerosła.

– Oni to, zapowietrzone nasienie demonów chaosu, ludzi uczciwych wrogiem są przyrodzonym – darł się dalej kapłan, opluwając sobie brodę. – Dekokty

smrodliwe warzą a zdradliwe jady, uroki czynią, by niewinnych do swej chuci i wykonywania swych rozkazów tajemnych zniewolić...

– Sugeruję zmienić otoczenie – szepnął Justin z flegmą prawdziwego arystokraty.

Mitria odsunęła Virbia i wystąpiła naprzód.

– Kto sprawuje wasze sądy? Kto wydaje wyroki? – zawołała dźwięcznym głosem.

Tłum zaszemrał. Ktoś próbował odpowiedzieć, ktoś inny splunął pod nogi. Jeszcze ktoś sięgnął po kamień, który ze świstem przeciął powietrze i uderzył czarodziejkę w skroń. Dziwki zapiszczały. Mitria obtarła krew dłonią i zrobiła kilka kroków w kierunku tłumu. Przesunęła wzrokiem po skołtunionych łbach. Wpatrzyła się w rybie, bezmyślne oczy.

– Widziałeś kiedyś Tarrentczyka, dobry człowieku? A ty? A może ty? – spytała, wyławiając poszczególne twarze z tłumu. – A może ty mi powiesz, gdzie leży Tarrent? Nie, nie wystarczy wskazać dłonią, tym bardziej, że to zupełnie nie tam. Tam leżą Wolne Miasta. Więc może kto inny powie, gdzie ten zapowietrzony Tarrent właściwie jest? Bardzom ciekawa. I z jakiej racji cesarz tegoż Tarrentu, który siedzi sobie setki mil stąd, w złotym pałacu i na złotym tronie, miałby pofatygować się, aby wysłać swojego szpiega do waszej zawszonej wioski? Nie wiecie?

Kapłan próbował ją przekrzyczeć, ale lud, gnany ciekawością, zaczął skupiać się wokół Mitrii i święty mąż wkrótce został bez publiczności. Za to pierwsze rzędy, na które czarodziejka kierowała swój przenikliwy wzrok, za wszelką cenę starały się choć trochę wtopić w otoczenie, co spowodowało nieobliczalne w skutkach przepychanki i wzajemne rozdeptywanie się, z charakterystycznymi odgłosami.

– Jak często wasz władcyka tu zagląda, dobry człowieku? – kontynuowała czarodziejka, zwracając się do jednego z gapiów.

– Ano... będzie raz na dwa roki. Albo i ze trzy – podrapał się w głowę starszek wyposażony w jeden, za to imponujących rozmiarów ząb.

– Co też gadacie, będzie ze cztery – zaprotestowała otyła jejmość z umorusanym chłopaczkiem czepiającym się jej fartucha.

– Skoro więc – Mitria podniosła głos – wasz własny władcyka ma was w końskim zadku, dlaczegóż miałby się wami przejmować cesarz Tarrentu? Co mu zrobicie? Naplujecie do gulaszu czy nadmuchacie do kaszy?

Jakiś mieszczanin, otyły i dość zamożnie odziany, parsknął serdecznym, szczerym śmiechem. Stłoczeni za nim jegomości zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę. Po łańcuchach z pieczęcią, zawieszonych na szyi, czarodziejka

rozpoznała w nich rajców miasteczka Verit. Patrzyli pod nogi i drapali się po głowach, najwyraźniej od dawna nieczesanych.

– Kiedy my... za radą męża świątobliwego taki wyrok wydalim – bąknął jeden, oglądając się za siebie, jakby w nadziei, że ktoś go wesprze. Nadzieja okazała się płonna.

Świątobliwy mąż zamilkł już, rozczarowany brakiem zainteresowania, ale nadal sterczał bez sensu na szafocie, obok równie czarnego i ponurego kata oraz skazańca, który, drżąc, kulił się u stóp szubienicy.

Mitria nie skomentowała. Rozejrzała się tylko bacznie po twarzach, na których konsternacja walczyła o lepsze z zaciekawieniem.

– Ludu Verit – odezwała się głośno – oskarżonego należałoby najpierw wysłuchać. Dowiedzieć się, skąd, kiedy i w jakim celu do was przybył. Skazywać kogoś bez sądu to rzecz bardzo śliska i nieładna. A gdyby tak was to spotkało? Przybywacie, powiedzmy, do Ugrii, odwiedzić siostrę i swaka, a tu łapią was, oskarżają o szpiegostwo na rzecz verdyjskich kupców czy też piratów, o których w życiu całym nie słyszeliście, i od razu wiodą na szafot, by powiesić. Nie pytając o imię ani pochodzenie. Ten młodzieniec – czarodziejka odrzuciła na plecy rude włosy i teatralnym gestem wskazała w kierunku szubienicy – przybył z sąsiedztwa. Jest tu ktoś, kto może zaświadczyć, że to Janto z Ugrii. Nic złego nie zrobił. Nie popełnił żadnego przestępstwa, oprócz tego, że tutaj nie mieszka. A wy go bez sądu skazaliście na śmierć.

– Ojcowie miasta – zagrzemiał patetycznie kapłan – wszeteczna czarownica sądom waszym przeciwstawia się! Rządzić chce! Tarrenckie albo i wiedźmie władanie w waszym szacownym grodzie wprowadzić!

– Po prawdzie – jeden z rajców splunął zamasyście – to czas by już położyć kres rządóm waszej świątobliwości.

– Jeśli ten junak naprawdę z Ugrii, to iście ośmieszylił się – stwierdził drugi.

– Czarniawy zapewniał, że z taką czupryną jasną i ślepiami wodnistymi to on musi być tarrenckie nasienie. Albo chociaż mieszaniec przeklęty, który ze swoimi skumał się.

Justin parsknął. Kapłan zadarł czarną szatę, skuśtykał ze schodów szafotu i zaczął przepychać się pośpiesznie przez tłum, rozdając kuksańce chudymi łokciami. Dopadł do nich i stanął, sapiąc, plując i wytrzeszczając przekrwione oczy, które ziały nienawiścią.

– Strzeżcie się – zasyczał – wy, którzy śmiecie podważać porządek, zadekretowany przez władców Pustej Ziemi. To oni ustanowili kapłanów, którzy mają trzódkę paść, a w radach swoich nieomylni są. Jeśli...

– Udowodnij swoją nieomylność – wtrącił zimno Justin – bo zdaje się, że zwykła się mylić. Powiedz mi, nieomylny kapłanie, skąd pochodzę?

– Jako podróżujący z czarownicą i magią się parający jesteście synem pierwotnym chaosu! Plugawym i wszetecznym! – rozdarł się posłaniec bogów.

– Poza wszystkim innym, też jestem magiem – Justin zmrużył oczy. – A skoro magowie bywają tacy niebezpieczni...

Kapłan, dla którego najwyraźniej robienie podobnych przedstawień było chlebem powszednim, obrócił się dookoła. Przeszywał swoje owieczki palącym, nawołującym do upamiętania spojrzeniem, ale napotkał niespodziewany opór. Nikt nie padł na kolana, by wyznawać grzechy. Mieszkańcy Verit w milczeniu wbijali wzrok we własne stopy, w plecy sąsiadów albo w ściany obskurnych budowli dookoła placu.

– Skoro tak – kapłan uśmiechnął się chytrze, a jego przekrwione oczka zapłonęły – to musicie też szanować prawo. Wiedzieć wam trzeba, że wyrok, raz wydany, spisany i pieczęciami rady miejskiej opatrzony, prawomocny jest i cofnąć go nikt nie zdoła.

– Prawda jest – westchnął jeden z rajców, ten, który uprzednio zgodził się z Mitrią. Kapłan potoczył wkoło triumfalnym wzrokiem.

Wtedy przed oczy tłumu nagle wystąpiła Mimi. Śmiało, z podniesioną głową. Uniosła w górę rąbek czerwonej sukienki przewiązanej wąskim jedwabnym paskiem.

– Jest u nas zwyczaj – powiedziała – że jeśli skazanego dziewczka jakowaś godzi się poślubić, kara jemu darowana jest.

– Iście, był obyczaj taki – zgodził się dobroduszny rajca. – Dawno niepraktykowany. Jeno skąd ci, dziecko, o tym wiadomo?

– Pochodzę stąd, z Verit. – Mimi zaczerwieniła się po cebulki włosów. – Jestem Aminta, córka Gryzeldy kramarki. Wychowałam się przy Oślim Zaułku.

I zwróciwszy się w kierunku szubienicy, przemaszerowała przez tłum, który się przed nią rozstępował. Wspięła się na szafot, wyciągnęła białą batystową chustkę i, nakrywszy nią głowę skazańca, zawołała na cały głos:

– Mój ci on!

Tłum na placu zafalował i zaszemrał.

– Nie ważcie się wyroków boskich ludzkimi obyczajami kalać! – wrzasnął kapłan, znowu opluwając sobie brodę.

– Prawa jest, jej ci! – krzyknął pojedynczy głos.

– Jej ci jest! – przywtórzyli inni.

Rozsądny rajca wzruszył ramionami.

– Nie sierzście się, wasza świątobliwość – powiedział – bo wasze prawo nie jedyne. Przeciwno innym prawom nic nie wskóracie. Może być, że bogowie mają inne zdanie, ale oni chyba nie bardzo się rozumieją na ludziach.

Mimi, tuląc głowę wybranka w pulchnych ramionach, została razem z nim zdjęta z szafotu i triumfalnie poniesiona do gospody. Biała chustka zsunęła się, ukazując oszołomioną i nad wyraz głupią minę niedoszęłego skazańca. Kapłan zamachał rękami i zamilkł, świadom porażki. Zmierzył rajców nienawistnym spojrzeniem, pogroził im uniesionym w górę palcem, zebrał poły poszarpanej czarnej szaty i odmaszerował. Rozsądny rajca splunął za nim na ziemię.

*

W gospodzie podchmielony tłumek radośnie śpiewał weselne i zrękowinowe pieśni, trącając się kuflami tak entuzjastycznie, że piana pryskała na boki. W samym środku stołu, na prowizorycznie skonstruowanym podwyższeniu z poduszek, siedziała młoda para – ocalony Janto i zarumieniona Mimi w przekrzywionym wianku splecionym z tego, co się akurat znalazło w ogrodzie, czyli między innymi z chmielu i zielonych gałązek pietruszki. Czerwone policzki i mętne spojrzenie pana młodego zdradzały niejedną osuszony kufelek. Mieszkańcy Verit próbowali zgodnie po każdej zaśpiewanej pieśni – a niekiedy po każdej zwrotce – wychylić swoje kufle do dna. Początkowo szło im chwacko, ale teraz co poniektórzy niezupełnie już trafiali do gęby.

– Mojaś ty, Aminto? – wybełkotał Janto, próbując skoncentrować wzrok na narzeczonej.

– Twoja – wyszeptała Mimi, pochylając się i skubiąc rąbek czerwonej sukienki. Jej policzki zaróżowiły się jeszcze silniej.

– Jam ciebie zawsze... hik... miłował – wyznał pyzaty młodzieniec. – Nawet wtedy, kiedyś znikła tak nagle, prawie jechał cię szukać. – Przerwał, by nabrać oddechu. – A to pewne jest, że wtedy przez jakie cztery niedziele całkiem chodziłem struty. Mówię ci. Hik...

Mimi milczała skromnie. Biesiadnicy doszli już do ostatniej zwrotki i z hukiem odstawili kufle. Cycata dziewczka jak na komendę podeszła i szurnęła po stole kolejne, pełne spienionej cieczy. Ktoś próbował klepnąć ją w szeroki tyłek, ale nie trafił. Rozległy się śmiechy.

– A powiedz ty mi... Aminto luba... – kontynuował oblubieniec, z licznymi przerwami na oddech i wymyślanie dalszego ciągu zdania – cóżeś ty w tym szerokim świecie porabiała?

– Szwaczką byłam.

– Aha. Szwaczką. Znaczy, możnym paniom suknie szyłaś.

– Znaczy coś jakby.

– Aha.

W odległym kącie, przy oddzielnym stole, siedziała kompania czarodziejów i sączyła swoje piwo, prawie się nie odzywając. Brakowało Mitrii i Vereny.

Pierwsza została na wozie przy nieprzytomnym Jardalu, druga podziewała się nie wiedzieć gdzie. Justin Fern obserwował małomiasteczkowe towarzystwo z odrazą, poruszając skrzydełkami nosa, jakby czuł brzydki zapach. Gaga upijała się na smutno.

– To jej się trafiło, gamratce zatraconej – czknęła. – A za moją namową nogę dała z tej zapowietrzanej dziury. I we wszystkich burdelach razem zajęcie miałyśmy. A teraz jej się upodobało księżniczkę odegrać i za mąż wydać, oślicy nieiskanej...

– Pociesz się, moja droga – rzekł z godnością Justin – że nie czeka ją już w życiu nic, jak tylko posługiwanie mężowi w domu, noszenie kluczy, rodzenie bachorów, szorowanie podłóg i garów. Podczas gdy ty będziesz nadal mogła wieść pełen swobody żywot ladacznicy.

– Niby tak. – Gaga siąknęła nosem i upiła kolejny głęboki łyk. Fionka, która zrozumiała ironię, parsknęła cicho. Mała Bess siedziała skulona w kącie, spod rzęs popatrując na Gilgamesza, który zastygł w pozie kamiennego posągu, jak zawsze wtedy, kiedy nie miał nic do roboty. Bess nie była na placu, została opiekować się chorym czarodziejem i dobytkiem. Dlatego teraz nie bardzo rozumiała przyczyny nagłego awansu społecznego przyjaciółki. Nikt nie spieszył też szczególnie z wyjaśnieniami, ale ona przywykła do swojej roli osoby niewidzialnej i nie przejęła się tym specjalnie. Ot, kolejny przejaw powszechnego lekceważenia.

Grandini pił tego i jak na niego gadał bardzo mało, a jeśli już, rzucał kąśliwe uwagi pod adresem przegranego w tej prowincjonalnej potyczce kapłana. Spotykał się z milczeniem, ponieważ nikomu nie chciało się potwierdzać aż tak oczywistych prawd. Zastanawiał się, gdzie podziała się Verena, ale jakoś niezręcznie mu było pytać.

*

Rano dla wszystkich stało się oczywiste, że Verena zniknęła na dobre. Nie było w stajni jej konia, a wąsaty karczmarz potwierdził, że po południu zapłaciła za zjedzony posiłek, włożyła koronkowe rękawiczki, zacięła konia i odjechała w siną dal. Grandini, którego zapuchnięte oczy zdradzały ciężkiego kaca, stał na środku izby i drapał się po nieogolonym podbródku. Justin na wieść o odjeździe czarodziejki tylko parsknął cicho, Fionka skomentowała coś złośliwie na temat jaśnie wielmożnie urodzonej magiczki, której nie w smak się stała mieszana kompania. Poza tym nikt się nie odezwał. Mitria wyszła, trzaskając drzwiami.

Pozostali rozejrzeli się smętnie po izbie, którą cycata dziewczka, mocno zaspana, próbowała doprowadzić do porządku. Wspomnienia zrękowin wyzierały z kątów w postaci skorup potłuczonych kufli, zaschniętych kałuż rozlanego piwa

i polewki, pozostawionych fragmentów przyodziewy i połamanych stołków. Zza długiego stołu karczmarka wyciągnęła nawet niepozornej postury kmiotka, który drzemał sobie spokojnie pod ścianą, ściskając kurczowo w dłoni urwane ucho kufla. Pośrodku izby leżał, stratowany licznymi stopami, uwiędły wianek z nieokreślonego zielska.

Fionka, jako najbardziej praktyczna, zamówiła śniadanie. Po chwili przyszła Mitria, blada i smutna. Przeżuwali w milczeniu stwardniały ser i chleb, popijając cienkim piwem. Wąsaty karczmarz entuzjastycznie wycierał kufle, pogwizdując i zapewne licząc w myślach wczorajszy utarg.

– Widzi mi się, że ubyły nam dwie towarzyszki naszej cokolwiek niezbyt edukacyjnej podróży. – Grandini czknął, ocierając usta z piany. – Co w tej sytuacji zrobić nam wypada?

– Ona nie wróci – powiedziała Mitria. Wszyscy zwrócili na nią oczy. Czarodziejka wzruszyła ramionami.

– Mieszczanie mówili między sobą, że traktem na południe od Verit maszeruje oddział wojska pod dowództwem jakiegoś legendarnego kondotiera – wyjaśniła.

– Pomędzy nimi znajduje się rzekomo czarodziej w fioletowym płaszczu.

Justin gwizdnął cicho.

– Co to ma do... – zaczął Grandini.

– Adelard z Tradivy – wyjaśnił Tarrentczyk. – Najlepszy przyjaciel bądź też największy wróg naszej towarzyszki. W zależności od momentu dziejowego tudzież punktu widzenia.

– Ach tak. Ucieka przed nim czy do niego?

– Trudno powiedzieć. Zakładam to drugie. Choć nie należy wykluczać również pierwszego. A może pierwszego i drugiego jednocześnie.

Szpieg wychylił swój kufel piwa i starannie obejrzał dno.

– Zatem – oznajmił – pora nam w drogę.

*

Gilgamesz kończył zaprzęgać wóz, kiedy na podwórzec karczmy wkroczyła zapłoniona Mimi wraz z narzeczonym, zawadiacko noszącym przekrzywiony na bok берет z kogucim piórkiem. Młodzian pogwizdywał pod nosem i w niczym nie przypominał wczorajszego przerażonego pokurcza. Dźwigał w ręku kosz, wypełniony, jak się okazało, omszałymi gąsiorkami najprzedniejszego wina.

– Do samej śmierci się jaśnie państwu nie wypłacę – stwierdził – i za żywota zratowanie, i za tę dziewczkę moją miłą. – Tu zerknął na Mimi i również zarumienił się z lekka na pyzaty policzkach. – Sługa wasz na wieki. A gdybyście czasem do Ugrii zawitali, na Powroźniczej ulicy stoi dom matuli mojej miłej. Tam gościnne progi zawsze wam rade będą.

– Chodź no tu, oślico. – Gaga smarknęła głośno i objęła Mimi, aż zatrzeszczały kości. – Aminto zatracona.

– Bywaj, Gwidono – szepnęła Mimi, spuszczając wzrok.

– Dam ci ja Gwidonę. – Gaga obtarła twarz kułakiem i smarknęła jeszcze głośniej. – Nazwij mnie tak jeszcze raz, a tak ci w nos strzelę, że gwiazdy zobaczysz.

Grandini w imieniu wszystkich skwapliwie przyjął kosz, ze znanstwem obwąchując zawartość, po czym po ojcowsku poklepał Mimi po głowie. Mała Bess ścisnęła ją za rękę i w milczeniu wspięła się na wóz. Nawet Fionka darowała sobie poczucie wyższości i złożyła młodej parze wylewne życzenia. Virbio tylko ukłonił się sztywno. Gilgamesz złożył jakiś ceremonialny barbarzyński pokłon, przykładając dłonie kolejno do oczu, ust i serca. Zaskrzypiały osie wozu i po chwili Verit zostało poza ogonami ich koni, które strząsnęły proch ze swoich kopyt. Nie zobaczyli już ani panów rajców, ani gorliwego w tropieniu tarrenckich szpiegów kapłana.

*

Woda spadała na dno balii z łoskotem lawiny, wznosząc kłęby pary. Stukot odstawanego dzbana zabrzmiał niczym uderzenie młota.

– Jeszcze. – W uszach Sirocco odbił się ostry głos. Należał do Giulii Baldini. Bez wątpienia. – Jeszcze wody. Ma być pełno.

Szelest zginanego w dygu fartuszka służącej i szybkie kroki. Skrzyp. Chwila ciszy. I znów szybkie kroki. Plusk.

– Zanieście ją do balii. – Kolejny ostry rozkaz. – Ostrożnie. Wojowniczką zapowietrzona. Ona w łeb dostaje, a my ją musimy niczym kukłę obsługiwać. Ostrożnie, mówię. Ciamajdy z was. Ona do Władców należy, więc blond włosy jej spaść nie może z główki. Ale nawet jeśli taka nosi się jak chłop i w walce obrywa, nie znaczy, że ma również na podobieństwo chłopca śmierdzieć. Choć to szkarada i obraza bogini jeno.

Sirocco czuje, jak dwie pary drobnych dłoni ujmują ją niezdarnie, ciągną, unoszą w górę i opuszczają do balii pełnej gorącej wody. Ból rozrywa czaszkę. Jęk. Sirocco rozchyła powieki. Lekko. Widzi tylko przez rzęsy. I przez mgłę.

Komnata ma kamienną podłogę i sufit przecinany poprzeczkami z drewnianych bali, malowany w kwiaty i kolorowe wzory. Przez zasłonięte białym płótnem okno wpada niewiele światła. Naprzeciw, w wielkim kominku, płonie ogień. Gałązki jałowca trzeszczą lekko i wydają ostrą, gryzącą woń. Przed kominkiem wiszą pęki suchych ziół. Obok balii stoi krzesło, na którym wisi szorstki biały ręcznik i leży świeże odzienie. Koszula i spodnie.

Szuranie, kroki, stuk. Białe światło spod rzęs.

– Pani Baldini... ona chyba się budzi.

– Zdaje ci się, boś głupia. – Ostry głos. – Zresztą, trza będzie wezwać medyka, jak skończymy. Zmykajcie, niezdary, boście do niczego. Na łazienkę w każdym razie niezdadne. Perdita, ty do kuchni, pomożesz indyka na wieczerę skubać. Agnes, szorować podłogi. Zaczynij od korytarza, co wiedzie do zachodniej baszty. Marsz.

Kroki. Szczęk zamykanych drzwi. Uderzenie bólu. Jęk. Pustka. Nazywam się... nazywam się Sirocco. Nazywam się Lorentina Baldini.

– Cicho – syczy Giulia. Ujmuje jej głowę w obie dłonie. Stanowczym ruchem pochyła. – Mała rana, wielki siniac, lekkie wstrząśnienie mózgu. Spadłaś ze schodów jak ostatnia niezdara. Ale masz szczęście, że żyjesz. Twoich pacholków rozplatali jak ryby.

Jęk.

– Potem przyłożę ci do tego zimny kompres nasączony przeciwbólowym eliksirem. A teraz leż. No leż, spokojnie. Nasypię ci do wody wzmacniających ziół. I umyję cię. Śmierdzisz lochem.

Jęk.

Trzaskanie gałązek. Iskry w ogniu.

Zapach jałowca.

– Matko...

– Nie wypowiadaj więcej tego słowa! Zamilcz! Potem znów cię uspię.

– Nie...

– Czy ty nie rozumiesz, co ci grozi? Naraziłaś się. Nie wykonałaś rozkazu. Teraz możesz albo być nieprzytomna, albo uciekać.

Woda zachlupotała, gdy Giulia Baldini sypnęła do niej dwie pełne garście mydlanych płatków wzbogaconych czymś, co ostro i korzennie pachniało. Sirocco syknęła z bólu, kiedy ochmistrzyni przechyliła ją w przód i zaczęła energicznie szorować jej plecy.

– Cicho. Jesteś wojowniczką. Nieprzytomną wojowniczką.

Energiczne mycie objęło całe ciało. I włosy. Sirocco zagryzła zęby. Potem Giulia Baldini silnym chwytem podniosła ją pod pachy i wywlekła z balii. Narzuciła na nią szorstki ręcznik i wytarła mocno, a potem naciągnęła świeże odzienie. Drapało i pachniało pralnią.

– Rozumiem cię – powiedziała, sadzając dziewczynę na krześle i czesząc miękką szczotką splątane pasma jasnych włosów. – Naprawdę. Gdybym dostała w swoje ręce tego maga, pewnie też nie wyszłabym stamtąd aż do świtu. Nie byłoby takiej obelgi, której by ode mnie nie usłyszał i takiej tortury, której bym go nie poddała, wpierywając dłoń, aby się dokładnie przypatrzył narzędziom. Poczekałabym, aż zacznie płakać, błagać i robić w portki ze strachu. Tylko to

potrafią. Rozumiem cię, ale to był błąd, Loren. A za błędy się płaci. Zbyt drogo, żeby można sobie było na nie pozwolić.

Sirocco poruszyła się. Jasne pasmo włosów zostało na szczotce. Zabolało. Nie jęknęła. Zagryzła zęby.

– Dlaczego... – szepnęła.

– To chyba oczywiste – parsknęła Giulia.

– Nie to. Dlaczego... tak ich nienawidzisz? Przecież sama uczyłaś mnie magii.

Chwila milczenia.

– Przychodzi taki czas, moja mała Sirocco, kiedy dziewczynka staje się kobietą. To bardzo głupi czas, moja droga. Czas bzdurnych marzeń i naiwnych nadziei, jeśli życie cię jeszcze ich nie pozbawiło. Jeśli miałaś szczęście. Bądź go nie miałaś. Bywa, że jesteś wystarczająco naiwna, a wtedy świat poza czterema ścianami własnej izby wydaje ci się wspaniały, bajkowy, piękny i dobry, a każdy spotkany na mieście chłystek nosi szaty królewicza. Wszystko, co większe od doniczki z macierzanką na parapecie twojego okna wydaje ci się czarodziejskim ogrodem. Czasem chłystek bywa starszy od ciebie, a ty jesteś młoda, naiwna i dobra. I ciekawa. On nosi czarne lub fioletowe szaty, ma przenikliwe spojrzenie i tak mądrze mówi. Krok stawia pewnie, patrzy władczo. Pewny siebie i pachnący. Całuje leciutko końce twoich palców, a ty cofasz je zapłonią, bo noszą ślady szorowania garnków i klucia igłą przy cerowaniu przyodziewy. Mówi, że jesteś tak piękna, że warto by twoją urodę na wieki utrwalić. A na to jest tylko jeden sposób – zostać czarodziejką. A ponieważ jesteś równie mądra jak piękna, nie będzie po temu najmniejszych przeszkód.

Rzucasz więc dla niego rodzicielski dom, uciekasz w środku nocy, bez pożegnania. On uwozi cię w siodle w nieznaną. Zamieszkujesz w dusznej izbie na jakimś poddaszu, z której, jak się okazuje, nie możesz wyjść. On mówi, że to niebezpieczne. Aby mógł przedstawić cię Kapitulie jako swoją narzeczoną, musisz najpierw wyuczyć się na czarodziejkę. Więc cię uczy. Bawi go to. Jakby uczył psa. Odwiedza cię z początku często, potem coraz rzadziej. Aż pewnego dnia, zapłonią, oznajmiasz mu, że przestałaś krwawić. Że spodziewasz się dziecka. Czekasz, kiedy się ucieszy. Kiedy będzie musiał wreszcie cię stąd wyprowadzić i pokazać swoim konfratom. A on milknie. I chmurzy się. Oznajmia, że nie teraz, że będzie musiał wyjechać. A potem niknie bez śladu, zostawiając ci na stole pękatą sakiewkę. Czekasz. I czekasz. Służba przynosi ci jedzenie, ale robi się coraz bardziej opieszala i jakaś taka pogardliwa. Aż w końcu decydujesz się wyjść. I dociera do ciebie, że nie mieszkałaś w jego domu, tylko w podrzędnym szynku za jakimś plugawym miasteczkiem. Ściskasz w rękę miszek pełen złota, rozumiejąc już, że potraktował cię jak tanią dziewczkę.

A to nie koniec. To dopiero początek. Rodzisz dziecko. Pieniądze kończą się zbyt szybko. A pewnego dnia ktoś uświadamia ci, że czarodziejom nie wolno mieć kobiet, żon, kochanek i narzeczonych. Że mogłabyś kochać go na śmierć i urodzić mu nie wiem ile dzieci, a i tak nigdy nie przedstawiłby cię Kapitulę. Od początku nie zamierzał.

Giulia Baldini milknie. Słyszc tylko szelest włosianej szczotki przesuwanej po jedwabistych, jasnych włosach Sirocco.

– A... dziecko? – pyta w końcu wojownicza. Czeka na odpowiedź. Chwilę długą jak wieczność.

– Dziecko trzeba nauczyć, że świat poza ścianami domu nie jest czarodziejskim ogrodem – śpiewnie, powoli odpowiada Giulia. – Żeby było silne i nigdy, przenigdy nie dało się skrzywdzić. Nauczyć wszystkiego, co się potrafi samemu. W tym tej odrobiny magii.

Rzuca wiązkę ziół w palenisko wygasłego już kominka. Z jej dłoni strzelają iskry. Zioła palą się z sykiem, wydzielając gryzący dym, który napełnia pomieszczenie ostrą, przenikliwą wonią. Giulia Baldini ociera znad górnej wargi ślad kilku kropel krwi.

*

– Otwierają się karty Rzeczywistości – powiedziała Pierwsza Przędka.

– Rozplata się kłacze Międzyświata i wszystkich światów – powiedziała Druga.

– Obserwujmy. To przez nasze palce przechodzą splatające się w wielowymiarach nici Opowieści – powiedziała Trzecia.

Koniec tomu pierwszego

Dramatis personae

Mitria z Cantaleny (**Mear Melinda Erian de Witten**) – czarodziejka, uczona, ukochana Jardala, uboga i niechciana krewna książąt Cantaleny.

Jardal – mag, uczony, ukochany Mitrii. Nikt nie zna jego pochodzenia – a tak naprawdę jest on Wędrowcem Światów, jednym z tych, którzy wzbudzają w świecie magów lęk. Przychodzą z Międzyświata i potrafią żyć wiele razy w różnych odnogach uniwersum.

Evelyn von Stein – czarodziejka, Mistrzyni Glinianej Pieczęci, faktyczna przełożona wszystkich magów z Emain Avallach.

Dionisius Grandini – szpieg z Castelburga, mieszczuch o korsarskiej przeszłości, fanatycznie przywiązany do swojego miasta.

Virbio Allenmargh – młody szlachcic z Blenvingardu, wysłannik Bractwa Wolnych Miast.

Caitlinn – młoda wiejska dziewczyna, gospodyni Jardala, aspirująca do roli partnerki życiowej maga – które to aspiracje legły w gruzach, gdy Jardal związał się z Mitrią.

Adelard z Tradivy – ambitny czarodziej, pewny siebie i zawsze elegancko ubrany. Działa jako wysłannik Evelyn von Stein, negocjator w sprawach pomiędzy Emain Avallach i światem zewnętrznym. A może i występuje w paru innych rolach. Kochanek Vereny Haage.

Hargon z Emmendath – zausznik Evelyn von Stein, bierny i tchórzliwy. W Kapitulie magów pełni funkcję Mistrza Ceremonii.

Tore Harberg – Bibliotekarz z Emain Avallach.

Verena Haage – piękna czarodziejka, dość niefortunnie wybierająca sobie kochanków.

Justin Fern – czarodziej, z pochodzenia tarrencki arystokrata. Ma kilka tajemnic.

Giulia Baldini – ochmistrzyni w castelburskim Zamku Cieni. Nie lubi magów i również ma kilka tajemnic.

Sirocco (**Lorentina Baldini**) – młoda kobieta, kapitan książęcej Gwardii Morgh.

Machiavello Niccoli – prawa ręka castelburskiego Księcia, człowiek opętany żądzą władzy.

Książę – nikt nie wie kto i niech na razie tak pozostanie.

Fionka – młoda mieszcanka, która zdecydowała się wziąć udział w przygodzie.

Gaga (**Gwidona**) – młoda, energiczna dziewczyna, prostytutka z castelburskiego portu.

Mimi (**Aminta**) – młoda prostytutka z castelburskiego portu, bardziej nieśmiała od towarzyski. Pochodzi z Verit.

Mała Bess – młoda prostytutka z castelburskiego portu, ofiara przemocy w rodzinie.

Gilgamesz – mityczny bohater, który niewiadomym sposobem przekroczył granice mitu.

Aurelianus z Xanty – wybitny mag, bardzo wiekowy i cieszący się olbrzymim szacunkiem. Wyjeżdża z Emain Avallach, żeby zademonstrować brak poparcia dla działań Evelyn von Stein i już tam nie wraca. Widzi więcej, niż mogłoby się wydawać.

Leta Therrus – mądra, wiekowa czarodziejka, opiekunka Cantii von Essen.

Cantia von Essen – młoda, skrzywdzona przez życie baronówna, ofiara molestowania. Adeptka magii i podopieczna Lety Therrus.

Jastrząb – znany dowódca kondotierów.

Noc kota, dzień sowy: Zamek Cieni
Copyright © Marta Kładź-Kocot
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-131-4

epub ISBN 978-83-7995-132-1

mobi ISBN 978-83-7995-133-8

Redakcja: Małgorzata Antczak

Korekta: dr Mirosław Gołuński

Projekt i ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Konwersja: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl

Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl

